

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/195-2/196

1964



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

W. WITOS :

URYWKI Z DIARIUSZA 1936-1939

M. HŁASKO : **WSZYSCY BYLI ODWRÓCENI**
(fragment)

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :

DEMON NASZYCH CZASÓW

AL. WAT : **ŚMIERĆ STAREGO BOLSZEVIKA**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Demon naszych czasów</i>	3
Feliks Młynarski:	<i>Szkice literacko-filozoficzne (dok.)</i>	15
Maria Czapska:	<i>Alleluja</i>	22
Aleksander Wat:	<i>Śmierć Starego Bolszewika</i>	27



Marek Hłasko:	<i>Wszyscy byli odwrócenii</i>	41
Aleksander Grobicki:	<i>„El Norte”</i>	65
Wincenty Cygan:	<i>Bohaterzy i jajka</i>	75

WIERSZE

Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Seria towarzyska</i>	79
O. Wacław Chabrowski O.S.P.:	<i>Alumni</i>	83
” ”	<i>★ ★</i>	84
” ”	<i>Światowid</i>	84
Bogdan Czaykowski:	<i>Kilka myśli</i>	85
Alicja Iwańska:	<i>Sacramento</i>	86

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Źródła polskiej drugorzędności</i> ..	91
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	99

SPRAWY I TROSKI

(m. l. d.):	<i>W oczach Londynu</i>	105
-------------	-------------------------------	-----

SPRAWY GOSPODARCZE

W.A. Zbyszewski:	<i>Stagnacja Anglii</i>	111
------------------	-------------------------------	-----

SĄSIEDZI

Joachim Georg Görlich:	<i>Autochtoni</i>	133
Horst Werner Franke i Otto Griese:	<i>Obywatele Bremy o Polsce</i>	138

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Wincenty Witos:	<i>Urywki z diariusza 1936-1939</i>	144
Jan A. Jaxa:	<i>Oświadczenie</i>	157
—	<i>Konkurs na esej o Powstaniu Warszawskim</i>	158

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Zbigniew A. Jordan:	<i>O Stanisławie Ossowskim</i>	159
Stanisław Kościakowski:	<i>Marian Zdziechowski</i>	166

KRONIKA KULTURALNA

Stanisław Piekut:	<i>Rzymska przyjaźń Kraszewskiego</i> ..	185
Anna Kipper:	<i>Polonica kolumbijskie</i>	192
—	<i>Komunikaty</i>	195

KSIĄŻKI

Piotr Wandycz:	<i>O polskiej polityce zagranicznej</i> <i>Dwudziestolecia</i>	199
Wiktor Weintraub:	<i>„Szkice Mickiewiczowskie”</i>	208
Tymon Terlecki:	<i>Polska monografia Thomasa Manna</i>	214
Andrzej Chciuk:	<i>„Kryminał” w Polsce Ludowej</i>	217
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ..	225
—	<i>Wykaz Wydawnictw „Biblioteki Kultury”</i>	227



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	230
--------------	----------------------------	-----



K. Bulas, W. Brońska-Pampuch, M. Chmielowiec, B. Frydrych, G. Herling-Grudziński, A. Ka- wałkowski, P. Mohortynski, J. Nowak Przygodzka, Z. Straszyn- ski:	<i>Listy de Redakcji</i>	232
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1964

INSTYTUT



LITERACKI

NOTATKA BIOGRAFICZNA

Mieczysław GIERGIELEWICZ, ur. 20.XI. 1901. Doktorat filozofii uzyskał na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował w szkolnictwie, dziennikarstwie i ruchu wydawniczym; zamieszczał systematycznie szkice i artykuły w „Pamiętniku Literackim”, „Ruchu Literackim”, „Poloniście”, „Drodze” etc. Żołnierz z I wojny światowej, w czasie wojny ostatniej odbywał służbę wojskową we Francji i Szkocji (Brygada Spadochronowa). Powołany w r. 1944 do Min. Oświaty w Londynie, organizował m.in. Wyższe Kursy Nauczycielskie, Kurs dla Nauczycieli Jęz. Angielskiego i Kurs dla Tłumaczy. Był zast. kierownika w późniejszym Dziale Oświaty ITC i członkiem polsko-brytyjskiego Komitetu Oświaty Polaków. Brał udział w kierownictwie różnych organizacji kulturalnych i społecznych. Ogłosił 9 książek z zakresu literatury i poetyki i wiele studiów drobniejszych oraz prowadził wykłady literatury polskiej. W roku 1957 emigrował do USA; od pięciu lat jest profesorem lit. słow. na Uniwersytecie Pennsylwańskim w Filadelfii. (Artykuł M. Giergielewicza ukazał się w poprzednim numerze „Kultury”).

WPŁATY NA FUNDUSZ KULTURY

Józef Fryd, Rzym, po raz drugi	220,50 F
Aleksander Kawałkowski, Paryż, po raz dziewiąty	100,00 „
Jan Piórkowski, Passaic, N.J. (USA) po raz ósmy	28,20 „
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Kanada) po raz drugi	67,50 „
Józefa Turska, St. Anne de Bellevue, P.Q. (Kanada) po raz trzeci	22,50 „
Bezimiennie (Kanada) po raz czwarty	90,00 „
Bezimiennie, Rzym	34,00 „
Anonimowo, Filadelfia, Pa (USA)	24,50 „
Zygmunt Gabryszewski, Chicago, Ill. (USA)	4,90 „
K. Zdziarski, Caracas (Wenezuela) po raz trzeci	29,00 „
M.W.K. (Australia) po raz ósmy	16,50 „
Z. Sikorski, Darlinghurst, NSW, po raz czwarty	11,00 „
Janina Szarlak, Monachium (Niemcy)	5,00 „
Mieczysław Błaszkievicz, Brooklyn, N.Y. (USA) po raz czwarty	9,50 „
Tadeusz Ungar, East Orange, N.J. (USA)	73,50 „
Wanda Darcy, New York, po raz czwarty	24,50 „

DZIĘKUJEMY



Jak co roku bieżący zeszyt KULTURY jest podwójny: styczeń-luty 1964. Zeszyt następny ukaże się w pierwszych dniach marca.

Demon naszych czasów

I

Demon Naszych Czasów, Ksiązę (a raczej *Obersturmbannführer*) Ciemności i Piekieł, był przeraźliwie banalny. Stąd doskonała książka o nim, pióra niemiecko-amerykańskiej uczonej Hanny Arendt, nosi tytuł *Eichmann in Jerusalem* i podtytuł *A Report on the Banality of Evil*.

Zapytany czy przyznaje się do winy, odpowiedział: „Nie w sensie aktu oskarżenia”. Ani trzech sędziowie, ani prokurator, ani obrońca nie potrudzili się by zadać mu oczywiste pytanie w *jakim* sensie czuje się winny. *Advocatus diaboli*, doktor Servatius z Kolonii, ujawnił potem prasie, że jego klient gotów jest wziąć na siebie winę „w obliczu Boga, lecz nie w obliczu Prawa”. Demon Naszych Czasów miał wysokie, niemal mistyczne poczucie Prawa.

Bóg, określany przezeń jako *Höherer Sinnesträger*, wkraczał na widownię w zastępstwie zdruzgotanego wojną Prawa: skoro zabrakło *Führera* oraz jego *Geheimnisträgerów* i *Befehlsträgerów*, winę (jeśli w ogóle istniała) można było złożyć tylko u stóp Wyższego Nosiciela Znaczenia. Był to już jednak świat pozbawiony naprawdę znaczenia, świat w którym niepokojono Boga bo ludzie nie mogli sądzić ludzi w ramach swych przestarzałych pojęć Dobra i Zła. I gdzieś na dnie tliła się najbanalniejsza nadzieja, że

Powyższy esej jest fragmentem książki pt. „Drugie przyjście”, która ukazała się jako tom XCIII „Biblioteki Kultury” (grudzień 1963, cena F 13,50; 20/- lub \$ 3,-).

Höherer Sinnesträger zjawi się na Sądzie Ostatecznym także w brunatnej koszuli i albo weźmie wszystko na siebie w imię Niedocieczonych Zamiarów Opatrzności, albo wystąpi w roli Wielkiego Rozjemcy Historii. Demon Naszych Czasów, dla którego Prawo było czymś transcendentalnym, gardził podskórnie reakcjami w małej ludzkiej skali (również własnymi). Od sędziów jerozolimskich oczekiwał sympatii i wysiłku wniknięcia w Historię, a nie surowego i konwencjonalnego wyroku.

Poczuwał się przynajmniej do współuczestnictwa w zbrodni? Być może, ale z bardzo istotnymi zastrzeżeniami. To co zrobił było zbrodnią tylko retrospektywnie; on sam wytrwał po prostu do końca w posłuszeństwie Prawu: gdyż rozkazy *Führera*, które w miarę swych możliwości starał się zawsze wykonywać jak najsprawniej i jak najskrupulatniej, posiadały w Trzeciej Rzeszy „moc Prawa”. Czasy się zmieniły, wiele rzeczy teraz rozumiał. Nie zamierzał niczemu przeczyć; skłonny był raczej „powiesić się publicznie, by swym przykładem ostrzec wszystkich antysemitów na świecie”. Ale niczego nie żałował: „Skrucha jest dobra dla małych dzieci”. *Advocatus diaboli* postawił w tym miejscu z przesadną otwartością kropkę nad i: „Oskarżony dopuścił się uczynków za które otrzymuje się order kiedy się wygrywa, a idzie się na szubienicę kiedy się przegrywa”. Bardziej wobec siebie wymagający od swego obrońcy, Demon Naszych Czasów zignorował to prostackie stwierdzenie i odwołał się do Kanta.

Ku zdumieniu obecnych, przekonanych o jego prymitywnej formacji umysłowej, przytoczył dość poprawnie wskazanie królewieckiego filozofa. „Przez moją uwagę o Kancie miałem na myśli, że zasada mojej woli musi być zawsze taka, by mogła się stać zasadą praw powszechnych”. Czytał *Krytykę praktycznego rozumu*. Nie zdobył się tylko na dodanie — przekraczało to zapewne jego możliwości intelektualne, — że „w okresie zbrodni zalegalizowanych przez państwo” (jak sam go obecnie nazywał) formuła kantowska poddana została zabiegowi korektury: „Działaj tak, by zasada twego działania była identyczna z zasadą prawodawcy lub prawa kraju” (w ujęciu „kategorycznego imperatywu Trzeciej Rzeszy”, ukutego przez Franka: „Działaj w ten sposób by *Führer*, gdyby wiedział o twym działaniu, uznał je za godne aprobaty”). Ale miał na tyle poczucia miary, że po Kanta sięgał „na domowy użytek maluczkich”. Z Kanta, w tej „domowej” wersji, pozostał nakaz wyjścia poza martwą literę Prawa, dotarcia do jego

źródła. Dla Kanta tym źródłem był praktyczny rozum; dla Demona Naszych Czasów była nim wola *Führera*. *Führera* który musiał mieć przecież rację, musiał być ulubieńcem bogów i Fortuny, skoro „ze zwykłego kaprała stał się panem życia i śmierci narodu niemieckiego”. Co w *Endlösung der jüdischen Frage* uważano za paroksyzm teutońskiej dokładności lub obłęd biurokracji doskonałej, pochodziło jednak w jakimś stopniu z pojęcia że posłuszeństwo Prawu oznacza coś więcej niż nienaganne wykonywanie rozkazów i obowiązków; oznacza takie postępowanie, jakby się samemu było prawodawcą stosowanych praw. Prawo zyskiwało więc atrybuty bezwzględnego i niewzruszonego Bóstwa, nie dopuszczało wyjątków, wahań i własnych uczuć.

Posiadał w ogóle własne uczucia, czy też utożsamiał się całkowicie z Prawem ucieleśnionym w osobie charyzmatycznego Wodza? Może to wyglądać na paradoks, ale posiadał je, przynajmniej w stanie szczątkowym. Dopóki postulat *judenrein* ograniczał się do wygnań, deportacji i koncentracji w gettach lub obozach, jego sumienie nie знаło cieni, a jego *Arbeitsfreude* ocierała się o euforię: czytał Herzla, był „również” idealistą, chciał nomadów żydowskich, zakłócających swą obecnością życie innych narodów, pchnąć w kierunku zespolenia etnicznego. Decyzja *Endlösung*, eksterminacji fizycznej, odebrała mu dobry humor, zamąciła bezpowrotnie jego radość pracy: nie lubił przelewu krwi, zasmakował (jako organizator transportów) w roli Zwrotniczego „wyczyszczenia” Europy z Żydów u progu dalszych posunięć „technicznych”, lecz nie uśmiechała mu się rola Zwrotniczego ich ostatniej podróży do komór gazowych. Nie dręczyły go jednak zmyły we śnie. A jeśli go krótko dręczyły, to rozwiązała je najpierw świadomość że ojcem *Endlösung* był sam *Führer*, a potem konferencja w Wannsee, na której kwiat niemieckiej „praworządności” i „szacowności” ministerialnej nakreślił spokojnie, bez najmniejszych zgrzytów i w ciągu zaledwie godziny, ogólne zarysy operacji prowadzącej do zagłady jedenastu milionów Żydów. Obmyte tym podwójnym gestem Piłata, Prawo jaśniało znowu swym dawnym blaskiem.

Odtąd, ujrawszy przywrócony Prawu blask, zabrał się energicznie do dzieła; nic to że bez owej wszechogarniającej satysfakcji, która niegdyś syciła jego potrzebę idealizmu. Prawo było Prawem, nawet jeśli wymagało pokonania pewnych zakorzenionych i tradycyjnych oporów. Co więcej — w tej nowej postaci było jakby bardziej Pra-

wem, bo w wykonawcach unicestwiało resztki wymykającego się dotąd „ja”. Należało mu się oddać całą duszą, bez żadnych już zahamowań; należało być tylko wydłużoną ręką Prawodawcy. Robił to do ostatniej chwili. Gdy pod koniec wojny Himmler postanowił wstrzymać *Endlösung* (licząc że stanie się partnerem w negocjacjach pokojowych z Aliantami), on, Demon Naszych Czasów, sabotował nowe rozporządzenia i starał się kontynuować wykonywanie starych. Odgadywał bowiem (do takiej doszedł perfekcji w utożsamieniu się z Prawem, tak dalece udało mu się przekopać do jego źródła!), że odbywało się to bez wiedzy i wbrew woli *Führera*. Sędziowie jerozolimscy ośłupieli: nawet wtedy, kryty od góry, odmówił ratowania skazanych na śmierć? Demon Naszych Czasów ośłupiał niemniej niż jego sędziowie: czyżby nie pojmowali że *właśnie to* było jego tytułem do chwały, dowodem jego działania w dobrej wierze, jego bezinteresowności w służbie Prawu, jego wytrwania w posłuszeństwie cokolwiek miałoby się zdarzyć potem, jakkolwiek miałby być po klęsce jego własny los? Sędziowie jerozolimscy byli jednak prawymi i normalnymi ludźmi w staroświeckim tych słów znaczeniu, w podsądnym więc — po jego wyznaniu absolutnej wierności i niezłomności w zbrodni — widzieli albo potwora, albo beznadziejnie załganego błazna. Czego nie rozumieli (i do końca procesu nie rozumieli), to jego *nowej* normalności w Wieku Zorganizowanych Ideologii.

Posiadał swoje drobne zasady prostolinijności i moralności, które wystarczyły by przydzielony doń w więzieniu pastor doszukał się w nim „człowieka z bardzo pozytywnymi myślami”, a pół tuzina psychiatrów uznało go za normalnego („w każdym razie — powiedział jeden z nich — jest bardziej normalny, niż ja po jego zbadaniu”). Ale podstawowe i naprawdę wiążące pojęcia Dobra i Zła ustalał za niego i dla niego kto inny: Partia, Prawo proklamowane przez Partię, Wódz stojący na szczycie Aparatu Partyjnego. Był zdeklasowanym zerem mieszczańskim, komiwojażerem zaglądającym chętnie do wolnomularsko-burszowskiej łoży *Schlaraffia*, gdy (jak sam zeznał) „został nagle i błyskawicznie połknięty przez Partię”. Nie miał ani czasu ani ochoty zapytać o program, nie czytał nawet *Mein Kampf*. Kaltenbrunner (towarzysz młodości) napomknął mu raz w rozmowie: „Czemu by nie wstąpić do S.S.?” „Czemu nie?” — padła odpowiedź. Wstąpiwszy, odkrył rozkosz szybkiego wspinania się po drabinie od kaprała wzwyż, karnego maszerowania w szeregach Tysiącletniej Rzeszy,

przebudowywania całego świata na jej obraz i podobieństwo. Niosły go „uskrzydłone słowa”, specjalność Himmlera: „Oto są bitwy, których przyszłe pokolenia nie będą już musiały staczać”. „Oczekujemy od was byście byli nadludzy, byście byli nadludzko nieludzy”. „Takie zadania stają przed ludzkością raz na dwa tysiące lat”. Formuła „nadmudzkiej nieludzkości” dawała niemieckim Demonom Naszych Czasów poczucie prawie *self-pity* na ołtarzu Idei, znane wszystkim którzy mieli sposobność dostrzegać je również często na twarzach ich sowieckich kuzynów z N.K.W.D. Formuła „raz na dwa tysiące lat” — poczucie „monumentalności” i „rozmachu dziejowego”, spotykane także w Rosji i (w bardziej operetkowym wydaniu) we Włoszech faszystowskich (gdzie słowo *grandioso* należało do żelaznego dykcjonarza reżymu). W „bitwach, których przyszłe pokolenia nie będą już musiały staczać” odnajdujemy bez trudu dobrą znajomą: Konieczność Historyczną.

Te „bitwy, których przyszłe pokolenia nie będą już musiały staczać” pamiętał oskarżony jerozolimski najlepiej i cenił sobie najwyżej. I choć podczas rozprawy pojęcie Konieczności Historycznej nie padło ani razu, to ono w gruncie rzeczy wystawione było na widok publiczny i postawione pod pręgierz w szklanej klatce na sali sądowej. Nie zawsze o tym pamiętając, w Jerozolimie sądzono najbanalniejszy, najokrutniejszy i najgroźniejszy sofizm, jaki wymyślił Wiek Zorganizowanych Ideologii; sądzono go w osobie normalnego, dobrze przez Partię wytresowanego i napompowanego mistyką Prawa ćwierćinteligenta, który dlatego weń uwierzył i uznał go za swój aż do granic wyrzeczenia się wszystkiego co przywykliśmy uważać za powszednie ludzkie normy etyczne, że był bezbronny wobec jego banalnej grandilokwencji na nutę Tysiącleci i Ludzkości. Demoniem Naszych Czasów jest Konieczność Historyczna w rękach Wielkich Organizacji i w służbie Wielkich Celów; podsądny jerozolimski był jedynie jej najjaskrawszym pomiotem.

Pilny czytelnik Kanta, nie czytał na pewno *Procesu* Kafki. Znalazłby tam lepsze uzasadnienie dla swego kultu Prawa. „Nie jest bynajmniej konieczne — powiada w scenie katedralnej ksiądz do Józefa K. — przyjmować wszystko jako prawdę, trzeba tylko przyjmować wszystko jako konieczność”. „Melancholijna konkluzja — zauważa bohater. — Kłamstwo obraca się w niej w uniwersalną zasadę”. Gdy kłamstwo staje się uniwersalną zasadą, po czym poznać prawdę? Nie ma jej, znika, a raczej zmienia sama znak i przechodzi na stronę „nosicieli tajemnic i rozkazów”. Oto

dlaczego, nawet po klęsce, „skrucha jest dobra dla małych dzieci”. Oto dlaczego, nawet u stóp szubienicy w Jerozolimie, rozlegają się słowa: „Wkrótce, panowie, spotkamy się znowu. Taki jest los ludzi”. O jakim spotkaniu mówię, skoro nie wierzył w życie pozagrobowe? Była to wyłącznie, jak sądzi Hanna Arendt, ostatnia banalna sztanca oratorska banalnego złooczyńcy, który zapomniał że przemawia na własnym pogrzebie? Czy też Demon Naszych Czasów, przeczuwając niejasno że reprezentuje więcej niż samego siebie i więcej niż pogrzebane pod gruzami Królestwo Ciemności któremu wiernie do końca służył, zapowiadał swój powrót w innych? Książka o nim zawiera jedną uwagę, wskazującą że nie wolno lekceważyć takiej groźby: „Przyczyny, które przemawiają za możliwością powtórzenia zbrodni hitlerowskich, są realne. Przerażająca zbieżność współczesnej eksplozji populacyjnej z odkryciem środków technicznych które, poprzez automację, ujawniają „zbędność” szerokich odłamów ludności nawet w kategoriach pracy, i które, poprzez energię jądrową, umożliwiają uporanie się z tym podwójnym niebezpieczeństwem za pomocą instrumentów sprowadzających hitlerowskie urządzenia gazowe do wymiarów niezdarnych zabawek w rękach złych dzieci, powinna wystarczyć by nas przygotować o drzenie”.

Upiór Konieczności Historycznej, choć wyegzorcyzmowany w jerozolimskim Pałacu Sprawiedliwości, choć powieszony, spalony i rozsypany do morza z dala od ziemi zamieszkałej przez ludzi, krąży więc dalej na horyzoncie swym upartym cieniem.

II

A jego ofiary?

„Kontrast między izraelskim heroizmem a uległą potulnością z jaką Żydzi szli na śmierć — stawiając się w oznaczonym czasie na punktach transportowych, maszerując pieszo do miejsc kaźni, kopiąc własne groby, rozbierając się i układając schludnie odzież na kupkach, kładąc się pokodem obok siebie w oczekiwaniu na strzały — wydawał się nieodparty, i prokurator, pytając świadka po świadku „Czemuście nie protestowali?”, „Dlaczegoście wsiedli do pociągu?”, „Było was piętnaście tysięcy otoczonych przez kilkuset strażników, czemuście się nie zbuntowali i nie ruszyli do ataku?”, eksploatował go ile się dało. Lecz smutna prawda polegała na tym że problem był źle postawiony, gdyż nie-

Żydzi nie zachowywali się bynajmniej w inny sposób. Przed szesnastu laty, kiedy wypadki były jeszcze świeże, David Rousset, były więzień Buchenwaldu, opisał to co wiemy dziś o wszystkich obozach koncentracyjnych: „Pełny triumf S.S. wymagał by torturowana ofiara pozwoliła się prowadzić na śmierć bez sprzeciwu, by skapitulowała aż do zaparcia się własnej tożsamości. I nie bez głębszego powodu. Nie ot tak sobie, nie ze zwykłego sadyzmu, esesmani pragnęli jej klęski. Wiedzieli że system, któremu udaje się zniszczyć swą ofiarę przed jej wstąpieniem na szafot, jest bez porównania najlepszy dla utrzymania w niewolnictwie całego narodu. W uległości. Nic straszniejszego nad te procesje istot ludzkich, idących na śmierć jak manekiny” (*Les Jours de notre mort*, 1947). Sąd nie otrzymał odpowiedzi na te okrutne i głupie pytania, ale można było łatwo znaleźć odpowiedź skierowując na kilka minut wyobraźnię ku losowi tych Żydów holenderskich, którzy w roku 1941, w starej dzielnicy żydowskiej Amsterdamu, odważyli się zaatakować oddział policji niemieckiej. W drodze represji aresztowano 430 Żydów i dosłownie zamęczono ich powoli na śmierć najpierw w Buchenwaldzie, a potem w Mauthausen. Miesiącami umierali oni potysiącokroć, i każdy z nich mógłby być pozazdrościć swoim braciom w Oświęcimiu, a nawet w Rydze i w Mińsku. Istnieją rzeczy znacznie gorsze od śmierci, i S.S. postarała się już o to by żadna z nich nie była nigdy zbyt odległa od umysłów i wyobraźni ofiar. Pod tym względem rozmyślna próba odsłonięcia na procesie tylko żydowskiego aspektu zagadnienia zniekształciła prawdę, nawet żydowską prawdę. Chwała powstania w getcie warszawskim i heroizm nielicznych walczących tkwią właśnie w decyzji odrzucenia względnie łatwej śmierci, zaofiarowanej przez hitlerowców: od kul plutonu egzekucyjnego, lub w komorze gazowej. I świadkowie w Jerozolimie, którzy opowiadali o oporze i buncie, o ich nikłej roli w historii całopalenia, potwierdzili raz jeszcze że tylko bardzo młodzi byli zdolni do aktu wydarcia się z szeregow, prowadzonych na rzeź jak barany do szlachtuza”.

Nie trzeba, a nawet nie wolno, dodawać tu ani słowa: moralizatorstwo uprawiane na rachunek cudzej śmierci jest zamaskowaną (często nieświadomą) formą obojętności wobec umarłych. Nikt z nas nie wie jak sam zachowałby się w obliczu końca; ale każdy z nas wie (albo co najmniej podejrzewa), że zachowałby się inaczej niż sobie to wyobraża. Ta prawda zawarta jest w tytule książki Rousseta: dni naszej śmierci nie są dniami naszego życia; i w prze-

ciwieństwie do prokuratora jerozolimskiego, Hanna Arendt zatrzymała się przed nią jak przed nieprzekraczalnym kołem kredowym.

Wolno jednak, ryzykując a nawet prowokując świadomie polemikę, posunąć się w innym kierunku: „Lecz cała prawda była taka, że istniały organizacje gmin żydowskich i żydowskie organizacje partyjne i dobroczynne zarówno na szczeblu lokalnym, jak międzynarodowym. Gdziekolwiek znajdowali się Żydzi, posiadali uznawanych przywódców, i ci przywódcy, niemal bez wyjątku, współdziałali w ten czy inny sposób, z tych czy innych względów, z hitlerowcami. Cała prawda była taka że gdyby Żydzi byli naprawdę niezorganizowani i pozbawieni kierownictwa, chaos i nędza wzrosłyby niepomniernie, ale liczba ofiar nie dosięgnęłaby cyfr od czterech i pół do sześciu milionów. Kładę nacisk na tę sprawę, której proces jerozolimski nie odsłonił przed oczami świata w jej właściwych rozmiarach, gdyż daje ona najbardziej uderzający wgląd w totalność bankructwa moralnego, spowodowanego przez hitlerowców w szanującym się społeczeństwie europejskim — nie tylko w Niemczech lecz we wszystkich prawie krajach, nie tylko wśród oprawców lecz także wśród ofiar. Eichmann, w przeciwieństwie do innych elementów w ruchu hitlerowskim, czuł zawsze pewne onieśmienie wobec ludzi z „dobrego towarzystwa”, i uprzejmość jaką często okazywał funkcjonariuszom żydowskim mówiącym po niemiecku była w dużej mierze wynikiem jego poczucia, że ma do czynienia z osobami społecznie odeń wyższymi. Nie był bynajmniej, jak nazwał go jeden ze świadków, *Landsknecht* natur, najemnikiem spragnionym ucieczki w rejony gdzie kończy się panowanie Dziesięciorga Przykazań i gdzie wszystko wolno. W co żarliwie do końca wierzył to w powodzenie, główny miernik takiego „dobrego towarzystwa” jakie znał. Typowe były jego ostatnie słowa na temat Hitlera; Hitler, jego zdaniem, „mógł być w błędzie na całej linii, ale jedno jest bezsporne: potrafił sobie utorować drogę od kaprała armii niemieckiej do Wodza osiemdziesięciomilionowego narodu... Samo jego powodzenie było dla mnie dowodem, że muszę mu się ślepo podporządkować”. Jego sumienie uspokoiło się, gdy widział gorliwość z jaką „dobre towarzystwo” reagowało wszędzie tak jak on. Nie miał potrzeby „zatykania sobie uszu na głos sumienia” (jak to określono w motywacji wyroku) nie dlatego że go nie posiadał, ale dlatego że jego sumienie przemawiało „czcigodnym głosem”, głosem otaczającego go czcigodnego społeczeństwa.

Ostrze tych uwag jest podwójne. Zwraca się przeciw przedstawicielom społecznej elity niemieckiej, którzy w Wannsee położyli podwaliny pod zbrodnię; i zwraca się przeciw przedstawicielom społecznej elity żydowskiej z *Judenratów*, którzy w zaciszu gabinetu Demona Naszych Czasów współdziałali z nim w rozpracowywaniu szczegółów jej wykonania (przeważnie, choć nie zawsze, licząc na ocalenie bodaj części skazanych; w każdym razie jeden z nich, doktor Kastner z Organizacji Syjonistycznej w Budapeszcie, został przez sędziego Benjamina Halevi — we wcześniejszym procesie jerozolimskim — uznany za człowieka „za-przedanego duszą diabłu”). Zapewne, powstała sytuacja paradoksalna: ofiary pomagały same w oliwieniu maszyny zagłady, doglądały jej sprawnego funkcjonowania, w nadziei że za taką cenę uda się ją ubłagać czy może nawet powstrzymać, jak gdyby właśnie fakt jej sprawnego działania nie był sam przez się najlepszą rękojmią że wypełni ona do końca swe zadanie. Do nietykalnych spraw „dni naszej śmierci” należą dziesiątki i setki tysięcy „baranów”, idących w przykładowym ordynku, bez sprzeciwu i buntu, ku własnej jatce. Ale (zdaje się sądzić Hanna Arendt) do spraw wciąż jeszcze dotykalnych i podlegających osądowi moralnemu, do spraw „dni naszego życia”, należy szaleństwo „pasterzy”, którzy zgodzili się przyłożyć rękę do wy-sortowania i zorganizowania tych maszerujących kolumn, do przepojenia ich duchem samoniszczycielskiej dyscypliny.

Jest więcej niż prawdopodobne, że rozmiary *Endlösung* nie dotknęłyby tak monstrualnego apogeum, gdyby „Żydzi byli niezorganizowani i pozbawieni kierownictwa”: chaos mógł tu być jedyną dostępną bezbronną formą walki przeciw śmierci opartej na wzorowym porządku. Istnieją jednak co najmniej dwie przyczyny, dla których teoria biernego oporu i nieposłuszeństwa bądź grzeszy intelektualną abstrakcją, bądź znajduje słabe zastosowanie w podobnych okolicznościach.

Pierwsza jest natury psychologicznej. Lew Tołstoj opowiadał chętnie wschodnią bajkę o człowieku, który uczeplił się krzaka na ścianie otchłani, uciekając przed tygrysem na krawędzi urwiska w górze i przed smokiem na dnie przepaści w dole; dwie myszy podgryzają korzenie jego krzaka; mimo to, zawieszony w oczekiwaniu śmierci, dostrzega nagle parę kropel miodu na liściach krzaka, unosi się z wysiłkiem i oblizuje je. Wbrew pozorom, morał tej bajki nie dotyczy wyłącznie „starszych” z *Judenratów*, pomawianych często o włączenie się do mechanizmu eksterminacji z pobu-

dek lukratywnych lub w każdym razie egoistycznych. Dotyczy również, jeśli nie przede wszystkim, tysięcy skazańców śpieszących na ścięcie w zwartych i wyrównanych szykach. Nierozważny, kto nazwałby to tylko autolezjonizmem. Nie tak łatwo, zwłaszcza w masie, traci się wiarę że każdy krok nie jest jeszcze ostatni. Gdy znikąd nie widać pomocy i ratunku, gdy otaczający świat jest obojętny i głuchy, krucha roślina nadziei wyrasta na nawozie beznadziejności. Do wyrwania jej zdolni są nieliczni, jak nieliczni zdolni są do aktu samobójstwa. Na ogół, po przekroczeniu najniższego punktu w skali ludzkich uczuć i wartości, nadzieja przybiera postać czysto irracjonalną i zaczyna rosnąć odwrotnie proporcjonalnie do podskórnej i tłumionej siłą beznadziejności racjonalnej. Tylko tym można wytłumaczyć chorobliwą łatwowierność panującą w gettach. Często nie wygasła ona nawet u progu komór gazowych. Zmysł rzeczywistości uważano nie za cnotę, lecz za jałowy i groźny nałóg urodzonych siewców „złych wróżb”, myszy podgryzających korzenie krzaka. Bierny opór i nieposłuszeństwo wymagają zbiorowego wyzwania rzuconego prześladowcy *w imię* własnej, jasno rozpoznanej rozpacz. Czyli rozstania się z nadzieją uczeploną ściany otchłani, między tygrysem na krawędzi urwiska w górze i smokiem na dnie przepaści w dole. Rzecz trudna i rzadka w samotności, a coś dopiero w gromadzie, gdzie beznadziejność podlega równomiernemu rozłożeniu, tracąc tym samym na intensywności. Mimo (a może dzięki) swej banalności, Demon Naszych Czasów znał niestety tłum ludzki lepiej niż intelektualiści.

Druga przyczyna, znacznie ważniejsza, tkwi w obrębie historyczno-politycznego modelu „zamkniętego miasta” i dostarcza odpowiedzi na pytanie dlaczego organizacje żydowskie z narzędzia w rękach obłożonych ofiar stały się narzędziem w rękach oblegających oprawców. W wielu krajach Europy — nie we wszystkich — żydowskie „miasta zamknięte” były obłożone podwójnie: fizycznie przez hitlerowców, psychicznie przez otaczające je narody podbite. Zanim Niemcy, jako głosiciele Nowego Porządku, przynieśli *swoją* projekt „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”, przekonanie o konieczności „jakiegoś jej rozwiązania” (w miarę możliwości „humanitarnego”) nie było zjawiskiem odosobnionym. Prawa obywatelskie Żydów, nawet jeśli nie były jeszcze naruszane formalnie, kwestionowano lub ograniczano coraz częściej w praktyce. Stąd żywe było wciąż wśród Żydów stare przeświadczenie, że nie są

one prawami realnymi i należnymi, lecz aktami kapryśnej wielkoduszności władców, które otrzymuje się albo w drodze łaski za okazaną pokorę, albo w zamian za wysoki haracz czy okup. Okrzyk Kafki: „Nasze prawa nie są powszechnie znane; niezmiernie to bolesna rzecz być rządzonym przez prawa, których się nie zna” jest tyleż metafizyczną formułą losu ludzkiego, co mimowolną glossą na marginesie doli żydowskiej. *Endlösung* zastała Żydów w stanie obywatelskiego kompleksu niższości, z poczuciem że za murami mogą częściej liczyć na niechęć niż na zaplecze. W sytuacji zatem niezbyt podatnej dla biernego oporu i nieposłuszeństwa.

Zbrodnię zorganizował i wykonał Demon Naszych Czasów. Toksyny sprzyjające zbrodni zatruwały powietrze europejskie na długo przed jego najazdem.

III

Była to w gruncie rzeczy zbrodnia Kaina, podniesiona tylko do milionowej potęgi?

„Nic nie jest bardziej zgubne dla zrozumienia tej nowej zbrodni, i nic nie stoi bardziej na przeszkodzie wyłonieniu międzynarodowego kodeksu karnego który mógłby się nią zająć, niż pospolite złudzenie że zabójstwo i ludobójstwo są w zasadzie tym samym. Istotą ludobójstwa jest fakt, że złamany zostaje zupełnie inny porządek i pogwałceniu ulega zupełnie inna wspólnota”. I następna konkluzja: „Kłopot z Eichmannem polegał na tym, że tylu było podobnych do niego i że wszyscy oni nie byli ani zbrojcami ani sadystami, że byli oni i wciąż są straszliwie i zastraszająco normalni. Z punktu widzenia naszych instytucji prawnych i naszych moralnych kryteriów osądu ta normalność była o wiele bardziej zastraszająca niż wszystkie okrucieństwa razem wzięte, gdyż zakładała ona — jak powtarzali bezustannie oskarżeni w Norymberdze i ich obrońcy — że ten nowy typ zbrodniarza, który jest w rzeczywistości *hostis generis humani*, popełnia swoje zbrodnie w okolicznościach uniemożliwiających mu prawie zrozumienie i odczucie że czyni źle”.

„Wróg rodzaju ludzkiego” doznał, podczas spełniania swego złowrogiego dzieła, kilku porażek. W Danii, gdzie król zagroził że w razie wprowadzenia żółtych opasek dla Żydów, sam założy sobie pierwszą. We Włoszech i w Bułgarii, gdzie antysemityzm nie przemawiał do wyobraźni i nie posiadał cichych zwolenników. We wszystkich

tych wypadkach Demon Naszych Czasów nie tylko okazał się w jakiejś mierze bezradny. Zaczął się również, niepostrzeżenie dla samego siebie, wahać. Jakby zobaczył naraz okrutną pustkę Konieczności Historycznej, Wielkich Celów i Ostatecznych Rozwiązań.

To jest jedyny akcent optymistyczny w książce Hanny Arendt: „zastraszająca normalność ludzka” Wieku Zorganizowanych Ideologii, która przegląda się w lustrze zwykłej i skromnej przyzwoitości ludzkiej, nietkniętej przez epidemię wścieklizny. „Nowy typ zbrodniarza” patrzy na nią i drży mu, przynajmniej drży, podniesiona do ciosu ręka. Nie jest jeszcze całkowicie we władzy Nowych Piekieł.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

TOM XCIII

BIBLIOTEKI "KULTURY"

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DRUGIE PRZYJŚCIE

ORAZ INNE OPOWIADANIA I SZKICE

Str. 250

Cena 13,50 F (20 sh., dol. 3,00)

Szkice literacko-filozoficzne (dok.)

W perspektywie historycznej głównymi źródłami twórczości kulturalnej były religie. W świątyniach bowiem zrodziły się zawiązki nauk przyrodniczych łącznie z filozofią i sztuki piękne. Te ostatnie odgrywają rolę pomocniczą. Inspirują i propagują poglądy rodzące się w sferze życia religijnego i w warsztatach nauk przyrodniczych, łącznie z filozofią. Nie należy jednak lekceważyć faktu, że pierwszym źródłem twórczości kulturalnej w skali historycznej były religie. W świątyniach bowiem rodziły się przed wiekami nauki przyrodnicze, filozofia i sztuki piękne. Stopniowo wychodziły na zewnątrz. Zmierzały powoli do emancypacji. Punktem zwrotnym była filozofia starożytna Grecji. Pozostawiając na boku technikę i sztuki piękne jako motory pomocnicze trzeba stwierdzić emancypację nauk przyrodniczych jako proces szczególnie ważny. Zaczęty w greckiej filozofii rozwijał się powoli aż do czasów nowożytnych. Dopiero w ciągu czterech stuleci historii nowożytnej owa emancypacja stała się całkowita.

Nauki przyrodnicze, a głównie tzw. nauki ścisłe, jak fizyka i matematyka pomogły człowiekowi w stworzeniu naukowego poglądu na przyrodę i wszechświat. Zrodził się nowożytny racjonalizm. Oparł się na przekonaniu, że rozum powinien być wyłącznym narzędziem poznania. Zgodnie z tym przeciwstawił się irracjonalizmowi poznania religijnego. Kultura białego człowieka stała się areną zwalczania się racjonalizmu z irracjonalizmem. Zapomniał jednak racjonalizm o swoim pochodzeniu z wiedzy tajemnej starożytnych świątyń. Przymykał równocześnie oczy na fakt, że i nauki przyrodnicze, nawet nauki ścisłe nie mogą się obejść bez aksjomatów przyjmowanych za podstawę pomimo niemożności ich udowodnienia. Przemilczał również fakt, że każda hipoteza naukowa, dopóki nie będzie sprawdzona empirycznie wymaga wiary

w jej słuszność. Dopiero sprawdzenie empiryczne przekształca ją na teorię, która już nie wymaga wiary. Przedział więc na racjonalizm uznający tylko rozum jako narzędzie badań i na irracjonalizm posługujący się wiarą jako czynnikiem równorzędnym był i jest przeprowadzany zbyt ostro, ponieważ i postęp badań naukowych odbywa się po szczeblach wiary w hipotezy. Bez takiej wiary byłby niemożliwy lub zbyt powolny. Nauka wiele zawdzięczała zawsze błędnym przejściowym hipotezom.

Konflikt racjonalizmu z irracjonalizmem przejęło i nasze stulecie. Nie można jednak uznać tego konfliktu za źródło współczesnego i tak ostrego kryzysu w jakim znalazła się nasza kultura europejska. Konflikt ten oczywiście nie ułatwia wyjścia z kryzysu, ale nie może być uznany za jego przyczynę, ponieważ ów konflikt ciągnie się od wielu stuleci i mimo to w owych stuleciach nie było tak głębokiego kryzysu, jak nasz współczesny. Źródła tego kryzysu należy więc szukać gdzie indziej. Na pewno nie wywodzi się z religii, ponieważ religijność w dzisiejszym świecie białego człowieka raczej wzmacnia się aniżeli słabnie. Dowodem potężny ruch odrodzenia katolicyzmu i podjęta, głośna w całym świecie inicjatywa zjednoczenia chrześcijaństwa. Źródłem nie mogą także być ani technika, ani sztuki piękne, ponieważ ich funkcja w rozwoju kultury jest pomocnicza. Pozostają więc tylko nauki przyrodnicze, a przede wszystkim nauki ścisłe, jako źródło kryzysu. W tej więc dziedzinie w gwałtownych zmianach i odkryciach, jakie się dokonują w tempie zawrotnym należy szukać źródła współczesnego kryzysu, w jakim znajduje się kultura białego człowieka i jej oddziaływanie na inne kultury.

Naukowy pogląd na świat, odziedziczony po XIX stuleciu opierał się na czterech filarach. Tymi filarami były pojęcia trójwymiarowej przestrzeni, czasu, materii złożonej z niepodzielnych atomów i przyczynowości. Za główną, rozstrzygającą metodę w badaniach przyrody uznano eksperyment. Na takich założeniach oparł Newton swoją mechanikę klasyczną i naukę o grawitacji. Zdawało się, że człowiek poznał wreszcie mechanizm nie tylko przyrody na naszym globie, ale i wszechświata. Godziło się to także ze zdrowym rozsądkiem, który nie mógł wyobrazić sobie materii bez kategorii przestrzeni, czasu i przyczynowości, obserwowanej w codziennym obcowaniu z przyrodą. Nic więc dziwnego, że tak zbudowany światopogląd nabrał popularności. Zdobyl uznanie nie tylko w sferach naukowych, ponieważ był wygodny i łatwy do zrozumienia. Ułatwiał to przeciwstawianie go irracjonalności.

Pierwsze rysy na tej budowli zjawily się już jednak pod koniec XIX wieku. Na pierwszy ogień dostała się zasada przyczynowości. Wykazali Gibbs w Ameryce i Boltzman w Europie,

że zachowanie się mikrocząstek, np. gazów w naczyniu zamkniętym wyłamuje się z pod prawa przyczynowości. Zachowanie to dopuszcza przypadek czy szansę, a więc podlega zasadzie prawdopodobieństwa. Spostrzeżenie to potwierdziły eksperymenty, a więc metoda rozstrzygająca dyskusję. Zaczął się kryzys determinizmu przyczynowego ponieważ okazał się ważny tylko w świecie makrofizycznym. Pierwotnym musiał być wobec tego probabilizm, ponieważ makrozjawiska są akumulacją mikrojawisk, a więc są czymś pochodnym, a nie wyjściowym w ewolucji świata materialnego. Z tego punktu widzenia należałoby raczej definiować przyczynowość jako przykład doskonałego prawdopodobieństwa ponieważ prawdopodobieństwo przewidywanych zdarzeń wzrasta w miarę akumulacji mikrocząstek w makrofizyczne zjawiska. Dzisiaj posuwamy się jeszcze krok dalej. Na czoło wysuwa się zasada sprzężenia zwrotnego, w którym przyczyna rodzi skutek, a ten skutek przekształca się w przyczynę działania zwrotnego. Cybernetyka współczesna wysunęła już ową odwracalną przyczynowość na czoło swych badań i konstrukcji technicznych.

Wprowadzenie prawdopodobieństwa w badaniach fizyki było bardzo ważnym krokiem naprzód. Nie mogło jednak oddziaływać rewolucyjnie na umysłowość ludzką poza warsztatami nauki. Przeciętny człowiek nie interesował się tym. Nie kolidowało to jeszcze z jego zdrowym rozsądkiem w pojmowaniu przyrody. Zagadnienie było zbyt specjalne i ważne tylko dla specjalistów. Zmieniło się jednak położenie współczesnego człowieka, gdy Einstein w 1905 r. ogłosił swoją szczegółową, a następnie ogólną teorię względności. Teoria ta bowiem zrywała z tradycyjnym od tysięcy lat poglądem na przestrzeń i czas. Obie te kategorie uchodziły za absolutne formy pojęć o przyrodzie i wszechświecie. Einstein przekształcił je na formy względne, zależne od pozycji obserwatora i jego ruchu. Pierwsza reakcja sfer naukowych, wiernych dla klasycznej mechaniki Newtona była ostrożna i niedowierzająca. Eksperyment jednak rozstrzygnął sprawę. Ujawnił że zachowanie się mikrocząstek nie daje się pomieścić w trójwymiarowej przestrzeni, która była przestrzenią zdrowego rozsądku. Ujawnił równocześnie, że także czas inaczej przebiega w świecie mikrocząstek. Ujawnił także, że równocześnieść zjawisk jest inna dla dwóch obserwatorów, gdy jeden z nich jest w ruchu w stosunku do drugiego. Względność przestrzeni i czasu okazała się czymś realnym. Einstein dokonał humanizacji tych podstawowych kategorii.

Nie miejsce tu wchodzić w niezwykle trudne szczegóły, związane z rewolucją w warsztatach fizyki naszego stulecia. Ważne jest natomiast stwierdzić, że względność czasu i przestrzeni kolidowała wyraźnie ze zdrowym rozsądkiem, wyhodowanym w tra-

dycji dziesiątków tysięcy lat. Zachwiał się grunt pod nogami. Zrodziła się potrzeba jakiegoś nowego uporządkowania zjawisk i zespolenia ich w jakiś nowy system filozoficzny. Głód takiego zreformowania światopoglądu jest główną cechą kryzysu kulturalnego, jaki przeżywamy. Głód ten wyjaśnia także, dlaczego dzisiaj fizycy tak gorączkowo filozofują, wyręczając filozofię urzędową, która zbyt mało poświęca uwagi najwyższym problemom życia ludzkiego i wszechświata, a zbyt dużo zagadnieniom logistyki i metodologii.

Tymczasem coraz więcej symptomów wskazuje, że rozkład starego pojmowania świata i głód nowego wywierają już wpływ na współczesne społeczeństwa. Pierwsze zareagowały sztuki piękne jak najbardziej wrażliwe na dokonujące się przemiany w poglądzie na przyrodę i wszechświat. Modne dzisiaj dziwactwa w sztukach plastycznych nie zawsze są owocem złego smaku lub braku talentu. Gdy chwieją się podstawowe kategorie rozumu praktycznego, jak trójwymiarowa przestrzeń, czas i przyczynowość każda, nawet pozornie najbardziej irracjonalna kombinacja linii, kolorów czy kształtów może pretendować do roli nowej sztuki, która zrywa z naśladownictwem przyrody, aby szukać rozwiązań abstrakcyjnych. Także pierwsze loty dokoła ziemi uderzyły wyobraźnię dziwacznymi konsekwencjami nieważkości. Dostarczyły realnych przykładów pozornie absurdalnych położeń i ruchów. Podobnie ma się sprawa z rozkładem rytmu czy rymu w poezji. Nie inaczej jest z muzyką w której dysharmonia zagłusza harmonię. Nie są to tylko dziwactwa czy nonsensy. Są to naturalne symptomy przemian i przewrotów, które dokonują się w umysłowości ludzkiej pod naciskiem epokowych odkryć, wynalazków i teoretycznych osiągnięć. Są to dowody głębokości kryzysu kulturalnego, jaki jest pokłosiem rewolucji w naukach przyrodniczych, głównie w fizyce.

Dla uzupełnienia obrazu należy jeszcze przypomnieć, że rozszerzanie granic wszechświata i pierwsze kroki aby dokonać podróży człowieka poza naszą ziemię i w głąb naszego systemu solarnego uczą nas bardziej patrzeć w przyszłość, aniżeli oglądać się wstecz. Ziemia nasza stała się już ciasna dla człowieka. Zrodził się prometejski zryw kosmiczny. Kultura tradycyjna przekształca się powoli w nową kulturę kosmiczną, która przejmie wiele z dotychczasowej, ale przeważą w niej składniki nowe, związane z kosmicznym nastawieniem przyszłego człowieka. Kosmiczne ambicje nie są jednak obojętne dla postawy kulturalnej i cywilizacyjnej człowieka. Im bardziej człowiek będzie się interesował kosmiczną ekspansją swoich poczynąń, tym mniej go będzie obchodzić jego ziemską przeszłość, uboga w porównaniu do nowych ambicji. Kosmiczna ekspansja jest czymś całkiem nowym. Nie po-

siada przeszłości, ani tradycji. Mimowoli w umysłach ludzkich maleć będzie relatywnie nasza ziemia i jej znaczenie w ogromie rozszerzającego się wszechświata.

Dotychczas tradycja historyczna była silnym kitem zespalałym przeszłość z teraźniejszością ku pożytkowi przyszłości. Dziś już w naszych oczach funkcja tradycji historyczno-społecznej i funkcja autorytetu słabną. I znowu mamy symptom sygnalizujący realność tej przemiany. Czyż nie jest nim chuligaństwo jako zjawisko patologiczne, gardzące wszelkim autorytetem, które ujawniło się w krajach białego człowieka i mobilizuje nie tyle męty społeczne, ile młodzież ze sfer zamożnej inteligencji? Czyż nie jest to obok dekadencji artystycznej dalszym dowodem, że gdy chwieje się stary materializm, a nowej jego postaci jeszcze brakuje, niezaspokojony głód tego nowego musi wyrażać się przejściowo w patologicznych symptomach? Nie zaspokoi tego głodu ani genialny przyrodnik, ani genialny technik, ani nawet genialny humanista ograniczony do jednej specjalności, której się poświęca. Specjalizacja jest konieczna i dobroczynna, jako podział pracy na rozszerzających się obszarach nauki. Z natury jednak swojej, specjalizacja zamyka badacza w jego skorupie. Ułatwia badanie drzew, ale utrudnia badanie lasu. Kryzys zaś starej i głód nowej kultury są zagadnieniami lasu, a nie drzew wyrwanych z całości.

Naukowy pogląd na świat, jaki odziedziczyliśmy w spadku po XIX wieku wymaga jak widzimy zasadniczego remontu. Nie tylko jednak z powodu względności przestrzeni i czasu. Na potrzebę remontu wpłynął także dowód równoważności masy i energii, który Einstein opracował. Wyraził to równaniem $e = mc^2$, w którym litera e oznacza energię, masę litera m , a litera c^2 kwadrat prędkości światła. Przyjąwszy zasadę równoważności musimy wyciągnąć wniosek, że energia może przechodzić w masę lub odwrotnie. Jedno może przemieniać się w drugie. Wobec tego masę należy definiować jako energię w stanie bezwładności, a więc w stanie spoczynkowym na czas krótki lub bardzo długi. Pół wieku temu takie twierdzenie było rewelacją, która mogła budzić wątpliwości. Rozstrzygnął jednak kwestię eksperyment. Mikrofizyka przy pomocy coraz subtelniejszych narzędzi stwierdziła nie tylko złożoność atomu z mniejszych cząstek, ale zaczęła odkrywać coraz więcej mikrocząstek, które nie wchodzą w organizację atomu. Dzisiaj znamy ich już przeszło trzydzieści. W przeciwieństwie do protonów, neutronów i elektronów, z których składają się atomy i których czas życia jest względnie trwały, inne mikrocząstki mają masy mniejsze i czas ich trwania minimalny. Np. mezony żyją przez jedną milionową część sekundy, inne jeszcze krócej. Odkryte zaś stosunkowo niedawno neutrino nie posiada wcale spoczynkowej masy, jest strzępką energii.

Eksperymenty mikrofizyki ujawniły jednak nie tylko takie „dziwy przyrody”. Ważniejsze jest, że udowodniły przechodzenie jednej postaci energii w drugą. Mikrocząstki przy zastosowaniu dostatecznie silnej energii mogą przekształcać się w inne mikrocząstki, albo w promieniowanie. Są to dzisiaj fakty bezsporne. Pod ich naciskiem fizyka doszła już do wniosku, że wszystkie mikrocząstki mają tę samą podstawową substancję, którą np. Heisenberg nazywa „energiją lub uniwersalną materią”, ponieważ wszystkie cząstki są tylko różnymi postaciami, w których energia się objawia. Każda masa jest tylko stacjonarną postacią energii i może się przekształcić z powrotem w energię. Mikrocząstki są mikrowęzłami energii. W jaki sposób z takich mikrowęzłów powstają makrowęzły mas spoczynkowych, jakimi są ciała materialne, nie wiemy dotychczas. Zapewne jednak kiedyś się dowiemy. Mimo to już dzisiaj wolno pojęcie materii jako fundamentalnej substancji bezwładnej i rozciągłej zastąpić pojęciem energii jako podstawowej substancji w budowie przyrody. Energia bez względu na stacjonarną lub niestacjonarną postać może być uznana za substancję, ponieważ posiada cechę niezniszczalności. Jest źródłem wszelkich zmian, bo z natury swojej jest obdarzona zdolnością ruchu. Może się przekształcać zarówno w masę jak w ciepło lub światło.

Naukowy pogląd na świat, odziedziczony po XIX stuleciu uległ, jak widzimy, gruntownemu remontowi. Poglądy na wszystkie jego składniki zmieniły się radykalnie. Determinizm przy czynowy został ograniczony przez włączenie prawdopodobieństwa jako niezbędnej dodatkowej kategorii. Względny okazały się kategorie przestrzeni i czasu. Realnym zjawiskiem okazała się równoważność energii i masy, która jest tylko stacjonarną postacią energii. Udowodniono eksperymentalnie przemianę różnych postaci energii z jednej w drugą, względnie odwrotnie. W konsekwencji pojęcie materii nie mogło się utrzymać jako idea pierwotnej, fundamentalnej substancji. Za taką substancję uważa fizyk współczesny Energię, a więc siłę. Obraz wszechświata stał się bardziej dynamiczny. Chociaż zaś dotychczas nie udało się wyjaśnić i opisać mechanizmu powstawania makromas spoczynkowych z mikromas cząsteczek, już dzisiaj wolno współczesny, naukowy, zreformowany pogląd na świat ochrzcić mianem energetyzmu, czy energizmu.

Tajemnicę tworzenia się makromas spoczynkowych z cząsteczek jako mikrowęzłów energetycznych wcześniej lub później rozwiążemy. Antycypując przyjście kiedyś tego triumfu wolno już dzisiaj szkicować nowy, zreformowany pogląd na świat, który jest bardziej naukowy od poglądu poprzednich stuleci. Jest to wizja odwiecznego procesu przemian różnych form Energii

jako substancji ostatecznej, fundamentalnej. Tradycyjny materializm, który za substancję fundamentalną uważał materię bezwładną i rozciągłą w absolutnej przestrzeni i absolutnym czasie, stał się anachronizmem. Zastępuje go współczesny energizm czy energetyzm, który za substancję wyjściową dla wszelkich zmian w przyrodzie naszej ziemi i wszechświecie jako całości bytu uznaje Energię. Upoważnia go do tego eksperyment który zgodnie z tradycją ubiegłych stuleci ma głos rozstrzygający w badaniu przyrody.

Czy jednak energizm, stworzony przez współczesną fizykę, jest już dostatecznie ugruntowany i pociągający aby zaspokoić głód nowego światopoglądu, który by zahamował kryzys kulturalny, trawiący ludzkość naszego stulecia?

Feliks MŁYNARSKI

NOWE CENNIKI 1963-64

obejmują wszystko, co trzeba wysłać do Polski lub Rosji

● TOWARY PRAKTYCZNE ● LEKARSTWA ●
● ŻYWNOSĆ ● PRZEKAZY PIENIĘŻNE ●

Ktokolwiek wysyła cokolwiek, a jest człowiekiem praktycznym, współpracuje z największym polskim domem wysyłkowym:

TAZAB & CO. LTD.

TAZAB HOUSE ■ 22, ROLAND GDNS. ■ LONDON S.W.7

Alleluja

Pewien protestant, dyplomata rosyjski, baron Feliks Meyendorff, postanowił, podróżując po Włoszech równo sto lat temu, sprawdzić u źródeł oficjalną doktrynę Kościoła Katolickiego: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”, doktrynę, jego zdaniem niepojętej niesprawiedliwości i niemiłosierdzia. Czy pojęcie *Kościoła* nie obejmuje w tym wypadku Kościoła powszechnego, Chrystusowego?

Kompetentny informator rzymski rozwiązał jego wątpliwości: Kościół katolicki uważa każdego heretyka odłączonego od stolicy Piotrowej, jako *ipso facto* skazanego na potępienie, a idąc dalej zaleca zgładzenie go ze świata, oddając go w ręce sprawiedliwości świeckiej.

„Zabijając heretyka, tłumaczył Meyendorffowi prałat watykański, ratujesz od wiecznego potępienia całe jego potomstwo, które by mógł wydać na świat. Pozostawiając go przy życiu, obciążasz własną duszę. Toteż Rzeź św. Bartłomieja uznał Kościół za dzieło zbożne, a Filip II umierając w strasznych mękach poczuwał się do winy że na stosach św. Inkwizycji za mało jeszcze kazał spalić heretyków.

Doktrynę powyższą, opartą na wypowiedziach szeregu Ojców i Doktorów Kościoła, ze św. Augustynem włącznie, dopełniają słowa św. Tomasza z Akwinu wyjęte z jego Summy:

„MERUERUNT (haeretici) NON SOLUM AB ECCLESIA PER EXCOMMUNICATIONIS SEPARARI, SED ETIAM PER MORTEM A MUNDO EXCLUDI”.

(Heretycy zasługują nie tylko na oddzielenie od Kościoła przez ekskomunikę, ale też na wyłączenie ze świata przez śmierć).

Dążenia ks. F. Lamennais do uwolnienia Kościoła od zależności państwowej i do jego demokratyzacji, widoki tego przenikliwego i duchem proroczym natchnionego reformatora, zostały udaremnione encykliką Grzegorza XVI-go *Mirari Vos*.

Wolność sumienia, „tę niczym nieokiełznaną wolność opinii, swawolę dysput, ciekawość nowinek” — osądzała encyklika, jako odwieczną przyczynę rozpadu najpotężniejszych i najbardziej

kwitnących państw. Podobnie wolność prasy, „której niektórzy ludzie ośmielają się domagać na tyle hałaśliwie co uporczywie”... była nazwana „najzgubniejszą i szkodliwą wolnością”. Rozdział Kościoła od Państwa, „których porozumienie zwalczają stronnicy tejże wyuzdanej wolności”, spotkał ten sam los. Wreszcie zostało też najsurowiej napiętnowane dążenie Lamennais'go i jego nadzieje odrodzenia Kościoła, uznane za „szczyt niedorzeczności, wysoce obelżywe dla najwyższego urzędu Kościoła Chrystusowego, nie podlegającego żadnemu zaciemnieniu ani żadnym odstępstwom”.

Następny papież, Pius IX na którym pokładano tak wielkie nadzieje, ten sam którego Mickiewicz zaklinał, by stanął na czele ruchów wyzwoleniczych w 1848, położył kres dalszym staraniom liberalizacji katolicyzmu encykliką *Quanta Cura* (1864) w której wypominał francuskim katolikom liberalnym ich „potworne błędy”. Do Encykliki dołączono jakby katalog tych błędów, w liczbie około stu, sławny *Syllabus*. Do błędów zaliczone było, że Ojciec Św. może pogodzić się i wejść w układy z postępem, liberalizmem i współczesną cywilizacją, z wolnością sumienia, wolnością prasy i rozdziałem Kościoła od Państwa, z zaprzeczeniem prawa religii katolickiej jako jedynej religii państwowej, z zaprzeczeniem prawa Kościołowi do wychowywania młodzieży itd.

Syllabus nie wnosił nic nowego do nauki Kościoła Katolickiego, ale ścisłość jego orzeczeń była pewnego rodzaju wyzwaniem, ciosem dla liberalnego katolicyzmu XIX w. Jeden z najczynniejszych wówczas działaczy katolickich, uczeń ks. Lamennais, Karol de Montalembert, pisał do min. Oświecenia Falloux: „Wyjeżdżam, aby w samotności Morvanu pochować mój ból i, przyznać muszę, również mój wstyd...”.

W trzydzieści lat później, w chwili największego nasilenia antyklerykalizmu Trzeciej Republiki i rosnących wpływów masonerii, kiedy minister Viviani oświadczał triumfalnie: „Wspaniałym gestem zgasiliśmy światła na niebie, które nigdy już zapalone nie będą...” powstał ruch rozległy, bezklasowy z ducha głęboko chrześcijański, pod nazwą „Sillon” (Bruzda). Był to ruch grupujący młodzież wszystkich klas, a dynamizm swój zawdzięczał kilku postaciom wyjątkowej miary duchowej. Ruch ten uznany został przez Rzym za niebezpieczny; „Sillon” został rozwiązany, a Silloniści się rozproszyli, poddając się wyrokom stolicy Apostolskiej. Ziarna jednak były rzucone. Płodny kierunek myśli filozoficzno-religijnej zwany modernizmem na przełomie XIX i XX w. Rzym potępił a jego przedstawicieli skazał na milczenie. Oni również poddali się.

W kilkadziesiąt lat później Misja Francji i Misja Paryża podjęła apostołstwo wśród zdechrystianizowanego proletariatu francuskiego, w miastach i po wsiach. Ale ofiarna akcja księży-robotników nie uzyskała aprobaty Rzymu, uznano ją za nazbyt ryzykowną.

Wojny, rewolucje, bezbożnictwo doktryną państwową, laicyzacja metodą, totalizm systemem. Obozy śmierci, wyznania wymuszone torturą, krematoria, miliony zesłańców na daleką Północ syberyjską, do kopalń i kamieniołomów niemieckich, miliony niewolników skazanych na śmierć głodową, miliony ofiar niewinnych, bezsilność Kościoła.

Po Piusie XII wstąpił na Stolicę Apostolską w 1958 roku Józef-Anioł Roncalli, syn chłopski, z wyglądu dobrotliwy proboszcz wiejski. *Un pape de tout repos* — orzekli obserwatorzy. Najwyższy swój urząd w Kościele Piotrowym rozpoczął Jan XXIII od zwiedzania więzień rzymskich, i rozmów z więźniami, a tego który krzyknął że zabił, wziął po prostu w ramiona.

Ale oto w 1961 ten dobrotliwie uśmiechający się i dowcipkujący Ojciec Św. ogłosił zwołanie Soboru Powszechnego, Soboru Ekumenicznego. Zaskoczenie, zdziwienie, niepokój. 90 lat po pierwszym Soborze Watykańskim, przerwany wojną francusko-pruską, Soborze, który uchwalił dogmat nieomyłności Papieża, mimo oporu pewnej ilości biskupów, którzy opuścili wtedy Rzym na znak protestu.

Praca Komisji pod osobistym kierunkiem Ojca Św.: Odrodzić kościół reformą samego Kościoła, zapoczątkować obrady aktem pokory, przyjąć postawę ewangelicznego celnika, nie faryzeusza. Przyznać się do winy wobec Braci Odłączonych (Braci Rozłączonych — termin przyjęty już w czasie obrad: *sejuncti*), wyciągnąć rękę do zgody ze światem chrześcijańskim, porozumieć się z Żydami, narodem Biblii, nawiązać do źródeł pierwotnego chrześcijaństwa, do ewangelicznego ubóstwa. Pycha Papieża, rozwiąłość i chciwość kleru były przyczyną wystąpienia Lutra i rozłamu Kościoła Chrystusowego — bijmy się w piersi, my, Katolicy. Od Soboru Trydenckiego w XVI w. Kościół Rzymski nie szukał porozumienia z heretykami, sądził ich i potępiał. Skończone prześladowanie myśli niezależnej! Jan XXIII przywrócił głos teologom skazanym na milczenie, przyjął ich jako doradców i ekspertów soborowych. Już w początkach listopada Sekretariat Jedności Chrześcijan rozdał Ojcom Soborowym tekst piątego rozdziału schematu o Ekumenizmie dotyczący Żydów, który wzywa dobitnie katechetów do ustosunkowania się wobec Żydów jako do narodu Biblii, narodu który wydał na świat Chrystusa i Jego Matkę i stworzył podwaliny Jego Kościoła. Żydzi nie są — głosił ów tekst ani narodem bogobójcą, ani narodem przeklętym. Do sprawy tej, jednej z najważniejszych, którą rozstrzygnie drugi Sobór Watykański, wrócimy jeszcze innym razem. Ale już dziś możemy stwierdzić, że świętej pamięci Jan XXIII odwrócił ciemną kartę dziejów Kościoła Katolickiego. Delegację Żydów z U.S.A. przyjął Ojciec św. otworzywszy im ramiona, ze słowami Józefa biblijnego: „Ja jestem Józef, brat wasz...”.

Sobór zalecił, między innymi, szukać prawdy w innych wyznaniach i obrządkach, nie lękać się jej, choćby była gorzka i pogłębiać tajemnice wiary, mimo ustalonych dogmatów, bo nie ma kresu w poznawaniu Boga.

Jedną z trosk Ojców Soboru, do której powracali w swoich przemówieniach z trwogą i bólem, to nędza milionowych rzesz ludzkich w 95% niechrześcijańskich, w zestawieniu z zasobnością świata chrześcijańskiego (a raczej z imienia chrześcijańskiego), z bogactwem niektórych ksiąząt Kościoła, przepychem którym błyszczy Watykan oraz Namietnik Tego, co się urodził w stajni a umarł na krzyżu. Renesansowy zbytek Watykanu staje się w czasach obecnych, czasach zjednoczenia i scalenia całej kuli ziemskiej nie do zniesienia dla bardzo licznych wiernych i dla samych nawet papieży. „Jestem ubierany jak jaki perski sapa-trapa!...” miał powiedzieć Jan XXIII.

Pośród Ojców Soboru znalazł się nawet jeden biskup z wysp Filipińskich, ks. Reyez, który upomniął się o rolę kobiety w Kościele i zapytywał dla czego nie została powołana na obserwatorkę żadna z zasłużonych Matek Generalnych lub przełożonych licznych kobiecych klasztorów?

Czyżby — mówił — obowiązywała po dziś dzień w Kościele formuła: „nie licząc kobiet i dzieci”?

Nie miejsce tu, ani nie moja rola, omawiać poszczególne schematy zagadnień roztrząsanych lub mających być roztrząsanymi na tej drugiej i na dalszych sesjach II-go Watykańskiego Soboru. Zaznaczę jedynie, że najwięcej czasu zajął schemat o Kościele, do którego weszły zagadnienia kierownictwa Kościołem, kolegalności biskupów poszczególnych krajów i praw nadanych tym kolegiom, uprawnień diakonów itd. Rozważano też szczególnie zagadnienie reformy liturgii, społecznych środków porozumiewania się, czyli najnowszych metod i techniki propagandy, nauki, informacji. Wreszcie przystąpiono do schematu o Eklezjologii, kamieniu węgielnym soboru, ale też kamieniu obrazy dla licznych Ojców. Schemat w trzech rozdziałach określa zasady porozumienia i środki prowadzące do zjednoczenia chrześcijan w oparciu o wiarę w Słowo Wcielone i wzajemną miłość ewangeliczną. 4-ty rozdział tego schematu, opracowany przez świętego teologa i znakomitego mówcę, Bpa Bruges, ks. de Smedta, to zagadnienie wolności religijnej, wolności sumienia — punkt podstawowy Soboru; 5-ty i ostatni rozdział to stosunek Kościoła do Żydów, który został opracowany przez kard. Bea, najbliższego zaufanego współpracownika Jana XXIII-go.

Oba te Rozdziały musiały być odłożone do następnej sesji. Lepiej było je odłożyć aniżeli rozstrzygać pośpiesznie, pod przymusem ograniczonego dla dysput i zastanowienia czasu.

Po zamknięciu drugiej Sesji II-go Soboru Watykańskiego Ojciec św. podał do wiadomości, ku wielkiemu zdumieniu Ojców i całego świata, że po Nowym Roku odbędzie pielgrzymkę do Palestyny. Paweł VI, 362-gi papież będzie pierwszym po św. Pio-

trze, który stanie na Ziemi Świętej. Podróż ta nie ma oczywiście na widoku żadnych celów politycznych, ale poza uczczeniem Miejsc Świętych pragnie Paweł VI-ty tym aktem osobistej dobrej woli przygotować porozumienie z przedstawicielami Kościołów prawosławnych na Wschodzie, którzy poza patriarchą moskiewskim nie skorzystali z zaproszenia na Sobór w roli obserwatorów. Ojciec św. projektuje być może również spotkanie z Żydami na ziemi ich przodków, tak z ortodoksami jak i z neofitami.

Że prace soborowe postępują wolno, że zdania Ojców są niejednokrotnie sprzeczne lub rozbieżne, że ogrom soborowego organizmu, przy całkowitej swobodzie dysput się przewleka, że Ojcie św. jest zasypywany setkami pisemnych interwencji i to najsprzeczniejszych — to wszystko było do przewidzenia.

„Cierpliwości — oświadczył Papież — na jednej z audiencji udzielonej dziennikarzom. — Sądźcie, że Sobór postępuje za wolno?... Umysły muszą być przygotowane do reform, inaczej reformy uchwalone pozostałyby martwą literą... a przygotowanie umysłów to kwestia czasu...”.

Świadomość konieczności reformy Kościoła, niezłomna wola większości Ojców, i to najwybitniejszych, realizacji tych reform napełnia świat chrześcijański ogromną otuchą. Martwe mury graniczne zostały już podważone, perspektywy na daleką i najbliższą przyszłość otwarte. Żywe soki wstąpiły w odwieczne drzewo, które zdawało się zmurszałe i świat, nie tylko katolicki, podziwia to odrodzenie.

Maria CZAPSKA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

**UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.**

**Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301**

Śmierć Starego Bolszewika

(WSPOMNIENIE O STIEKŁOWIE)

„Oczy ich ciemne były i zapadłe, /A twarze blade, tak z ciała
wyzute, /Że skóra formę przybrała kości.

...Ich oczodoły — pierścień bez kamienia, /A kto na twarzach
odczytuje OMO, /Tutaj rozpozna znak „M” nieomylnie”.

Dante, Czyściec, XXIII.

Jedną z tortur Łubianki jest ciągliwe puste trwanie, gdy miesiącami nic się nie dzieje, po za ubogą rutyną dnia, i gdy nie można się już oprzeć przeczuciom, że tak pozostanie na wieki wieków. W mojej celi nr 34, razem z trzema współwięźniami, z których jeden z dnia na dzień oddalał się od nas w obłąkanie, izolowani od całej reszty świata, tkwiliśmy jak w puszcze konserw. Wynika z tego zakłócenie poczucia czasu; przeszłość i teraźniejszość przeplatają się paradoksalnie i wielorako, jak w Nowej Powieści, i przede wszystkim, czas subiektywny odkleja się od kalendarzowego. Toteż nie umiem powiedzieć, kiedy odbyła się nasza ewakuacja z Moskwy: w lipcu, czy sierpniu 1941? O wojnie wiedzieliśmy od dość dawna. Z nikłych znaków, które tu przybierały postać i wagę tak niezwykłą jak w snach. Więc najpierw zasmarowano okna niebieską farbą; przemieszczano więźniów po różnych celach, w których przedtem było przestronnie — teraz, jak w latach jeżowszczyzny, były zagęszczone; na długich martwych korytarzach Łubianki, które dotąd, od czasu do czasu, ożywiały jedynie odgłos kroków i brzęczące sygnały strażników, czasem krzyk bitego z gabinetu, teraz, gdy prowadzono nas w nocy na „dopros”, mijaliśmy rozgestykulowane grupki oficerów NKWD; skrócenie czasu doprosów, nerwowe roztargnienie inkwiredów śledczych, wszystko to, jak na ubóstwo naszego szczelnie zamkniętego mikro-świata, świadczyło o rozprzężeniu w Gmachu Porządku Absolutnego.

Więc chociaż nie pamiętam daty, ale cały przebieg tego dnia ewakuacji zapamiętałam na zawsze. Nieznajome twarze i sylwetki widzę dziś jak przez szkło powiększające i wydaje się, że, po dwudziestu latach, mógłbym je rozpoznać wśród tłumu.

Powypędzano nas wszystkich „z rzeczami” na te długie powikłane korytarze, gdzie nigdy dotąd dwóch więźniów nie miało prawa się widzieć, na szerokie kręte schody, ogrodzone metalową siatką od sufitu do samego dołu, odkąd Sawinkow popełnił tu samobójstwo. Spotkali się na nich oto współoskarżeni z jednej sprawy, brat odnajdywał brata, którego miał za umarłego, jeszcze nie śmieliśmy się nawoływać, robiliśmy do siebie znaki mruganiem zdziwionym, bądź radosnym, namarszczaniem czoła, błyskiem oka. Wszystko odbywało się w zupełnej ciszy, którą dosłownie słyszało się, i to nie pomimo, ale dzięki tupotowi setek par nóg. Patrząc na ludzi z innych cel, dopiero zdaliśmy sobie sprawę z własnego wyglądu: złachmanionych starych kajdaniarzy.

Przez zbity tłum torowali sobie drogę, jeden za drugim — a działo się to bez trudności, jak gdybyśmy byli ledwie cieniami — oficerowie NKWD, w naszymi i rombami, lejtnanci i generałowie, i dziewczęta młode, ładne, wypielęgowane, z europejską szykowatą, jakich nigdzie indziej w Rosji nigdy nie widziałem. Istoty z innego, nieosiągalnie wysokiego świata, wśród tłumu potępieńców. Każdy z nich nosił naręcza teczek, wysokie stosy akt, kartoteki. Na dole wrzucali je do ciężarów, na chybił trafił. Na chybił trafił! te akta — księgi losów 200 milionów, na których rygorystycznym *porządku* trzymało się całe imperium Stalina! Koniec Imperium, Apokalipsa — tak myśleliśmy, wstrząśnięci nadzieją i grozą, przyglądając się, jak nasi oprawcy burzą podstawy swej potęgi.

Noc przestaliśmy na Butyrkach, w wąskich boksach, bez dostępu powietrza. Znalazłem tu od razu mojego przyjaciela, Broniewskiego, razem nas aresztowano w styczniu 1940 r. Jeden z tak częstych w ZSSR cudownych przypadków i spotkań, które w „Doktorze Żiwago” gorszą zachodnich krytyków. Dusiliśmy się w tym boksie, ale ledwośmy to czuli, tak dzika była nasza egzaltacja na widok znaków upadku Królestwa.

Nazajutrz na bocznicę kolejowej załadowano nas do bydłych wagonów najszczelniej, mimo to przy codziennej prowierce dwa psy potrafiły odgrodzić szeroki pas dla oficerów NKWD.

W moim wagonie większość stanowiły ofiary pierwszej wojennej łapanki, z wszelakich list proskrypcyjnych. Różnica między nami i nimi była nieomal różnicą gatunku. Ich bardzo syte twarze zachowały jeszcze specyficzną marsową napuszoną (czynność) sowieckich notabli, przy zaszczytnych oczach. Kogo tu nie

było: generałowie, deputowani Wierchownego Sowietu, głośni bohaterzy lotnictwa! Akademicy, grupa biochemików. Grupa Żydów-kierowników moskiewskich uniwersytetów, których wsadzono wybiórczo jako spekulantów, gdy współnicy ich, rdzenni Rosjanie — i to na wysokich szczeblach partyjnych, pozostali na wolności. Niemcy — lewicowi emigranci, a między nimi spotkałem redaktora „Sturmu” Waldena, którego znałem w latach dwudziestych w Berlinie. Oficerowie polscy, litewscy, Ehrlich i bundowiec z Wilna. Odżywiano nas gliniastym chlebem i śledziami okrytymi warstwą soli, przy bardzo skąpej racji wody itd. itd. — rzeczy to znane, stokrotnie opisane.

Czwartego dnia wyładowano nas w Saratowie. Pędzono nas nieomal kłusem do odległego o kilka kilometrów Wewnętrznego Więzienia NKWD. Wąż dychawicznych nędzarzy ciągnął się przez dobrych paręset metrów, z tyłu szły kobiety, po bokach nerwowi, pokrzykujący żołdaci, a na trakcie i na ulicach nieliczni przechodnie udawali, że nic nie widzą. Polacy starali się tak manewrować, by znaleźć się razem. Obydwaj z Broniewskim podtrzymywaliśmy Ehrlicha, który miał tu jakby atak serca. Mój przyjaciel Tadeusz Peiper, okazujący już wszystkie oznaki manii prześladowczej, szepnął mi: „Widziałem twoją żonę. Ciesz się, będziecie razem”... O rodzinie nic nie wiedziałem od aresztowania, byłem pełen najgorszych lęków. Więcej mi nie trzeba! Moja tak wrażliwa, piękna żona w takich nędzach. I mój chłopiec pewno już zmarniał. Starałem się pozostać w tyle, zbliżyć do kobiet, by zadać im pytanie: „jest’-li tu Watowa, żona polskawo pisatiela?”. Gdy tak manewrowałem, już z daleka doszły mnie okrzyki „Stalin” z epitetami, o jakich nikt z nas nie śmiał wtedy pomyśleć nawet w duchu. „Starik Stieklów — szepnął mi przygodny sąsiad — on już tak w wagonie”. Głos był ostry, szczekający, ale nie histeryczny. Po kilku minutach znalazłem się obok złorzeczącego. Szedł dużymi, rażnymi krokami na samym skraju kolumny, żołnierz obok niego nic nie mówił, miał tylko twarz przepłoszoną, złą, zasępioną. Więźniowie z Łubianki w ogóle budzili w żołnierzach i klucznikach nie uszanowanie, ale szczególny strach: wiedzieli, że jakkolwiek nędzni, jesteśmy elitą, do której oni nie mają żadnych praw. W tym wypadku zapewne uznali śmiałka za wariata, co wzmagало ich tradycyjnie rosyjski lęk i respekt dla „jurodiwych”. Złorzeczenia, epitety, przekleństwa mojego chwilowego sąsiada były monotonne i wulgarne, ale ogólny jego wygląd uderzająco *dystygnowany*. O Stieklowie wiedziałem nie za wiele: że był jednym z pierwszych komparsów Lenina, wieloletnim redaktorem „Izwestij”, autorem książek o Czernyszewskim, Bakuninie i Dobrolubowie. Zaprzątnięty swoją troską, przyjrzałem się wariatowi — bo i ja tak o nim pomyślałem, już tylu ich widziałem. Przyglądałem mu się z uwagą

coraz pilniejszą, bo wyglądem swoim uderzająco kontrastował ze wszystkimi. Szczupły, wysoki, przygarbiony, z wąską, dobrze uniesioną głową sprawił na mnie zrazu wrażenie starego Anglika — wychowanka Etonu. Był ubrany czysto i starannie, i chociaż ubranie wisiało na nim na zbyt luźno, było dobrze utrzymane, a i cerę miał wcale nie ziemistą, jak my wszyscy, jakby przyprószoną popiołem. Ale gdy tak się od nas, starych więźniów, różnił, o ileż istotniej odróżniał się od nowoprzybyłych z wolności!

Przyjrzyjcie się twarzom oficjalnych sowieckich turystów, polityków, działaczy, pisarzy po trzydziestce. Otyłe czy szczupłe, przystojne czy szpetne, sympatyczne czy antypatyczne, twarze inteligentów w którymś pokoleniu, czy „wydwiżnięć”, energiczne czy bierne, dobrodusze czy sadystyczne — mają one wspólne piętno, ledwo dające się wyrazić w słowie. Nie jest to na pewno maska, raczej ogólna fasadowość, pod którą domyślić się można paru czy kilku warstw pod-twarzy. Jakaś martwota w spojrzeniu, przy niepokojąco żywych oczach. Monstrualna pewność siebie i swego, która za chwilę — ku naszej zgrozie, może się obrócić w krzyk błagalny, bądź obłąkany? Jowialna wesołość, niedość szczelnie maskująca tchórzliwe przyczajenie. Stale napięta uwaga, czujność zbiega, który *musi widzieć* co się dzieje za jego plecami. Nie tyle ociężałość, co ciężkość. Nienaturalnie stała gotowość do sympatycznego uśmiechu i parweniuszowska pyszność czynownicza. I, last but not least, szczególnie u partyjnych dygnitarzy i w ogóle, u partyjnych działaczy nawet niższej rangi, to wszystko, co Rosjanie nazywają nieprzetłumaczalnym słowem „poszłość”: osobliwa mieszanina ordynarności, nudy, pospolitości. Czasem brak jednego i drugiego z tych komponentów, ale zostaje ich ogólny syntetyczny „wygląd”, *Gestalt*. Naturalnie, *mowa tu o twarzy typowo sowieckiej*. A właśnie typowe piętno sowieckie przeważało u nowoprzybyłych więźniów. Prezentowali oni wszystkie podgatunki sowieckiej fizjonomiki. Nic w nich nie zostało z muzycznych nieomal kontrapunktów i napięć fizjonomiki przedrewolucyjnych inteligentów rosyjskich. Nie mieli też dowcipnej prostoty twarzy rosyjskiego ludu.

Bardziej wyrazisty niż normalnie kontrast pomiędzy ujmującą niekiedy górną połową twarzy a dolną, o miękkim cieple i twardej kości. Ale co tu jest zgoła osobliwe: oczy ich, wyraz tych oczu, harmonizują właśnie z dolną częścią twarzy, co znamionuje zapewne przewagę animalizmu. Podkreślam: to fizjonomika nie tylko nowej inteligencji, ale — mniej uchwytnie ale często — także i starej, po tylu dziesięcioleciach „bytu”, który określa nie tylko „świadomość” (1). Rzecz to zrozumiała i prosząca o wyro-

(1) Znany aksjomat komunizmu: „byt określa świadomość”.

zumiałość, gdy się wspomni, że starczyło nie mieć przepisowego ubrania, wyglądu i mimiki, by zginąć. Natura zaś, jak wiadomo, jest genialnie wynalazcza w mimetyzmach.

Co tu napisałem, jest streszczeniem wieloletnich moich obserwacji, ale sądzę, że można by wysnuć to i z kondycji ludzkiej w Sowietach, niby syntetyczny portret kryminologiczny.

Ani śladu tego wszystkiego u Stieklowa: orli profil odpowiada jego samotnej wśród nas obcości. Ale co przede wszystkim mnie uderzyło, to nie tyle obcość, ile szczególna ludzkość jego twarzy. Bardzo wychudzona, koścista, była ona jak gdyby zredukowana do najprostszej formuły ludzkości, tej, która jest u spodu każdego „bytu”, niezmienna przy wszystkich jego odmianach. Teraz, gdy piszę, nasuwa mi się wizja Dantego: „Chi nel viso degli uomini legge OMO, Bene avria quivi conasciuto l'emme”. Litera „M” w pojęciach oraz w ikonografii średniowiecza reprezentowała najistotniejszy schemat ludzkiego oblicza.

Wygląd tedy Stieklowa nie był ani sowiecki, ani rosyjski — po prostu ludzki.

Chwila wpatrywania się trwała niedługo, lecz była jedną z owych chwil, kiedy się rzeczywiście *widzi*. I już nie zapomina.

Potem nastąpiło rytualne przykucnięcie na więziennym podwórzu i błogosławieństwo wody z beczek; potem bezładny tłok do ogromnej celi i bieg do lepszych prycz. Najlepsze, a także ich bezpośrednią okolicę, zajęli już trzej urkowie, frenetyczny herszt i dwóch jego adiutantów.

Tamten, zdziczały, zgrzytał zębami, chrypiał, pluł, przewracał oczyma, obnażał się, a potok jego wymowy był arcydziełem „błatnego” języka. Było ich tylko trzech, a setka sowieckich ludzi ustępowała im z wylęknieniem i starannie maskowanym wstrętem.

Na tej sali w ciągu 2-ch tygodni dowiedziałem się o sowieckim życiu więcej, niż przez 10 miesięcy Łubianki. Udało nam się skupić w kącie w mały klub intelektualny: pięciu Polaków; sowiecki mikrobiolog, którego jedyną winą było jego hobby — logistyka, o czym wiedziało tylko czterech-pięciu zaufanych przyjaciół; akademik — jedyny w Rosji fachowiec od kamiennych lawin (griaziewyje patoki) pustoszących miasta Środkowej Azji, którego uwięziono za niemieckie nazwisko, chociaż już dziadek jego był zrusyfikowany. Tak przynajmniej oni tłumaczyli swoją między nami obecność.

Ale po paru tygodniach przeprowadzono mnie do małej celi. Zostałem tu obu młodych urków: jeden śliczny jak chłopcy z Café Flore. Drugi, chłopiek — analfabeta, który za coś trafiwszy do kolonii karnej, nabrał gustu do urków, do ich urocznego wolnego życia. Bez swego herszta, który kazał się nazywać księciem

(podawał się za Oboleńskiego), obydwaj byli łagodni, usłużni, spokojni. Młodszy zarzucał do sąsiednich cel poprzez wysokie tarce okienne — nitki m.in. z moimi zapiskami: „Niet-li sledź was graždanki Wat?”. Czynił to z cyrkową zręcznością, zorganizował nawet rozległą komunikację z niższymi piętrami, i dopiero wtedy nakryto nas. Tutaj nie tolerowano sieci swoistych telefonicznych przewodów, jakimi były okryte np. mury Pieresylnoj Tiurmy w Kijowie, mieszczące dziesiątki tysięcy nieokiełznanych dzieci.

Był tu stary profesor uniwersytetu saratowskiego, historyk, który miał nieszczęście posiadać pianino i ładną córkę, młodzież studencka zbierała się u niej, recytowano Majakowskiego a kiedyś ktoś, może prowokator, mówił o czystej „drugiej” rewolucji.

Był Niemiec nadwożański, aktywista partyjny, który dzięki wcześniejszemu aresztowaniu uniknął ogólnej wywózki Niemców nadwożańskich z kwitnących kołchozów — jedynych w ZSSR kwitnących samoczynnie. Mówił ze mną m.in. o oczekiwaniu na przyjscie Hitlera, językiem Lutra, na lutrowej bowiem Biblii koloniści, osiedleni tu od czasów Katarzyny, uczyli się ojczystego języka. (Nb. Hitlera wtedy, w roku 1941, wypatrywały wszystkie mniejszości narodowe, z jedynym wyjątkiem Żydów). Po deportacji Niemców, Saratów stał się od razu jednym z najgłodniejszych miast ZSSR.

Zastałem też akademika od kamiennych lawin. Bardzo gadatliwy, był skrajnie powściągliwy na tematy bliskie polityce, za to rozpowiadał nam co kiedy „spożył” — nam, którzyśmy pod koniec byli gotowi, jak mityczny Erysichton, jeść własne ciało. Użył tym nad nami jakąś nikczemną przewagę, którą eksploatował, mimo antypatii, jaką budził swoją małostkowością — cechą po więzieniach nietolerowaną.

Był wreszcie trzydziestoparoletni moskwicz, podawał się za intendenta Teatru Krasnej Armii, osobnik nie bez pewnego wdzięku, a jednocześnie odrażający, cyniczny na wskroś; jak mówili współwięźniowie: typowy produkt moskiewskich marginalii Komsomołu. Mieszanina sprytu, nałapanych zewsząd wiadomości i niewiarygodnej ignorancji. Znał za to na wylot Moskwę, jej knajpy, intrygi, obyczaje wyższych sfer, fakty i osobistości. Lubił błysnąć aforystyką typu: „U nas można mieć każdą kobietę za pół litra wódki”.

Gdy mowa o lokatorach celi, nie godzie się pominąć pluskiew. Opite naszą niepożywną krwią, były one duże, wyjątkowo nieruchawe, osowiałe i pozornie nieśmiertelne. Bo gdy wieczorami zjadł wypalaliśmy ich gniazda dawaną do cel acetylenową lampą, nad ranem znów ich szeregi, w tej samej zapewne liczbie, podnosiły się po ścianach zwolna w górę, zatrzymując się zawsze na tej

samej wysokości, nie przekraczając nigdy niewidocznej linii — pluskiewiego tabu w sowieckim świecie zakazów.

Apokalipsa i tu nas odnalazła. Jak to opisałem gdzie indziej: po nocach budził nas głośny rechot, śmiech w odmierzonych rula-dach, ordynarny, szyderczy, uderzająco podobny do śmiechu Me-fista w prowincjonalnej operze. Nie od razu domyślił się, że to monitor, krążąc po Wołdze, nadaje tak sygnały alarmowe. Alarm lotniczy nad Wołgą! Po paru zaledwie miesiącach wojny! Miałem objawienie diabelskość tego wszystkiego.

Intendent teatralny opowiadał wiele o Stieklowie. Był bli-skim przyjacielem jego syna. Organizowano dla Stieklowa jubileusz 50-lecia jego działalności rewolucyjnej, z całą sowiecką pompą, pod patronatem samego Stalina, który od dawna miał do niego słabość: Stieklów umiał go rozśmieszać anegdotami, niekiedy tak zuchwałymi, że dworacy cierpli ze strachu. Nieomal w przeddzień jubileuszu aresztowano jubilata, jego żonę i syna. Ale żona i syn stosunkowo prędko wrócili do Moskwy, nawet — rzecz niesłychana — do części swego apartamentu, co więcej, zwrócono im niemało z cennego zbioru marek, niegdyś należą-cych do cara — będącego oczkiem w głowie Stieklowa. Po nie-długim czasie zawiadomiono oficjalnie rodzinę, że Stieklów zmarł w więzieniu na udar serca. W rodzinie i wśród znajomych nikt o tym nie wątpił. Działo się to przed samą wojną.

Puchliśmy z głodu, to znaczy: jedni puchli, drudzy schli. Nie tylko my, więźniowie, byliśmy głodni. Strażnicy, prowadzący nas na spacer po żelaznych schodach, wypatrywali i starali się nie-znacznie podnieść z kurzu kruszynki chleba, rozsypane przez roz-nosiciela. Któregoś dnia, ku naszemu uszczęśliwieniu, w gorącej wodzie pojawiły się kawałki zielonych pomidorów. Trwało to kilka dni, tydzień. Zaraz potem rozpętała się w całym więzieniu epidemia krwawej dyzenterii. W naszej celi ja pierwszy zapadłem na nią. Po tygodniu temperatury, przekraczającej niekiedy 40 stopni, oraz wszystkich związanych z tym bied, zabrano mnie do szpitala, który mieścił się w innym ogromnym więzieniu po drugiej stronie Wołgi. W „czarnym woronie”, w dwuosobowej przedziałce, znalazłem się sam na sam ze Stieklowym.

Potem dwie?, może trzy? godziny siedzieliśmy na korytarzu, nie pilnowani, i tu wywiązała się ani przez chwilę nie ustająca rozmowa. Mówił raczej on, ja od czasu do czasu wtrącałem pytania. Zdawałem sobie sprawę, że jedyna to okazja, by dowiedzieć się prawd o trapiących mnie zagadkach. Toteż mimo gorączki wytężałem uwagę, by nic nie uronić, nic nie zapomnieć. Wysoką gorączkę mieliśmy obydwaj, ale nie była mrocząca, owszem — drapieżna, zaostrzała agresywność inteligencji a równocześnie

chłonność uwagi. Jednak co pewien czas opadało mnie takie zmęczenie, że całe fragmenty rozmowy zapadały w nieuwagę i w niepamięć, i ostatecznie z gęstej sumy informacji, z tej „spowiedzi gorącego serca” (2) starego bolszewika zostało w gruncie rzeczy niewiele.

A i to „niewiele” poddaję teraz kontroli, aby nieboszczykowi nie przypisać rzeczy, które pochodzą z tyłu innych moich doświadczeń. Zaledwie kilka zdań zapamiętałem w dosłownym ich brzmieniu, inne powtarzam, jak sądzę, wiernie choć nie dosłownie, tak jak mi przekazuje pamięć, razem z żywymi intonacjami jego głosu.

W korytarzu było jasno, ranek był słoneczny a światło jesienne — łagodne, mogłem mu się tym razem długo i dokładnie przyglądać.

Tym razem sprawił na mnie odmienne wrażenie: szlachcic intelektualista polski z czasów pozytywizmu. Wąska, pociągła głowa o szlachetnym koście; sucha twarz harmonijnie porysowana a jednak na pozór gładka, z energiczną składką ponad wargami; oczy duże, bez blasku, które chwilami zapalały się, też bez blasku, źrenice przenikliwe, które bardzo często zwężały się w wyrazie pogardy, a wtedy powieki przysmykały się, ale były tak cienkie jak błonka, a spojrzenie kładło się ciężko na rozmówcy, na rzeczach; usta musiały być kiedyś pełne, miękkie, może i kobiece, teraz były ledwo znakiem ust; broda twarda; przy skrajnym wychudzeniu nos występował z energią gwałtowną, a jednak nie on dominował na tej twarzy, lecz owo ciężkie spojrzenie. Całość, z kośćmi policzkowymi i z nadczołami, rzeczywiście układała się z w dantejską literę „M”.

To zasępiął się, to znów, w chwilach milczenia, łagodniał uderzająco pięknie. Ale przeważnie demonstrował wzgardliwą i szyderczą agresywność wobec wszystkiego. Gestykulację miał pobudliwą i ostrą, zwłaszcza w chwilach gniewnego uniesienia, któremu widocznie dawał folgę, ale umiał też natychmiast ją zahamować, w ogóle — zdyscyplinować się, a wtedy dla odmiany był lodowato spokojny i wyniosły. Cechował go szczególny rodzaj pańskości, który zaobserwowałem dawniej u starych esdeków z dobrych rodzin, starannie edukowanych w kinderstubach. I ona również, owa pańskość, przyczyniła się być może do ich zguby w ZSSR, samą aparycją prowokując gminność bolszewickich parweniuszy.

Głos był tym razem zupełnie odmienny, choć nadal oschły, miał bogactwo raptownych modulacji, niespodziewanie — głos uwodziciela. A także wielkiego mówcy wiecowego, który w cze-

(2) Tytuł rozdziału „Bracia Karamazow” F. Dostojewskiego.

rech ścianach mieszkania, po swej pracy, przebiera się w czystą odzież i w czysty obyczaj.

Na moje pytanie, potwierdził całe opowiadanie o nim intendentą teatralnego. Tak się w istocie rzeczy miały z przygotowaniami do jubileuszu, i sam Stalin dbał, by wypadł on uroczyście. W istocie, aresztowano go niedługo przed zaplanowaną datą jubileuszu. Po niezbyt długim i niezbyt srogim, raczej formalnym śledztwie na Łubiance, wywieziono go do Omskiej Centrali. Nie był to nawet martwy dom. Grobowiec. Gdzie siedzi się w pojedynce, w tak szczelnej izolacji, że świat nigdy dowiedzieć się nie może, czy więzień żyje jeszcze. Zawiadamiano zresztą rodzinę, w tym *jedynym* wypadku, o jego naturalnej śmierci, jak to Stieklów dowiedział się, gdy w transportach spotkał znajomych, o których powszechnie i oficjalnie wiadomo było zdawna, że pomarli.

Ale wojna zburzyła i ten cmentarny porządek. Część więźniów wysłano już w pierwszych jej dniach do Moskwy, jednych do Łubianki, drugich zapewne do Lefortowa, może i na Suchanówkę, skąd nigdy nikt nie wraca, zaś Stieklów z Łubianki trafił razem z nami do Saratowa.

W Omsku Stieklów korzystał z wyjątkowego faworu: chociaż jak wszyscy był zakopany żywcem, przecież pozwolono mu pracować w celi nad nowym dziełem o Czernyszewskim.

Podobno działa się to z inicjatywy samego Stalina, który Czernyszewskim interesował się ciągle. Co rano więzień dostawał do celi policzone kartki papieru, które wieczorem zdawał klucznikowi. Dostarczano mu nadto wszelkich zamawianych książek i dokumentów z archiwów. — „Samo już nazwisko Czernyszewskiego przyprawia mnie o mdłości” — skarżył mi się teraz. Ale co z tego obrzydzenia ujawniło się w piśmie?, pozostanie tajemnicą rękopisu, który obok tylu innych — być może najcenniejszej części sowieckiego piśmiennictwa — spoczywa w archiwach MGB.

Najwięcej mówił o Stalinie, ale właśnie rewelacje o nim, które interesowały mnie najbardziej, wprawiały mnie znagła w stan wyczerpania, graniczący z zapaścią, a nieustający szum w uszach zagłuszał w tych momentach głos mego rozmówcy, zdawałem się od tego głosu odpływać coraz dalej, na moim wewnętrznym morzu, i władza pamięci fiksowania słów i faktów stała mi się tak migotliwa, że ich zapamiętanie jest całe w dziurach.

Robiłem wszelkie wysiłki, wyteżałem uwagę, ciągle pamiętając o wyjątkowości tej okazji wytłumaczenia zjawisk, dla których brakło mi wówczas jakichbądź świadek.

Spamiętałem, że mówił wiele o Jenukidze, którego znał

blisko. Był to, jak twierdził, jedyny człowiek, którego wzgardę mściwy Stalin znosił wyjątkowo długo. Ale córka Jenukidze była komunistyczną bigotką Kultu Wodza. (Nota bene, jak przekonałem się kilkakrotnie, tym passionariom nie przeszkadzała szpetność ich idolu, jego mały wzrost, duża głowa, dziobata twarz, ryż szczołka włosów, niskie czoło i zimne „białe” oczy, na odwrót, działała ona samym kontrastem z jego potęgą). Córka tedy pobięła do Stalina, by oskarżyć ojca, przypuszczalnie o poufną jego butadę o tyranie, zjadliwiej go raniącą niż dotychczasowe.

„Ten Przediakow”... „ten geniusz z podłego powiatu” („ujezdnyj genii”) urządził sobie domowy cyrk, otaczał się najordynarniejszymi kreaturami. Żaden to dwór, nie kamarylla, ale drużyna herszta. Zabawy, rozmowy za stołem przy wódce były bez miary ordynarne (poszłyje), błazeńsko-katowskie. Po jakiejś kłótni — (z żoną Alilujewą? czy z córką?, nie pamiętam) — zawołał siepacza i kazał „dać jej szliopkę”, kulę w łeb. Kiedy ów wrócił z meldunkiem, Stalin wpadł w rozpacz, przekazał wykonawcę w ręce innego zbira. „Sułtan z Szecherezady”, „królik mitologiczny” — przymawiał Stieklów. — Wyobrażał sobie zapewne, że kat ukryje ją na pustelni.

(Opowieść tę, w innych wariantach, słyszałem potem wielokrotnie w ZSSR i w Polsce. Z potoku wynurzeń Stieklowa o Stalinie odniosłem wrażenie, że nie tylko czepie on ze swoich osobistych doświadczeń, ale często cytuje krążące w wysokich i niższych sferach pogłoski).

Wymieniał wiele głośnych nazwisk bohaterów Rewolucji. Żadnemu, o ile pamiętam, nie szczędził jadowitych inwektyw, nawet epitetów w rodzaju „kanalia”, „ścierwo”, „szmata”. „To ścierwo Trocki”... „ta szmata Woroszyłow”... „ta kanalia Ordzonikidze”. Co prawda, z moich własnych obserwacji, wcześniejszych i późniejszych, wiedziałem o zdumiewająco szybkim procesie szmatławienia „starych bolszewików”, i komunistów w ogóle, tak niegdyś bohaterskich buntowników. Na przykład, „stukaczem” w mojej ostatniej celi na Łubiance był stary bolszewik, wiceminister elektryfikacji RSFSR. Dlaczego? za co? dla herbaty i papierosów, którymi częstował go sliedowatiel? z psiej przymilności? z potrzeby zdeprawowanego pod Stalinem serca? przez dialektykę przekształceń męznego rewolucjonisty w pachółka kata?

Spytałem Stieklowa, jak zawsze wszystkich: jak tłumaczy tak wszechstronną, kompletną i nikczemną degenerację Rewolucji? — „Allmacht des Staates!”. Słyszałem już wiele razy analogiczną odpowiedź, nieomal wszyscy intelektualisci sowieccy nawracali się po więzieniach na taki czy inny anarchizm. Powiedziałem mu, jak

innym, że to nic nie tłumaczy, wiele razy i w wielu krajach powtarzała się wszechwładza państwa: za Filipa II, za Ludwika XIV, Napoleona, Mikołaja I, nie mówiąc o imperiach starożytnych i azjatyckich. A przecież nic tam wspólnego z Imperium Stalina.

Uderzała mnie zawsze niezdolność sowieckich poddanych do pojmwania, jak do tego doszło, że „wyszedszy z założeń absolutnej wolności, doszło się do zniewolenia absolutnego” (słowa Szygalewa w „Biesach”). Nawet proroczy Dostojewski formułuje zaledwie punkt wyjścia i punkt dojścia, o trasie milczy. A przecież ona jest tu istotna, ona jest ze świata tajemnicy. Spośród wszystkich ludzi pod-sowieckich, jak już o tym gdzie indziej wspomniałem, moi towarzysze z lochu w Ałma Acie w 1943, elita wielkiego bandytyzmu, wydają mi się najbardziej przenikliwi, najmniej przez ćwierćwiecze ideologii zderutowani, zmistyfikowani.

Zapytałem więc Stiektowa o procesy moskiewskie. Jak wszystkich, trapiła mnie od dawna zagadka samooskarżeń. Nie znałem jeszcze, oczywiście, powieści Koestlera, ale gdybyśmy ją byli na Łubiance znali, stałaby się przedmiotem wesołych kpin. Zналиśmy za to dobrze, w jaki sposób wymusza się zeznania. Wszelakie. Z bliska oglądałem czterech torturowanych: dwóch młodych nacjonalistów ukraińskich na lwowskim Zamarstynowie; ale oni nie mogli przeczyć, że ubili niemałą liczbę enkawudowców i żołnierzy, zwłaszcza przy aresztowaniu. Na Łubiance — dzielny Teitz, który w latach bezpośrednio przedhitlerowskich był w Berlinie kierownikiem Centrali Handlu na Środkową Europę (a zarazem subtelnie rozgałęzionej subwersji), w 1933 został odwołany, zrazu do Instytutu Marksa-Engelsa. Wracił (ściślej, był odnoszony) od samego Berii, przyrządzony „na kotlet”, z posiekanymi na drobno pośladkiem, udami i nogami. Już dwa razy podpisał był zeznania, że jest szpiegiem Gestapo oraz aktywnym sabotażystą, ale dwakroć je odwołał, a zamierzał ostatecznie zaprzeczyć przed kolegium Wojskowego Sądu. Chciał przyznać się tam jedynie do sabotażu. A ponieważ w tych najwyższych miejscach kaźni socjalistyczna praworządność wymagała, by zeznania miały konstrukcję swoście logiczną, konsekwentną, więc prosił mnie, bym jako literat pomógł mu opracować scenariusz aktów szkodnictwa.

Trafił też do mojej celi saratowskiej stary inżynier Bawarczyk, którego bezrobocie zagnało w 1930 do Rosji; niemiłosiernie torturowany, uparł się nie przyznać do winy — pewno rygorystyczny jego luteranizm nie zezwolił mu skłamać.

Przekonałem się zatem, że koniec końców można nie dać się złamać nawet torturom. Nawet groźbom represji w stosunku do rodziny, Teitz miał żonę, którą kochał.

Spytałem Stieklowa, czy zeznania na procesach moskiewskich były wymuszone torturami? „Na co tortury! — wykrzykiwał. — Wszyscy mieliśmy ręce unurzane we krwi, w g...! Wszyscy, wszyscy bez wyjątku! Od samych początków! Po łokcie!” — te słowa zapamiętałem, jak wierzę, dosłownie, taki mnie wtedy przeszedł dreszcz. W tej chwili napięcie jego nienawiści do własnej przeszłości doszło do „nadrywu”, twarz była konwulsyjnie rozdarta, ruchy rąk i dłoni rozlatane, upodobił się w istocie do postaci z Dostojewskiego. — Jakobin którego pytano o dzikie masakry po więzieniach, odpowiedział: „Czyżby ta krew była tak czysta?”. Czyżby nasza krew była czystsza od tej, którą przelewaliśmy, bez zlitowania i bez wahań? Nie musiano nikogo z nich torturować, każdy przed oczyma duszy miał długi spis własnych zbrodni i upodleń. Więc przyznać się do tego i owego, czemu nie? to już nie miało żadnego znaczenia. Zresztą, były to już szmaty ludzkie”. Tak mówił Stieklów, a ja przyświadczałem mu w duchu, myśląc o wierzącym katoliku, który by stracił ostatecznie nadzieję na zbawienie.

„Kiedy wróci pan do Polski, niech pan opisz, jak umierał stary Stieklów”.

Powiedziałem na to: „Nie wrócę nigdy”. Momentalnie wpadł w gniew: „Wróci pan, *na pewno*”. Odniosłem wtenczas wrażenie, że mam przed sobą rozpieszczanego starego egotystę: ja muszę wrócić, ponieważ on, stary Stieklów, powierzył mi misję do spełnienia.

I znów, po chwili: „Kiedy wróci pan do Polski, niech pan opisz, jak umierał stary Stieklów”.

To były ostatnie jego słowa, bo już przyszlizli po nas.

Rozłączono nas, ale dzieliła nas tylko ściana i strażnik w drzwiach. Już przed świtem słyszałem jego ostre „Boga radi”, pewno o coś prosił, i na przemian: „Stalin... Stalin”..., ale mówił to już chyba w malignie. Głos mu osłabł, zapadał się, głos starczy, słowa rozmazane. Nasza stara salowa na słowo „Stalin” żegnając się po kryjomu.

Dwa razy udało mi się postać w drzwiach, korzystałem z pocziwości strażnika, który ostrzegł tylko: „gawarit’ tut nie raz-rieszajetsia”. Pierwszy raz — po południu — w 4-5 dni po naszym tu przybyciu. Mogłem tylko zrobić gest przyjaźni i oddania. Stieklów odpowiedział ładnym gestem, przykładając rękę do serca. I znów: „Kiedy wróci pan do Polski, niech pan opowie, jak umierał Nahamkes-Stieklów”. Ale zabrzmiało to jak z rozbitego instrumentu.

Za drugim razem, tegoż dnia, późnym wieczorem: dolna szczeka opadła, wydawał się teraz tak wyzbyty ciała, że przypo-

minał mumię Ramzesa, zapadnięte oczy były niedomknięte, rzeził ciężko. Czaszka już trupia a jeszcze ludzka. Mimo to był dziwnie piękny: OMO.

Takim zapamiętałem go na całą resztę życia.

Tak się złożyły okoliczności mojej biografii, że testament Stieklowa wykonuję po latach dwudziestu. Przed tym opowiadałem, jak umierał stary bolszewik Stieklów, każdemu, kto mnie chciał słuchać. Teraz mogę złożyć hołd tej ofierze komunizmu, jednej z dziesiątków milionów, który przedstawił mi się w ostatnich swoich dniach jako człowiek piękny. Nagrzeszył wiele, a miał szczęście i męstwo odkupić to protestem i mężnym cierpieniem.

W parę dni później, w dalszej sali, umarł Walden, ofiara, jak opowiadał, niemieckich swoich przyjaciół komunistycznych emigrantów.

Ja natomiast niedługo potem wróciłem do celi, nieźle podkarmiony. Nasz lekarz naczelny dokazywał cudów, by w głodnym mieście, w mieście głodnych, zdobywać dla nas tak niezwykle pożywienie jak ryż, ryby, marchew. Szczególnie gorąco opiekował się wieloletnim przywódcą łotewskich Żydów, senatorem Dubinem, który, by się nie strefnić, od samego uwięzienia nie jadł nic poza „pajkami” gliniastego chleba, i leżał teraz obok mnie, przezroczysty jak pergamin, z ręką połamaną przy sztucznym odżywianiu na Łubiance. Powiedziałem mu, że Talmud w sytuacjach zagrażających życiu zezwala łamać przepisy Zakonu. „Zezwala, ale nie nakazuje” — odpowiedział z prostotą.

Mam tu sposobność, by w paru słowach wspomnieć o służbie zdrowia w ZSSR. Jak to się stało, że przy powszechnym tam zdziczeniu, większość lekarzy, a przynajmniej ci liczni, z którymi miałem do czynienia, starzy czy młodzi, nawet partyjni, nawet więzienni, przechowali samarytańskie tradycje medycyny rosyjskiej? Więc i stalinizmowi nie udało się wykorzenić wszystkich szlachetnych tam tradycji?

Nieraz podkarmiali mnie oni z własnych szczupłych racji. Ileż to razy uratowali mi życie.

W końcu listopada zostałem uwolniony. Ocalenie zawdzięczam tyleż przypadkowi, co intendentowi teatralnemu z mojej celi. Jak się po wyjściu okazało, ważyłem już mniej niż 45 kg., wobec moich zwykłych 80-ciu. Nic nie wiedziałem o amnestii dla Polaków, która była w pełnym toku od trzech z górą miesięcy. Którejś nocy wezwano mnie na dopros, sprawa przedstawiała się groźnie: miałem się wyrazić, że „Hitler wart jest Stalina i odwrotnie”. To znaczy, że intendent, który znał idysz, podsłu-

chał moją rozmowę z Niemcem nadwożańskim, komunistą-hitlerowcem. Zresztą o tym, że jest on „stukaczem”, wiadomo było w celi: stary Niemiec-inżynier, którym opiekował się z synowską czułością, właśnie jemu zawdzięczał szczególną srogość tortury.

Przy spisywaniu personaliów mój śledczy, kapitan NKWD, ze zdziwieniem dowiedział się, że jestem obywatelem polskim. — „Udowodnij. — Jak mogę udowodnić, skoro wszystkie moje dokumenty są u was? — Sprawdzimy”. Okazało się zatem, że moje akta były gdzie zarzucone, a ja po prostu zapomniany.

Niedługo potem z dwoma polskimi oficerami znaleźliśmy się u fryzjera, z małą złośliwością jeszcze nas ostrzyżono na zero, a gdy noc zapadła, wypuszczono nas z rublami i chlebem na drogę. Przez kompletnie zaciemnione i opustoszały Saratow wlekliśmy się we trzech na dworzec — ja, kościotrup powleczoney obwisającą skórą, moi dwaj towarzysze, jeden — spuchnięty, drugi — równie jak ja szkieletyczny, wszyscy — wycieńczeni i wolni. Podtrzymywała nas i przyspieszała nasze kroki radość z Apokalipsy i nadzieja na ocalenie. Jeżeli słowa te dotrą do towarzyszy mojej nocnej wędrówki, niechże się odezwą.

Proroctwo Stiełkowa zaczynało się zatem sprawdzać. Ale najgorsze moje doświadczenia miały się rozpocząć kilkanaście miesięcy później. I jeszcze przez niespełna 5 lat żył we mnie strach mój najwyższy: byle nie umrzeć w ZSSR! Byle nie być zakopanym w tej ziemi, która została splugawiona! Wszędzie, byle nie tu!

Być może właśnie ten strach i niezgoda dały mi siłę, by przetrzymać wszystkie tam biedy, nędze, choroby i dalsze więzienia.

Aleksander WAT

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Wszyscy byli odwrócenii

W czarnym kapeluszu, w czarnym płaszczu, o posępnej twarzy okolonej rozwichrzoną brodą — wyglądał jak ptak z fantastycznej opowieści; jak z bajki którą opowiada się dzieciom do zaśnięcia a która jest jednym z koszmarów dzieciństwa. Człowiek ten siedział za stolikiem ustawionym na ulicy przed gmachem sądu, a na stoliku stała maszyna do pisania. Ludzie którzy byli jego klientami byli zbyt biedni, aby wynająć sobie adwokata, ale on był nie gorszy od każdego z adwokatów w tym mieście. Potrafił pisać skargi i petycje w każdej sprawie; w sprawie alimentów, w sprawie katastrofy samochodowej, i potrafił przewidzieć, jaki będzie wyrok. Miał poza tym świadków; począwszy od młodych o niewinnym spojrzeniu, którzy przypadkowo przechodzili ulicą i widzieli właśnie to, o czym on im opowiedział czasem w dwa miesiące a czasem w rok później — a skończywszy na dostojnych starcach, którym nikt nie odważyłby się zarzucić kłamstwa.

Poprawił kapelusz; pot ściekał mu strugami na kark a jego klient poruszył się niespokojnie. Kartka czystego papieru wciąż jeszcze tkwiła w maszynie i od piętnastu minut nie napisał ani jednego słowa.

— Czy źle wygląda sprawa? — zapytał klient.

— Nie — powiedział czarny ptak. — Będzie dobrze.

— Tak właśnie myślałem — powiedział klient. — Chcę, żeby tego człowieka ukarano. Chcę, żeby poszedł do więzienia.

— To będą dwie sprawy — powiedział ptak. — On pójdzie dwa razy do więzienia.

— To bardzo dobrze — powiedział klient.

Fragment z książki, która ukaże się w „Bibliotece Kultury” w końcu stycznia rb. Nowa książka Marka Hłaski obejmować będzie dwie duże powieści pt.: *Wszyscy byli odwrócenii* i *Brudne sprawy*.

— Nie tak znowu dobrze jak myślisz.

— Dlaczego?

— Bo on pójdzie teraz do więzienia pierwszy raz z twojej ręki. Potem wróci i znów pójdzie siedzieć. Będzie miał sprawę o pobicie. A tym pobitym będziesz ty.

— Nie boję się go — powiedział klient.

Pisarz nie odpowiedział; patrzył na samochód policyjny który zatrzymał się przed gmachem sądu. Młody policjant wyszedł z szoferki i obszedłszy samochód otworzył tylne drzwi, a wtedy dwaj mężczyźni zeskoczyli na ziemię. Byli skuci.

— Rozkuj mnie — powiedział jeden z nich do policjanta.

— Jest przepis, żeby doprowadzać na salę w kajdanach — powiedział policjant.

— Mamy jeszcze dziesięć minut czasu — powiedział mężczyzna. Jeszcze zdążysz skuć mnie z powrotem. — Odwrócił się nagle; dojrzał pisarza i jego klienta i poszedł ku nim pociągając drugiego mężczyznę za sobą. Czarny ptak nie poruszył się nawet, kiedy tamci stanęli nad nim; patrzył na ciemną, muskularną rękę która wyciągnęła się ku niemu i wyszarpnęła z maszyny papier. Mężczyzna zgniótł papier w kulkę i odrzucił go. Potem weszli do budynku sądu, a policjant siedł za nimi wachlując spoconą twarz czapką.

— Miałeś rację — powiedział klient do czarnego ptaka. — Rozmyśliłem się. Zaoszczędzę sobie kosztów. Dlaczego my, Żydzi, musimy się zawsze kłócić.

— Zawsze ci to mówiłem — powiedział pisarz.

Klient chciał odejść, ale czarny ptak chwycił go za połę marynarki i przyciągnął z powrotem.

— Chwileczkę — powiedział. — Należą mi się jeszcze pieniądze od ciebie.

— Pieniądze? A za cóż to?

— Za poradę — powiedział pisarz.

Policjant wprowadził ich na salę rozpraw, prawie pustą jeszcze o tej porze. Nie było tu prawie nikogo; jakiś człowiek siedzący obok okna oglądał swoje brudne paznokcie i te zdawały go się interesować bardziej od kajdanek, którymi był skuty.

— To dobry sędzia — powiedział do nich policjant, kiedy już usiedli. — Nie potrzebujecie go się bać. — Patrzył na nich; na dwóch mężczyzn siedzących nieruchomo: opalonych, ciemnych i szczupłych; nie odpowiedzieli mu, więc powiedział jeszcze raz: — To dobry sędzia. Nie trzeba go się bać. Jak go tylko zobaczycie — będziecie widzieli, że mam rację.

— Płacą ci też za gadanie? — zapytał jeden z nich.

— Chciałem cię tylko uspokoić — powiedział policjant. — Po prostu podobasz mi się.

— Płacą ci też za gadanie? — powtórzył mężczyzna; miał ciemną twarz o zrosniętych brwiach a jego ciężka głowa była nieco pochylona; jak głowa tragarza, lub jakby szykował się do uderzenia. — Czy tylko za to, że jesteś psem?

Człowiek oglądający swoje paznokcie poderwał głowę, ale policjant nie odezwał się; wszedł sędzia z sekretarzem i brudnoręki podniósł się niechętnie.

— Czy wy będziecie świadkiem? — zapytał sędzia policjanta.

— Tak.

— Gotowi jesteście przysięgać?

— Tak.

— Weźcie Biblię — powiedział sekretarz. — Będziecie przysięgać.

Policjant położył rękę na Biblii. Sekretarz przerwał mu.

— Cóż to? Czy nie wiecie, że przysięgać musicie w czapce na głowie, albo że musicie przykryć głowę ręką?

— Przepraszam — powiedział policjant; zaczerwienił się gwałtownie. — Nie jestem długo w kraju. — Podał Biblię sekretarzowi i dał znak dwóm mężczyznom aby usiedli. Sam usiadł koło nich i zdjął im kajdanki.

— Dov Ben Dov — powiedział sędzia i mężczyzna o zrosniętych brwiach powstał.

— Urodzony?

— Czternastego stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku.

— Miejsce urodzenia?

— W kraju — powiedział mężczyzna.

— Żonaty.

Mężczyzna milczał a jego ciężka głowa pochyliła się jeszcze bardziej.

— Pytam o wasz stan cywilny — powtórzył sędzia.

Mężczyzna wciąż jeszcze nie odpowiadał. Przemówił dopiero wtedy, kiedy mężczyzna z którym był skuty, a który teraz siedział wyprostowany niby uczeń w szkolnej ławce, dotknął delikatnie jego ramienia.

— Żonaty — powiedział wtedy.

— Karany?

— Tam wszystko jest zapisane — powiedział Dov Ben Dov.

— Jeśli chcesz mnie sądzić, to musisz chyba coś wiedzieć o mnie.

— Odpowiadaj na pytania — powiedział sekretarz.

— Tak — powiedział Dov.

— Gdzie jest wasz adwokat? — zapytał sędzia. — Czy nie macie obrońcy?

— Niepotrzebny mi — powiedział Ben Dov. — Mam własne sumienie, nie potrzebuję wynajmować cudzego.

— Jesteście oskarżony o to, że piątego czerwca sześćdziesiątego pierwszego roku, w mieście Tel-Avivie, w miejscu publicznym, zakłócaliście porządek. Czy przyznajecie się.

— Nie — powiedział Ben Dov. — W tym mieście nigdy nie było porządku. Od kiedy pamiętam.

— Oskarżony Dov Ben Dov zapłaci dziesięć funtów kary za obrazę powagi sądu — powiedział sędzia. Odwrócił się do sekretarza: — Zapiszcie mu w zamian za to trzy dni aresztu jeśli nie zapłaci. Jeśli jeszcze raz powie coś takiego każę go wyprowadzić z sali. Możecie usiąść.

Policjant wypchnął drugiego mężczyznę. Był nieco szczuplejszy od tamtego, o czujnej, przystojnej twarzy. Jego koszula była czysta, choć nie wyprasowana; musiał ją wyprać w areszcie.

— Izrael Berg — powiedział nie czekając na pytania sędziego. — Urodzony siódmego października tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku w Polsce. Samotny.

— Byliście już przedtem karany? — zapytał sędzia.

— Nie — powiedział Izrael Berg.

— Przyznajecie się do winy? — zapytał sędzia

— To wszystko stało się z mojej winy, proszę Sądu — powiedział Berg. — Chciałbym przez to powiedzieć, że Ben Dov nie brał w tym żadnego udziału. On po prostu spokojnie siedział przy stoliku, kiedy to się wszystko stało. Nawet nie wiem czy siedział przy stoliku, bo ja akurat stałem przy barze i wtedy ci ludzie mnie zaczepili.

— Czy poszkodowani nie zjawili się na rozprawę? — zapytał sędzia policjanta.

— To niemożliwe, proszę Sądu — powiedział policjant. — Poszkodowani byli cudzoziemcy. Ale protokół przesłuchania powinien być w aktach sprawy, proszę Sądu. Ja na miejscu pana sędziego...

— Sąd wie, gdzie powinny znajdować się akta przesłuchania — powiedział sędzia. — Nawet jeśli wydaje się wam to dziwne. Odpowiadajcie po prostu na pytania i nie udzielajcie rad sądowi w jaki sposób prowadzić tę sprawę. I wkładajcie przy tym czapkę. Albo najlepiej nie zdejmujcie jej w ogóle. — Patrzył przez chwilę na mężczyznę stojącego przed stołem. — Więc chcecie przez to powiedzieć, że to wy pobiliście tych ludzi podczas gdy oskarżony Dov Ben Dov nie brał w tym udziału.

— Powiedziałem prawdę proszę sądu — rzekł Berg. — On jest niewinny.

— Więc on po prostu siedział przy stoliku, pił piwo i pa-

trzał jak wy, może o czterdzieści funtów lżejszy od niego — bijecie trzech silnych marynarzy i nie ruszył się nawet?

— Wszyscy którzy na nas patrzą, myślą, że to on jest silniejszy — powiedział Berg. — Ale to nieprawda.

— Nie — powiedział sędzia. — To wy nie mówicie prawdy. Chcecie go osłonić, bo wiecie, że oskarżony Ben Dov ma całą kupę takich spraw poza sobą. Takich i gorszych. Bójki, awantury, degradacja w armii, następnie dyscyplinarne usunięcie z armii. I wiecie jeszcze jedno: oskarżony Ben Dov został ostatni raz warunkowo zwolniony z więzienia. To znaczy pod warunkiem dobrego sprawowania się w dalszym życiu. To znaczy: jeśli dzisiaj zapadnie wyrok skazujący, to oskarżony Ben Dov będzie musiał wrócić z powrotem do więzienia. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Nikt nie potrafił dla niego nic uczynić. Dlaczego wy myślicie, że wam uda się uczynić coś dla tego człowieka, skoro nie potrafiła tego uczynić ani armia, ani jego rodzina, ani sąd?

— Powiedziałem prawdę — rzekł Berg. — Stoję przed sądem i muszę mówić prawdę.

— Jesteście od niego o wiele słabsi — powiedział sędzia — i mimo to, chcecie go osłonić. Chociaż dobrze wiecie, że to on wywołał tę awanturę, tak, jak wywoływał je zawsze.

— Nie jestem od niego słabszy — powiedział mężczyzna a twarz jego poczęła drgać nerwowo. — To się tylko tak wydaje, proszę sądu. Naprawdę to ja jestem winien.

— Oskarżony Dov Ben Dov — powiedział sędzia. — Wstańcie. — Zsunął okulary na czoło i przez chwilę patrzył na ciemną, zaciętą twarz mężczyzny. Potem powiedział: — Czy naprawdę ten człowiek, który stoi obok was, jest winien? Ten człowiek, który stoi obok was i który jest o wiele słabszy od was. Odpowiedzcie na to zgodnie z waszym sumieniem. Mówiliście przecież już dzisiaj o sumieniu, prawda?

— Sam to mówi — powiedział Ben Dov.

— A wy siedzieliście i piliście wasze piwo, tak?

— Nie pamiętam już co piłem — powiedział. — Ale kiedy to się stało byłem odwrócony. Upadł mi niedopałek papierosa i szukałem go przez cały czas kiedy oni się tam kotłowali ze sobą. Nie lubię rzucać niedopałków na ziemię. To właśnie powiedziałem na policji.

— Wy zawsze macie dobrych świadków, Ben Dov — powiedział sędzia. — Nikt was nigdy nie chce widzieć kiedy robicie awantury. Tak jak i tym razem. Wszyscy byli odwróceny. Ale pewnego dnia może się zdarzyć, że wszyscy odwrócą się akurat wtedy, kiedy wam się będzie działa krzywda. Nie myśleliście chyba nigdy o tym, prawda? I to wasze sumienie o którym tak pięk-

nie mówiliście przed chwilą, każe wam zrzucić winę na młodszego kolegę, bo wiecie, że on nie był jeszcze nigdy karany i nie czeka go żadna poważna kara. To właśnie wasze sumienie mówi wam, że można przecież wyzyskać słabszego człowieka jeśli był przy tym, prawda?

— Powiedziałem już, że nie jestem słabszy od niego — rzekł Berg. Usta jego stały się nagle białe.

— Jesteście tego pewien? — zapytał sędzia.

— Jestem pewien — krzyknął Berg.

— Macie grzecznie odpowiadać na pytania, które Wam zadaje Sąd — powiedział drewnianym głosem sekretarz.

— Nie jestem słabszy — krzyknął Berg. — Nie, nie. — Odepchnął nagle z całej siły policjanta; chwycił krzesło, chciał je ująć jedną ręką i unieść w powietrze ale nie zdołał; schylony, wciąż trzymając nogę przewróconego krzesła począł płakać bezsilnie i z wściekłością.

Siedzieli w małej restauracji nad morzem; skończyli właśnie jeść i Izrael zapytał Dova:

— Czy myślisz, że dam radę?

— Pewnie, że dasz — powiedział Dov. — Wielu ludzi przy tym pracuje i daje radę.

— Ale powiedziałeś przedtem, że może i nie dam sobie rady.

— Nie — powiedział zmęczonym głosem Dov. — Nie powiedziałem tego wcale. Powinieneś wiedzieć jak to jest z pracą. Z początku męczy, potem człowiek się przyzwyczaja a potem już nie cieszy. Tak jest prawie zawsze. — Zatrzymał przechodzącego kelnera. — Przynieś mi jeden koniak — powiedział do niego.

— Nie pij koniaku, Dov — powiedział Izrael. — Napij się lepiej kawy. Poczujesz się od razu lepiej.

— Wcale nie chcę poczuć się lepiej — powiedział Dov. — Chcę wypić jeden koniak. To wszystko.

— Czy on przyjdzie — zapytał Izrael. — Zaczynam się denerwować.

— Nie denerwuj się — powiedział. — On przyjdzie. Popatrz sobie na te dziewczyny co tam siedzą i nie denerwuj się. — Wskazał ręką na dwie dziewczyny siedzące przy sąsiednim stoliku i pijące kawę; i trzymał tak długo wyciągniętą rękę, dopóki jedna z nich nie odwróciła głowy. — Na nie sobie popatrz — powiedział.

— Czego chcesz? — zapytała jedna z nich.

— Możesz się już odwrócić — powiedział Dov. Opuścił rękę. — To jeszcze jedno rozczarowanie.

Tęgi mężczyzna w koszuli khaki wszedł na salę. Stał chwilę trzymając w ręku ciemne okulary a pot spływał mu po twarzy. Dojrzał ich; przeciskał się powoli między stolikami nie mówiąc ani słowa do ludzi, których roztrzącał i których stoliki uskakiwały w bok po zderzeniu z jego ciężkim mocnym ciałem. Krzesło zatrzeszczało pod nim kiedy usiadł.

— Przepraszam — powiedział — czekaliście trochę, nie? Ale nie mogłem inaczej. Nie mogłem znaleźć miejsca na parking.

— To nic — powiedział Izrael. — Najważniejsze, że przyszedłeś. Nie czekaliśmy wcale długo.

Tęgi nie spojrzał na niego.

— Od kiedy chcesz zacząć tę pracę, Dov — zapytał.

— Od dzisiaj — powiedział tamten. Wypił ciepły koniak a kieliszek odstawił delikatnie na stół.

— Znasz warunki? — zapytał tęgi.

— Nie — powiedział Dov. — Ale znam ciebie. Więc i praca nie może być dobra.

— Urządza nas każda praca — powiedział Izrael. Ale tęgi i tym razem nie spojrzał na niego. Patrzył na twarz Dova; na jego ciemne, grube brwi krzywo zrosnięte nad nosem.

— Dov — powiedział. — Ty miałeś już z dziesięć lat czasu, żeby sobie znaleźć dobrą pracę i urządzić się. I cała kupa ludzi chciała ci w tym pomóc. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Kiedy możemy zacząć? — zapytał Dov.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

— Jutro możesz zacząć — powiedział.

— Pytałem: kiedy możemy zacząć — powiedział Dov. — On i ja.

— Dov — powiedział tamten. — To nie jest praca dla niego. Ja ci nigdy nie powiedziałem, że mam pracę dla was obu. Powiedziałem ci, że mam pracę dla ciebie. I to też tylko wtedy, kiedy mnie o to poprosiłeś.

— Szkoda było twojego czasu — powiedział Dov. — Znajdę sobie coś innego. Masz chyba ogródek koło domu, nie? Teraz jest akurat czas, żeby podlewać kwiaty. — Tamten nie odzywał się; Dov powtórzył po chwili: — Powiedziałem ci, że szkoda twojego czasu.

— Dlaczego się upierasz, żeby go ciągnąć za sobą, Dov? Przecież to nie dziewczyna. Ten człowiek nie może robić tego, co ty robisz. Powinieneś to zrozumieć.

— Rozumiem to — powiedział Dov. — I powiedziałem ci już, że szkoda twojego czasu. Możesz wstać i odejść. Nie potrzebujesz płacić za to krzesło.

— Ty jesteś jak dziewczyna, Dov — powiedział wolno tam-

ten. — Zawsze jak dwie jakieś tam przyjaźnią się z sobą, to jedna jest ładna a kiedy patrzysz na drugą to cię oczy bołą. A ty po prostu ciągniesz za sobą tego człowieka, chociaż ze wszystkich ludzi na świecie ten akurat najmniej pasuje do ciebie.

— Daj mi też szansę — powiedział Izrael. — Wierz mi, że postaram się być dobry. — Pochylił się ku tęgiemu. — Zapytaj go — powiedział wskazując palcem na Dova. — Wczoraj mieliśmy drakę z gośćmi w takim jednym barze. Zapytaj go, czy byłem zły. — Dotknął jego ramienia, ale tęgi mężczyzna strząsnął rękę.

— Dov — powiedział tęgi. — Tym ludziom którzy są silni zawsze się zdaje, że potrafią coś zrobić dla słabych. To tak samo jak mądrym którym się zdaje, że potrafią nauczyć czegoś głupców. Ale tak nie jest. Bo na końcu zawsze silni idą do diabła przez słabych a mądrzy wariują przez głupców. I nigdy nie bywa inaczej. Dlaczego mnie właśnie prosisz o pomoc.

— Powiem ci — powiedział Dov. — Dlatego właśnie, że wszyscy porządni ludzie myślą w ten sposób. Ale ja ciebie znam i wiem że jesteś podły.

Patrzyli chwilę na siebie a potem tęgi mężczyzna roześmiał się nagle.

— Ej — powiedział do kelnera. — Przynieś nam, kochanie, butelkę koniaku. — Pchnął kelnera swoją ciężką ręką i kelner przebiegł przez salę jednym susem. Tęgi powiedział do Dova: — Pamiętaj, że ja ci to powiedziałem. Pamiętaj, że było już takich dwóch skurwysynów na świecie z których jeden nazywał się Dawid a drugi Goliath.

— Dobrze — powiedział Dov. — Będę pamiętał twoje skrzydlate słowa. — Patrzył przed siebie; wprost na morze gdzie rozbłyskiwały już pierwsze światła a potem odwrócił głowę w lewo i patrzył na światła Jaffy. — Ale lepiej już być Goliathem i zginąć od kamienia — powiedział — jak być Dawidem który został królem i przez którego płakali ludzie.

— To już ty mówisz, a nie ja, Dov — powiedział tęgi mężczyzna. — Wziął do ręki szklankę i trzymał ją w dłoni. — Ty masz brata w Ejłacie, Dov?

— Tak — powiedział. — Dlaczego o tym mówisz?

— Ty dzisiaj wyszedłeś z sądu i sędzia powiedział ci, że jak ci się jeszcze raz coś przydarzy to usiądziesz sobie fest, nie? Więc ja ci powiem: przytrafi ci się na pewno. Tel-Aviv jest większy od Ejlatu i tu się znowu coś zdarzy a wtedy sędzia nie będzie już mówił o bohaterskiej przeszłości oskarżonego...

— Dosyć — powiedział Dov.

— Więc jedź lepiej do Ejlatu — powiedział tamten. — Tam całe miasto jest pełne takich jak ty. Tam możesz sobie robić co chcesz i nikt nie będzie się ciebie czepiał, a jak dasz

komuś po mordzie, to tamten najwyżej ci odda i obejdzie się bez policji. Ja ci dam swojego jeepa a ty mi go spłacisz. W Ejlacie pójdziesz do takiego jednego gościa który pracuje na lotnisku i on ci już pomoże znaleźć turystów, których powozisz trochę po pustyni i tak dalej. Turyści lubią sobie wytrząsać flaki, robić zdjęcia i w ogóle czuć się bojowo. A ty będziesz z tego żyć. — Nalał sobie koniaku i milczał przez chwilę. — Przepraszam — powiedział. — Będziecie z tego żyć. A potem, na zimę, wrócisz do miasta i rozliczysz się ze mną.

— Dobrze — powiedział Dov. Wstał. — Pójdę zadzwonić do hotelu, że zwalniamy pokój — powiedział. — Jeśli naprawdę możemy dzisiaj wyjechać.

Przeszedł przez salę a kobiety odwracały za nim głowy ale on nie widział ich; szedł jak człowiek idący polem pełnym zboża i rozgarniający je rękami.

— To śmieszne — powiedział tęgi mężczyzna do Izraela. — Nikt tak nie potrafi obrazić jak kobieta, co?

— Tak — powiedział Izrael.

— Kiedy widział się z nią po raz ostatni?

— Może przed rokiem — powiedział Izrael. — A może jeszcze dawniej.

— I ciągle o niej myśli?

— Tak. Chyba tak.

— To ona go załatwiła — powiedział tęgi mężczyzna. — I od tego czasu chodzi jak ślepy. Dlaczego się właściwie rozeszli? Powiedział ci?

— Nie. On o tym z nikim nie mówi. Nawet ze mną.

— Powiedz mu, żeby przestał o niej myśleć. Chwała Bogu, jest ich dosyć. I powiedz mu, że ja to mówię.

— Nie — powiedział Izrael. — Sam mu to powiedz. Dlaczego nie chciałeś mi dać pracy?

Tęgi spojrzał na niego; po raz pierwszy tego wieczoru. Odstawił trzymaną szklankę na stół.

— Powinieneś wyjechać stąd — powiedział. — Nie nadajesz się do tego kraju i nie lubisz go. A Dov kocha ten kraj. Szkoda tylko, że skończy tak głupio. — Patrzył przed siebie; oczy miał zmęczone, zaczerwienione. — Kiedy ja przyjechałem do tego kraju — powiedział — to człowiek który szedł do kibucu aby tam osuszać bagna, budować drogi lub zakładać gaje pomarańczowe — był w tym kraju człowiekiem numer jeden. A dzisiaj jest nim bogaty Żyd z Ameryki, który przyjeżdża tu, inwestuje forszę i nie chce mu się nawet nauczyć dziesięciu słów po hebrajsku. No więc i ja zacząłem robić forszę. Bo i dlaczegóż by nie? Nie lubię być głupszy od innych. Więc mówię ci: wyjedź stąd.

— Przyzwyczaję się — powiedział.

— Tak. Może przyzwyczaisz się do tego kraju. Ale nie polubisz go.

Dov wrócił, usiadł do stolika. Było już ciemno i wielki księżyc wisiał nisko ponad morzem ale mimo ciemności plaża pełna była jeszcze ludzi wypływających daleko w morze na długich, białych falach.

— Będziemy musieli zostać — powiedział Dov. — Pokój trzeba zwalniać przed szóstą. Gdzie stoi ten twój jeep?

— Tu stoi — powiedział tęgi. — Przytaszczyłem go przecież ze sobą. Wiedziałem przecież, że muszę ci dać tę szansę. Po to, żebyś ją przesrał. — Patrzyli na jego ciemną, mięsistą twarz i grubą dłoń w której obracał szklanekę. — Co robi twój ojciec, Dov?

— Mieszka razem z bratem.

— No i co tam ze starym? Zmienił się?

— Ma osiemdziesiąt lat — powiedział Dov. — Nie ma się już po co zmieniać. — Wstał; wziął od niego kartę wozu i klucze. Ale nie odchodził jeszcze: stał nieruchomo nie patrząc na tęgiego mężczyznę. — Dasz mi jeszcze zaliczkę — powiedział. — Jakoś muszę tam przecież dojechać. Rozliczymy się w zimie.

— Nie potrzeba ci czasem mojej sztucznej szczęki, Dov? — zapytał tamten. Patrzył za nimi jak przechodzili ulicą i wsiadali do samochodu; dwaj wysocy, szczupli mężczyźni i po raz pierwszy zauważył, że są nawet w jakiś sposób podobni. — No więc — powiedział do siebie głośno. — Po to tu właśnie przyszedłem. Żeby mu dać mój samochód. I moje pieniądze. I żeby on to wszystko zmarnował.

— Czy to pan zapłaci rachunek? — zapytał kelner.

Obrócił się ku niemu.

— A czy tamten, który był, zapłacił ci już kiedyś?

— Był czas, że płacił — powiedział kelner. Poprawił na sobie brudny pas smokingowy; miał olbrzymi nos i chudą, tragiczną twarz. — To ona mu dała radę — powiedział.

— Tak — rzekł tęgi mężczyzna. — Ona.

Weszli do pokoju i zamknęli drzwi. Nie było czym oddychać; byli spoceni chociaż przeszli tylko parę kroków chodnikiem a potem weszli na pierwsze piętro — ale pot spływał po nich; ich koszule upadły bez szelestu na kamienną posadzkę. Za oknem śpiewał jakiś człowiek; wysokim, ostrym głosem; przejeżdżały z hukiem autobusy a wtedy głos jego nikt a potem znów wznosił się ku nim.

— Tak będzie do świtu — powiedział Izrael. Leżał na łóżku zrzucawszy z niego koc.

— To ten żebrak z rogu Ben-Jehuda?

— Tak.

— Ten ślepy?

— Tak.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejdz — powiedział Dov. Mężczyzna wsunął się do pokoju: był to portier. W ręku trzymał ręcznik, którym ocierał co chwila twarz i ramiona.

— Czego chcesz, Harry? — zapytał Dov.

— Zapomniałeś czegoś, Dov — powiedział tamten. — Czegoś, co ci się często przydaje. Przyniosłem ci to.

Dov odwrócił się powoli ku niemu. Wziął od niego dwa skórzane paski którymi obwiązywał przeguby rąk; paski były stare i ciemne od potu. Patrzył na nie przez chwilę a potem oddał mu je z powrotem.

— Nie będą mi więcej potrzebne — powiedział. — Znalazłem sobie lekką pracę.

— Nie używałeś ich do pracy — powiedział portier.

— Powiedziałem ci już, że nie będą mi więcej potrzebne. — rzekł Dov. — Możesz je sobie wziąć. Albo możesz je po prostu wyrzucić.

— Nie — powiedział Izrael. Wyciągnął rękę do portiera. — Daj mi. Ja je wezmę.

— On mi je już dał — powiedział portier.

— Słuchaj, Harry — powiedział Izrael. — Ten gość, który tu mieszkał przed nami, zostawił tu coś. Oddaj mi te paski a wtedy ja oddam ci tamtą rzecz. — Wyciągnął spod poduszki koszulę i podał ją portierowi.

— Dobrze — powiedział portier. Wyszarpnął mu z ręki koszulę i oddał paski. Ale nie odchodził jeszcze; patrzył na brezentowy worek stojący w kącie.

— To wszystko co macie? — zapytał wskazując ręką na worek. — Ty i on?

— Aż za dużo, kiedy trzeba to nieść — powiedział Dov.

— Mamy jeszcze jeepa — powiedział Izrael. Wyrwał z jego rąk ręcznik, otarł nim twarz i ramiona, oddał mu z powrotem. — A teraz daj nam spać — powiedział. — Weź tę koszulę i powieś ją w swojej szafie gdzie trzymasz te wszystkie rzeczy które odebrałeś od tych gości co nie płacili.

— Tak — powiedział portier. Zawrócił niechętnie do drzwi. Z progu powiedział jeszcze: — Teraz macie jeepa i ten worek. Dobranoc.

— Dobranoc, Harry — powiedział Dov. Kiedy portier wyszedł uniósł się na łokciach i obrócił swoją twarz ku tamte-

mu. — Dlaczego dałeś mu własną koszulę — zapytał. — Po co ci te paski?

— Przydadzą się.

— Wcale nie chcę, żeby się przydały — powiedział. — Patrzył jak Izrael wstaje z łóżka, rozwiązuje parciany worek i chowa tam dwa stare, przepocone paski. Potem popatrzył na przeguby własnych rąk; były jaśniejsze w miejscach gdzie owiżywał je paskiem. — Zawsze miałem za słabe kości — powiedział. — Za silne mięśnie i za słabe kości. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Czytałem jakąś książkę o takim człowieku. Miał za silne mięśnie i za słabe kości. Ale zapomniałem już jak się ta książka nazywa. Zapomniałem wszystkie książki które czytałem.

— Dov — powiedział Izrael. Jego twarz była teraz zmęczona ale wciąż jeszcze pełna napięcia. — Byłeś już kiedyś w Ejla-cie?

— Byłem tam w czterdziestym ósmym roku — powiedział Dov. — Wtedy, kiedy tam jeszcze nic nie było. Jak się ta książka nazywa? To jest imię i nazwisko jednego gościa...

— Czy myślisz, że się tam urządzimy?

— Będziemy próbować — powiedział. — Boże, żeby ten człowiek przestał już śpiewać. Nie mogę spać. Patrzę na tę cholerną, kamienną posadzkę i nie mogę spać.

Wstał z łóżka, wziął ze stołu stojącą tam butelkę po piwie i rzucił nią w ulicę. Słyszał jak rozprysnęło się szkło; głos śpiewającego urwał się nagle, ale kiedy tylko wrócił na łóżko — głos tamtego rozległ się znowu.

— Dov — powiedział cicho Izrael. — Ten człowiek jest głuchy, nie tylko ślepy. Nic mu nie zrobisz jeśli chce śpiewać.

— Nie mogę spać — powiedział Dov.

— Dlaczego nie chcesz jeszcze raz z nią spróbować? — zapytał Izrael. — Może wam się uda?

— Komu się to udaje? — powiedział. — Wstał znowu; podszedł do okna zasłaniając je plecami. — Która godzina? — zapytał.

— Pierwsza.

— Za godzinę pojedziemy — rzekł. — spróbuj teraz spać. — Wyszedł na korytarz i poszedł do łazienki trzymając w ręku zielony, wojskowy ręcznik. Łazienka była zajęta; oparł się plecami o ciepłą ścianę i czekał. Potem jakaś dziewczyna wyszła z łazienki trzymając w ręku sandały.

— Och, Dov — powiedziała. — Pamiętasz mnie? Chodziłam do szkoły razem z twoim bratem...

— Włóż te sandały — powiedział.

— Czego chcesz?

— Włóż te sandały — powiedział. — I nie chodź boso.

— Wariat — powiedziała. — Jeszcze jeden wariat.

Wyrwał sandały z jej rąk i rzucił je na ziemię. Potem wykręcił jej rękę do tyłu.

— Włóż — powiedział. — Patrzył na jej szczupłe, opalone stopy a potem przyklęknął i zapiął jej rzemienie. — Nie przeziębisz się — powiedział.

Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Stał chwilę pod strumieniem zimnej wody, potem wytarł ciało ręcznikiem i wyszedł. Zobaczył jakiegoś chłopaka stojącego pod ścianą i dziewczynę.

— To ten — powiedziała dziewczyna.

Stał przed nimi w kręgu nikłego blasku. Twarz miał martwą, pustą; jego zrośnięte brwi nadawały tej twarzy wyraz mski — teraz, kiedy stał w półcieniu i nie widać było jego oczu.

— Tak — powiedział chłopak. — To on. Ben Dov.

Chciał odwrócić się i odejść, ale wtedy szarpnęła go za rękę.

— Ty tchórzu — powiedziała. — Ty głupi tchórzu. — Odepchnęła go i podeszła do Dova. — Weź mnie ze sobą — powiedziała. — Jeśli naprawdę jedziesz do Ejlatu.

Nie patrzył na jej twarz, która była teraz blisko jego twarzy; patrzył tylko na jej stopy w sandałach.

— Zostaw mi swój adres — powiedział.

— Napiszesz do mnie?

— Powiem ci jak było kiedyś w Ejłacie — powiedział. — Nie było kobiet i wtedy chłopcy, którym nie było wolno opuścić miasta, składali się w pięciu na jedną kurwę i kupowali jej bilet lotniczy tam i z powrotem a potem ona przyjeżdżała i z każdym spała przez ten jeden dzień i odlatywała z powrotem wieczornym samolotem. Jeśli się nic nie zmieniło, to na pewno napiszę do ciebie. — Przydeptał jej bosą stopę swoim butem i widział jak jej oczy zmatowiały z bólu. — Chcesz? — zapytał. — Musisz tylko zostawić adres.

Odepchnął ją i poszedł do pokoju. Podeszedł do okna i zamknął je; potem usiadł na łóżku i patrzył na swoje brązowe ramiona pokryte znów potem. Otarł je ręcznikiem raz i drugi, potem odrzucił ręcznik który upadł ciężko na posadzkę.

— Śpisz? — zapytał.

— Nie.

— I ja nie mogę spać — powiedział. Chyba już nigdy nie będę mógł spać. To ta cholerna posadzka, Izrael.

— Posadzka przeszkadza ci spać, Dov?

— Bo myślę wtedy o niej — powiedział. Leżał nieruchomo; ramiona trzymał pod głową i starał się nie czuć potu, nie

myśleć o nim. — I przypominam sobie jak ją pierwszy raz zaprowadziłem do pokoju w Jerozolimie — powiedział. I było gorąco a ona chodziła nago po pokoju i jej stopy zostawiały ślad na kamieniach. To tak, jakby wyszła z rzeki, mówię ci. Ale nie przeszkadzało mi to. Ani to, że było gorąco, ani to, że była mokra. A potem wracała do mnie, do łóżka i robiliśmy znaki na ścianie. I rano powiedziała do mnie: Postawiłeś o jedną kreskę za dużo, Dov. Nie, powiedziałem, postawiłem akurat tyle kresek ile było. Dov, powiedziała. Kocham cię. Nie chciałabym sprzeczać się z tobą o tę jedną kreskę. Podeszła do ściany i zmasała te znaczki. Zaczniemy jeszcze raz od początku, powiedziała.

Umilkł.

— Kiedy ją widziałeś po raz ostatni, Dov? — zapytał tamten.

— Półtora roku temu — powiedział Dov. — Wtedy właśnie, kiedy mieliśmy się rozjeść. Ale spotkałem ją wieczorem przed rozprawą i ona poszła do mnie a ja to powiedziałem sędziemu i sędzia oddalił sprawę.

— Dlaczego nie pojedziesz teraz do niej, Dov? Powiedz jej, że chcesz spróbować z nią jeszcze raz.

— Nie — powiedział. — To wszystko nie ma już sensu. — Wstał, podszedł do łóżka tamtego. — Idź spać na moje łóżko — powiedział. — Chcę się odwrócić twarzą do ściany. Nie chcę widzieć tej cholernej posadzki.

— Wróć do niej, Dov — powiedział Izrael. Patrzył na mężczyznę stojącego przed nim; na jego ciężką, pochyloną głowę i krzywo zrośnięte brwi. — Dlaczego nie spróbujesz jeszcze raz być odważnym.

— Mam coś lepszego od odwagi — powiedział Dov. Wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni; wyjął z niego fotografię i podsunął pod oczy tamtego. Spójrz na tego gościa — powiedział. — Ten gość nie waży więcej jak sto trzydzieści funtów. I jest przy tym i mały, i głupi i tchórzliwy. Popatrz na niego. — Izrael siedział nieruchomo na łóżku. — Weź do ręki tę fotografię — krzyknął Dov. — Ale już.

— I po co to, Dov? — zapytał Izrael. — Czy musisz nosić przy sobie fotografię kochanka żony?

— To tylko dlatego, żeby pomóc własnej pamięci — powiedział Dov. — Ludzie niczego nie boją się tak, jak własnej pamięci. A ze wszystkich ludzi na świecie ja się jej najbardziej boję. Więc po to. Jeśli się kiedyś zakocham, to wyjmę tę fotografię, popatrzę sobie na nią i powiem: Uważaj, Dov. To właśnie z kimś takim jak ten może odejść od ciebie żona. — Wyciągnął rękę. — Oddaj — powiedział.

— Nie — powiedział tamten. — Nie oddam ci jej. Od roku mieszkam z tobą i od roku nosisz z sobą to zdjęcie. Nie, Dov. Nie oddam ci tego.

— Oddaj mi to zdjęcie, Izrael — powiedział Dov.

— Nie — powiedział tamten cofając się podczas gdy Dov szedł ku niemu. Nie oddam ci tego zdjęcia, Dov. — Podarł je i wyrzucił strzępy za okno. — Uderz mnie, jeśli ci to jest potrzebne — powiedział. — Każdy człowiek może zostać kiedyś uderzony. Dlaczego nie zostać uderzonym za dobrą sprawę? — Patrzył na ręce tamtego opuszczone teraz bezsilnie; potem odepchnął go łagodnie; wziął z kąta drelichowy worek i zarzucił go sobie na ramię. — Czas na nas, Dov — powiedział.

— Możemy zostać jeszcze dwie godziny — powiedział tamten. Usiadł ciężko na łóżku; ramiona jego wciąż jeszcze drgały. — Mamą jeszcze czas.

— Nie — powiedział Izrael. — Jedziemy. Pojedziemy jeszcze raz do twojej żony. Ostatni raz.

Wszedł portier.

— Ludzie się skarżą, że głośno u was — powiedział. — Nie mogą spać. Chyba ktoś, kto płaci za hotel ma prawo przespać się trochę, nie? — Popatrzył na spocone ramiona Ben Dova. — Zrobię wam trochę herbaty jeśli chcecie — powiedział. — Dwie szklanki za pół funta.

— Jedziemy już, Harry — powiedział Izrael.

— Kiedy wróćcie z powrotem do miasta, przyjdźcie do mnie — powiedział portier. — Policzę wam taniej za pokój. Ty wiesz Dov, że ja cię lubię.

— Nie — powiedział Dov. Wstał z łóżka i włożył koszulę. — Ty mnie nie lubisz i ja cię nie lubię. W ten sposób sprawa się zamyka.

— Nie chcecie herbaty? To by wam dobrze zrobiło.

— Nie.

Zeszli w dół ciemnymi schodami i weszli do jeepa wrzuciwszy worek na tylne siedzenie. Żebak siedzący na rogu Ben-Jehuda śpiewał wciąż jeszcze chociaż ulice były już puste od dwóch godzin. Dov pochylił się; wyjął z kieszeni funta, zmiął go w kulkę i rzucił żebrakowi. Przerwał śpiew i zwrócił swoje puste oczy w ich stronę.

— Jesteś dobrym człowiekiem — powiedział. — I Bóg cię nie opuści.

— Jest nas dwóch — powiedział Dov. — Dlaczego mówisz tylko do mnie?

— Jesteś dobrym człowiekiem — powiedział tamten. — I Bóg cię nigdy nie opuści.

— Dov — powiedział Izrael. — Mówiłem ci już, że ten człowiek jest głuchy.

— Dobrze — powiedział Dov. Odwrócił się ku niemu. — Dlaczego nie jedziesz? Znasz przecież drogę.

— Tak — powiedział tamten włączając bieg. — Za godzinę będzie już jasno. I wtedy ją zobaczysz.

— Chcesz naprawdę, żebyśmy do niej pojechali — zapytał Dov.

— Musimy do niej pojechać.

— Nie widziałem jej osiemnaście miesięcy — powiedział sennie Dov. Oparł głowę o dłonie. — Osiemnaście miesięcy, Izrael.

— To się nie będzie liczyć — powiedział tamten. — Liczy się tylko to, że ją teraz zobaczysz. Teraz o wschodzie słońca, Dov.

Opuścili już miasto i jechali pustą szosą. Czuć było jeszcze zapach przekwitłych drzew pomarańczowych; ten zapach żył jeszcze w ciemnym, gorącym i nieruchomym powietrzu nocy. Księżyc jaśniał teraz na szczycie nieba i cień samochodu był ostry niby w dzień. Przeszedł szakał przez drogę i dojrzeli jego ogromne, błyszczące oczy — nie spieszył się wcale i nie lękał samochodu; przeszedł przez szosę na swych miękkich łapach niby obłaskawiony kot.

— Chciałbym, żeby była w tej sukience w której ją zobaczyłem po raz pierwszy — powiedział Dov. Mówił sennym, zmęczonym głosem; jak dziecko, które opowiada o czymś swojej matce przed zaśnięciem. — W takiej zwyczajnej, jasnej sukience z odsłoniętymi ramionami. Jak myślisz: jak ona może być ubrana?

— Nie wiem. Ale może będzie właśnie tak ubrana jak mówisz. Dlaczego ona odeszła od ciebie, Dov?

— Myślę, że to moja вина, Izrael — powiedział. — To dlatego, że nie umiałem nigdy pomyśleć zanim coś zrobiłem. Może byłem za gwałtowny, ale przecież nie jestem własnym patentem. Nie wymyśliłem samego siebie. To nie tylko inni muszą mnie znosić. Ja sam muszę także siebie samego znosić i nie idzie mi to wcale łatwo. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Myślę, że to naprawdę wszystko moja вина. Ale nauczyłem się chyba czegoś w ciągu tych półtora roku. I ona chyba też.

O czwartej rano wjechali do wsi. Jechali wzdłuż szeregu parterowych domów, potem Dov powiedział:

— Zatrzymaj się tutaj.

Stanęli przed jakimś płotem który odgradzał wioskę od

drogi; płot ten miał trzysta, może trzysta pięćdziesiąt metrów długości i był wysoki — sięgał do ramion.

— Co to za cholerny płot? — zapytał Izrael. — Czy oni tam latają nago po polach? A może urządzają próby wodewilu i nie chcą, żeby rabini z miasta ich nakryli?

— Oni założyli tam pardes — powiedział Dov. — Tędy idzie wiatr z pustyni i wywiewa im pewnie nasiona.

— Dlaczego chcesz czekać tutaj, Dov?

Wskazał na dom leżący u końca płotu; okna domu były jeszcze ciemne a okiennice zamknięte.

— To ona tam mieszka — powiedział. — W tym domu. I zaraz musi stamtąd wyjść. Pracuje w przedszkolu i musi tędy iść.

— Dlaczego nie pójdziesz do niej i nie zbudzisz jej? Może tak właśnie byłoby najlepiej.

Odwrócił się ku niemu.

— Bo po prostu boję się — powiedział. — Bo ją znam.

— Nie bój się — powiedział Izrael. — Pamiętaj, co ci powiedział ten żebrak któremu dałeś funta? „Jesteś dobrym człowiekiem, Bóg cię nie opuści”.

— To ona — powiedział Dov.

Drzwi domu otworzyły się i widzieli teraz tylko głowę kobiety, idącej bardzo powoli. Tylko jej głowę; piękną, ciemną głowę młodej kobiety, kiedy kroczyła nienaturalnie powoli po drugiej stronie płotu. Szła tak, jak gdyby była bardzo zmęczona; tak, jak chodzą starzy ludzie, potem zatrzymała się i zawiązała sobie białą chustkę na głowie. Znów ruszyła naprzód; nie widzieli jej nóg ani jej ciała; tylko głowę sunącą ponad zielonym płotem — a potem płot skończył się i zobaczyli, że kobieta jest w ósmym, może w dziewiątym miesiącu ciąży.

O godzinie szóstej wieczorem wjechali do Ejlatu; ich twarze i koszule pokryte były skorupą rdzawego, zaskorupiałego pyłu. Podjechali do budynku w którym mieściła się dyrekcja lotniska; Dov wysiadł z wozu, wszedł do środka baraku; Izrael został w jeepie. Patrzył na pasmo gór — czerwonych teraz w zachodzącym słońcu; potem odwrócił głowę i patrzył na zatokę. Morze było gładkie i ciemne a plaża zapełniała się powoli ludźmi wracającymi z pracy. Samolot typu „Dakota” podrywał się ciężko z ziemi; zatoczył łuk nad zatoką i wchodził powoli ponad góry. Potem Dov wyszedł z baraku.

— Musimy poczekać — powiedział. — Dov zaraz przyjdzie.

— Kto?

— Dov, mój brat.

— Twój rodzony brat nazywa się tak samo jak ty? — zapytał Izrael.

— To przez mojego ojca — powiedział. Stał koło jeepa i zdrapywał z twarzy i ramion rdzawą skorupę. — Ty jeszcze nie znasz naszego taty. Kiedy mój brat się urodził, matka chciała go nazwać po swojemu, ale ojciec był z nią o coś pokłócony. Nienawidził jej zresztą przez całe życie. Moje imię będzie dobre dla niego, powiedział. Mnie mój ojciec wybrał imię i jestem zadowolony. On też będzie zadowolony. A potem zawołał mnie i zapytał: jesteś zadowolony ze swojego imienia, Dov? Powiedziałem mu, że tak a wtedy on powiedział do mojej matki: No widzisz. Ten jest zadowolony to i tamten będzie się cieszyć. Wszyscy płakali, błagali go, ale stary się uparł. No i nazywa się Dov, tak jak ja.

— A jak go nazywacie?

— Drugi Dov.

Jakaś ciężarówka zatrzymała się koło nich i chłopak stojący na stopniu zeskoczył. Był jasnowłosy, wysoki; szedł ku nim pochyliwszy głowę do przodu — tak samo jak i brat jego, Dov stojący nieruchomo koło jeepa i trzymający przepoconą koszulę w opuszczonej ręce.

— No — powiedział Dov. — Jak tam stary?

— Nie bój się o niego — powiedział Drugi Dov. — Znasz go chyba. Będziesz miał jeszcze dość czasu, żeby go przeklinać. — Odwrócił się ku Izraelowi; patrzył na niego uważnie, bez uśmiechu. — To jest twój kumpel, Dov?

— Twój także — powiedział. — Jedziemy. Jestem głodny, Dov a muszę jeszcze podjechać do jakiegoś garażu.

— Rozsypuje się twój jeep?

— Chciałbym, żeby zmienili mi olej i filter — powiedział. — Olej jest czarny jak smoła a filter musi być zapchany tym choler-nym pyłem.

Wjechali do małego garażu. Człowiek który tam pracował ubierał się właśnie i był wściekły.

— Teraz? — powiedział. — Czy nie wystarczy wam, że muszę wstawać o czwartej rano? Wjedźcie sobie sami na kanał. Ja sprzedam wam tylko olej i filter.

— Gdzie jest twój kanał?

— Tam — powiedział. Wskazał im ręką krótki i wąski kanał; był tak wąski, że musieli wyskakiwać z jeepa tyłem. Dov wszedł do kanału; kanał nie miał nawet metra głębokości; uderzył się głową o zderzak, kiedy pochylał się z kluczem aby odkręcić spust karteru.

— Niech go cholera weźmie z jego kanałem — powiedział.

— To nie ja wymyśliłem ten kraj — zaszczekał z tyłu właściciel. Rzucił mu dwie galonowe puszkę oleju i filter. Ale nie odchodził jeszcze. Patrzył na nich rozpaczliwym, zawiedzionym wzrokiem. — Sam wygrzebałem ten kanał — powiedział. — I już dwa razy przychodzili do mnie z magistratu żebym go pogłębił. — Uśmiechnął się radośnie. — Już niejeden rozwalił sobie łeb o ten kanał — powiedział.

— Ty też rozwalisz sobie łeb pewnego dnia — powiedział Dov. — A wtedy twoja żona będzie mogła nareszcie wyjść za mąż za twojego współnika. Oni to już od dawna planują. — Wyjechał z powrotem. — Siadajcie — powiedział. — Pojedziemy do domu, czy zjemy coś w restauracji?

— Możemy pojechać do domu — powiedział Drugi Dov. Wsiadł do jeepa; jechali powoli wzniesając tuman rdzawego kurzu. Słońce przechodziło teraz wierzchołkami gór i nie były już czerwone tak jak przedtem — były teraz ciemne i wydawały się dalekie. — Skręć tu na lewo — powiedział Drugi Dov; zatrzymali się przed małym domkiem. — Staraj się nie drażnić starego skurwysyna — powiedział Drugi Dov do brata.

— To nie będzie łatwe — powiedział tamten. Wziął z jeepa brezentowy worek i zarzucił go sobie na ramię. — Pewnego dnia ugryzie się we własną rękę i wtedy będzie nareszcie spokój z nim.

Weszli do domu. Drugi Dov otworzył drzwi pokoju i wepchnął ich. Stary człowiek siedzący przy stole podniósł na nich wzrok.

— No, tata — powiedział Drugi Dov. — Zobacz, kto do nas przyjechał. Jeszcze nigdy tak dobrze nie wyglądał.

— Gdzie jest Dina? — zapytał stary.

— Nie wiem, tato — powiedział Dov.

— Przyjeżdżasz do mnie, do twojego starego ojca i nie umiesz mi powiedzieć gdzie jest twoja żona?

— To nie jest dobra kobieta, tato — powiedział Dov. Mówił z wysiłkiem podczas gdy stary człowiek dygotał z pasji. — Nie myśl o niej.

— Nie ma kobiet dobrych i złych — powiedział stary. — Są tylko mężczyźni którzy nie potrafią traktować ich tak, jak je traktować trzeba. Żyłem z twoją matką przez trzydzieści lat i przez trzydzieści lat robiła tylko to, co ja jej kazałem. I myślała tylko to, co ja myślałem. Gdzie jest żona twoja, Dina?

— Jest z innym mężczyzną — powiedział Dov. — I będzie miała z nim bękarta.

— A ty przyjeżdżasz do twojego starego ojca, żeby mu powiedzieć, że ożeniłeś się z kurwą? — powiedział stary. — To po to uciekłem tutaj, aby was tutaj spłodzić i abyście byli wol-

nymi ludźmi. To po to, przysięgłem Bogu, że dam dzieciom moim wolność i za waszą wolność zapłaciłem swoim zdrowiem i swoją pracą. — Podniósł na niego nieprzytomne, fanatyczne oczy. — Gdzie jest Dina, Dov? — krzyknął.

Dov wziął ze stołu stojącą szklankę z wodą i napił się. Jego zęby dzwoniły o szkło.

— Jesteś starym, chorym wariatem — powiedział do ojca. — To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Jesteś okrutny jak dziecko. Ale jesteś już stary i niedługo odejdziesz.

— Czy skończyłeś już pić? — zapytał stary.

— Tak.

— Postaw szklankę na stole.

Dov postawił szklankę na stole a wtedy stary cisnął ją z całej siły o ścianę i wszyscy uskoczyli w bok.

— I tak będzie ze wszystkim, czego dotkniesz w moim pokoju — powiedział stary. — Nie wchodź tu nigdy więcej, dopóki ty nie wrócisz do Diny albo dopóki Dina nie wróci do ciebie. Nie jesteś mężczyzną, Dov. A teraz wyjdźcie stąd i zamknijcie drzwi.

Wyszli; weszli do drugiego pokoju. Drugi Dov wyciągnął z lodówki piwo i postawił je przed nimi na stole.

— Ja tam zawsze mówiłem, że mamy miłego tatę — powiedział Drugi Dov. — Szkoda tylko, że jest Żydem. Mógłby grać w szkolnych przedstawieniach dobrego czarnoksiężnika. — Odwrócił się do Izraela. — Jak ci się podoba nasz stary skurwysyn? — zapytał.

— Szkoda mi go — powiedział Izrael.

— Ale mnie go nie szkoda — powiedział Drugi Dov. — Moja żona często płacze przez niego. — Otworzyły się drzwi i dziewczyna weszła do pokoju. — To jest moja żona, Esther — powiedział Drugi Dov. — A to mój brat, Dov.

— Ludzie mówią o tobie, że jesteś zły — powiedziała Esther zatrzymując się przed Dovem. — Ale ja się cieszę, że jesteś tutaj. — Wyciągnęła do niego rękę i on ujął ostrożnie jej kruchą, wąską dłoń. — Cieszę się, że pomożesz nam — powiedziała.

— W czym chcesz, żebym wam pomógł, Esther — zapytał Dov. Siedział ciężko na krześle; koszulę ściągnął i wszyscy patrzyli na jego twarde, brązowe ramiona.

— To chodzi o ryby, Dov — powiedział jego brat.

— To ty jesteś rybakiem, nie ja — powiedział. — Nie cierpię ryb, Dov. Przykro mi bardzo, ale nigdy ich nie cierpiałem. Lubię tylko śledzie, ale muszę mieć do nich wódkę. Ale ty przecież nie lubisz pić. I nie rób tego. Spadnie ci z głowy cała masa kłopotów.

— Dov — powiedział jego brat. — Czy ty wiesz ile zaro-

biłem w tym roku? Dwa tysiące osiemset funtów. A jest już prawie po sezonie. Nie wiem czy mi się uda w tym roku zarobić cztery tysiące. A wiesz ile zarobiłem w zeszłym roku? Jedenaście tysięcy.

— Powiedziałem ci już, że nie jestem rybakiem — rzekł Dov. — Mogę spróbować ci pomóc, ale nie myślę, żebyś miał ze mnie pociechę.

Drugi Dov podszedł do okna i odsunął firankę.

— Podejdź tutaj, Dov.

Podszedł do niego z butelką piwa w rękę; oparł się o ścianę i natychmiast odsunął się z powrotem — wszyscy widzieli ciemną plamę potu, którą pozostawiło jego ciało.

— Nie muszę podziwiać Ejlatu — powiedział. — Byłem tutaj już w czterdziestym ósmym roku, kiedy Ejlat został zdobyty przez naszych. — Napił się łyk piwa; butelkę odstawił na stół. — Było nas dokładnie czternaście jeepów.

— Spójrz na ten samochód, Dov — powiedział Drugi Dov.

— To stary GMC — powiedział. — Mieliśmy takie w wojsku.

— Ten samochód należy do ludzi, którzy łowią ryby, Dov — powiedział Drugi Dov. — To właśnie oni zabierają moje ryby i moją forszę. Ale oni nie przyjechali do Ejlatu dobrowolnie, tak jak ja. Ich zesłała tutaj policja. I oni znaleźli tu sobie dobry job. Mają motorowe łodzie i zgarniają tyle ryb ile im się podoba. I moją forszę przy okazji. A teraz kupili sobie jeszcze ten samochód i zarabiają więcej, niż im się to śniło po więzieniach.

— To morze należy do wszystkich ludzi — powiedział Dov. — Nie można go ogrodzić drutem kolczastym. Nic ci na to nie umiem poradzić.

— Ci ludzie cię znają, Dov.

— Ale ja ich nie chcę znać.

— Ci ludzie cię znają i boją się ciebie.

— To niepotrzebne — powiedział. — Nie muszą się wcale bać. Ja im niczego nie zrobię.

— Ja myślałem...

— Ja wiem, co ty myślałeś — powiedział Dov. — Ty myślałeś, że twój brat przyjedzie i będzie się bić za ciebie. Ale nic z tego nie będzie. Mam prawie czterdzieści lat. I teraz chcę spokoju. I jeszcze jedna rzecz: jeśli zrobię choćby najmniejszą awanturę — to zamkną mnie na parę lat do więzienia. Pamiętaj, że zostałem wypuszczony warunkowo. Ale jeśli mi się coś zdarzy to pójdę siedzieć. Wystarczy, żebym potrafił kogoś na ulicy, albo żeby się komuś moja morda nie spodobała. — Wziął od brata butelkę z piwem i wypił wszystko do dna. — Powiedz, jeśli ci

będę przeszkadzać w tym domu — powiedział. — Lepiej pójdę do hotelu.

— Nie — powiedział Drugi Dov. — Jesteś moim bratem. — Milczał przez chwilę potem zapytał: — Więc naprawdę nie chcesz mi pomóc, Dov?

Podniósł na niego zmęczone oczy.

— Zobacz ten worek tam w kącie — powiedział. — Widzisz go?

— Tak powiedział Drugi Dov.

— To jest wszystko, co mam — powiedział. — A ten jeep na dworze nie należy do mnie. Spróbuj żyć inaczej niż ja żyłem. — Podeszedł wolno do Esther i wyciągnął ją na środek pokoju, w krąg światła lampy. — Masz piękną żonę — powiedział. Położył jej na ramionach swoje ciężkie ręce. — Chciałbyś ją stracić, Dov? Spróbuj żyć inaczej, to wszystko.

— Słyszałem, że tamci chcą kupić jeszcze jedną łódź — powiedział Drugi Dov. — Wtedy będę mógł spakować walizki i wyjechać z Ejlatu.

— To zrobisz tak — powiedział Dov. — Jesteś młody i masz piękną żonę. Wszystko czego ci trzeba do szczęścia to łóżko i sąsiedzi, którzy rano śpią. — Podeszedł do kąta i wziął stamtąd swój worek. — Gdzie będziemy spać, Dov?

— Myślałem, że będziesz mógł spać z ojcem — powiedział Drugi Dov. — Ale będzie chyba lepiej, jeśli pójdziesz spać do nas?

— Z tobą i z Ether w jednym pokoju?

— Jesteś moim bratem — powiedział.

— Tak — rzekł. — Jestem twoim starym, nieudanym bratem, który nie potrafi ci pomóc. A teraz chciałbym spać. Nie spaliliśmy wcale tej nocy.

— Dobrze.

Poszli do drugiego pokoju. Izrael wyjął z worka dwa pledy i dwa pledy dała im Esther.

— To nam wystarczy — powiedział Dov. — Tu, w Ejłacie, prawie wszyscy śpią na ziemi. A ty nie idziesz spać?

— Nie — powiedział Drugi Dov. — Chciałbym wziąć twój samochód i pojechać trochę z Esther na plażę. — Milczał chwilę, potem powiedział: — Nie mam własnego wozu. — Podeszedł do okna i zatrzasnął je. — I oni akurat muszą stawiać ten wóz pod moim oknem — powiedział. — Czy mogę wziąć twój samochód?

Dov podał mu klucze.

— Dobranoc — powiedział. — Dobranoc, Esther.

Ale nie odpowiedziała mu. Stała przez chwilę nieruchomo w progu, potem odwróciła się i odeszła. Usłyszeli warkot odjeżdżającego.

jącego jeepa. Zgasili światło, ale nie spali jeszcze. — Ani Izrael, ani Dov.

— Znów ta posadzka — powiedział Dov. — Wczoraj w nocy patrzyłem na nią a dzisiaj muszę leżeć na niej.

— Nie myśl o tym — powiedział Izrael.

— Szkoda, że nie mamy jakichś proszków na sen — powiedział Dov. — Znów nie będę mógł spać. Kiedy Dina była ze mną, nie potrzebowałem proszków. — Uniósł się na łokciach. — Czy wiesz, że czasem zasypiałem na niej a ona bała się mnie budzić i leżała bez snu przez pół nocy, i czekała, dopóki nie zasnę na dobre.

Izrael nie odpowiedział. Leżeli w ciemnościach nasłuchując własnych oddechów. Za ścianą modlił się monotonna ojciec Dova.

— Przestań się modlić — krzyknął nagle Dov. Uderzył pięścią w ścianę raz i drugi. — Daj innym spać, jeśli już sam nie potrzebujesz snu.

Usłyszeli kroki starca idącego wolno korytarzem. Dov wstał z ziemi i chwyciwszy krzesło uniósł je do góry a Izrael uczepił się jego ręk. Potem stary wszedł do pokoju i wyciągnął w kierunku Dova swoją rękę oplecioną do ramienia rzemieniem.

— Mógłbym usłuchać ciebie, synu — powiedział starym, wysokim głosem gdybyś był mężczyzną. Ale nie jesteś nim. Nie wiem, czego ci brakuje ale chyba brakuje ci czegoś jeśli opuściła cię żona. Jeśli będziesz chciał czegoś w tym domu ode mnie, albo od twojego brata, to proś, ale nie rozkazuj.

Wyszedł cicho zamknawszy drzwi poza sobą.

Drugi Dov jechał powoli; teraz było już ciemne mimo księżyca idącego nad kwadratowymi szczytami gór — pustynia leżała powalona w mroku, w ciszy, bez światła i bez dźwięku; a mimo to czuli jej zapach, jej gorąco stale płynące ku nim kiedy przebijali się przez niewidoczne, stale następujące po sobie ściany gorąca. Jechał w kierunku plaży zjeżdżając na prawą stronę trochę zbyt ostro i nieporadnie — wtedy, kiedy nadjeżdżały samochody z przeciwnika.

— Chcesz jeszcze trochę popływać, Dov? — zapytała Esther.

Odwrocił ku niej głowę i zdawało mu się, że widzi w ciemności jej profil; wysokie czoło, krótki, prosty nos i mocną szyję.

— Nie — powiedział. — Wcale tego nie chcę. — Czy mówiłem coś o pływaniu, Esther?

— Dov — powiedziała. — Robiłeś to już ze mną dzisiaj dwa razy. Proszę cię, nie, Dov.

Przygarnął ją do siebie znów zjeżdżając prawymi kołami w piasek.

— Robiłem to? — powiedział. — Rzeczywiście? Mam złą pamięć, Esther. Jak wszyscy, którzy pracują zbyt ciężko.

— Nie — powiedziała. — Nie mogę już więcej, Dov.

— Nie wiesz, co możesz, a czego nie możesz — powiedział. — Musisz najpierw spróbować.

Koło lotniska skręcił z głównej drogi i pojechał w lewo. Jeep podskakiwał teraz na wybojach i Esther chwyciła się jego ramienia.

— Nie — powiedział. — Połóż głowę na moich kolanach. I obejmij mnie, Esther.

— Tak — powiedziała. Objęła go za szyję i przytuliła się do niego, nawet teraz, w ciemności wstydziła się — nie czuł już zapachu morza; czuł tylko zapach jej skóry łagodny i silny jak zapach chleba i czuł jej oddech na swojej szyi: gorący i czysty jak u dziecka. I nie mógł już jechać dalej: zatrzymał wóz, wyskoczył na ziemię i wyciągnął ku niej rękę.

— Chodź — powiedział.

— Tu są ludzie, Dov.

— Nie potrzebujesz się ich wstydzić, Esther — powiedział. — Jesteś ładna i czysta, i pachniesz jak chleb.

Ukląkł i ona uklękła a potem położył się koło niej na piasku i ściągnął z niej sukienkę a potem kostium kąpielowy.

— Ty jesteś jak zwierzę, Dov — powiedziała. — To tylko przypadek, że umiesz mówić i czytać. I że masz dobre serce. Ale naprawdę jesteś zwierzęciem.

— Ale ty jesteś moją żoną, Esther — powiedział. — I ja cię kocham. Czy naprawdę dużo jest mężczyzn którzy kochają swoje żony? Pomyśl o tym, Esther.

Marek HŁASKO

" El Norte "

Cieszyć się? Być złym? — Antoni nie jest pewien.

Pech (jak zawsze) czy też przygoda? — Antoni nie ma czasu się zastanawiać. Walczy bowiem. Właśnie postawił kołnierz wiatrówki. Symbolicznie. Cóż bowiem z tego że chroni mu szyję, skoro łydki gołe a *sombrero*, wczoraj zaledwie kupione *El Norte* z głowy mu zerwał i niczym latawiec uniósł nad Pacyfik.

— Cholera!

Ziarenka piasku wściekły się. Tak delikatne i miękkie pod naciskiem bosej stopy — nagle pokazały zęby. Zgrzytają i kłapią. Po gołych łydkach, poprzez kąpielowe spodenki, wiatrówkę. Wbijają się w ciało tysiącem ostrych szpilek — niczym kolczaste różgi wielkanocnych biczowników z Taxco. Tyle ma szczęścia że *El Norte* wieje przepisowo i idąc bokiem, jak krab („gdzie się te bestie podziały? Ani jednego nie widać na plaży”), nastawiając do wiatru plecy i manewrując ciałem niczym żaglem, popychany jest do przodu.

„Gdybym rozpostarł ramiona uleciałbym nad Pacyfik, jak mewa lub to moje *sombrero*” — i nagle chce mu się tańczyć i śpiewać. Że raz jeszcze może przeżywać takie uczucia, o których już niemal zapomniał w swoim prozaicznym, przyzwoicie na wszystkie guziki zapiętym, życiu amerykańskiego mieszczucha.

Z kolei nachodzi troska. Jak jeszcze daleko do *Pueblo*?

Po dwugodzinnej, bezcelowej wędrówce wzdłuż plaży ciągnącej się gdzieś hen, w rozedrganą upałem, siną dal, zawrócił stwierdziwszy, że mógłby tak maszerować i dzień cały i zająć najprawdopodobniej do nikąd. I zaraz potem nadleciał *El Norte*. Smagnął biczem splecionym z kłapiących ziarenek, szarą chmurą przysłonił niebieskie niebo, granatowy ocean, złotą plażę i szarozielone wzdłuż niej gąszcza. Zaryczał, zazgrzytał, zaświstał. I

teraz tylko ta plaża wyczuwalna pod stopami i groźny pomruk Pacyfiku z lewej strony świadczą, że Antoni idzie jeszcze w dobrym kierunku, że nie wciągnęła go karuzela żywiołów, że nie zboczył w okoliczne *arbustos*, kolczaste krzaki, że nie wlaź w labirynt grząskich lagun i morskich zalewów.

— Cholera!

Przekleństwa polskie łatwiej jakoś przychodzą na usta niż hiszpańskie czy angielskie. One i modlitwa są ponoć ostatnimi polskimi słowami które Polak-emigrant zapomina.

„Pierwszy dzień wakacji, od roku planowanych — i pogodę diabli wzięli!” Antoni usiłuje sobie przypomnieć jak długo *El Norte* wieje. Może tydzień? „Cholera! *Caramba! Hell!*”. Teraz już klnie na całego, we wszystkich językach. A piasek świszczce przez szczerbate zęby wiatru, i śmieje się z Antoniego, i popędza go kolczastymi różgami.

Po rybakach — (chudy jak szczapa, z brodą konkwistadora Pedro, tłusty ale w wodzie jak foka zgrabny Jose, mały Alehandro, czarny Horhe... pełen *sexu* Pepe...) którzy w tę właśnie porę winni wypływać na Pacyfik i zarzucać sieci na wieczorny połów (a na plaży zebrana reszta ludności *puebła* — *senory*, *senority*, *ninos*, z koszykami siatkami, rozśpiewani, rozwrzeszczani, niecierpliwie oczekujący darów morza) — oczywiście ani śladu.

Po chmurach ptactwa: szarych i białych czapkach, cierpliwie wyłapujących w lagunach sardynki, po czarnych kormoranach, różowych flamingach, brązowych ibisach, po wszelkiego gatunku, koloru i wielkości mewach — w tę wieczorną porę gęsto obsiadujących laguny i zalewy — oczywiście ani śladu.

I tylko on, *Antonio, loco gringo*, zwariowany cudzoziemiec, popędzany wiatrem, biczowany piaskiem, na przemian zły i szczęśliwy, głodny i syty.

„Niczym hamsin na irackiej pustyni”, przypomina sobie i w oczach staje mu *tamten* piasek, też do krwi gryzący, tamto pragnienie i tamte czasy i tamci ludzie...

...Wśród pierwszych chałup *pueblo* Antoni znalazł się niespodziewanie. Nagle jak gdyby mu skrzydła podcięło. Piasek przestał siec, a wiatr popędzać — powstrzymane przez bambusowe ściany domostw. „Gdybym szedł pod wiatr, upadłbym plackiem na ziemię”, zaśmiał się wspominając (dla odmiany) północną Szkocję, gdzie niejedną raz w ten sposób, nosem utykając w ziemi, dowiadywał się że jest już wśród chroniących go od wiatru „beczek śmiechu”.

Po omacku, zapadły bowiem ciemności, objając bosc stopy na kamieniach, dotarł do obejścia Amado Castillejos.

...Rok temu, włócząc się po południowym Meksyku, Antoni zupełnie przypadkowo natknął się na to rybackie *pueblo*, słusz-

nie od wiatrów w nim wiejących *Ventosa* nazwane, nad zatoką Techuantepec przycupnięte, od świata, gazet, polityki i sportu, czarno-białych problemów, rozbrojenia i sputników, cywilizacji i turystów — bambusowymi żerdziami prymitywu odgradzone. Spędził w nim kilka dni, beztrudnie bujając się w hamaku pożyczonym od Amado, spijając jego *tequila*, domowym sposobem z kaktusów pędzoną, żartując z grubą Rosą, żoną Amado, i oblizując się po przyrządzanych przez nią tłustych krewetkach i langustach, pieprznym sosem podlanych. I mało nie został!

Senor Antonio już odjeżdża? — wesoła gęba Amado posmutniała.

— *Deber!* Muszę! Urlop się kończy. Robota czeka.

— *Senor...* — Amado rozłożył ręce jak gdyby chciał objąć nimi cały świat. Wielkim nosem pociągnął słony zapach Pacyfiku i uśmiechnął się szeroko:

— *Trabajo?* Robota??? *Senor* zostanie z nami a robota się znajdzie. Rybki będziemy łowić, *tequila* pić, kochać się (tu klepnął Rosę po tyłku) i będziemy szczęśliwi... A może *Senor* jest tam, w tej swojej Kanadzie szczęśliwy? — Tu Amado zmrużył jedno czarne oko i oblizał grube wargi zaznaczone czarnym wąsi-kiem.

— Cholera na ciebie Amado! Nie kuś... *Caramba!* Na przyszły rok przyjadę do was na dłużej, a wówczas zobaczymy... Pogadamy, napijemy się, pokochamy... *Si???*

— *Si Senor Antonio! Vas con Dios!*

...Karbidowa lampa, bujająca się pod pułapem, oświetlała tylko sam środek izby, na ścianach z bambusowych żerdzi kładąc ruchome, z *El Norte* roztańczone cienie. Czarne klepisko, koślawy stół, podwójny hamak, gliniane palenisko, drewniane skrzynie z butelkami oranżady, worki z grochem, blaszanki z naftą, kłęby zwiniętych sieci, pęki ziół i suszonych ryb pod pułapem.

— *Buenas noches Senor Antonio!* — Powitano go chóralnie.

— *Buenas noches,* — wypłuł z ust piasek, przetarł z piasku oczy i wytrzeptał piach z czupryny. Poczul się u siebie w domu.

Tłusty Amado ze swoją niemniej w kształty obfitą Rosą przelewali się z hamaka zawieszonego między drągami podtrzymującymi dach. Amado, na pół zwisając nad klepiskiem głąskał Rosę po grubej, owłosionej łydce, a ona wtłoczona między jego nogi czochrała mu kudłate włosy na głowie. Przy stole, w zawody z karbidową lampą, kiwał się Santos Linas jak stare jabłko pomarszczony Indianin z deszczowej dżungli nad Amazonką. Miał brudną, połatana, niegdyś amerykańską, khaki koszulę i białe, indiańskie portki, sięgające połowy masykularnych łydek. Głowę, z indiańska przewiązał czerwoną chustką. Przy palenisku krzątała się jego obwisła w piersiach, chuda jak stara kokosza, bezimienna

mujer, w krótkiej, czarnej spódnicy i czerwonej bluzce wyszywanej w żółte kwaty. Czarne włosy upięła w koronę, by jej przy gotowaniu nie przeszkadzały (normalnie bowiem plotła je w grubym warkocz, ozdobiony kolorową kokardą i tasiemkami). O obecności ich córki, Teresity, świadczyły tylko oczy błyszczące z mrocznego kąta i małe ale szerokie, nie nawykłe do obuwia stopy, kręcące się w kręgu światła lampy.

— Ale dmucha — stwierdził Antoni, siadając na krześle za stołem. — Myślałem że już nie dojdę.

— *El Norte!* — rzeczowo wyjaśnił Amado, głośnym klapsem spędzając Rosę z hamaka.

— Długo będzie wiał?

— Bóg wie... Dzień, dwa, tydzień...

— *Caramba!*... Daj więc co *tequila* na zalanie rozpaczy i coś do zjedzenia na wypełnienie brzucha. Od południa nic nie jadłem.

Rosa podeszła do Antoniego wahadłowym ruchem niczym nie podtrzymywanych, wielkich piersi. Nie była stara. Zdawała sobie bardzo dobrze sprawę z działania swoich obfitych kształtów na zmysły mężczyzn. I nie żałowała im tej rozkoszy.

— Co *Senor Antonio* chce jeść? — spytała, szczerząc zęby pełne złotych plomb. Stać ją na nie było. Po dwóch poprzednich mężach oddzieliła wystarczająco by z trzecim, Amado, bez trosko bujać się w hamaku. — *Camaron? Pescado? Cucarachas? Langosta?* — wyliczała, lubieżnie udem ocierając się o nogę Antoniego.

Machnął ręką jak gdyby chciał odpędzić natrętą muchę. Był głodny. W tej chwili miał ochotę nie na tłustą Meksykankę i jej morskie frykasy ale na zwykły befszyk podlany zimnym piwem. Kompromisowo sięgnął po swój worek leżący w kącie i wyciągnął z niego puszkę parówek i pomidorowej zupy. Wetknął je w pulchne dłonie Rosy.

— *El carne?* — spytała, oglądając puszki.

— *Si, si...* Mięso, konserwy.

Roześmiała się a za nią wszyscy inni. Nawet chuda *mujer* spod pieca pokazała rząd zdrowych, białych zębów. Tylko czarne oczy Teresity pozostały wpatrzone w Antoniego. Nie wiele z niej widział w rozchybotanym świetle lampy. Ładna... Młoda... Najwyżej 16 lat... Przeniósł wzrok na opustoszały po Amado i Rosie hamak. Nie bardzo sobie wyobrażał jak... Gdy z powrotem spojrzał na Teresitę zdało mu się, że w jej czarnych, złotymi żyłkami haftowanych oczach dojrzał błysk. Humoru? Ironii? A może tylko światło w nich się odbiło?

Amado odnalazł zardzewiały klucz do konserw i począł nim niezgrabnie majstrować przy puszkach. Antoni odebrał mu go,

sam puszki otworzył i postawił na stole. Rosa nie dotknęła ich nawet. Śmiała się dalej. Całą twarzą, całym podrygującym ciałem.

— Masz! Gotuj! — podsunął jej puszkę.

Podskok piersi, brzucha, ud — i nic.

— Nie wiesz jak? Nie umiesz?... A żeby was! (tym razem już po polsku). Dwudziesty wiek. Atomowa bomba, Sputniki, astronauty, telewizja. A tutaj, w Ameryce, nie mają pojęcia co się robi z parówkami i zupą z konserw... — Łyknął kieliszek *tequila* i sam podszedł do paleniska. Stały na nim czarne od sadzy garnki, w których gotowały się ryby i jakieś inne, morzu tylko znane przysmaki. Wybrał pusty, z glinianego dzbanka nalał wody i w milczeniu, zły jak osa, zabrał się do przyrządzania kawalerkiej kolacji.

Amado, Rosa, Santos Linas i jego bezimienna *mujer* zaglądali mu ciekawie przez ramię, chichocząc i wymieniając uwagi w niezrozumiałym dlań indiańskim narzeczu. Tylko czarne oczy Teresity pozostały w kącie. Czuł je na plecach, a w kręgu światła widział małe, kwadratowe paluszki jej stóp ruszające się nerwowo jak pazurki kota.

...W pół godziny później, zaspokoiwszy głód na pół surowymi parówkami i zbyt gęstą zupą Antoni postawił *tequila* dla mężczyzn a oranżadę dla kobiet.

(*Gracias Señor* — głos miała gardłowy. Pasował do czarnych ze złotymi żyłkami, trochę skośnych oczów. Ręka którą wyciągnęła po butelkę była kształtna, muskularna, ozdobiona dwiema złotymi bransoletami. Palce były długie, łapczywe. Twarz, która się na chwilę wyłoniła w krąg światła karbidowej lampy, była okrągła, gładka, koloru brzoskwini. Skośne oczy, wystające kości policzkowe, kształt ust i brody mówiły o pochodzeniu. Wypukłe piersi, wyraźnie rysujące się pod białą w różnokolorowe kwiaty haftowaną bluzką, mówiły o przeznaczeniu).

Chałupa trzęsła się od wiatru. Przez nieszczelne, bambusowe ścianki sypał piasek. Tańczył ogień na glinianym palenisku. Kiwała się lampa raz po raz oświatlając ten czy ów kąt izby. Po klepisku przebiegł wielki karaluch i długimi wąsami ruszył w stronę Antoniego. Skrzydłami gwałtownie zatrzepotał do żerdzi za nogę przywiązany indyk. Warknęła skulona pod stołem suka odpędzając dobierającego się do niej szczeniaka. Zagdakały kokosze. Zatrzeszczały bambusy. Ryknął za ścianą Pacyfik.

Zła noc, — stwierdził Santos Linas, sypiąc na dłoń sól i zlizując ją przed łyknięciem kieliszka *tequila*. Jego *mujer* kucnęła na klepisku odsłaniając obwisłe piersi i kościste kolana. Teresita po drugiej butelce oranżady (*Gracias Señor!*) przysunęła się do stołu, w krąg światła, naprzeciw Antoniego. Uśmiech Mona Lizy błakał się na jej pełnych, naturalnie czerwonych wargach.

— Zła noc, — powtórzył Santos, ćwiartką cytrynki przegryzając *tequila*. — Noc *nagual*!

— Nie gadaj! — mruknął Amado, bujający się z Rosą w hamaku. — Nie wywołuj złego.

— *Nagual*? A to co? — zainteresował się Antoni, rozlewając nową kolejkę wódki.

— *Senor* nie wie? — głos Teresity był prowokujący. — *Nagual* to człowiek który zamienia się w zwierzę.

Antoni zdziwił się. — To wy tutaj też w takich wierzycie? U nas, w Europie, wilkołakami ich zwano.

— To nie tutejsze czary, *Senor Antonio* — wtrącił Amado wyraźnie nie zadowolony z tematu rozmowy. — To z południa, znad *Rio dos Mortes*. My, *Americanos*, w takie przesady nie wierzymy.

„*Nosotros Americanos...*” z ust oliwkowego Metysa nie umiającego operować otwieraczem do konserw — symbolem XX-wiecznej Ameryki! Antoni uśmiechnął się ale zaraz dostrzegł jak palce Amado ułożyły się w charakterystyczny znak, mający strzec go od uroku. I przypomniał sobie swoją starą nianię, która czytać i pisać ledwie umiała i która taki sam znak robiła na widok zezowatego lub garbusa. A należała przecież do Europy. I jej bratankowie i siostrzenice budowali nowe życie w dalekiej „Hame-ryce”. Ludzie (myślał) są bliżsi sobie niż o tym kolor skóry czy geograficzna przynależność decydują. *Nagual* znad *Rio dos Mortes* czy wilkołak znad Renu lub Wisły należą do jednej cywilizacji...

— ...jeden zamienia się w nietoperza-wampira, inny w świnię, w psa, w lamparta — ciągnęła Teresita, nie zważając na protesty Amado. W taką noc jak dzisiaj świat należy do *nagual*. Gdy wiatr wyje wśród drzew i targa ścianami domów, ludzie skupieni przy ognisku drżą ze strachu... lub gdy *fiesta* rozpali krew w żyłach, gdy muzyka i *aguardiente* zniewolą myśl, *nagual* przyczaja się w mroku nocy i czeka: na dziecko opuszczone przez matkę, na *muchacha* samotnie wracającą do domu, na chłopaka pod palmą odspiającego tańce i pijaństwo.

— *O madre mia!* — piskliwie wrzasnęła Rosa, tuląc się do męża.

— Dałabyś spokój *muchacha*. Nie pora dzisiaj na takie bajki — strofował Amado wysuwając palce w kierunku Teresity.

Santos Linas w milczeniu kiwał się na stołku, wpatrzony w trzymany w dłoni, pusty już kieliszek. Jego *mużer* kiwała się na klepisku, wpatrzona w stojącą przed nią butelkę oranżady. Skrzypiał hamak pod roztrzęsioną Rosą. Skrzypiały bambusowe ścianki pod naporem *El Norte*. Czarne, złotem przetykane oczy Teresity bezustannie wpatrzone były w Antoniego. Aż mu było

głupio. Ładna — myślał — ale po co się tak gapi? Ciekawie opowiada, ale po co ludzi straszysz?

— *Senorita* widziała *naguala*? — spytał.

Rosa przeżegnała się. Amado splunął. Santos Linas i jego *mujer* przenieśli spojrzenia na córkę. Nawet okiem nie mrugnęła:

— *Si, Senor Antonio*. Widziałem... Był kotem. Czaił się pod drzwiami. Podśluchiwał co Enrique Leon opowiadał mi o miłości.

— Mógł być zwykłym kotem.

— *No Senor*. Kopnęłam go i na drugi dzień miał siniaka na udzie.

— Siniaka? Kot?

— Nie kot, *Senor Antonio*. Mój mąż.

Antoniemu zdało się że *El Norte* zawył w tej chwili głośniej i z jeszcze większą wściekłością potrząsnął chałupą.

— ...Następnej nocy rzuciłam w niego *machetą*. I od tego czasu więcej go już nie widziałam.

— Bo wystraszeni *caballeros* przestali ci mówić o miłości. Zaczęli cię unikać. — Amado splunął z obrzydzeniem.

Wiatr nagle ucichł.

— *Senor Antonio* ofiaruje mi jeszcze jedną oranżadę? — spytała Teresita.

Sięgnął po stojące w paczce butelki i zobaczył pchłę. Siedziała mu na ręce. Tłusta, czarna pchła. Zdusił ją między palcami. — Czy wiecie jak powstała? — spytał zadowolony, że jest okazja do zmiany tematu rozmowy.

— *No Senor* — odpowiedzieli.

Ponalewał *tequila* i otworzył butelki oranżady. Atmosferę trzeba było oczyścić z czarów.

— Arka Noego poczęła przeciekać... Nie było ani chwili do namysłu ani czasu na reparacje. Z powodu głupiej dziury groziła zagłada życia na ziemi. „Kto zatka tę dziurę otrzyma wszystko czego zapagnie!” ryknął przerażony Noe. Spomiędzy nóg zwierząt wypełznął wąż. Śmignął rozdwojonym języczkiem, łypnął wypukłym okiem i dziurę zatkał ogonem. Życie na świecie zostało uratowane. Ale gdy potop się skończył i arka osiadła na górze Ararat, wąż zażądał od Noego dotrzymania obietnicy. „Czego chcesz?”, niechętnie spytał patriarcha, zły, że wówczas tak pochopnie zobowiązywał się. „Tyle krwi ludzkiej ile będę w stanie wypić” zażądał wąż, najprawdopodobniej prawnuk tego, który skusił Ewę. Noe rozeźlił się nie na żarty. Obietnica obietnicą, ale bezczelność gada nie mogła ujsć bezkarnie. Złapał więc węża za ogon i cisnął go w ogień na którym właśnie przygotowywał pierwsze po potopie śniadanie. A gdy gad się spalił nadleciał *El Norte* i rozniósł jego popioły po całym świecie a z nich powstała pchła spijająca do-

woli krew ludzką, bowiem obietnica biblijnego patriarchy musiała zostać dotrzymana.

Towarzystwo zarechotało. Rozbijała w hamaku Rosa pokazała grubą łydkę, po której głośno klepnął ją rozbawiony Amado. Santos Linas zakrzyknął się *tequila* a jego *mujer* zakryła dłońmi twarz. Nawet Teresita uśmiechnęła się rżędem białych i ostrych ząbków.

— A *Senor* wie dlaczego wyjce w dżungli są całe czarne, ale zadek mają goły i różowy? — spytał Santos, nie chcąc pozostać dłużnym *gringosowi* w opowiadaniu zwierzęcych historyjek.

Antoni dolał mu *tequila*. — Opowiadaj.

— Dobry Bóg *Tonacatecutil* nudził się. Dla rozrywki więc postanowił sprawdzić które ze zwierząt jest najgłośniejsze. Wszystkie stanęły do konkursu licząc na hojną nagrodę. Lew ryknął po królewsku, leopard wydał głos jaki dzisiaj wydaje stalowa piła przy krajaniu hebanowego drzewa, słoń zatrzął triumfalnie przekonany że zwycięży. I koty próbowały, i kujoty, i żaby nawet. Na koniec wystąpiła mała małpa. Otworzyła paszczę i wydała taki przeraźliwy wrzask że dobry Bóg *Tonacatecutil* bez wahania przyznał jej pierwszą nagrodę. Zwierzęta były tylko zazdrosne, ale grzmot i błyskawica przysłuchujące się konkursowi były złe. Mała małpka stanowiła dla nich konkurencję w obliczu *Tonacatecutil*. Postanowiły więc ukarać jej zuchwałstwo, nauczyć poszanowania dla elementów i dać do zrozumienia, że nie ona ale one są najgłośniejsze na świecie. Grzmot ryknął a błyskawica uderzyła. I małpka szerniała w jej ogniu. Z wyjątkiem jednego tylko miejsca — tyłka na którym siedziała!

— *Bueno Senor... Bueno!* — wraz z innymi zawołał Antoni, klepiąc Indianina po kolanie.

— A o lamparce *Senor Antonio* słyszał? — Amado też miał historyjkę do opowiedzenia i swój pusty kieliszek do wypełnienia *tequila*. — W Tehuantepec *Senor* już był. *Mujer* i *muchachas* obwieszone złotymi dolarami widział, wdzięki ich podziwiał (tu Rosa stuknęła go w bok aż stęknął), był ofiarą ich złośliwego języka a może i ich temperamentu (tu odsunął się od Rosy, unikając następnego, mocniejszego ciosu). Ale *Senor* pewno nie wie, że kiedyś, za dawnych, przed-konkwistadorskich czasów żyli tam Zapoteci, sławne, waleczne plemię. Jako poganie, przez pobożnych braciszków jeszcze nie oświeceni, czcili lamparta. *La iglesia de la Santa Cruz*, przez Dominikanów na jednym ze wzgórz Tehuantepec wybudowany, stoi właśnie na miejscu pogańskiej świątyni, lampartowi poświęconej. Zapoteci wierzyli, że ten wielki, centkowy kot potrafi człowieka otumanić wyziewami żołądka. Gdy chciał złapać ofiarę otwierał tylko paszczę i odbijało mu się

z niej. Smród musiał być tak wielki, że padała bez przytomności, po czym już bez kłopotu lampart ją pożerał!

„Zapotecki *nagual*” pomyślał Antoni i spojrzał na teresitę. Ziewnęła szeroko, wśród ostrych ząbków ukazując drgający, czerwony języczek. Przypomniała mu że jest już późno. Że nazajutrz planuje pójście w teren. Na polowanie z aparatem filmowym.

— *Buenas noches* (wstał i przeciągnął się). Dobranoc.

— *Buenas noches Senor Antonio* — odpowiedzieli chórem.

— ...i *Senor* pozwoli że Santos Linas z rodziną przenocuje dzisiaj w *rancho Senora*? Gdy wieje *El Norte* trudno by spali na dworze — tłumaczył Amado.

Oczy Teresity były teraz złote, szeroko rozwarte. *Santos* wypił o jeden kieliszek za dużo i zasypiał na stołku. Jego *mujer* nie liczyła się. Amado i Rosa byli zajęci sobą. Antoni pomyślał o hamaku. Ciągle nie bardzo sobie wyobrażał jak...

Rancho które za 50 centimos dziennie (cztery amerykańskie centy) wynajmował od Amado było budą o bambusowych ściankach wzmocnionych gliną i trzcinowym dachu wzmocnionym bambusowymi żerdziami. Składało się z dwóch pomieszczeń odgrodzonych cienkimi deskami. W jednym wisiał hamak Antoniego i kolorowe kalendarze „Coca-Cola”, z których uśmiechały się (po nad butelką) landrynkowe twarzyczki amerykańskich blondynek i meksykańskich brunetek. W drugim stał połamany fryzjerski fotel i wisiało popękane i popstrzone lustro. Tam to Amado próbował niegdyś swojego wyuczonego w mieście fachu nim się przekonał, że rybacy jego umiejętności nie potrzebują, natomiast Rosa potrzebuje trzeciego męża. I tam to Santos Linas rozłożył teraz swoją słomianą matę, zapalił cienką świeczkę i wraz z obwisłą w piersiach *mujer* i dźwięczącą bransoletami Teresitą szykował się do spania.

Antoni podstawił mu resztę *tequila* w butelce i oranżadę dla kobiet, po czym nago zwałił się na hamak, pod plecy tylko podkładając wiatrówkę by mu sznury na nich nie wycisnęły szachownicy. Panował wilgotny upał. *Rancho* trzęsło się pod naporem wichury. Po bambusowych ściankach chlustał piasek. Łopotało coś pod trzcinowym dachem, chrobotało po kątach, dobijało się do nieszczelnych okiennic, gwizdało i skrobało pod drzwiami. Świeczka w sąsiednim pomieszczeniu zgasała. Umilkł szept głosów.

Nastąpiła przerwa.

— Antonio..

Hamak zachybotał. Jęknęła wichura. Zaskrzypiały sznury.

— Teresita...

...Rano *Ventosa* kąpała się w miękkich, złotych promieniach słońca. Pacyfik był idealnie gładki, białym językiem fal zlizując

plaże, na której wyroiły się miliony krabów. *El Norte* zamilkł. Uleciał na południe, zabierając ze sobą wspomnienia nocy.

Na środku *zocallo*, wiejskiego rynku, kobiety idące do miasta by tam na *mercado* sprzedać ryby — znalazły kota. Wielki, przegowany zwierz szczerzący białe kły i brązowymi ślepiami wpatrzony w niebo — przyszpilony był do ziemi fotograficznym trójnogiem. Ominęły go żegnając się i ukradkiem wyciągając palce rąk. Wiedziały już że handel w tym dniu nie powiedzie się. Wiedziały że połów wieczorny przyniesie puste sieci.

Antoni na lagunach i zalewach miał pełne ręce roboty w fotografowaniu czapli, flamingów, ibisów, kormoranów uczłujących na rybach wyrzuconych przez gniewny ocean. Wrócił do *pueblo* popołudniu. Rzeczy swoje znalazł pod drzwiami *rancho*. Amado był na połowie. Rosa w mieście. Po Santor Linas, jego *mujer* i Teresicie nie było śladu. Gdy się pytał — *lo siento* odpowiadano nie patrząc mu w oczy. — Przepraszamy... Nic nie wiemy... — Zarzucił więc worek z rzeczami na plecy i ruszył do miasta. Dziesięć mil polnej drogi, w upale i kurzu. Gdy doszedł — upił się. W pierwszej z brzegu *taberna*.

W mieście też kupił nowy trójnog fotograficzny. Co się z tamtym stało nie dowiedział się nigdy. Ani co się stało z Teresitą.

Aleksander GROBICKI

Bohaterzy i jajka

Minęliśmy już Perth a za oknami ukazały się zalesione góry. Chmurzyska, jak wata, wlokły się w dolinach a nad nimi ciemne kopce szczytów. Szlag mnie już dawno trafił; było mi teraz zupełnie obojętne czy zajadę do Aberfeldy, czy do okupowanego Żmigrodu. ...Jaką mi dadzą kategorię i czy w przyszłej wojnie zdolny będę do obierania ziemniaków w razie pospolitego ruszenia... Czy kiedykolwiek będę jeszcze pływał i czy mnie zdegradują. Noga, jak flak, nie mogła nieść ciężaru ciała, odciążałem ją więc przez wspieranie się na lasce. O jedno tylko dbałem — o to bym nie czuł bólu. Od roku już chętnie wyrzekłbym się wszelkich przyjemności ciała w zamian za wyzbycie się bólu. Niestety — nie dane mi było tego doznać.

Na przeciwnym siedzeniu dobrana trójka — ojciec i dwóch synków. Ojciec, oczywiście oficer, bo gwiazdą świecił na berecie, a dwóch młodych nic. Zwracali się doń, jak do ojca.

— Panie poruczniku — pytał jeden — a czy ten szpital ma polską obsługę?

— No, tak — odpowiadał ojciec-opiekun — przecież pisze „Polski Szpital”.

Pytający też trzymał laskę między nogami. Oszacowałbym go na 18-19 lat. Pochodzenie: zapewne ze wsi. Drugi siedział jakoś sztywno a żołnierski płaszcz aż pękał na nim. Na pewno był w gipsowym plastrze od szyi aż po tyłek. Oficer-ojciec miał czarny bandaż na jednym oku.

— A kiedy będziemy na miejscu, panie poruczniku? — pytał drugi.

— Tego, moi drodzy chłopcy, sam nie wiem. Przecież tam nigdy nie byłem.

Niższe pagórki pstrokate były w jaśniejsze plamy. Tylko w bliższych plamkach rozpoznać było można ciężarne wełną owce.

— Nikogo nie widać by je pilnował — komentował ten z laską.

Potem wymienili między sobą szept.

— Może pan marynarz wie kiedy będziemy na miejscu? — zwrócił się do mnie porucznik.

Miałem nieco informacji prywatnie od tych, którzy tu już byli.

— Powinniśmy być w Aberfeldy około 3-ciej. W tym czasie i tylko raz na dobę czekać ma na chorych sanitarka.

— Pan marynarz tu dawno w Anglii? — zaciekał się porucznik. (Nie rozróżniał Szkocji od Anglii).

— Ja od początku — odparłem. Z walizki wyciągnąłem szklaneczkę i butelkę rumu. Napełniłem. — Proszę, panie czniku — zaoferowałem mu. Trochę udawał, że się krępuje, podejrzliwie badał nie zaciemnionym okiem, wreszcie powąchał, powiedział „sto lat!” — i wychylił. Widzące oko zaszło mu łezką. Zaniemówił. Kiedy odzyskał dech i mowę, podziękował a podziękowawszy, zapytał: — Co to, do jasnej cholery, było? chyba śliwowica?

— Rum — poprawiłem go.

— Aby jak najprędzej do swoich... — westchnął jeden z żołnierzy.

— Swoi, zawsze to swoi — przytaknął mu ojciec-porucznik.

Poczęstowałem rumem i dwóch synalków. — Połknąć jak wodę, nie smakować — pouczałem. Obeszło się bez łez. Połknąłem też i ja, a że szlag dawno mnie trafił, straciłem chęć do rozmowy. Nic nie przeszkadzało mi jednak w słuchaniu. Ten usztyniony w gipsie zaczął się kręcić, krzywić twarz w bólu, to znów podrygiwać jakby chciał zrzucić gipsowy pancerz. Porucznik-ojciec wstał, pomógł wstać sztywnemu, uchylił mu płaszcz i przez mundur wymacał dolną krawędź gipsu. Poruszał nim, potrząsał i jakby podźwignął do góry. Teraz lepiej. Już tak nie ugniata. Żołnierz ostrożnie usadowił się znów.

— Tu nie tak, jak we Włoszech. Tu jest porządek — objaśniał porucznik-ojciec. — Zauważyliście jak po wylądowaniu sanitarki czekały na nas? Choć do angielskiego szpitala nie było daleko a już jakieś kobiety w mundurach rozdawały torebki z kanapkami, czekoladami i papierosami.

— A jakie ładne i uprzejme pielęgniarki! A jakie czyściutkie łóżeczka! — podjął ten sztywny.

— A pamiętacie co się nas pierwsze pytali? — wspominał znów porucznik.

— A my nie rozumieli — wtrącił ten z laską. — A pod ręką przygotowany był już słownik. Taka ładna, jak aniołek,

Angielka, palcem pokazuje: „Movement of the bowels”. A po polsku stało: „stolec”. Czyli pytanie było: — kiedy ostatni raz srałeś?

Roześmiali się wszyscy.

— Tak, tu to nie Włochy — powtórzył raz jeszcze ojciec-porucznik.

Według danych mi informacji wkrótce powinniśmy byli być u celu. Aberteldy. A potem jeszcze szmat leśną drogą do olbrzymiego zamczyska, w którym to znajdował się polski szpital. Na stacji patrolka brytyjska z opaskami na ramieniu wskazała mi do wyjścia. Z kolei ja kiwnąłem głową na trójkę — sztywnego, kulawego i ślepego. Ciągnęli wolno za mną. Na razie żadnej sanitarki nie widziałem. Kręciło się za to dwóch naszych szaraków. Obok dwie przysadziste dziewczę z koszałkami. Były nasze, bo uchwyciłem słowa: „co on myślał, frajerkę sobie znalazł? kaczki mu się zachciało...”. Gdzieś z zakrętu z miasteczka, rozchlapując kałuże, wjechała, brezentem kryta, ciężarówka. Motorem ustawiła się w kierunku szosy wiodącej w las. Na bokach miała białe koła a w nich czerwone krzyże. Dwójka szaraków i dziewczę od razu ruszyły. Przy pomocy laski poczłapałem i ja. Znow kiwnąłem głową na trójkę. Ktoś z wnętrza otworzył tylną klapę. Zgrabnie wskoczyli dwaj szaracy. Przy pomocy wyciągniętych rąk wspięły się dziewczę, podając wpierw koszałki i tobołki. Utkwiły w wejściu. Trudno mi było zaglądnąć do wnętrza przez nieprzezroczyste rufy dziewczę. W każdym razie dochodziły mnie piskliwe, choć niekoniecznie młode, pokrzykiwania. Nie byłem pewny, ale wydawało mi się, że słyszę gdakanie kury i trzepanie skrzydeł. „Dlaczego się pchają?! — pisał jeden głos. — Uważajcie przecież, tu są moje jajka — pisał inny głosik. Z tłoczego wnętrza ukazała się właścicielka głosu. Pchała się ku wyjściu, by koszałkę wystawić poza ludzki tłok. Zwróciła się do dwóch dziewczę, stojących w wejściu, jakby szukała u nich wyrozumienia. „To ja, proszę pań, musiała szofera prosić by mnie na wieś do farmera zawiózł. Przecież wiedzą panie jak trudno dziś o jajko”. Czekałem przed spuszczoną klapą aż 3 panie i koszałka rozstąpią się. Za mną trójca — ślepy, sztywny i kulawy. Właścicielka jaj, koło pięćdziesiątki, trzepnęła loczkami spod na bakier włożonego kapelusika. Dobrze zakonserwowana. Puder i szminka zrobiły resztę. „Na bezrybiu — w Scapa Flow — kto wie?! Dobrze bym się namyślił zanim bym odmówił jej wdzięków”.

— U naszych nie ma ani dyscypliny, ani wychowania — skrzeczał wciąż głosik.

— Ja mam dosyć tego. Nie wytrzymam. Zamelduję mężowi.

W tej chwili było mi zupełnie obojętne czy mnie zdegradować, czy kiedykolwiek będę jeszcze pływał i czy będę zdolny do obierania ziemniaków w razie pospolitego ruszenia. Uniosłem łagę. Zakrzywionym końcem zahaczyłem o metalowy pręt, jak bosakiem. Zapałem się nogami o klapę i jak taternik, przy pomocy sznura, wkroczyłem do sanitarki. Ciemnawo było pod brezentem. Rozróżniłem jednak sylwetki jeszcze dwóch pań z zakupami. Jeszcze jednego żołnierza z workiem pocztowym. Znów — teraz już na pewno — usłyszałem gdakanie i trzepotanie skrzydeł. Jedna z pań miała duży i piękny bukiet kwiatów. Sanitarka rzeczywiście była pełna.

— Panie szofer, panie szofer, niech pan rusza! — piszczał zniecierpliwiony głosik. — Jak można tak pchać ludzi? Przecież... Czy już zupełnie nie ma szacunku? Jeśli nie do kobiet, to przynajmniej jako do żon oficerów. — Znany głosik pomstował dalej.

— No, proszę! A mówiłam że mi rozbiją. Na pewno co najmniej jedno się stłukło. Jak tu z naszymi ludźmi można?! Nie można popuścić, bo im się wydaje zaraz, że wszyscy są równi.

Motor zadrgał. Ruszyliśmy. Przez trójkątny otwór w brezentie zobaczyłem jeszcze stojącą bezradnie trójkę inwalidów — ślepego, sztywnego i kulawego.

Wincenty CYGAN

Wiersze

SERIA TOWARZYSKA

1. PAPUGI

*Papugi na pluszowych fotelach,
Główka w główkę,
Dziobek w dziobek,
Piórka im się lśnią
I wciąż kręcą ogonkiem.*

*— Chciałam być nieśmiertelna,
Tak, tak, nie przesadzam,
I żeby zawsze...
Na pluszowym fotelu,
Rączka w rączkę,
Nosek w nosek.*

*— Pani też? Czyż nie?
Śmierć jest taka prozaiczna.
Powiedziałam u fryzjera:
„Wieczna ondulacja
Na całą wieczność
I żeby mi się piórka lśniły,
Bo przyjdę stamtąd
I zażądam zwrotu pieniędzy”.*

*Papugi na pluszowej kanapie
Z ogryzkiem papierosa*

*W srebrnym ustniku,
Ze strzępem myśli
Wśród kolorowych piórek,
Wypchane sobą
Aż po czubek głowy
Aż po ogonek.*

— *Prawda, pani Dziuniu,
Ja z panią...
Jaka pani?...
Może jeszcze sałatki,
Lub jajko w majonezie?
W życiu jest też jak w jajku —
Z wierzchu biało,
W środku żółto,
A potem nic.*

2. MONOLOG W PRZERWIE MIĘDZY JEDNYM, A DRUGIM TOASTEM

*Nazywam się pan Jan.
Dlaczego, nie wiem.
Każdy jakoś się nazywa.
Wolałbym zresztą Wincenty,
Albo Napoleon,
Ale nic już nie poradzę,
Może mógłbym poradzić,
Wszystko da się naprawić,
Jeśli ma się pieniądze,
Więc nazywam się Jan
I pochodzę stamtąd,
Skąd wszyscy pochodzimy,
Ale od pewnego czasu
To już nie ma znaczenia
I nawet nasze dawne
„Góralu, czy ci nie żal”
Brzmi cokolwiek fałszywie.
Bo, po prawdzie, to mi nie żal
I wcale się tego nie wstydzę,
To znaczy, wstydzilem się dawniej,
Ale teraz sobie powiedziałem:
„Janie, daj spokój mrzonkom”
I od razu poczułem się lepiej.*

Więc... właśnie... się nazywam...
Ale nie to jest ważne,
I pochodzę... ale nie o tym
Chciałem tutaj mówić.
Chciałem tylko powiedzieć,
Że jestem.
Po co jestem, nie wiem.
Jestem, bo byłem.
Będę, bo jestem.
Potem przestanę być.
Wtedy to już naprawdę
Będzie wszystko jedno.
Proszę nie chrząkać,
Powiadam,
Byłem, więc jestem
I póki jestem, panowie...
Proszę się nie śmiać,
Bo wiem, do czego zdążam.
Nie tak łatwo jest zmienić skórę,
Chociaż to podobno popłaca,
Wężę też zmieniają skórę,
Ale ja nie jestem wężem.
Nazywam się pan Jan
I nie jestem wężem
I nie jestem wcale góralem
I niczego mi nie jest żal.

3. GAUDEAMUS IGITUR

Cieszymy się więc,
Bo życie trwa niedługo
I dlatego nie warto
Z takim bólem i tak na serio
Wbijać sobie szpilki.
Pijmy Coca-colę
I cieszymy się!

Uśmiech nie kosztuje cię nic.
Rozchylone wargi,
Zęby zwarte,
Przyjemny wyraz twarzy,
Tutaj wszystkim
Musi być wesoło —

*Pijmy Coca-colę
I cieszymy się!*

*Kiedy okręt dobijał do portu,
Powiedziałem: „Janie,
Ziemia obiecana”.
Właśnie wtedy mewa...
Ale mniejsza o to.
Mewy także muszą
Nawet w ziemi obiecanej.
Zdrowie mew!*

*Kiedy Jan pojechał tam
Na urlop,
Najpierw było mi nieswojo.
Bardzo słone
Jest morze Czerwone.
Czy mu tamta ziemia
Znów zaśpiewa?
Czy mu tamte kwiaty
Pachnieć będą?
Czy wśród syrenich splotów
Tamtych dróg
Nie zapomni,
Nie odrzuci
Ziemi obiecanej?*

*Ale Jan wrócił.
(Przybyło mu trzy funty).
Kupił dywan i kryształ
I ćwiartkę wyborowej.
Przywitałam go w porcie,
Mewy rwały się z krzykiem,
Janie — mówiłam — witaj!
Witaj w ziemi obiecanej!*

*Ziemia obiecana,
Coca-colą płynąca,
Niech ci ta ziemia śpiewa,
Niechaj ci miękką będzie,
Niech ci liściem złotym zaściele
Wszelką pamięć o tamtej,
Żeby ci się nie przyśniła —
Bo na sny i uroki*

*Coca-cola nie pomaga.
Gaudeamus igitur!
Cieszymy się więc!*

Toronto, 20. 10. 1963.

Danuta Irena BIENKOWSKA

A L U M N I

*Gdy będziemy kaznodziejami
z okrągłych ust jak O
puścimy piankę
dymek
smugę Starego testamentu
ofiara
strugę krwi*

*Potem ręce
zapalą się nam zniczami
i będziemy nimi machać
w gestym mroku
aż
cienie
bez rąk i skrzydeł
o wyraźnych twarzach
wyjdą z nocy
i napiją się
u progu świątyni
wody*

*w nasze białe komże
gdy będziemy przechodzić w biretach
będą ludzie kładli jak groszaki
tzy*

*a gdy nam każą nosić ornaty i tonsury
naręcza przyniesiemy skrzydeł
wyrwiemy je drwalom
spod siekier
i przyprawimy je ludziom*

do tłustych łopatek
żeby się wzbili od ziemi na metr
w nimb nieba
bliżej miedzianych aniołów
na dachu

teraz czekamy
ze złożonymi palcami
w stallach pod ścianami
wieczni alumni



do łzy
prośba
cieniutka

łzo śliczna
odpuść im
co czynią

łzo szumiąca
bez bólu
pokaż im się

łzo wzięta pod mikroskop
zniknij

Ś W I A T O W I D

Wtedy miał małe pożary nad głową
które zamieniały się w wieńce ognia
I był groźny obecny czterem światom
tym z gliny i bursztynu nad Bałtykiem
i tym ze złota i miedzi na monetach Gotów

Wzrokiem nie zbyt bliski i nie zbyt daleki
za którym stało sto ukośnych wykrzykników
ludom ukrytym w puszczech na czótnach
przybliżających się z prostotą do jego dębu
wkladał w koronie z leśnej kory

Lecz od tamtej pory jak dużo się zmieniło

*chusteczki rzucone na święty dąb jak kwiaty
przy wieczornych ceremoniach i tańcach
które zakwitały w krąg siejąc zapach lotosu
omszały powiedły I każdy renesans wiosny
zapowiada się nowym cierpieniem*

*O Światowidzie boże jeleni módl się za nami
ukrzyżowany litością z pejzażu skreślony
po opłotkach tułający się z jedną
drugą trzecią i czwartą twarzą*

O. Wacław T. CHABROWSKI O.S.P.

KILKA MYŚLI

*O ty złotolita
w kamieniu żytko piękna.*

*Zawsze myślałem
że rozumieć
to znaczy być źrenicą w świetle oka
że dotyk trwa w komórkach
zrzuconej skóry
że trwa pamięć wszystkich dotyków.*

*Prawda. Tu i tu
żyją odnowiciele.
W tym zwoju
kolczastych drutów.*

*Zawsze myślałem
że bogom równi
toczymy z własnych palców światy
pochyłe, z wiecznym spadkiem rytmu,
odnowiciele, może nawet stwórcy.*

*A jednak — napominacie —
trzeba się stać moralistą.*

*Chodzi za nami alegoria bestii.
Duch nas poraża (niecodziennej) rzeczy.*

*W języku rozbeltanym jak rozbitek w morzu
Topi się bałwan, mieszczuch, dyktator, inżynier.*

*Obłąkany morderca jest przecież wciąż z nami;
zabija go filantrop od nagich dziewczynek.*

*Czy przeczuwałeś, wielki moralisto,
jaki babilon maksym nieczytanych runie,
nie tylko dziś, i wczoraj, bo taka jest wieczność.
Doskonalmi nasz język, cel bywa sam w sobie.*

*Tę smagłą twarz o grubej wardze w snach widuję.
W izolowanej wizji podpieram jej czoło.
O jeszcze jeden gest wzbogacam repertuar marzeń.
Tych, którzy ze snów wyszli, wracam do ich źródeł.
Stoję na wielkiej wieży Babel, pełen wrażeń;
Ze mną Juwenal, Ezop, Swift, Krasiński.*

Ach, gdyby mieć arsenał nieniszczącej broni.

Bogdan CZAYKOWSKI

Sacramento

*Nie liściem palm kokosowych,
nie pomarańczą soczystą,
nie złotym piaskiem
nad rzeką,
nie wodą
nie słońcem,
nie burzą...*

*Promieni monstrancji
nie szukaj
w arteriach
liści i ulic...
Nie każda meta
jest metą*

Nie każde
świętem
święto!

Nie po to żebyś myślał
o wodzie
i promieniu,
nie po to
się nazywa
to miasto
„Sacramento”
Może dlatego tak się nazywa
że:
w niebo,
w ziemię
ognie Aeorojetu,
w ludzi młodych
co za grubszą forszę
przykręcają,
rejestrują,
promieniują,
zaślepieni,
oślepiając,
przemijając.
Prześwietleni!
Zakończeni!

Może dlatego,
że się gwiazdą
Supermarkety
w miasto rozlaży,
a w ślad za nimi
przymarketowi
ćwierćludzie
kolorowi.

Szynka pieczona
z ananasem
i lody waniliowe
polane sosem czekoladowym,
a w czekoladzie wiśnia!

A może z wiśni
czekoladowej
sakramentalnie
wytryśnie
i świat przemieni
jeden z promieni...
Ale kto powie który?
Za ile godzin,
lat
czy wieków?
Ale tymczasem
już śpią bez snów
i lepiej nie rób nic
bo i tak nic się nie dowiesz,
i proszę...
nie podnoś im powiek...

Pod powiekami,
pod powiekami
zamiast oczu
befsztuki.
To nie ich sny,
to twoje!
Te krzyki
to nie ich krzyki!

To krzyki ludzi czyli LUDZI,
bezsilne krzyki.
Burzą im domy
i wyciągają
spod nóg chodniki...

„ — Naszym fabrykom
potrzebna przestrzeń.
Po co ta mierzwa ludzka wrzeszczy?”
— „Bo w tej dzielnicy
sami dzicy:
murzyni
i meksykańczycy,
a ci co mają białe twarze
są bezrobotni
albo starzy...”
Więc po co,
po co,
po co,
po co

*te dzikie wrzaski
cichą nocą?*

*Po drugiej stronie miasta
jest bardzo grzecznie
i wesołym miasteczkiem
od lat jedynastu
kwitnie tam nowy
i kolorowy
uniwersytet.
W uniwersytecie
siedem tysięcy
i z tego pięć tysięcy
takich:
ćwierciocztowieczych,
promienistych,
sakramentalnych,
luckies...*

*Ale ta reszta to dwa tysiące:
niewielu,
ale wielu.
Jest student Daniel
wśród tych tysięcy
i smutny Hindus, Ulelu.*

*Aerofety, Supermarkety,
promienie wielokrętne,
jak długo
można żyć w ten sposób
w mieście
nazwanym „Sacramento”?*

*„Ani dnia dłużej!”
woła Daniel
„i niech się stanie
co się stanie!”
Ale nie drgnęło
żadne tętno
w mieście
nazwanym „Sacramento”!*

*I znów zadumał się
bez celu
smutny Hindus, Ulelu...*

El Cerrito 11 maja 1963 r.

Alicja IWAŃSKA

TOM XCII

BIBLIOTEKI "KULTURY"

WE WŁASNYCH OCZACH

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY
SOWIECKIEJ

A u t o r z y :

Aleksander SOŁŻENICYN, Włodimir MAKSIMOW, Aleksander JASZIN, Leonid STADNIUK, Fiodor ABRAMOW, Borys DIAKOW, Leonid SIOMIN.

W tłumaczeniu Józefa ŁOBODOWSKIEGO, Kazimierza OKULICZA i Zdzisława MIŁOSZEWSKIEGO.

Str. 524

Cena egz. 24 F (35 sh., dol. 5,00)

TOM XCI BIBLIOTEKI "KULTURY"

ABRAM TERC

LUBIMOW

Kapitałna groteska znanego już naszym czytelnikom sowieckiego pisarza, autora książek „Sąd idzie” i „Opowieści fantastyczne”, przetłumaczonych na ponad dwadzieścia języków.

Str. 128

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; sh. 13/6)

Źródła polskiej drugorzędności

Parę dni temu ktoś zapytał mnie uprzejmie:

— *You are a foreigner, are you not?*

— *Yes. I am Polish.*

Brwi mojego rozmówcy uniosły się ku górze.

— *What do you mean?*

Opanowałem nagłą irytację i wytłumaczyłem co oznacza w moim szczegółowym wypadku deklaratywne zdanie: „I am Polish”.

Wracając do domu w pustawym przedziale kolejki podziemnej rozważyłem ów epizod i doszedłem do wniosku, że mój rozmówca usłyszawszy, że jestem Polakiem miał pełne prawo zapytać co należy przez to rozumieć.

Oświadczenie „I am English” jest deklaracją jednoznaczną, nie wymagającą komentarza. Żaden Australijczyk, Kanadyjczyk czy Nowozelandczyk, nawet gdyby był pochodzenia angielskiego nie powie o sobie: I am English. Żaden Szkot czy Irlandczyk nigdy nie nazwie się Anglikiem.

Stwierdzenie „jestem Polakiem” jest dziś określeniem wieloznacznym i kryć może bardzo różne treści. Polakiem jest emigrant, który Polski nie widział od 25 lat, Polakiem jest urzędnik ambasady PRL, Polakami są ludzie o najróżnorodniejszych paszportach, zajmujący najróżnorodniejsze stanowiska w najdziwniejszych miejscach świata. Gentleman, który mówi, że jest Polakiem może być dowódcą brytyjskiego okrętu wojennego, pilotem Pakistańskich Linii Lotniczych, dyrektorem państwowego banku w Chartumie, korespondentem „Kultury” w Londynie, agentem komunistycznym w Rio de Janeiro, farmerem w Kenii albo aparatczykiem w Kielcach.

Trudno opędzić się od refleksji, czy określenie, które może kryć w sobie tak wiele różnych a nawet sprzecznych treści — samo w sobie jeszcze coś znaczy.

Więc kto właściwie jest Polakiem? Czy termin ten ma jakiś sens poza czystą etnografią?

„Polityka” zamieściła niedawno życiorys Tadeusza Barciszewskiego. Urodzony w Poznaniu — jego ojciec pracował u Cegielskiego. Siedmioro dzieci — wieczny problem jak wyżywić i jak ubrać.

Ojciec Barciszewskiego wyemigrował do zaboru rosyjskiego i osiedlił się w Lublinie. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej Tadeusz Barciszewski miał 17 lat. Jako obywatela pruskiego władze carskie wywiozły go w głąb Rosji. Tu zastała go rewolucja. Barciszewski wstąpił do armii Budiennego i przejechał konno w bitwach i potyczkach szlak ponad 7000 kilometrów. Walczył z Kornilowem i Kaledinem, z Wranglem i z Piłsudskim. A dziś w Ludowej Polsce z rozrzewnieniem wspomina swoją bojową przeszłość. Bije z niego ta sama kawaleryjska, ułańska duma, która cechowała opowiadania moich starszych kuzynów, którzy walczyli po drugiej stronie frontu przeciwko Budiennemu.

Naród nie składa się z socjalistów, endeków, konserwatystów czy ludowców — tylko w przytłaczającym procencie z ludzi bezpartyjnych. W tzw. normalnych warunkach polityka narodu w najogólniejszym tych słów znaczeniu opiera się na kilku bezspornych punktach uznawanych przez większość. Anglicy są zwartym narodem ponieważ wszystkie partie (z wyjątkiem komunistów) uznają impoderabilia brytyjskiej polityki.

W naszych warunkach owych bezspornych punktów odniesienia jest zbyt mało by terminowi „Polak” gwarantować jednoznaczny sens. Polakiem jest gen. Anders i Polakiem jest marszałek Spychalski. Lecz poglądy tych panów na imponderabilia polskiej polityki są antagonistycznie sprzeczne. Obaj są wprawdzie za utrzymaniem granicy na Odrze i Nysie lecz za utrzymaniem tej granicy wypowiedział się również gen. de Gaulle i wielu innych nie polskich polityków.

Ktoś powie, że to jest przykład wyjątkowy w swej kontrastowości. Tak niestety nie jest. Bardzo znaczny procent Polaków w kraju akceptuje nie tylko państwowy charakter Polski Ludowej lecz również imponderabilia polskiej polityki w wydaniu komunistycznym. Temu skrzydłu opinii w kraju przywodzi grupa „Tygodnika Powszechnego” i cała szkoła „neo-pozytywistów”.

Każdego obserwatora życia w kraju zdumiewa zdolność adaptacji społeczeństwa. Ludzie posiadają wyższą zdolność przystosowania się do warunków niż jakikolwiek inny gatunek na tej ziemi. Lecz za każdą adaptację płaci się pewną cenę.

W Polsce Ludowej — to co kiedyś nazywało się polityką narodową, to co budziło namętne spory i polemiki, to za co ludzie szli do brzeskich więzień lub uchodzili zagranicę jak Witos — jest dziś jakby anglikańskim kościołem. To znaczy zostały słowa i rytuał a poza tym nikogo to nic nie obchodzi. Podobnie jest na emigracji.

Jeżeli polityki nie traktuje się poważnie — niczego nie traktuje się poważnie. W żadnym narodzie nie istnieje taka przepaść pomiędzy „oficjalnością”, a „prywatnością” — pomiędzy „tym

co na zewnątrz" a „tym co na wewnątrz". W nas wszystkich tkwi zaprawa 150 lat niewoli i ponieważ od upadku pierwszej Rzeczypospolitej nigdy — w demokratycznym sensie tego słowa nie byliśmy sami sobą — z upakarzającą łatwością przystosowujemy się do sytuacji „my" i „oni".

Z jednej strony zaprawa i zdolność adaptacji ułatwiają przetrwanie — z drugiej strony utrudniają mobilizację i sprzeciw. Jeżeli ktoś nie rządzi nami metodami Gestapo — jeżeli opór nie mieści się w tradycyjnym schemacie (szabla, pistolety i las) — wybieramy galicyjską formę kolaboracji. Wiedeń wykpiwa się i ośmiesza ale wszyscy mu służą. Wskoczyliśmy w wiedeńskie buty zależności tak jakbyśmy nigdy nie byli niepodlegli. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że wiedeńskie buty zależności były tysiąckrotnie wygodniejsze niż jucht sowieckie.

W prasie amerykańskiej, w literaturze i pół-literaturze natrafia się na setki pogardliwych wypowiedzi pod adresem wschodnich Europejczyków. *No East-Europeans — top people only* — mówi portier hotelowy do swego kolegi w jednej z powieści Chandlera. Byłoby nie do pomyślenia by jakikolwiek portier hotelowy w Ameryce powiedział: *No Scandinavians — top people only*. Takie powiedzenie po prostu nie miałoby sensu. Skandynawów traktuje się serio. Gen. Norstad jest Skandynawem — Hammarskjöld był Skandynawem — to są *top people*.

Naszych autorów tłumaczą na obce języki — na uniwersytetach amerykańskich roi się od mniej lub bardziej wydarzonych polskich slawistów i sowietologów — lecz my nie jesteśmy *top people*. Jesteśmy „druga klasa" i nie ma co tego ukrywać.

„Nasza ojczyzna parafiańszczyzna..." — pisze Słonimski w jednym ze swoich pięknych wierszy. „Przebić się przez morderczą drugorzędność mego środowiska i wreszcie zaistnieć" — woła Gombrowicz.

Wydawałoby się, że w porównaniu z Szwecją czy Norwegią nie jesteśmy ani parafiańszczyzną ani „drugorzędnością". W Niemczech Zachodnich o Norwegach nikt nie słyszał, a od polskich nazwisk w katalogach firm wydawniczych aż ćmi się w oczach.

W Ameryce mamy Zbigniewa Brzezińskiego, Wacława Lednickiego, Czesława Miłosza. Jeżeli to nie są *top people* to kim są *top people*?

A jednak nie wydaje się możliwe, by Polak mógł zająć stanowisko Norstada czy Hammarskjölda. Dlaczego?

Nasza „mordercza drugorzędność" — o której mówi Gombrowicz — wywodzi się z polityki. Dla zachodnich Europejczyków i Anglosasów Europa wschodnia to są *quick sands*, lotne piaski, gdzie co 15 lat wszystko się zmienia.

W Polsce Ludowej są równocześnie honorowani mój kuzyn Hubal-Dobrzański i p. Barciszewski. Dobrzański walczył przeciwko Budiennemu a p. Barciszewski w armii Budiennego. Naród który w swym Panteonie chce pomieścić księdza Skorupkę i Dzier-

żyńskiego nie może liczyć na zrozumienie u cudzoziemców. Ponieważ wywodzimy się z „lotnych piasków”, ponieważ nasza historia jest łańcuchem sprzeczności, ponieważ nie potrafiliśmy od 150 lat znaleźć jednoznacznych punktów zaczepienia dla naszej polityki — nawet najlepszych z nas nikt nie traktuje za *top people*. Dla Anglika czy Amerykanina jesteśmy *muddled* — jesteśmy „za-bałaganieni” w nieuleczalny sposób.

Wśród Polaków obserwujemy znużenie, niechęć i pogardę dla polityki. Wśród intelektualistów panuje niemal ogólne przekonanie, że polityka jest zajęciem dla pół-inteligentów. Nie warto jest pisać na tematy polityczne bo z tego i tak nic nie wyjdzie. Lepiej jest albo uprawiać czystą literaturę, albo poświęcić się jednej z dyscyplin naukowych. Polski intelektualista uważa, że od polityków należy odciać się murem pogardliwego milczenia. Według opinii wielu, publicysta powracający wiecznie do zagadnień politycznych w gruncie rzeczy tylko szkodzi. Szkodzi bo prowokuje represje.

Należy obiektywnie stwierdzić, że polityka biernego milczenia uprawiana przez intelektualistów przyniosła bardzo smutne rezultaty. Wystarczy przeczytać choćby artykuł p. Andrzeja Werblana w „Nowych Drogach” pt. „O socjologii krytycznej”.

W Polsce Ludowej intelektualiści, pisarze, i twórcy tak na polu kulturalnym jak naukowym nie są *top people* ponieważ naukę, literaturę i wszelką twórczość podporządkowano ideologii. Żaden pisarz, naukowiec, intelektualista nie może pretendować do statusu *top people* zagranicą — bo zajmuje podrzędne stanowisko społeczne u siebie w domu, w kraju.

Ci sami intelektualiści, którymi komenderuje p. Werblan, aparatczyk bez żadnego naukowego przygotowania — w wielu wypadkach uważają, że antykomunizm nie licuje z postępowością.

Ustrój w którym o tak ważnej i wrażliwej dyscyplinie jak socjologia — szefa administracji państwowej informuje wyłącznie aparatczyk typu p. Werblana nie ma nic wspólnego z postępowością. Dopóki ideologia będzie królową nauk dopóty intelektualista polski nie wydobędzie się z „drugorzędności”.

Nasza „drugorzędność” wywodzi się z polityki i tylko poprzez politykę może być przezwyciężona. Natomiast wielu intelektualistom wydaje się że od polityki można odwrócić się plecami i na innej płaszczyźnie osiągnąć to, co jest możliwe do osiągnięcia tylko i wyłącznie na płaszczyźnie politycznej.

Choćbyśmy mieli najlepszych potencjalnie pisarzy świata, najlepszych w Europie socjologów, historyków, filozofów — nie wydobędziemy się z „drugorzędności”, która przytłacza wszystko co polskie — dopóki rządzić będą naszą kulturą pół-inteligenci kalibru pp. Werblanów, Bratnych i Wilhelmsch.

Wielu Amerykanów, Niemców, Anglików — uważa, że Polacy są anarchiczni i wskutek tego dyktatura jest jedyną dla nas dostępną formą rządu. Ci panowie sądzą, że z wszystkich możliwych dyktatur — dyktatura Gomułki reprezentuje najlepszą for-

mę rządu na jaką zasługujemy. Trzeba mieszkać na Zachodzie ćwierć stulecia, by w pełni docenić zasięg tego typu poglądów.

Ludzie przynależni do kategorii *top people* nie muszą wywodzić się z 30-milionowego narodu. Wystarczy kilka milionów — lecz trzeba mieć za sobą tradycję ustabilizowanych demokratycznych rządów jak Szwedzi czy Duńczycy.



Oburzenie na Gombrowicza podzielane niestety w kraju i przez nie-komunistów z powodu jego czasowego pobytu w Berlinie — stanowi dobrą ilustrację sukcesu komunistów w pewnej istotnej sprawie.

Kwestia niemiecka w ramach każdej polskiej polityki bez względu na ideologię wybija się na czoło. Komuniści usiłują (nie bez powodzenia) skupić społeczeństwo w obronnym „froncie ludowym” antyniemieckim. Według wykładni komunistycznej rewizjonizm, militaryzm (bezmała hitleryzm) uosabiają Niemcy zachodnie. W NRD natomiast rewizjonizm jest pojęciem nieznanym.

Czy istotnie tak jest?

Kilku naszych znajomych Anglików, którzy prowadzą interesy z Niemcami Wschodnimi — opowiadało o ulotkach jakie rozsyła Wschodnio-Niemieckie Biuro Planowania. Owe ulotki stanowią kopię memorandum opracowanego przez cytowane biuro wschodnio-niemieckie. Memorandum omawia szczegółowo projekt polsko-niemieckiego zarządu i administracji dla portu w Szczecinie.

Pewien Polak zamieszkały stale w Londynie, blisko związany z brytyjskimi kołami przemysłowymi — mówił mi (nie wiedząc nic o owym wschodnio-niemieckim memorandum), że słyszał, iż opłaty frachtowe z portów wschodnio-niemieckich ulec mają w niedalekiej przyszłości znacznej obniżce. Warto zaznaczyć, że Niemcy wschodnie mają tylko jeden poważniejszy port — Rostock którego potencjał przeładunkowy wynosi jedną trzecią potencjału portu w Szczecinie. Ulbricht i partyjni ekonomiści w NRD stale podkreślają, że jedną z głównych przyczyn niedomagań gospodarki eksportowej Niemiec wschodnich — jest brak portów. Niedomaga zarówno ważny przemysł budowy okrętów jak i organizacja eksportu — co z kolei uniemożliwia gospodarce wschodnio-niemieckiej wydobyć się z permanentnego kryzysu i stanąć na własnych nogach.

W polityce zarówno wschodniej jak i zachodniej roi się od plotek i „tatarskich wieści”. Z drugiej jednak strony i w polityce obowiązuje zasada, że nie ma dymu bez ognia. W ostatnich czasach wiadomości na temat Szczecina powtarzają się zbyt często by je można lekceważyć. Od ludzi z kraju mamy potwierdzenie tych informacji i „memorandum szczecińskie” wschodnio-niemieckiego biura planowania — jest faktem a nie plotką.

W tym świetle na uwagę zasługuje artykuł Leo Heimana w „The Ukrainian Bulletin” (July-August 1963) pt. „Soviet-Polish East German deal at Ukraine's expense”.

Leo Heiman, podobnie jak autorzy poprzednio ogłaszanych w prasie światowej notatek w tej sprawie — nie podaje nazwisk swoich informatorów, powołuje się jednak na członka polskiej służby dyplomatycznej, który ostatnio wybrał wolność i stara się o wizę imigracyjną do Izraela.

Według informacji Heimana Ulbricht zdołał przekonać Chruszczowa, że NRD w jej obecnym terytorialnym kształcie jest two-rem niezdolnym do życia ani w sensie gospodarczym ani politycznym. Wypracowano więc plan, którego urzeczywistnienie pozwoliłoby na uzdrowienie wschodnio-niemieckiej gospodarki. Polska odstąpiłaby Niemcom wschodnim według tego projektu — Szczecin oraz całe ujście Odry i pas wybrzeża bałtyckiego po obu stronach ujścia.

By powyższą propozycję uczynić dla Polaków strawniejszą — Sowiety zwróciłyby Polsce zagłębienie borysławsko-drohobyckie. PRL w jej obecnych granicach nie ma własnych źródeł ropy i musi polegać w całości na nafcie rumuńskiej i sowieckiej. Ropa naftowa z zagłębia krośnieńsko-jasielskiego jest nisko gatunkowa i nie nadaje się do rektyfikacji nowoczesnych benzyn.

Lecz wymiana Szczecina z przyległościami za Borysław-Drohobycz stanowiłaby tylko część dyskutowanego planu. W północnej części województwa białostockiego odkryć miano jakoby bogate złoża uranu. Owym uranem niezmiernie interesuje się Rosja. Sprawę tę włączono do przetargu szczecińskiego. Gdy wymiana Szczecina za Borysław-Drohobycz dojrzeje do załatwienia — wówczas Sowiety... dorzucą Polsce Lwów wraz z kilkoma powiatami w zamian za urano-dajne pola w północnych połaciach województwa białostockiego.

Gomułka odnosi się podobno bez entuzjazmu do omawianych projektów. Natomiast Cyrankiewicz i Rapacki są jak najbardziej za tymi planami. Sądzą bowiem, że to jest droga, która wiedzie do traktatu pokojowego z Niemcami a w dalszej perspektywie do utworzenia pasa neutralnego, który objąłby Niemcy Polskę i Czechosłowację.

Istnieje również tzw. plan „Z” przewidujący powrót do statusu terytorialnego z roku 1939 z małymi poprawkami.

Należy stwierdzić, że w NRD istnieją silne koła rewizjonistyczne działające bardziej subtelnymi metodami niż rewizjoniści po drugiej stronie muru Ulbrichta.

„Mordercza drugorzędność” naszej sytuacji polega na tym, że jesteśmy zmuszeni do prowadzenia polityki całkowicie sprzecznej z bezspornymi interesami narodu polskiego. W polskim interesie leży żyć w dobrych stosunkach zarówno z Rosją jak i z Niemcami. Postulat ten dotyczy każdej Polski bez względu na ustrój czy ideologię. Natomiast nie leży w naszym interesie — również bez względu na ustrój i ideologię — zjednoczenie Nie-

miec na warunkach rosyjskich ponieważ tego typu zjednoczenie byłoby równoznaczne z sojuszem sowiecko-niemieckim. Istniejemy, dopóki sojusz sowiecko-niemiecki ogranicza się do sojuszu z p. Ulbrichtem. Dzień w którym Ulbrichta zastąpi pro-sowiecki przywódca zjednoczonych Niemiec będzie najczarniejszym dniem w naszych dziejach.

Jest jasne ponad wszelką wątpliwość, że każda ulbrichtowska czy sowiecka koncepcja zjednoczenia Niemiec — musi być z definicji anty-polska.

Niezależnie od sprawy zjednoczenia Niemiec — należy stwierdzić, że rewizjonizm Ulbrichta ma zupełnie inny charakter niż rewizjonizm w Niemczech zachodnich. Nie wszyscy sojusznicy Federalnej Republiki są za zjednoczeniem Niemiec. Natomiast rewizjonizm nie może liczyć na niczyje poparcie na Zachodzie. Granica na Odrze i Nysie milcząco akceptowana jest przez wszystkich. W konsekwencji zjednoczenie Niemiec na warunkach zachodnich oznaczałoby zjednoczenie po linię Odry i Nysy ale nie dalej.

Zupełnie inna jest sytuacja Ulbrichta. Ulbricht może argumentować w Moskwie, że jeżeli NRD ma się stać równorzędnym partnerem Niemiec zachodnich — musi ulec wzmocnieniu zarówno w sensie terytorialnym jak i gospodarczym. O ile rewizjonizm zachodnio-niemiecki nie może liczyć ani na zrozumienie ani na poparcie w stolicach wolnego świata — o tyle rewizjonizm w wydaniu p. Ulbrichta liczyć może na poparcie Moskwy i brak sprzeciwu ze strony oficjalnej Warszawy.

W moim przekonaniu Sowiety z czasem będą musiały poważać decyzję w sprawie NRD. Niemcy wschodnie trzeba będzie albo wydatnie powiększyć albo zlikwidować. Likwidacja oznaczać by musiała znalezienie formuły, która chroniąc twarz Moskwy otwierałaby możliwość zjednoczenia Niemiec pod egidą Zachodu. Moment w którym napięcie pomiędzy Moskwą a Pekinem przybrałoby kryzysowy charakter — nadawałby się znakomicie do wysunięcia tego typu propozycji. Niestety w wielu wpływowych kołach na Zachodzie panuje pogląd, że Sowietów nie należy naciskać w Europie, dopóki Moskwa nie załatwi (po swej myśli) konfliktu z Pekinem. Zwolennicy tego poglądu argumentują, że naciskanie Sowietów w takiej chwili byłoby *de facto* popieraniem Chin. Lecz czy załatwienie sporu Moskwa-Pekin na warunkach wyłącznie sowieckich i współdziałanie w tym kierunku leży w naszym interesie? Nie jestem tego pewny. To jest jednak temat odrębny któremu poświęcimy jeden z najbliższych artykułów.

Sprawa ewentualnego „planu Z” ma nie tylko aspekt niemiecki lecz i ukraiński. Wrócić do Lwowa moglibyśmy tylko w porozumieniu i za zgodą niepodległych władz ukraińskich. Czy wówczas — jak proponował kiedyś Łobodowski — doszłoby do utworzenia ukraińsko-polskiego kondominium, czy umowa przybrałaby jeszcze inną formę i charakter — w sumie jestem pewien, że Po-

lacy, nauczeni doświadczeniem, nie wróciliby na te ziemie wbrew woli narodu ukraińskiego.

Ktoś powie, że polityka zależna jest zawsze polityką drugorzędną a Gomułka w danym układzie nie ma po prostu możliwości prowadzenia innej polityki. Otóż należy stwierdzić z naciskiem, że nie każda polityka zależna jest polityką drugorzędną. Piłsudski prowadził również w pewnym okresie politykę zależną. Polityka zależna tylko wówczas w ocenie historii jest usprawiedliwiona — jeżeli zmierza do niezależności.

Nie zarzucamy Gomułce, że prowadzi politykę zależną. Zarzucamy mu natomiast, że celem jego polityki nie jest zdobycie maksimum niezależności — lecz odwrotnie jeszcze większe niż dotychczas uzależnienie Polski. Polityka ulbrichtowsko-niemiecka, którą Gomułka entuzjastycznie popiera — gdyby została uwieczniona sukcesem oznaczałaby dla Polski dosłownie katastrofę.

Być może są w Polsce Ludowej ludzie, którzy sądzą, że za załatwienie problemu niemieckiego i utworzenie pasa neutralnego — warto by zapłacić kawałkiem terytorium. Być może istnieją koła w partii reprezentujące pogląd, że należy uprzedzić inicjatywę Chruszczowa i Ulbrichta i zaproponować polskie rozwiązanie.

Gdyby istniała możliwość uzyskania, w zamian za korekturę granicy, statusu neutralnego dla Polski, Niemiec i Czechosłowacji — pierwszy głosowałbym za korekturą granicy. Niestety — choć takie możliwości istniały — dziś są całkowicie nierealne. Na neutralizację Niemiec zachodnich nie zgodzą się ani Niemcy ani Amerykanie. Gdyby mocarstwa zachodnie nie spieszyły się z re-militaryzacją Niemiec — gdyby z ubrojeniem Federalnej Republiki odczekano 20 lat — rozwiązanie problemu niemieckiego byłoby dziś niepomniernie łatwiejsze.

W sumie należy obiektywnie stwierdzić co następuje. Każde rozwiązanie sowieckie problemu niemieckiego dla Polski — bez względu na jej ustrój — wróży katastrofę.

Walter Lippmann w znanej serii swych „europejskich” artykułów w „New York Herald Tribune” (listopad ub. roku) — oświadczył, że Gomułka musi szukać poparcia Rosji przeciwko Niemcom, a wsparcia Chin przeciwko Rosji.

Niestety tak nie jest. Gomułka uważa, że polityka obozu wschodniego a więc i polska polityka jest tylko służebnicą ideologii i niczym więcej. Rozwiązanie niemieckie w wydaniu sowieckim niosłoby dla Polski klęskę i przeciwko tej klęsce Gomułka winien asekurować się w Pekinie. Lecz on tego nie robi i obawiam się — nie robi, choć wie, że ideologiczny i polityczny triumf tow. Ulbrichta (czerwone Niemcy) stanowiłby upadek tak jego samego, jak i Polski Ludowej. Spadlibyśmy wówczas dosłownie do zera, lecz ideologia święciłaby swój triumf.

Niełatwo jest być komunistą i Polakiem. Trzeba albo zdradzać polskość albo komunizm.



Druga część niniejszego artykułu stanowi tylko ilustrację części pierwszej, którą uważam za istotniejszą.

Źródłem naszej „drugorzędności” jest polityka od której najchętniej odwracamy się plecami zadawalając się patriotyzmem. Popełnialiśmy w przeszłości i popełniamy nadal setki błędów ponieważ poziom naszego myślenia politycznego jest dysproporcjonalnie niski do naszych osiągnięć na innych polach.

Naród wysoko patriotyczny produkuje bohaterów, lecz nie mężów stanu. Trafiają się oczywiście talenty polityczne, lecz w przecięciu mężowie stanu odzwierciadlają poziom ogólny. Istnieje przepaść pomiędzy Gomułką czy Werblanem a Parandowskim czy Morstinem. Lecz przepaść istnieje tylko w sferze intelektualnej, nie w poziomach myślenia politycznego.

Ow niski poziom myśli politycznej utrudnia nam niemal od dwóch stuleci zorganizowanie sobie miejsca pod słońcem. Fakt, że wypadło nam żyć w trudnej geopolitycznie sytuacji — nakłada na nas dodatkowy obowiązek w tej dziedzinie. Sądzę, że Finowie i w naszej sytuacji byłiby Finlandią — natomiast my, w sytuacji Finów, byłibyśmy tylko „Finlandią Ludową”.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

CIOS

Śmierć przedwczesna jest czymś w ludzkim wymiarze nie tylko tragicznym lecz i niesprawiedliwym. Gdyby Winston Churchill umarł w 45 roku życia nikt o nim by dziś nie pamiętał. W dniu wybuchu drugiej wojny światowej Churchill liczył sobie dokładnie o 20 lat więcej niż prezydent Kennedy gdy ginął z ręki zamachowca. Okres wielkości zaczął się dla Churchilla gdy minął 65 rok życia. Kennedy musiał odejść mając lat 45. Był prezydentem Stanów Zjednoczonych zaledwie trzy lata. Mógł liczyć na nową kadencję rządów w Białym Domu, gdyż jego powtórny wybór był sprawą przesądzoną. Przez owe lata mógł zrealizować w znacznym procencie swe wielkie projekty i zapewnić sobie jedno z najświetniejszych miejsc w panteonie amerykańskich prezydentów. Życie obeszło się z nim okrutnie.

Nim niniejszy numer „Kultury” dotrze do rąk naszych Czytelników — prasie światowej i emigracyjnej ukażą się dziesiątki artykułów omawiających szczegółowo polityczną działalność prez. Kennedy’ego. W niniejszej notatce chciałbym podkreślić tylko jeden charakterystyczny rys jego wybitnego intelektu.

W czerwcu ubiegłego roku, w przemówieniu do młodzieży uniwersyteckiej w Waszyngtonie, Kennedy powiedział m.in. (cytuję z pamięci): „Tylko ci z nas mają prawo domagać się od komunistów rewizji poglądów, którzy gotowi są poddać rewizji własne poglądy. Kiedyś przywódcy Związku Sowieckiego przyjmą bardziej oświeconą postawę (*a more enlightened attitude*). Wierzę, że możemy im w tym dopomóc. Możemy im dopomóc poddając rewizji nasze poglądy — ponieważ rewizja naszych poglądów jest równie ważna jak rewizja ich poglądów”.

W owym przemówieniu Kennedy ujął problem naszej epoki *in a nutshell*. Reakcyjniści, którzy potępiają komunizm przeciwstawiając się równocześnie reformom we własnym domu — nie mają ani tytułu moralnego ani możliwości politycznych — wymuszenia na przywódcach sowieckich przyjęcia „bardziej oświeconej postawy”. Amerykanin który wzbrania się przyznać pełnego równouprawnienia mniejszości murzyńskiej nie może domagać się od Sowietów równouprawnienia narodów uciskanych przez Moskwę. Jeżeli ktoś przeciwstawia się reformom socjalnym, służbom społecznym itp. — nie może równocześnie krytykować nieudolnego komunistycznego „Welfare State”. Postęp w naszej epoce mierzy się stopniem realizacji ideałów społecznych i „zimna wojna” może być naprawdę wygrana tylko w tej płaszczyźnie.

Kennedy to rozumiał. Tragicznie zmarły prezydent był na wskroś człowiekiem drugiej połowy 20 wieku.

Śmierć prezydenta Kennedy'ego ujawniła zachodniemu światu przywódczą rolę Białego Domu. W prasie kontynentalnej powtarzały się określenia „nasz prezydent”, „nasz przywódca”. Istotnie nadszedł czas by prezydent Stanów Zjednoczonych był w pewnej mierze i naszym, europejskim prezydentem. By to się stało, zrealizować trzeba wielki zamiysł Kennedy'ego dotyczący Unii Atlantyckiej. Tylko poprzez instytucje Unii Atlantyckiej Europejczycy zdobyć mogą formatywny wpływ na politykę Waszyngtonu i związać trwale los Europy ze Stanami Zjednoczonymi na zasadach tak gospodarczych jak wojskowego i politycznego *partnership'u*.

Zrealizowanie tego wspaniałego planu byłoby najgodniejszym pomnikiem jaki wzniesić możemy prezydentowi Kennedy'emu. Wówczas — lecz dopiero wówczas — prezydenci Białego Domu byłiby w pewnej formie i naszymi prezydentami.

DRAMAT „AKUSZERÓW”

„Inżynierowie dusz” mieli być równocześnie „akuszerami historii”. Powoływano się na Marksa, który pisał w roku 1848: „Głową emancypacji jest filozofia — jej sercem — proletariat”. Wyobrażano sobie rządy partii jako rządy intelektualistów. Gdyby jednak nasi pisarze i intelektualiści czytali Engelsa uniknęliby wielu rozczarowań. Engels głosił, że socjalizm niemiecki stoi wyżej od francuskiego, ponieważ wyzwolił się z przesądów demokratycznych. Pocziwy Engels nie zdawał sobie sprawy jaką ostateczną formę przybierze owo „wyzwalanie się z przesądów demokratycznych”. Hitleryzm był socjalizmem najpełniej wyzwolonym z demokracji.

Intelektualiści jako warstwa rządząca przez dwa tysiące lat w Chinach. Lecz wszędzie indziej wspierali tylko dyktatury, które z intelektualizmem miały mało wspólnego.

Gdy pisarze po długich nocnych dyskusjach wracali do domów po zawalonych jeszcze gruzem ulicach Warszawy — o świetle samochody Bezpieki zwoziły świeżo aresztowanych politycznych więźniów (jest taka scena u Miłosza). Lecz wśród „akuszerów historii” panował wówczas pogląd, że trzeba przebrnąć co prędzej przez nieuchronny początkowy koszmar rewolucji. „Mój drogi” — zauważył w rozmowie ze mną jeden z byłych akuszerów — „poród zwykle jest bolesny i nigdy nie wygląda estetycznie”.

„Poród” dla wielu był bolesny a „akuszerów” wraz z dzieckiem wylano z kąpielą.

Stalin ukuł znane określenie, że pisarze są „inżynierami dusz”. Lecz Gomułka jest mniej poetyczny i oświadczył brutalnie, że jemu „inżynierowie dusz” nie są potrzebni.

Stalin był straszny, lecz unosił się nad nim patos ponurej i krwawej legendy. Gomułka jest uosobieniem mało-urzędniczej nudy i tępego przeciętniactwa. Jemu „inżynierowie dusz” nie są potrzebni — jemu wystarczają aparaczyzy.

Owo nieprawdopodobne lekceważenie pisarzy i niezrozumienie ich przydatności jest jedną z zasadniczych cech gomułkizmu. Weźmy dla przykładu klasyczny *case* Wańkowicza. Wrócił do kraju i zajął niezmienne pozytywne stanowisko wobec Polski Ludowej. Jestem przekonany, że jego celem było ukoronowanie cyklu książek (który kiedyś ochrzciłem mianem „Panoramy polskiego losu”) — literackim portretem Polski Ludowej. Dla administracji warszawskiej to była wspaniała okazja. Mogli mieć na dwudziestolecie Polski Ludowej dobrą książkę, napisaną przez głośnego pisarza, nie komunistę, książkę, która przełożona na obce języki miałaby ogromny walor propagandowy. Wańkowicz napisałby „Sztafetę” ludową lepiej niż Małachowski („Rzeczniopolita”) — ponieważ góruje nad nim przeszło pół-wiekowym doświadczeniem współżycia z dyktatorami i cenzorami.

Początkowo wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Wańkowiczowie dostali mieszkanie na Puławskiej a w „Za i Przeciw” co tydzień ukazywał się felieton Pana Melchiora zatytułowany kokieterystycznie: „Przy Kominku”. Felieton zdobiła fotograficzna winieta przedstawiająca sędziwego pisarza na tle kominka w jego warszawskim mieszkaniu. Drukował w „Kierunkach” prawie stale. Idylla.

Z czasem zaczęły ukazywać się artykuły Wańkowicza w „Przekroju”, „Przeglądzie Kulturalnym”, a pod koniec i w „Nowej Kulturze”. Wańkowicz nie pozostawał dłużny nowemu *establishment* i podkreślał w swych artykułach umiar władz ludowych w stosowaniu polityki silnej ręki w porównaniu z wyorderowanymi satrapami na Gołędzinowie nieszczęsnej Polski niepodległej.

W sumie można było przypuszczać, że autor „Na Tropach Smętka” został zaakceptowany. Aż nagle wszystko zaczęło się walić. Zlikwidowano „Przegląd Kulturalny” i „Nową Kulturę”. Odmówiono nowego wydania „Monte Cassino”, o co bardzo usilnie zabiegał Wańkowicz pragnąc wykorzystać dwudziestolecie PRL i związany z tą rocznicę zwiększony przydział papieru.

Okazuje się, że powrót i deklaracje lojalnej współpracy w Polsce Ludowej nie gwarantują niczego. Nie gwarantują nawet „businessu” w sensie handlowym. Pięknie wydane „Monte Cassino” (nawet przycięte przez

cenzurę) wśród propagandowych „cegieł”, które uczczą dwudziestolecie PRL — z całą pewnością wybiłoby się korzystnie tak w sensie literackim jak i handlowym. Lecz w owej pięknej bitwie reakcyjny Drugi Korpus pod wodzą reakcyjnego generała Andersa zdobywał reakcyjny klasztor. Więc o czym tu dumać za ludowe pieniądze.

Już nigdy nie wyjdziemy poza „Popiół i Diament”. Pan, który wystąpił z kościoła katolickiego by wstąpić do partii — a następnie wystąpił z partii by nie wstępować więcej do żadnych kościołów — napisał „Pana Tadeusza” Polski Ludowej. Sądzę, że w tej dziedzinie nic lepszego już nie powstanie i decyzja uczynienia z „Popiołu i Diamentu” głównego gwoźdźca literacko-filmowego dwudziestolecia PRL — jest słuszna.

Lecz skończmy z panem Melchiorom. Przed 11-tu laty Wańkowicz rozpoczął swą dyskusję z Florczakiem na łamach „Kultury” na temat „Trzeciego Miejsca”. Obecnie tenże Florczak napisał melancholijny epilog tej dyskusji na łamach „Kultury”, lecz tym razem warszawskiej. „Trzeciego miejsca” nie stało w Polsce Ludowej dla Wańkowicza. „Trzecie miejsca” istnieją tylko w społeczeństwach otwartych — nie w ustrojach totalistycznych.

Swojego czasu ściągnąłem na siebie burzę proponując planową i ograniczoną emigrację pisarzy. W myśl polskich przykazań — jak wiadomo — pisarz musi mieszkać nad Wisłą. Logicznie rzecz biorąc pisarz winien mieszkać tam, gdzie może pisać i wydawać. Wisła tego nie zastąpi.

Wydanie książki zagranicą nie może urastać w każdym poszczególnym wypadku do dramatycznego gestu Stawara. Przeciwnie, winno to być rzeczą zwykłą.

Osobiście nie wierzę już dziś by pisarze w kraju stawili dostateczny opór. Lecz być może, gdyby istniały stypendia umożliwiające pisarzowi zorganizowanie sobie życia przez rok, czy półtora roku zagranicą — znaleźliby się tacy, którzy skorzystaliby z tej sposobności.

Celem stypendium byłoby umożliwienie pisarzowi napisania, czy wykończenia i wydania książki zagranicą. Wolność wybierałaby książka nie autor. Autor miałby możliwość przez rok czy półtora roku zastanowić się nad swoją sytuacją i powziąć decyzję w spokoju i w wolności od bezpośrednich trosk finansowych.

Wysuwam tę propozycję nie jako „agent amerykański” inspirowany przez naczelne władze wywiadu — lecz jako prywatny człowiek i niezależny publicysta. Choć wiem, że aparatczycy nigdy w to nie uwierzą, pragnę zaznaczyć, że w wolnych społeczeństwach publicysta częściej inspirowany jest przez władzę niż... *the other way round*. „Kultura” jest czytana nie tylko przez członków KC w Warszawie lecz czasami i przez członków „KC” w stolicach Zachodu. Czasem sugestie wysuwane przez nas — trafiają tam gdzie należy. Byłbym szczęśliwy gdyby i tym razem tak się stało.

Z praktycznego punktu widzenia sukces operacji zależałby od ilości uczestników. Jednego pisarza, który decyduje się wydać książkę zagranicą można wykląć i skazać na wieczystą banicję. Lecz z dziesięcioma czy 15-ma pisarzami sprawa przedstawiałaby się inaczej.

Nie tylko cenzura, lecz może jeszcze w wyższym stopniu obciążenie przydziału papieru gilotynują twórczość literacką w kraju. Mit o arcydziełach pisanych „do szuflady” został dawno wyeksploatowany — niemniej wiem

o książkach, sztukach, poematach, które krążą w odpisach czy fotokopiach bez nadziei ujrzenia światła dziennego w druku.

Gomułka nie potrzebuje „inżynierów dusz”. Jemu nie są nawet potrzebni „ślusarze dusz”. Aparatczycy wystarczają mu całkowicie. Gomułki nikt nigdy nie przekona. Tow. Wiesław cofnie się tylko pod naporem faktów dokonanych.

MAŁA RZECZ A ZASZCZYT

Prof. Bulas przysłał mi kopię swego listu do Redaktora „Kultury” w którym otwarcie przyznaje się do pomyłki w swoim skądinąd świetnym słowniku. Pomyłka dotyczy zwrotu „Trooping the Colour” o czym pisałem w listopadowej Kronice angielskiej w notatce pt. „Idiomy”.

Sprawa jest godna podkreślenia nie z uwagi na minimalne przeoczenie dotyczące tylko jednej litery. Godny podkreślenia jest fakt, że prof. Bulas przyznał rację takiemu beznadziejnemu laikowi jak Londyńczyk. Na taki gest zdobywają się tylko wielcy i znakomici uczeni.

Jest dosłownie nie do pomyślenia, by w jakiegokolwiek sprawie językowej przyznał mi słuszność red. Grydzewski lub kierownik „Kącika Językowego” w londyńskim „Dzienniku Polskim”.

Filologiczny geniusz prof. Bulasa stanowił legendę już przed wojną w Krakowie. Jego przyjaciele utrzymywali wówczas, że włada 15 językami.

Prof. Bulas jest nie tylko znakomitym filologiem i archeologiem klasycznym, lecz również jest pierwszym człowiekiem, który przemówił przez radio w języku nowo-greckim. Grecja nie miała jeszcze w owych latach własnej radiostacji lecz miała przyjaciela, który opanował doskonale nie tylko klasyczny lecz i nowożytny język grecki. Prof. Bulas wygłaszał po nowogrecku odczyty przed mikrofonami radiostacji krakowskiej. Prelekcje spotkały się w Grecji z entuzjastycznym przyjęciem. Rząd grecki w dowód uznania mianował prof. Bulasa honorowym konsulem Grecji w Krakowie.

Geniusz filologiczny uratował prof. Bulasowi życie. Niemcy, którzy z nabożeństwem odnoszą się do każdego urzędowego dokumentu z pieczęciami — uznali prof. Bulasa za członka korpusu konsularnego — co w dalszych konsekwencjach umożliwiło mu wydostaniu się z kraju.

BIBLIOTEKA IMIENIA IGNACEGO DOMEYKI

Jak wynika ze sprawozdania „Stowarzyszenia Biblioteka Polska im. Ignacego Domeyki w Bueons Aires” — stan księgozbioru na 1.5.63. wynosił 4.502 tomy. W porównaniu z rokiem ubiegłym ilość książek została podwojona. Biblioteka posiadała również bogaty zbiór periodyków bieżących i dawnych.

W wyniku narad i dyskusji Zarządu i kierownictwa Biblioteki wypracowane zostały zasady, w myśl których będzie się odbywało dalsze uzupełnianie księgozbioru. Kompletowanie dotyczyć będzie czterech zasadniczych dziedzin: I. Polonica i Slavica Ibero-amerykańskie i iberyjskie, a więc książki dotyczące Polski i słowiańszczyzny w językach hiszpańskim i portugalskim,

oraz przekłady książek polskich i słowiańskich na powyższe języki. II. Iberica i ibero-americana polskie, czyli wszystkie przekłady z hiszpańskiego i portugalskiego na język polski oraz publikacje polskie, które tematycznie wiążą się z Łacińską Ameryką, Hiszpanią i Portugalią. III. Encyklopedie, słowniki, monografie kultury, historii, literatury, sztuki, archeologii, etnografii, zagadnień ustrojowych i prawnych. IV. Literatura piękna polska i słowiańska — wyłącznie prace klasyków w oryginałach i przekładach na inne języki (poza hiszpańskim i portugalskim, które należą do działu I) te ostatnie ze względu na to, że są bardziej dostępne dla czytelników nie-polskich.

Widzimy więc, że celem stowarzyszenia jest zorganizowanie na terenie południowej Ameryki pierwszej, prawdziwej biblioteki naukowej, która stanowiłaby źródło informacji i wiedzy o Polsce.

W tym roku przy jednym z uniwersytetów w Buenos Aires uruchomiono Ośrodek Studiów Słowiańskich. W projekcie są nowe ośrodki i katedry slawistyczne. Biblioteka im. Ignacego Domeyki wszystkim zainteresowanym tymi studiami pragnie służyć radą i pomocą.

Twórcami tej biblioteki są: Jeremi Stempowski i Jan Wolski, którego wielu z nas pamięta z Rosji i 2-go Korpusu. Dlatego bardzo przejęta nas wiadomość o ciężkiej chorobie dr. Wolskiego.

NOTA OSOBISTA

Zastanawiałem się czy poruszać ten temat, lecz po namyśle doszedłem do wniosku że jestem winien moim czytelnikom kilka słów odpowiedzi.

Sprawa dotyczy ankiety „Kultury” omówionej w numerze z Października ub. roku. Według wyniku ankiety „najbardziej cenionym autorem jest Mieroszewski”. Drugie miejsce zajął Hostowiec, trzecie Miłosz.

Kolejność tych nazwisk jest absurdalna — nie wyobrażam sobie bowiem konkurencji w której Miłosz zająłby trzecie miejsce po Londyńczyku — (chyba i wyłącznie w konkurencji wędkarskiej). Trzeba jednak uzmysłowić sobie, że w tym wypadku respondenci ankiety przyznając pierwsze miejsce nie wybierali członków Akademii Literatury a pragnęli raczej wyrazić uznanie dla pracy włożonej w rozwój pisma.

Nie wstydzę się jednak wyznać moim Czytelnikom, że owo wyróżnienie z ich rąk jest mi miłsze niż jakikolwiek laur akademicki. Zbyt wiele wiem o „laurach” i o metodach ich przyznawania, by na ten temat żywić jakiekolwiek złudzenia.

W warunkach pracy dziennikarskiej i publicystycznej ankieta wśród czytelników jest obiektywnym sprawdzianem przydatności danego współpracownika dla pisma.

Innymi słowy, wynik ankiety wyraża tylko stopień przydatności dla pisma i nie należy odczytywać go inaczej. Lecz dla dziennikarza, który — w przeciwieństwie do pisarza — istnieje tylko na łamach swego pisma, stopień owej przydatności dziennikarskiej jest oczywiście podstawowego znaczenia.

Sprawy i troski

W oczach Londynu

Główną atrakcją pobytu w Anglii jest bliskość Paryża. Tak mawiało się do niedawna. Samoloty i Simenon, wsparte wszechstronną wymianą dóbr doczesnych, filmy i telewizja, sprawiły iż z uczuciem bliźniaczej nudy patrzymy na angielskie krawaty pod arkadami rue Rivoli i francuskie perfumy na High Street w St. Albans. Białogłowy angielskie, które ongiś wyruszały do Paryża, szmuglując przemysłnie waluty na zakup nylonów, nie tylko nie korzystają dziś z otwierających się szeroko możliwości, ale, o zgrozo! ciceronują znajomym Francuzkom rzucającym się na kaszmiry i *pantees* na Oxford Street a koniak i perfumy kupują na statku w drodze powrotnej z Hiszpanii.

Paryż przybliżył się i spowszedniał. Redaktor „Kultury”, opuszczający dom, ogród i pieska w Maisons-Laffitte, by odwiedzić Mieroszewskiego w jego domu z ogródkiem i pieskiem na „Czyżyku” traci na podróż mniej czasu, energii i pieniędzy, niż bohaterski delegat SPK zdążający z farmy indyjskiej pod Aberdeenem na zjazd do Londynu. Aby nas podekscytować trzeba przylecieć z plantacji gumy na Malajach albo herbaty na Cejlonie — mówić o pogodzie w Etiopii lub wynikach spisu ludności w Sudanie. Fakt, że Ewelina Żółtowska przyjechała z Argentyny via Kanada, nie wywołał na nas wrażenia; drgnęliśmy, gdy oznajmiła, iż zawitała do nas na krótko przed (wy) skokiem do Eskimosów w Hudson Bay, z którymi zamierza spędzić święta.

Niełatwo, zwłaszcza w pojedynkę poruszyć Londyn, przybывая z sąsiedztwa tak banalnego jak Bruksela czy Monachium. Pomaga akcja zespołowa, „kupą, kupą, mości panowie”. Pomaga nowość nazwiska. Jest to zresztą pojęcie względne. Na literackiej giełdzie londyńskiej liczą się, jak w urzędzie lata wysługi, przykładowy udział w galówkach, dziesięciolecia prezesur i, w ogóle, działalność dodatkowa „paraliteracka”, oszczędzająca adoratorom fatygi pożyczania nienapisanych książek. Słowo druko-

wane szczerbi i nadweręża mury obojętności — nie łudźmy się jednak, iż są to szczerby trwałe czy głębokie. Atakować należy osobiście i znienacka. Tak właśnie objawili się zaspanemu Londynowi Brzękowski, Pankowski i Sowiński, zjechawszy do Oficyny Bednarczyków na Salomonowy sąd nad nagrodą im. Tadeusza Sułkowskiego przyznaną dla pewności, z pomocą Terleckiego i Czerniawskiego, przebywającemu dostatecznie daleko, bo w Toronto, Wacławowi Iwaniukowi. Wybór przyjęli dobrze i ci, którzy pamiętają wiersze laureata, i ci, dla których jest byczym chłopem i dobrym kompanem. Nieżyjący patron nagrody byłby z przyznania jej zadowolony, a i to coś znaczy a niezawsze przy nagrodach tego typu się zdarza. Jak słusznie wydobyl, oznajmiając nazwisko laureata Tymon Terlecki, uderza i zastanawia wymowa nagrody wypłacanej z symbolicznych pośmiertnych honorariów Norwidowego pobratymca z ducha i z biedy.

Przy okazji, na lewo, z racji urządanego *ad hoc* wieczoru autorskiego, zawojowała oporny Londyn część Mariana Pankowskiego. Ujmując rzecz anatomicznie: górna połowa tego zjawiska i składowe jej części, a więc głowa (*en face* i z profilu w berecie i bez beretu), głos à la Laurence Olivier, miękkie serce i chytrość umysłu. Matuga, Marchońt gruby a sprośny, pozostał na łańcuchu w Brukseli — do Londynu dojechał wysublimowany Kozak na bystrym koniu, Farys i Emir Rzewuski z lisem na jedwabnej smyczy, przemawiający tak słowiczo i kusząco, że co szanowniejsze Sarmatki szczypały na sali córki i słuchaj, dziecko, mawiały im — oto pisarz cnotliwy i gładki, który nie o świństwach wam opowiada, ale o ptaszkach, drzewkach, kwiatkach, Cyganach i biednym Utraconym Kraju. Tak oto uznana za nowość „Smagła swoboda” narodziła się raz jeszcze wśród pamiątek po generale Sikorskim, w domu nr 20 przy Princes Gate na pierwszym piętrze, wśród czerwonych maków na Monte Cassino, w asyście Panki-Kozaka i publiczności z podmiejskiego pikniku.

Wieczór był osobliwy, na granicy prozy i poezji, pod znakiem Bachelardowskich żywiołów. Proza (Pankowskiego) była w tradycyjnym sensie tego słowa bardziej „poetyczna” od wierszy Brzękowskiego, w niej także doszła do głosu zadziwiająco silnie otwarcie ujawniona nostalgia. Dtto Sowiński. Pożegnany okłaskami „Adres” przypomniat podobną reakcję publiczności na „Bunt wierszem” Bogdana Czaykowskiego. „Nie ma mnie w tym domu, nie ma mnie w tym mieście” (Sowiński) — „Chętnie urodziłbym się po prostu w trawie” (Czaykowski).

Ciekawe próby Brzękowskiego, przemycające motywy *science-fiction* do poezji przyjęte były znacznie chłodniej. Brzękowski — wielki teoretyk stawia Brzękowskiemu-poecie wymagania tak wysokie, tyle powiedzieć chce naraz, że jak u Przybosa, zaciera się komunikatywność utworów, nadających się raczej do spokojnego roztrząsania przy czytaniu niż zdławionej tremą recy-

tacji publicznej pod koniec wieczoru w klimacie narzuconym przez poprzedników.

Pobyt Brzękowskiego zbiegł się z ukończeniem druku zbioru podstawowych jego wypowiedzi krytycznych i teoretycznych o poezji zebranych w tomie pt. „Życie w czasie”. Dwa ogłoszone w nim szkice: „Czas poetycki” i „Literatura antywatorów” winny być lekturą przymusową nie tylko tych, którzy zaczynają pisać wiersze, ale — i przede wszystkim — tych, którzy napisali ich za dużo. Bednarczyk — kto wie czy nie podniecony konkurencją Gliwy (— znakomity „Samuel Tyszkiewicz” —) wydał bardzo starannie zarówno Brzękowskiego, jak i przekłady Winzakiewicza — i najbardziej wychuchaną „Linie podziału” Janty.

Na wieczorze autorskim zjawili się tzw. „młodzi” spragnieni kontaktu ze starszymi kolegami, którzy ongiś uprawiali szczególnie zaniedbaną na Emigracji krytykę poetycką. Sprawa wielkiej wagi, nie tylko ze względu na panoszenie się grafomaństwa. Poeci młodszych generacji, którzy wystartowali poza krajem, marnują się z braku nietylko tłumów czytelników czy słuchaczy (tych brak i w kraju), ale fachowej krytyki opartej o teorię i znajomość poezji anglosaskiej, na której pożywcę wyrosli. Społeczność emigracyjna oswoiła się z nowoczesnym malarstwem, rzeźbą, filmem i muzyką — na odcinku poezji i nowej powieści, od Joyce’a w górę, trwa jednak nadal przy starych konwencjach i „taryfie ulgowej” dla grafomanów trojga płci.

Zygmunt Ławrynowicz z niedokładnie pogrzebanej grupy „Kontynenty”, przygodnie udzielający się nowemu Śmiejowskiemu ich wcieleniu, w szkicu pt. „Odys w pułapce”, porównuje sytuację młodych pisarzy do „grupy alpinistów, którzy w pierwszym porywie młodego entuzjazmu, niepomni na trudności piętrzące się przed nimi, wdarli się na skalną ścianę i utknęli w połowie”. Piszą, mimo gnębiącego ich poczucia „kompletnej bezużyteczności, nieprzydatności zwycięstwa, jak to się dzieje z wszystkimi zwycięstwami alpinistów”.

Ta rzecz by się chciało anty-„Oda do młodości” (ogłoszona w nrze 58-9 „Kontynentów” za paźdz.-listopad 1963) poprzedzona jest żałobnym requiem na zgon literatury emigracyjnej. Ławrynowicz wychodzi z dawno już zbankrutowanego założenia, iż pisarz emigracyjny tworzyć może, dopóki nie wyczerpią się „złoża pamięciowe” z „kraju pamięci”. „Szkłana ściana” oddzielająca go od „środowiska tubylczego” uniemożliwia nawiązanie kontaktu, poznanie „kulisów życia lokalnego”. Na poparcie swych wywodów cytuje amerykańskiego krytyka Van Wyck Brooks’a, który wysnuł podobne wnioski, pisząc o trudnościach, z jakimi spotkał się Henry James po przeniesieniu do Europy. Anachronizm, przykład źle wybrany. Można mu przeciwstawić dziesiątki nazwisk pisarzy, dobrowolnych emigrantów — jak Conrad czy Laurence Durell, albo emigrantów przymusowych, jak Thomas Mann w okresie tworzenia „Dra Faustusa”. Opętany Irlandią Joyce uciekł dobrowolnie z Martello Tower i wybrzeży Liffey, by pisać o

nich — byle gdzie. Iluż wybitnych pisarzy, z Norwidem na czele a nawet i Andrzejewskim (a także źle interpretowanym przez Ławrynowicza Herbertem), wypowiadało się najtrwalej w atmosferze oderwania od Lawrence'owskiego *living homeland*. Można mówić o innej, znacznie powszechniejszej regule: dzieła sztuki *nie* rodzą się w warunkach normalnej i „domowej” egzystencji, karmią się jak nowotwór tkankami dotkniętymi niepokojem twórczym. Jeśli jest prawdziwy, jeśli nie jest złudzeniem!

Jesteśmy świadkami niepokojącego w najwyższym stopniu zjawiska. „Młodzi”, mający w praktyce wiele możliwości ogłaszania swych utworów, rozpraszają je po przygodnych i zmieniających pod dyktandem fantazji czy chwilowej koniunktury, pismach emigracyjnych i krajowych, — albo piszą do szuflady czy też dla nielicznego grona przyjaciół, którym udostępniają maszynopisy. Piszą pod naciskiem wewnętrznego musu, a więc — najszlachetniejszej pobudki tworzenia. Wytworzywszy w sobie przekonanie o obojętności przyjęcia — ociągają się z publikacją nowych utworów, choć czynili to w czasach studenckich, w znacznie gorszych warunkach finansowych. Dziś powiadają: „Nie warto”. Pies z kulawą nogą nie dojrzy. Kilka konkretnych przykładów: eksperymentalna proza Czerniawskiego, „Wiersz chciał być” — vancouveri poemat Bogdana Czaykowskiego; cykl śmiałych erotyków Taborskiego. Wszyscy wymienieni mają za sobą nierecenzowane tomy wierszy, stanowiących ciekawe etapy rozwoju i przynoszących odkrywcze eksperymenty poetyckie. Czemu nie pisał o nich Pankowski, Brzękowski, Giergielewicz? Czemu nie ukazały się dotąd po miriamowsku zapowiadane, przedawnione przed publikacją „Ryby na piasku”, dziś już niemal dokument historyczny, zapis minionych etapów? Można rozumieć wynikłe stąd uczucie zawodu, trudno współczuć w stu procentach. W próżni debiutował Andrzej Bobkowski czy Leo Lipski a re-debiutowało wielu z Gombrowiczem i Straszewiczem na czele. Izolacja *może* być sprzymierzeńcem pisarza. Krajobraz amerykański odnowił kształt poetyckiego widzenia przyrody w wierszach Kazimierza Wierzyńskiego i, na inny sposób, Miłosza. Nowy poemat Czaykowskiego zdaje się zapowiadać coś podobnego:

*Wiatrem wstrzymane obłoki.
W góry objęte zatoki.
Koła oszronione.
W kołach
ognie
przycmione. („Wiersz chciał być”).*

Nie pisałby tak w Londynie. A tam, ponoć, kaprysi, tęskniąc za urojonym „domem” nr X-ty, domem londyńskim. W Luino, nad Lago Maggiore, przystań ozdobiona jest napisem „Szczę-

ście kryje się zawsze na drugim brzegu" (*La felicità sta sempre all'altra riva*) — napisem krystalizującym istotę i słabości ludzkiego niepokoju. Ze wszystkich dóbr ziemskich język jest właśnie najbardziej przenośny i podróźny, wbrew łatwemu mniemaniu o jego domowości i oparciu o ziemię. Język ukraiński emigrantów kanadyjskich z Winnipegu — i dzieci ich krewniaków z Koszalina na Ziemiach Odzyskanych, jest, być może, bogatszy od żywej mowy Kijowian z r. 1963. Gombrowicz i Pankowski odnawiają polszczyznę w dalekich od większych skupisk polskich „miejscach postoju”. Nie w tym rzecz!

Doświadczenia Jerzego Sity, który przeniósł swój warsztat pisarski do kraju, nasuwają dalsze refleksje. Pisze inaczej: użytkowo, to znów niemal szyfrem. Nie pisze swobodnie, nie wypowiada się pełnym głosem. Bliskie mu, jak Poundowi, parafrazy wierszy obcych, dobieranych z namysłem, siedemnastowiecznie przystrojonych, bardzo, bardzo gładkich. Kiedy bardziej był sobą? Gdzie niegdysiejsze śniegi i chropawe łamańce dawnych londyńskich wierszy?

Imaginacyjny wieczór autorski, na który londyńscy „młodzi” zdobyć się jakoś nie mogą, mógłby przynieść zaskakujące nowością niespodzianki. Czerniawski przerzuca się coraz chętniej na prozę w poszukiwaniu własnej stylizacji języka wspartej na bardzo specyficznym, bo sarmacko-angielskim poczuciu humoru. Taborski, ogłaszający sporo w kraju, przestał, czy przestaje? wyżywać się w satyrycznych wierszach nadających ton zbiorce „Przestępując granicę”, wydanemu w r.ub. przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. „Szekspir” i na pewien sposób szekspirowskie erotyki zastanawiają bogactwem aluzji i wymyślnych skrętów. I on jednak wydaje się zatruty gombrowiczowskim (?) bakcylem „niedopieszczania”.

Czy nie jest to schorzenie natury ogólniejszej, narodowej? Fakt, że niedoceniona jest Sprawa Polska, Ojczyzna, Emigracja, „Pan Tadeusz”, Norwid, Wyspiański — i Zbigniew Grabowski, żre i nurtuje nas wszystkich, budzi po nocach, skłania do rozmyślań przy goleniu, czy aby i ja, X czy Y jestem dostatecznie szanowany i ceniony. A tu jeszcze, a myślę o nadających ton życiu Emigracji „starszych panach” i owych młodych, ciągle młodych... — jakaż rozbieżność zainteresowań! Siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat przeciętych w wieku dojrzałym dwiema imprezami wojennymi, wypełnionych po brzegi przeszłością — nie ma i jakże może mieć punkty styczne z wędrowną i wielojęzyczną młodością nowych generacji.

W osłupieniu śledzić można było na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” polemikę Poznańskiego z Morawskim o listy obecności MSZ-u sprzed czterdziestu czterech lat. Tu oczywiście gaffa. Nie Poznański — ale konsul generalny dr Karol Poznański. I nie Morawski, *ça ne dit rien*, ale ambasador Kajetan Morawski, z tych Morawskich, co to wiecie.

My się na tym znamy. A jeśli pamięć zawodzi — pomoże lista pracowników polskiej służby dyplomatycznej, z której kart wzbija się splendor dawnych dni, gdy to było się drugim sekretarzem placówki w Bombaju albo p.o. zastępcy attaché handlowego w Kopenhadze. Biała emigracja rosyjska stała pod znakiem gwardyjskich epoletów, nasza schodzi ze świata w poszuwanie pióropuszy MSZ-u. W tych warunkach do rozmiarów symbolu urasta grzecznościowo przedawniony (kto by miesiące liczył?) obchód 70-lecia urodzin właśnie konsula Poznańskiego, prezesa lub członka zarządów kilkunastu jeśli nie kilkudziesięciu organizacji emigracyjnych, twórcy „Antokolu”, seniora i autorytetu, od którego własny jego lokator z Hampsteadu, nieboszczyk Zygmunt Nowakowski, rejtaiństwa się uczył.

Była to gala, jak z „Popiołu i diamentu”, wielka rewia przyzwoitych spodni sztuczkowych i za luźnych kołnierzyków. Pośród z górą setki bankietowych gości o bliskiej jubilatowi przeciętnej wieku, na tuziny liczyło się ministrów pełnomocnych, konsulów i radców, dowodził Ambasador, błogosławił Infułat, generałów, jak w „Panu Tadeuszu”, jubilatowa w sukni zielonej jak ruta. Bielecki z Ciołkoszem, Olechnowicz jako reprezentant polskiego Kijowa, Kukiel jako Kukiel, armia, marynarka, lotnictwo... „Vivat xiążę Adam, vivat Egzekutywa, vivant niektóre stany!”.

Bardzo było wytwornie mimo demokratycznego menu wykalfigrafowanego po polsku przez „małe” Raczyńskie. „Czemu nie po francusku?” — pyta ex-sekretarz ex-placówki z Ameryki Południowej. — „Well... barszcz z kulebiakiem... Jak to ująć po francusku? „Sarnina... sarnina... Wyleciało mi z pamięci...” — „Poulain” — rzuca kostycznie przez stół satyr borykający się z żyłastą porcją. — „Ach, rzeczywiście, POULAIN — człowiek w tym Londynie najpotrzebniejszych słów zapomina...”.

Pospieszny Gallup na sali wykazał, że „starsi panowie” orientują się znacznie lepiej w zagadnieniach typu „z których Markowskich” i datach własnych awansów, niż w niedawnych wydarzeniach literackich a Herling-Grudziński, Haupt, Czuchnowski etc. mieliby pełne prawo do ataku cierpień z racji „niedopieszczona”. Co innego Kajetan Morawski, Lednicki, ostatecznie Rostworowski (jeśli z „tych” Rostworowskich). Sypiące się ostatnio pamiętniki i opracowania genealogiczne wiedzę tę pogłębiają, wypełniając zasadnicze luki. My tu sobie pokpiwamy a przyszłe pokolenia uczyć się będą na Guentherze, Żółtowskiej, Lednickim, „Tadeuszu Irteńskim”, na armoriale i kanoniczkach Konarskiego i zarysie dziejów polskich kawalerów maltańskich, na który z utęsknieniem oczekujemy... Czyśmy aby nie za wytworni? Larum, mości panowie!

(m. l. d.)

Sprawy gospodarcze

Stagnacja Anglii

Spróbuję zacząć ten szkic o sytuacji gospodarczej w Anglii od omówienia problemu, który był przeceniany przed wojną i jest niedoceniany dzisiaj: problemu bogactw naturalnych. Póki działalność gospodarcza ograniczała się w 80 czy więcej procentach do wyżywienia ludności, póty, oczywiście, urodzajność kraju była bogactwem numer jeden. Stąd Egipt odgrywał w starożytności tak ogromną rolę; stąd Francja, najżyźniejszy kraj Zachodniej Europy, górowała nad wszystkimi sąsiadami; stąd Anglicy przez kilkaset lat próbowali zatrzymać pod różnymi pozorami jak najwięcej polaci żyznej ziemi francuskiej, bo ze swych moczarów i *moors* mogli wyżyć tylko marnie i źle. Tym się też tłumaczy nasze parcie ku Dnieprowi i dalej. Historiozofowie, zbliżeni do Stronnicstwa Narodowego, lubią rozprawiać o braku dalekowzroczności Jagiellonów, którzy poświęcili Prusy Książęce na rzecz Dzikich Pól i Zadnieprza. Na owe czasy była to polityka jedynie słuszna: Prusy Książęce reprezentowały niezmiernie mało, jako żywność i urodzajność, władanie Ukrainą robiło z Polski mocarstwo gospodarcze, a więc i polityczne. Trwanie polskiego panowania ekonomicznego na Ukrainie, pomimo rozbiorów, w dużej mierze tłumaczy fakt, że między kongresem wiedeńskim a rokiem 1914 nigdy nie spadliśmy do poziomu plemienia, jak to stało się udziałem Czechów, Słowaków, Litwinów, Łotyszów i wielu innych, także ludów bałkańskich, pomimo ich nominalnej niepodległości. Bogactwa rolne, przede wszystkim kresowe, w rękach Polaków, były odpowiednikiem banków w rękach Rotszyldów, które właśnie uczyniły ze sprawy żydowskiej problem międzynarodowy, a nie lokalny, jak Ormian.

Artykuł dyskusyjny.

Wzrost znaczenia handlu, potem przemysłu i bankowości zmienił ten bukoliczny obraz świata, a więc i hierarchii krajów i państw. W pierwszej połowie XIX wieku na scenie wystąpił węgiel, i nie można dość silnie podkreślić jego roli: ponieważ było to właściwie jedyne źródło energii w 19-ym wieku, posiadanie złóż węglowych stało się w 19-ym wieku takim samym kryterium potęgi gospodarczej, jakim była dawniej urodzajność roli. Kraje bez węgla, jak np. Włochy, nie były w stanie rozwijać się gospodarczo. Ruhra wyparła stare miasta nadreńskie, jako serce i tętno Niemiec. W Anglii, po raz pierwszy w jej dziejach, bogate w węgiel Środek i Północ, Midlandy i Yorkshire z Lancashire, mogły rywalizować z dawnym ośrodkiem władzy i bogactwa, to znaczy z Południem dookoła Londynu. Ba, nawet Szkocja, jeszcze w 18-ym wieku uboga jak nasze Polesie, dzika jak nasze stancie kresowe, stała się nagle jednym z przodujących obszarów całego globu. Ówczesny *Wirtschaftswunder* (nikt tej nazwy nie znał) w Szkocji był na wiek 19-ty równie zdumiewający, co dzisiejszy superfenomen gospodarczy, to znaczy rozkwit i prężność Japonii.

Dzisiaj przemysł chemiczny wypiera coraz bardziej surowce: np. nylon wypiera popelinę, a więc sztuczne włókna wypierają bawełnę. Stąd stały, długofalowy spadek cen i znaczenia surowców. Sztuczne nawozy wyrównują urodzajność gruntów: stąd mniejsza waga urodzajności gleby poszczególnych krajów. Holandia ma większe zbiory z hektara od La Beauce, co było dawniej nie do pomyślenia. Węgiel przestał być jedynym surowcem energetycznym: obok niego zjawily się energia wodna, nafta, gaz ziemny, jutro zjawi się także siła przypływów morskich (*l'usine marémotrice de la Rance*), pojutrze energia atomowa. Cóż dziwnego, że w obliczu tych przewrotów technicznych laicy mówią o „bogactwach naturalnych” z uśmiechem naturalnej wyższości.

Nie mają racji. Bogactwa naturalne nadal odgrywają rolę absolutnie pierwszoplanową. Tylko się zmieniły. Pierwszym bogactwem naturalnym naszych czasów jest słońce. Ono decyduje o chęci osiedlania się, o turystyce, która staje się jedną z najważniejszych form wydawania pieniędzy, obrotów międzynarodowych i bogacenia się. Dzięki turystyce kraj zrujnowany, jak Austria, potrafił się odbudować i potroić po wojnie swą stopę życiową, nie mówiąc już o nagromadzeniu ogromnego zapasu dewiz, powyżej miliarda dolarów. Hiszpania, dotąd w nędzy, prowadząca nadal nieinteligentną politykę gospodarczą, zrobiła w ciągu ostatnich czterech lat olbrzymi skok naprzód: jeżeli uniknie kryzysów wewnętrznych i skieruje cały swój wysiłek na inwestycje, a nie na bezsensowne zbrojenia, zdoła, być może, dorównać Włochom, które, też dzięki turystyce, wygrzebały się z wiekowej nędzy.

Otóż Anglia cierpi dzisiaj, kiedy węgiel stał się już nie atutem, ale obciążeniem, ale kulą u nogi, na zdecydowany brak bogactw naturalnych. Nadal nie może się wyżywić z własnej gleby, i zaradza tej sytuacji nie tylko importem żywności oraz bardzo kosztownym subwencjonowaniem rodzimej produkcji rolnej, ale także niższym gatunkiem strawy, dozowanej tubylcom. Gdyby robotnikowi francuskiemu, a nawet niemieckiemu czy włoskiemu dać tak zły chleb, tak złe mięso, tak złe jarzyny, tak mało owoców, tak mało wina, jak normalnie spożywa robotnik i *white-collar worker* angielski, to by we Francji na pewno, a w Niemczech prawdopodobnie, wybuchła rewolucja. Czytałem kiedyś pracę jakiegoś profesora niemieckiego, którego nazwiska niestety nie pamiętam, o powodach kryzysu angielskiego: doszedł on do wniosku, że istotnym powodem jest słaba wydajność robotnika angielskiego, a tę przypisywał brakowi witamin w pożywieniu angielskim, składającym się w większości z konserw i ersatzów.

Anglia ma bardzo zły klimat, szkodliwy dla zdrowia, klimat, który odbiera energię, dewitalizuje. Nigdzie się nie widzi tylu ludzi ospałych, apatycznych, co w Anglii. W przeciwieństwie do innych państw Zachodniej Europy Anglia nie posiada najbardziej dynamicznego dzisiaj przemysłu, to znaczy turystyki. Sytuację ratują tylko do pewnego stopnia stosunki rodzinne: krewni z kolonii, Kanady, Australii a także Ameryki, przyjeżdżają do Anglii dla odwiedzenia bliskich i znajomych, jest dużo wizyt businessowych, wreszcie Anglicy zdołali zachować spory udział w transportowaniu Amerykanów do Europy: wielu Amerykanów, którzy nie zatrzymują się w Anglii, lub spędzają tam tylko dzień czy dwa, przepływa lub przelatuje Atlantyk statkami Cunarda lub samolotami BOAC. Ale, pomimo stałego fastrygowania statystyk, dochody Anglii z turystyki są mniejsze niż Szwajcarii czy Austrii, nie mówiąc o Włoszech czy Francji. Znowuż Anglicy, z właściwą sobie niemą dyscypliną, bez słowa, udając, że nic się nie stało, próbują ratować sytuację ofiarami z własnego poziomu życia. Tak jak cały kraj bez słowa godzi się jeść źle i pić jeszcze gorzej, tak Anglicy ograniczyli poważnie swe własne wojaże zagranicą, by zapobiec zbyt wielkiemu ubytkowi dewiz. Zniknął już lord, rzucający pieniędzmi: turysta angielski stał się na kontynencie jednym z najskromniejszych, najskąpszych i najuboższych (oczywiście nie biorę zupełnie pod uwagę nędzarzy, którymi są turyści zza Żelaznej Kurtyny, z wyjątkiem agitatorów i wysłanników oficjalnych). Ale dziura, wywołana bilansem turystycznym, staje się jedną z najdotkliwszych w angielskim bilansie płatniczym, i co roku pokrycie tego deficytu będzie trudniejsze. Jak się więc dziwić, że Anglicy opóźniają jak mogą przebicie tunelu pod Kana-

łem La Manche, który by zapewne wydatnie zwiększył liczbę wyjazdów na Kontynent, że chwytają się nawet tak rozpaczliwych środków, jak odmawianie podpisania konwencji o zniesieniu wiz dla angielskich bezpaństwowców: to też jest sposób zatrzymywania ich na wyspie, utrudniania im wyjazdów wakacyjnych na Kontynent.

Podobnież zaszły bardzo niepomyślne zmiany w angielskim handlu zagranicznym. Jak to często bywa, u źródła trudności stoi zbyt wielki sukces — w danym wypadku sukces układów Ottawskich. Układy te, z 1932 roku, stworzyły pozycję uprzywilejowaną dla eksportu brytyjskiego w państwach i koloniach *Commonwealthu*. Te rynki były faktycznym monopolem dla Anglików, a więc trudno się dziwić, że zaniedbali wszystkie inne, przede wszystkim europejskie, a skoncentrowali całą uwagę na Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii, Południowej Afryce i Stanach Zjednoczonych. Rzecz zabawna, ta polityka odcięcia się od Europy i zahipnotyzowania handlem z *English-speaking countries* (bardzo niebezpieczna i szkodliwa forma anglosaskiego rasizmu), wymyślona przez konserwatystów i imperialistów, doszła do szczytu za rządów Labour, za gabinetu p. Attlee. W roku 1951 55% eksportu brytyjskiego szło do *Commonwealthu*: tak wysokiej proporcji nie zanotowano już nigdy potem, za gabinetów konserwatywnych. W tymże roku 1951 85% importu Australii pochodziło z Wysp Brytyjskich. Taki nienaturalny stosunek z konieczności wywołał mentalność monopolisty u angielskich eksporterów. Korelatem tego *Empire Trade* był zupełny zanik eksportu angielskiego do Europy, oraz mur celny, którym fabrykant angielski odgrodził się od konkurencji europejskiej. Mało kto na Kontynencie zdaje sobie sprawę, że Anglia jest dzisiaj, obok Hiszpanii i Portugalii, a może i przed nimi, najbardziej protekcyjnistycznym krajem w Zachodniej Europie.

Ten monopol handlu z *Commonwealthem* skończył się od strony *Commonwealthu*. Indie, Hong Kong, Pakistan rozbudowały własny przemysł tekstylny, który jest typowym przemysłem dla krajów ubogich, i nie tylko Lancashire stracił swe tradycyjne rynki zbytu, ale nagle system *Imperial Preference* stał się dla tegoż Lancashire, ze źródła bogactw, mieczem Damoklesa. Przemysł bawełniany Lancashire był jednym z najgwałtowniejszych zelantów przystąpienia Anglii do Wspólnego Rynku, bo wołał mieć do czynienia z konkurencją włókienników Francji, Niemiec i Włoch (ci są najgroźniejsi), niż Hong Kongu, Indii i Pakistanu, z których niskimi płacami nikt w Europie nie może rywalizować. Australia, Kanada, Płd. Afryka zaczęły też się industrializować, a także sprowadzać dużo lepsze i tańsze maszyny z

Niemiec, Ameryki i Japonii. Co roku handel „imperialny” się kurczy, co roku reprezentuje mniejszy procent handlu światowego. Podobnież nowo-niepodległe państwa arabskie i murzyńskie odwróciły się od tradycyjnego dostawcy brytyjskiego, który ich już nie zadowala, i otwierają swe granice dla towarów niemieckich i włoskich (rzadziej francuskich, ale to wina Francuzów). Handel z Szóstką natomiast wzrasta, i dzisiaj Zachodnia Europą, a w niej Wspólny Rynek, jest dla Anglii rynkiem zbytu Nr 1.

Nie trzeba zresztą przeceniać znaczenia układów handlowych i preferencyjnych, ani umów Ottawskich, ani Wspólnego Rynku. Póki istnieje handel nie-państwowy, póty decydują o zakupach gusty klienteli, a nie umowy handlowe. Kraje o monopolu handlu zagranicznego, jak Polska, mogą zmusić ludność do kupowania nędznych samochodów sowieckich czy okropnego szampana krymskiego. Na Zachodzie jest to niemożliwe. Decyduje cena i gatunek, a nie taka czy inna umowa handlowa. Kupiec jest na Zachodzie silniejszy od polityki i od państwa. Gusty publiczności angielskiej i kupcy angielscy decydują o kierunkach handlu angielskiego dużo bardziej, niż wola pp. Macmillana czy Douglas-Home’a.

Anglia przeżywa nie tylko kryzys handlu zagranicznego, ale także kryzys bilansu płatniczego. Anglia przestała być bankierem świata, funt przestał być walutą światową, Londyńska City przestała być schroniskiem i dystrybutorem kapitałów. Anglia z wierzyciela stała się dłużnikiem. Jej zasoby kruszczy i dolarów wynoszą okrągło miliard funtów, jej zobowiązania zagraniczne (długi wojenne, depozyty *a vista* krajów *Commonwealthu* i innych) wynoszą trzy razy tyle. Stąd funt stał się z waluty „murowanej” walutą niemal stale zagrożoną, najbardziej narażoną na wstrząsy. Od lat akcja kredytowa City ogranicza się niemal wyłącznie do krajów *Commonwealthu*, a i to sięga cyfr skromnych, nie o wiele co większych od cyfry lokat zagranicznych małej Szwajcarii. Co więcej, City londyńska stała się bardzo mało przedsiębiorcza: bankierzy angielscy przeważnie nie pożyczają zagranicy grosza bez gwarancji skarbu, *Treasury*. Podobnie skurczyły się obroty i znaczenie angielskich towarzystw ubezpieczeń. Światowy rynek pieniężny już nie koncentruje się w Londynie: natomiast City zachowała aparat kredytowy znacznie za wielki, zanadto rozbudowany, który stał się ciężarem dla kraju i groźbą dla stałości waluty.

W dziedzinie przemysłowej Anglia w 19-ym wieku korzystała z forów, które są normalnie przywilejem tego, kto pierwszy startował. Anglia pierwsza weszła na drogę maszynizmu, ona była wynalazcą maszyny parowej i największego triumfu techniki pa-

rowej, parowozu. To z Anglii cała Europa, później cały świat sprowadzał parowozy: we Włoszech pierwszy parowóz, wyprodukowany lokalnie, zdaje się, że w Livorno, zjawił się dopiero gdzieś koło roku 1888 — do tej daty wszystkie lokomotywy Włosi zamawiali w Newcastle. Sekrety produkcji stali były długo własnością hutników Birmingham. Dysponując najpotężniejszym przemysłem, władając największą flotą handlową, kontrolując handel międzynarodowy, dysponując największym aparatem bankowym, manipulując złotą walutą według swych potrzeb a nawet swych kaprysów, Anglia była w 19-tym wieku bliska omnipotencji. Awans, którym dzisiaj dysponują Stany Zjednoczone w domenie przemysłu, techniki, ilości kapitałów, prymatu w komunikacjach, jest mały w porównaniu z awantazami, z których korzystała Anglia w 19-tym wieku.

Jeszcze jedno porównanie: Szwajcaria, okrakiem siedząca na przełęczach alpejskich po dziś dzień kontroluje przewozy kolejowe z Włoch na Północ, i nawet, via Simplon, do Francji. Ma omal monopol transportu przez Alpy, i dzięki temu monopolowi dotąd jest w stanie ściągać haracz ze wszystkich krajów, które chcą wykorzystać drogi Gotarda i Simplonu, te dwie wielkie osie Północ-Południe. Otóż w skali światowej to samo robiła Anglia aż prawie do 1939 roku. Jej flota przewoziła towary europejskie przez siedem mórz do czterech kontynentów. Poprzez składy londyńskie Kontynent europejski sprowadzał towary kolonialne z Azji, Afryki i Południowej Ameryki. Dwa razy zdawało się, że Hamburg zdoła uszczknąć ten monopol pośrednika, że banki frankfurckie zrobią wyłom w prymacie City, że dymiąca Ruhra pokona Midlandy. Dwa razy, w ostatniej chwili, Anglicy zdołali pokonać intruza i konkurenta — ale po to, by, w ciągu niewiele lat, owoce dwóch krwawych zmagających przefużarzyć bez walki. Rotterdam zastąpił Londyn jako pośrednik morski i handlowy. Nie tylko Ruhra, ale także Lotaryngia, zagłębie Leodium, zakłady Philipsa na holenderskiej równinie Brabantu, fabryki w Winthertur pod Zürichem, Fiat z Turynu, Ansaldo z Genui, Montecatini z Mediolanu wyparły wyroby angielskie nie tylko z Europy, ale z rynków zamorskich, z dawnych rynków imperialnych.

Nie ma sposobu cytować choćby ułamka statystyk, świadczących o kurczeniu się roli Anglii w ciągu lat powojennych. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu ostatnich 12 lat, a więc lat rządów konserwatywnych, wzrost produkcji w Anglii wyrażał się cyfrą półtora do dwóch procent rocznie. W tym samym czasie w krajach dzisiejszego Wspólnego Rynku procent ten wynosił stale cztery do pięciu, nieraz dochodził do sześciu czy chwilowo i miejscami nawet ośmiu. Stopa życiowa była zaraz po wojnie najwyższa

w Anglii — pomijając kraje nie dotknięte przez wojnę, jako to Szwajcarię i Szwecję. Dzisiaj ta angielska stopa życiowa jest niższa, niż w Niemczech, Francji, Belgii, Holandii, Danii; niewiele, ale jednak jest niższa. W tablicach ligowych europejskiej produkcji Anglia prawie wszędzie straciła pierwsze miejsce. Jeżeli chodzi o stal, pierwsze miejsce w Europie zajmują Niemcy, Anglicy z trudem utrzymują drugie (oczywiście Ameryki i Sowietów, a także Japonii nie uwzględniam). Gdy chodzi o cement, tak ważny jako wskaźnik ruchu budowlanego, budowy dróg, budowy fabryk niemniej niż mieszkań, Anglia spadła na czwarte miejsce — po Niemczech, Francji i nawet Włoszech. Jeżeli chodzi o samochody osobowe, to znowuż pierwsze miejsce mają Niemcy, a Anglicy walczą o drugie z Francją, raz po raz zostając w tyle. W budowie statków, stocznie angielskie miały dawniej monopol: dzisiaj pierwsze miejsce na świecie zajmują stocznie japońskie, drugie niemieckie, Anglia figuruje dopiero na trzecim miejscu.

Jakie są powody tego cofania się, wprawdzie relatywnego, ale bodajże na całym froncie? Cofania się tym dziwniejszego, że przecież obecna stagnacja angielska przypada na okres fenomenalnego rok witu gospodarki światowej. Między obu wojnami Anglia też miała wielkie bolączki gospodarcze: bezrobocie nigdy nie spadało poniżej miliona, wzrost dochodu narodowego wynosił zaledwie jeden do półtora procent rocznie, funt zachwiał się w 1931 roku. Na swoje usprawiedliwienie Anglicy mogli wówczas przytaczać niezbitą fakt, że okres 1929-39 był okresem wybitnej dekonjunktury w całej Europie, prawie wszystkim rywalom Anglii powodziło się jeszcze dużo gorzej, a jeżeli Niemcom udało się „nakręcić koniunkturę” za Schachta, to ta operacja udała się tylko kosztem faktycznego zniszczenia waluty, kolosalnej dawki przymusu i terroru, gospodarki już od 1936 roku na poły wojennej. Nawiasem mówiąc, ten sam argument fatalnej ogólno-swiatowej sytuacji gospodarczej, Wielkiego Kryzysu, jest jedynym, którym można poważnie bronić zaniedbań i zacofania Polski przedwojennej. Ale dzisiaj świat a już zwłaszcza Europa zachodnia przeżywa największy *boom*, najwyższą koniunkturę, którą kiedykolwiek widział świat: nawet fantastyczne rekordy Stanów Zjednoczonych u końca 19-go wieku zostały pobite. Świat wytopił więcej stali w latach 1945-1963, niż w czasie poprzednich 30 wieków ery historycznej. Włochy bardziej podniosły stopę życiową swych obywateli w latach 1945-61, niż w ciągu poprzedniego całego stulecia. Dlaczego Anglia nie brała udziału w tym wyścigu do bogactwa? Dlaczego nawet mała i zagrożona, peryferyczna Austria potrafiła uzyskać szybsze tempo rozwoju gospodarczego? Tylko Hiszpania, Portugalia, Irlandia, Islandia potrafiły — ze wszystkich krajów po dobrej,

czyli Zachodniej stronie Żelaznej Kurtyny — NIE osiągnąć wyższego tempa ekspansji niż Anglia.

Wspomniałem o głębokiej zmianie, która zaszła w pojęciu bogactw naturalnych. Degringolada węgla, nawrót do normalnego i stałego w dziejach *Drang nad Süden*, do pędu ku słońcu, który daje się dzisiaj we znaki nawet w granicach poszczególnych krajów — w Anglii wszystko emigruje ze Szkocji i Północy na południe, zwłaszcza do Wielkiego Londynu, w Niemczech dookoła Stuttgartu powstaje nowa południowa Ruhra bez węgla, ale z bardziej wydajnym przemysłem samochodowym, elektrycznym i chemicznym, we Francji po raz pierwszy wielki przemysł instaluje się koło Lyonu (chemia) i koło Marsylii (rafinerie naftowe) — otóż ten pęd na południe oczywiście Anglię osłabia. Ale Anglia wszystkich atutów naturalnych nie straciła. Jeden przybrał na wadze: dzięki Ameryce język angielski stał się bez porównania bardziej językiem światowym, niż był przed wojną, a jest to kapitał olbrzymi. Ten kapitał językowy szalenie rentuje się Anglikom w przemyśle, jeszcze bardziej w handlu, w bankowości, także w działalności wydawniczej i pedagogicznej, a najbardziej w badaniach naukowych, w laboratoriach, w kongresach, w teatrze, w filmie, w telewizji. Dzięki językowi angielskiemu Anglicy korzystają z pozycji uprzywilejowanej na wszystkich rynkach świata, a zwłaszcza, z natury rzeczy, mają dużo łatwiejszy dostęp do najbogatszego rynku amerykańskiego. Poza tym Anglia zajmuje nadal idealnie dogodną pozycję geograficzną: wszystkie jej ośrodki przemysłowe są bliskie morza, portów naturalnych ma pod dostatkiem, znajduje się w samym sercu Bloku Atlantyckiego. Wystarczy sekundę się zastanowić nad relatywną sytuacją Anglii i Japonii, dwóch państw o dość podobnej strukturze, by zdać sobie sprawę z tych atutów: i jedna i druga żyją z przetworu surowców na towary przemysłowe, z handlu międzynarodowego, z połowów ryb, z pośrednictwa. Jakżeż daleka jest droga Japonii do wielkich rynków zbytu, o ileż drożej wypada każda komunikacja lotnicza czy radiowa z Europą czy Ameryką, każda podróż handlowa, każda reklama, każde koszty przewozu. A poza tym co za *handicap* językowy, ileż czasu i wysiłku, by wykuć znajomość języka angielskiego, by tłumaczyć z japońskiego na angielski korespondencję, i plakaty, i ogłoszenia. A tymczasem tę znajomość angielskiego w słowie i piśmie każdy Anglik wynosi w posagu już z domu, już ze szkoły powszechnej.

I wreszcie do tych bogactw naturalnych zaliczyłbym stałość stosunków angielskich. Mniejsza o to jaka jest konstytucja, parlamentarna czy prezydencka: wartość ustroju zależy dużo bar-

dziej od jego stałości, od jego obliczalności. Dzisiejsza konstytucja V Republiki we Francji jest może ideałem, ale jest faktem, że istnieje zaledwie od pięciu lat, że w trakcie tych pięciu lat została bardzo silnie znowelizowana, że ponadto w ramach tej jednej konstytucji praktyka rządów przeszła od koalicji Pinay-Mollet do faktycznego jedynowładza. Któż w tych warunkach może z góry przewidzieć kształtowanie się przyszłych rządów we Francji? Natomiast Anglia nadal ma w Europie najlepszy ustrój, z jednym jedynym wyjątkiem Szwajcarii, która jeszcze lepiej umie zapewnić stałość i ciągłość swych rządów. Przy tym elemencie stabilizacyjnym, jakim jest ustrój angielski i system dwupartyjny, jak wytłumaczyć, że waluta brytyjska podlega nerwowym wahaniom, że trzeba było aż dwukrotnie w ostatnich latach podnosić stopę procentową Banku Angielskiego do kryzysowego poziomu 7%? Gdzie tkwi sedno zagadki?

Za czasów *Labour* (1945-51) rząd wierzył w tak zwane *controls*, czyli w środki przymusu administracyjnego. Te *controls* zawiodły na całej linii, jako środek regulowania koniunktury. Racionowanie żywności, benzyny, kupony ubraniowe, uzależnienie nawet remontów od zezwoleń władz, zostały zniesione przez rząd Churchilla, a *de facto* przez Butlera, który był jedynym dobrym kanclerzem szachownicy okresu powojennego. W opozycji Partia Pracy polityki koniunkturalnej nie stworzyła. Labourzyści nie byli inflacjonistami w tym stopniu co socjaliści francuscy: właściwą nazwą dla SFIO byłaby *le parti de l'inflation*. *Labour* usztywniała płace, a przede wszystkim utrudniała wszelką racjonalizację przez redukcję zbędnych (*redundant*) pracowników, a więc także wzrost wydajności, bo ten wzrost musi zawsze prowadzić do skurczenia liczby pracowników w danym przedsiębiorstwie. *Labour* też skutecznie przeciwstawiała się wszelkim przesunięciom terytorialnym czy zawodowym pracowników, co się najjaskrawiej ujawniło w utrzymaniu dotychczasowej liczby górników w upaństwowionych kopalniach węgla, liczby kolejarzy na upaństwowionych kolejach, liczby stoczników w subwencjonowanych przez państwo stocznicach etc. Była to polityka utrzymania istniejących *jobów* (posad) dla stałej klienteli wyborczej *Labour*, bez względu na skutki ekonomiczne tej polityki. Analogiczne błędy popełnili w Anglii (a też w wielu innych krajach) konserwatyści, za wszelką cenę ratując nadmiernie rozbudowaną sieć handlu detalicznego i zwłaszcza farmerów: w obu tych wypadkach (tak samo jak w wypadku górników i kolejarzy) chodziło, za parawanem frazesów patriotycznych i tanich teoryjek o zatrudnieniu, o ratowanie wiernej klienteli wyborczej na wsi i w miasteczkach.

Za rządów konserwatywnych polityką koniunkturalną kierowała bardziej *Treasury*, czyli ministerstwo skarbu, niż partia konserwatywna. W praktyce, *Treasury* oznacza grono stałych, wyższych urzędników, najwyżej dwustu, którzy narzucali swe poglądy kolejnym ministrom skarbu. Mało jest w historii współczesnej przykładów, by jednej dykasterii, jednemu resortowi, tak się udało decydująco wpłynąć na decyzje rządu. Ci wysocy urzędnicy *Treasury* pozostali wierni doktrynom klasycznym 19-go wieku. Wierzyli, że polityka monetarna i w szczególności manipulowanie stopą procentową i rynkiem pieniężnym są szczytem mądrości ekonomicznej. Wierzyli, że kurczenie siły nabywczej i restrykcje kredytowe są uniwersalną kuracją gospodarczą. Wierzyli że tak zwana równowaga automatycznie doprowadzi do *prosperity*. Bali się ekspansji, podejrzewając że jest „niezdrowa”, a stałość funta była pierwszym i głównym celem ich polityki finansowej. W praktyce *Treasury* zawsze wołała o zduszenie ekspansji, ilekroć ta powodowała deficyty w bilansie płatniczym. *Treasury* wierzyła głęboko, że wysoce arbitralne, wątpliwe statystyki a raczej szacunki ruchu kapitałów są matematyczną pewnością. Wierzyła również szczerze, że cała *prosperity* Anglii opiera się na jej roli bankiera międzynarodowego, że ta — bez stałego kursu funta — jest nie do utrzymania, że więc należy na ołtarzu wąsko pojętej stałości walutowej wszystko poświęcić.

Otóż ta wąsko pojęta polityka walutowa udała się: w przeciwieństwie do franka francuskiego, amputowanego dwa razy, za Gaillarda i za Pinaya, funt się utrzymał na parytecie Crippsa z 1948 roku: \$ 2.80 za £ 1. — Ale czy koszt tej operacji stabilizacyjnej nie był za wysoki? Czy stagnacja Anglii nie jest właśnie ceną za pirusowe zwycięstwo w „obronie funta”?

Regulowanie koniunktury za pomocą restrykcji kredytowych, manipulowania stopy procentowej i Keynes'owskim pompowaniem, względnie wypompowywaniem siły nabywczej może mogło wystarczać w warunkach sprzed 1914 roku, to znaczy w warunkach, gdy cała gospodarka była dużo bardziej ELASTYCZNA, niż jest obecnie. Przed 1914 rokiem kupcy i przedsiębiorcy dużo bardziej zależeli od kredytu: dzisiaj *Selbst-finanzierung* przedsiębiorstw poczyniła również w Anglii olbrzymie postępy, choć nie tak wielkie jak w Niemczech. Ciężar podatków znacznie bardziej wpływa na rentowność przedsiębiorstw, niż koszt kredytu. I nie wolno zamykać oczu na fakt, że przed 1914 roku koszty tego automatyzmu gospodarczego, uosobionego w walucie złotej i przemożnej roli finansów, płacił w pierwszym rzędzie robotnik, który bez pardonu znajdował się na bruku, gdy tylko koniunktura się pogarszała, i nie miał skutecznych środków bro-

nienia ani swego zatrudnienia, ani swych zarobków, ani swej stopy życiowej. Dzisiaj ten automatyzm nie działa. Polityka *Treasury*, którą i dzisiaj próbuje stosować Maudling, może nie była specjalnie zła, ale w każdym razie była mało skuteczna. *Treasury* ją uzupełniała polityką drobnych ustępstw podatkowych, które zawsze były za skromne, by wywrzeć poważniejszy wpływ na koniunkturę. Przeważnie suma tak zwanych koncesyj podatkowych, ogłaszanych z reguły z okazji „budżetu”, ograniczała się do sumy pół miliarda dolarów. Dla porównania przypomnę, że efekt obniżki podatków, proponowanych przez Kennedy'ego, wyraziłby się cyfrą JEDENASTU miliardów dolarów rocznie. To jest zastrzyk; zniżki podatkowe angielskie — to była i jest dłubanina.

Do tej dłubaniny kredytowo-podatkowej partia konserwatywna dodała kilka pomysłów, o wątpliwej wartości, i których w praktyce zrealizować nie zdołała. Partia konserwatywna chciała wstrzymać wzrost płac, tak zwaną spiralę płac i cen. Myśl była trafna, ale nigdy nie została w Anglii zrealizowana. Zrealizowały ją Niemcy. Dlaczego ta różnica? Anglicy ją tłumaczą większą dyscypliną, większym patriotyzmem, większą pracowitością robotnika niemieckiego. Moim zdaniem, powód istotny tkwił gdzie indziej. Robotnik niemiecki, nauczony gorzkim dwukrotnym doświadczeniem, bardziej obawiał się inflacji, niż jego koledzy angielscy i francuscy. Ale przede wszystkim robotnik niemiecki miał więcej zaufania (i słusznie) do swych „kapitalistów”, do swych przedsiębiorców, niż robotnik angielski czy francuski. Robotnik angielski podejrzewał (i miał rację), że kapitalista angielski nie włoży ekstra-zysków, wynikających z samozaparcia pracobiorców, w przedsiębiorstwo, w interes, lecz wyda je na snobizmy, na wysoką stopę życiową, na tezauryzację, na wzniesienie siebie i swych dzieci po drabinie społecznej, zamiast pakować wszystko w interes, w firmę. Klimat społeczny jest ważnym elementem bogactwa, a ten klimat jest w Anglii zły.

Partia konserwatywna chciała obniżenia podatków, a więc zmniejszenia wydatków publicznych i w tym celu próbowała obniżyć świadczenia socjalne. To się nie udało. Dzisiaj wygląda na to, że konserwatyści pogodzili się z koniecznością stałego zwiększania kosztów służby zdrowia, emerytur starczych oraz oświaty. Drugim możliwym polem obniżenia wydatków wydawała się urbanistyka, roboty publiczne i inwestycje w przedsiębiorstwach państwowych. W tej dziedzinie konserwatyści zdołali przez dwaście lat narzucić swą wolę. Do 1963 roku kolejni kanclerze skarbu skąpili, jak mogli, grosza na budowę szkół, uniwersytetów, szpitali, na rozbiórkę slumsów, na modernizację miast, a przede

wszystkim na inwestycje w dziale gospodarki, kontrolowanej przez państwo, a więc na koleje, na drogi, na porty i doki, na elektryczność, gaz, na telefony, na pocztę itd. Te oszczędności miały na celu stworzenie „rentowności” gospodarki państwowej, rentowności, pojętej w sposób najbardziej uproszczony, czysto buchalteryjny.

Otóż tutaj polityka konserwatystów zawiodła na całej linii. Nie mogli czy nie chcieli zrozumieć, że bez inwestycji każde przedsiębiorstwo staje się bankrutem jeżeli należy do osób prywatnych, a nagromadza deficyty, jeżeli należy do państwa. W rezultacie same koleje angielskie przyniosły w 1962 roku 159 milionów funtów deficytu, i pewno tyleż w roku ubiegłym (1963).

Teza konserwatywna, jak zawsze w Anglii podświadoma, nigdy jasno nie sformułowana, sprowadzała się do tego: inwestycje państwowe i roboty publiczne nigdy się nie opłacą. Lepiej więc ten sektor publiczny wygłodzić. Trzeba obniżyć wydatki publiczne, i zaoszczędzone w ten sposób kwoty zwrócić producentom, to znaczy fabrykantom i kupcom, a wówczas ci fabrykanci będą mogli skutecznie konkurować z zagranicą, odzyskać rynki eksportowe, będą mieli większe zyski, a te pozwolą na większe inwestycje. Póki to nie nastąpi, trzeba subwencjami i sztuczkami doprowadzić do tego efektu. Stąd wysokie cła protekcyjne, stąd popieranie monopolów i karteli, stąd „ceny związane” (sklepom nie wolno sprzedawać wyrobów wielkich firm, np. pasty do zębów i innych fabrykatów toaletowych, po niższej cenie od wyznaczonej przez fabrykanta), stąd bezsensowne zwolnienie zysków giełdowych i zysków na spekulacji terenami od opodatkowania, stąd nieprawdopodobne nadużycia z *expenses accounts*; te *expenses de facto* pozwalają businessmenom uciekać przed podatkiem dochodowym, którego cały ciężar trafia w pracowników o stałym uposażeniu.

W moim przekonaniu polityka wygładzania sektoru państwowego z poważnych wkładów byłaby zawsze błędna i szkodliwa: państwo angielskie będąc w 19-tym w. właścicielem kolei, też musiałoby w te koleje inwestować, choć byłoby to sprzeczne z filozofią ekonomiczną epoki „liberalizmu”. W polityce gospodarczej nie wolno się bawić w teorie, czy to liberalne czy socjalistyczne: musi panować wszechwładnie pragmatyzm. Teoria o szkodliwości inwestycji publicznych jest równie sztuczna i nieprawdziwa, co teoria o szkodliwości inwestycji prywatnych. Po prostu w pewnych odcinkach potrzebne są jedne a szkodliwe drugie. Wydaje się rzeczą pewną, że w dzisiejszych warunkach państwo czy ogólnonarodowe korporacje publiczne muszą kierować transportem kolejowym czy elektrycznością czy gazem, a z całą pewnością budową

dróg, budową szkół, budową szpitali, i w dużej bardzo mierze budownictwem mieszkaniowym. Natomiast nie widzę żadnych poważnych argumentów na rzecz upaństwowienia innych przemysłów, czy też poszczególnych firm w innych dziedzinach: np. nie widzę korzyści w upaństwowieniu węgla czy stali czy chemii, czy tym bardziej handlu zagranicznego, czy bankowości, czy handlu detalicznego, czy przemysłu restauracyjnego, czy ruchu wydawniczego, czy hotelarstwa i wczasów. Rozszerzenie zakresu działania państwa ponad rozmiary absolutnie konieczne sprawia, że państwo nie może sobie ze wszystkim dać rady. Gdyby rząd angielski nie miał na karku węgla, doków, niezliczonych hoteli kolejowych, a przede wszystkim przemysłu lotniczego i atomowego to by znalazł więcej środków na budowę autostrad, na burzenie ruder (*slums clearance*), na szkolnictwo i badania naukowe (*research*), na urbanistykę i szpitale.

Polityka konserwatywna nie była konsekwentna. Gdyby poszła do końca po linii restrykcyjnej, żądanej przez *Treasury*, może by w końcu ta polityka dała jakieś rezultaty, może by napełniła kapitalistów angielskich większym zaufaniem w przyszłość Anglii i skłoniła ich do większych inwestycji i do większego wysiłku. Może, choć nie wydaje się to prawdopodobne. Ale w praktyce rząd wygładzał sektor publiczny z inwestycji po to, by zwiększać wydatki na zbrojenia, budżet wojskowy, a przede wszystkim na przemysł zbrojeniowy, to znaczy przemysł lotniczy i przemysł atomowy.

Przemysł lotniczy zatrudnia w Anglii 180 tys. ludzi, we Francji mało co ponad sto tysięcy. Wszystkie te cyfry są bardzo przybliżone, bo przecież lotnictwo wymaga dzisiaj bardzo wielu przemysłów uzupełniających. Ale z grubsza przemysł lotniczy angielski jest dwa razy większy od francuskiego, (Niemcy, Włochy nie mają w praktyce żadnego). Ten przemysł lotniczy jest jednym z najkosztowniejszych: kapitał, który trzeba inwestować na głowę każdego zatrudnionego robotnika jest wielokrotnie większy od sum, których wymaga przemysł chemiczny. Co ważniejsze przemysł lotniczy pochłoniął kolosalną proporcję badań naukowych (*research*): według oficjalnych statystyk, w roku ubiegłym angielski przemysł lotniczy dostarczył 6% eksportu brytyjskiego, a zatrudniał 40% badaczy naukowych na wyspie. Bezsensowność tej proporcji rzuca się w oczy. Oczywiście dla Anglii byłoby wielokrotnie lepiej, gdyby ten rozwój przemysłu lotniczego został wstrzymany, a odpowiednie siły naukowe i laboratoryjne poświęciły swe talenty przemysłowi maszynowemu, który stanowi jedną z pięć achillesowych (obok stoczni i węgla) gospodarki angielskiej. Tu znowuż przytoczę kilka cyfr ilustrujących tę tezę. Zaraz po wojnie Stany Zjednoczone reprezentowały 40% świato-

wego eksportu maszyn (obrabiałek, motorów etc.), Anglia też blisko 40%, reszta świata, głównie Szwecja i Szwajcaria (bo eksport niemiecki wynosił wówczas zero), dzieliła się pozostałymi 20 procentami. Oczywiście ten quasi-monopol anglo-amerykański musiał zmaleć. Dzisiaj, przy obrotach wielokrotnie wyższych, niż w 1946 roku, Stany nadal reprezentują 22% eksportu maszyn, Niemcy 20%, a Anglicy spadli do 15%. Na horyzoncie pojawiła się w ostatnich latach Japonia, która jednym omal susem doszła do 7% eksportu światowego maszyn: jeżeli tak dalej pójdzie, prześcignie ona Anglię i dorówna Niemcom. Te cyfry są bardzo znamienne, bo świadczą, że w dziedzinie ciężkiego przemysłu Anglia straciła swój dawny prymat, ustępuje już nie tylko Stanom, ale i Niemcom. W ogóle, gdy się śledzi cyfry handlu światowego i czyta w gazetach o sporach i zatargach anglo-francuskich dookoła sprawy Wspólnego Rynku, czytelnik przeciera ze zdumienia oczy: wszak kłóć się dwa DRUGORZĘDNE państwa, bawiące się w rozgrywki prestiżowe, z których żadne nie ma dzisiaj danych na rolę przodującą. Gigantami eksportu maszynowego, a więc uprzemysłowienia, w tzw. wolnym świecie, stają się z każdym dniem coraz bardziej wyraźnie Stany, Niemcy i Japonia: o Rosji i Chinach nic nie można powiedzieć, póki ich handel jest monopoliczny, bo po prostu nie ma danych porównywalnych.

Jeszcze gorzej od forsowania przemysłu lotniczego wygląda forsowanie przemysłu atomowego. Środki, które ten przemysł pochłonał są olbrzymie, haracz, który na rzecz angielskich utopii atomowych płaci angielska *research*, jest gigantyczny. Przemysł atomowy dał, jak dotąd, tylko ułamek procentu rocznej angielskiej konsumpcji prądu elektrycznego, minimalny eksport reaktorów i izotopów, siły atomowe tak szczupłe i mizerne, że się wcale nie liczą, a natomiast spowodował koszty i wkłady, których dokładnej wysokości nikt nie zna, łącznie z samym rządem angielskim, ale które na pewno idą w miliardy funtów. W rezultacie Anglia nie ma poważnych konwencjonalnych sił zbrojnych, nie jest w stanie wywiązać się ze swych obowiązków traktatowych wobec NATO, bo nie ma w Niemczech, w *British Army of the Rhine*, przewidzianych pełnych czterech dywizyj na stopie bojowej, a w Suezie braku wojska, sił desantowych, marynarki wojennej i lotnictwa wyszły aż nadto jaskrawo. W rezultacie można twierdzić, że by zbudować i rozbudować przemysły lotniczy i atomowy (bardziej niż odpowiednie bronie) Anglicy wygłodzili inwestycje we wszystkich innych działach: w szkolnictwie, w szpitalnictwie, w kolejnictwie, w drogach, w telefonach, w portach i dokach, w urbanistyce, zaciążyli na płacach, podważyli funta, żyli stale w cieniu i pod grozą inflacji.

Obok obrony funta, stworzenie przemysłów atomowego i

lotniczego dla podtrzymania mirażu roli imperialnej, było jedynym istotnym celem polityki Torysów, i jest główną przyczyną spadku znaczenia międzynarodowego Anglii, marazmu jej ludności i bardzo powolnego i nieznacznego wzrostu angielskiej stopy życiowej. Jestem osobiście przekonany, że na skutek tej polityki Torysi przegrają wybory. Zwycięstwo *Labour* nie będzie, w moim przekonaniu, werdyktem, że naród angielski pragnie upaństwowienia stali czy transportu drogowego, ale będzie votum nieufności dla polityki angielskiego narodowego *deterrent*. Tu tkwi punkt ciężkości. Tu jest źródło wszystkiego zła, całego marazmu. Anglia nie może przeznaczać 10% swego dochodu narodowego na zbrojenia. Nie może ogłądać wszystkich swych przemysłów, wszystkich swych laboratoriów, by się uganiać za mirażem niepodległości atomowej. Tak jak małe państewka niemieckie i włoskie musiały zrozumieć w 19-ym wieku, że godzina ich minęła, bo nie mogły sobie pozwolić na 19-wieczne dywizje i artylerię, tak jak wojna 1939 roku była sygnałem degradingolady wszystkich państw drugiej i trzeciej kategorii, tak teraz jest rzeczą absolutnie pewną, że obrona atomowa i siły atomowe są możliwe tylko na skalę kontynentalną. Angielski *deterrent* jest dużo szkodliwszy od *Force de Frappe*, bo jest dużo bardziej zaawansowany, a więc pochłoniął i pochłania dużo większe sumy. Jak zawsze rezonowanie, wymowa, argumenty nie otworzyły nikomu oczu. Od lat nie tylko część *Labour*, ale także znaczna część prasy konserwatywnej, jak „Observer” i „Financial Times”, a więc najlepsze pisma w Anglii, tłumaczą, że trzeba z *Independent Deterrent* zrezygnować. Bez skutku. Ale Anglicy są dużo rozumniejszym narodem od nas: my jeszcze dzisiaj, po bezprzykładnej katastrofie 1939 roku, wierzymy, że możemy prowadzić wojnę polityczną przeciw obu naszym potężnym sąsiadom, że można jednocześnie dyktować granice Niemcom, a Rosjanom kazać przyznać niepodległość Ukrainie, co jest programem dużo ambitniejszym od postulatów restytucji granicy ryskiej. Anglicy, w moim głębokim przekonaniu, skapitulują — i to jeszcze przed rokiem Dwa tysiące — z *Independent Deterrent*, z fikcji Imperium czy *Commonwealthu*, z prób odgrywania roli Trzeciego mocarstwa światowego. I gdy ta rezygnacja będzie faktem, poważny i trwały wzrost stopy życiowej w Anglii stanie się z miejsca możliwy.

Na razie mało co się zmieni. Torysi nie zrezygnują z *Deterrent*, ich myślenie w dziedzinie polityki zagranicznej, wobec braku wybitniejszych mężów stanu, znajduje się pod batutą urzędników *Foreign Office* i *Defence Council*, tak jak w sprawach gospodarczych konserwatywni ministrowie skarbu kontentują się wykonywaniem „rad” stałych urzędników *Treasury*. Gdy politycy nie są wybitnymi ani odważnymi umysłami, dochodzi zawsze do rządów

urzędniczych, a te nie są zdolne do brania ostrych zakrętów. Rządy urzędnicze Austrii nie były złe, ale niczego nie załatwiły, i Austria runęła. Dużo gorsze rządy urzędnicze w Polsce, po śmierci Piłsudskiego, właściwie od 1930 roku, nie powzięły ani jednej poważnej decyzji, i biernie szły ku katastrofie, nie mając odwagi nawet intelektualnie przemyśleć niebezpieczeństw, które nam groziły. Warunkiem sanacji Anglii jest rezygnacja z jej *Deterrent*, z roli Trzeciego Mocarstwa w ogóle, i jeżeli Harold Wilson to przevorsuje, rola jego będzie potrzebna i pożyteczna. Jego rządy się w takim wypadku Anglii opłacą, choć w dziedzinie czysto gospodarczej wątpię, by rząd socjalistyczny mógł odnieść duże sukcesy. Upaństwowienie nie jest żadną receptą na bogactwo. Znaczenie planowania jest niesłychanie przesadzone. Nie mówię oczywiście o planowaniu na modłę sowiecką, które ma sens w jednej tylko dziedzinie: w dziedzinie zbrojeń i przemysłu zbrojeniowego, poza tym na wszystkich innych polach zawodzi. Ale nawet jak zawodne są skutki planowania francuskiego, które jest bardziej przewidywaniem, niż planowaniem! Ceny wzrastają o 5-6% rocznie, nie bacząc na plany, które stale przewidywały maksymalnąwyżkę 1-2% rocznie. A przecież problem cen jest kluczowy. W preliminarzach dla poszczególnych branż gospodarki francuskiej spotykamy same błędy: przemysł stalowy już od 1960 roku tupta w miejscu, a miał się co roku rozwijać o sześć czy osiem procent, przemysł samochodowy rozwija się znacznie szybciej niż planiści przewidywali, zbiory z hektara znowuż wzrastają szybciej, niż Plan nakazywał, z węglem jest dużo gorzej niż miało być według planu, import wzrasta bez porównania szybciej, budownictwo pozostaje bardzo w tyle. Jestem zwolennikiem planowania w jednej dziedzinie, mianowicie w dziedzinie inwestycji publicznych. Ale tutaj państwo francuskie a także angielskie, daje same złe przykłady, zmieniają swe *targets* (obiekty) często i dowolnie, raz forsują elektryfikację kolei, nazajutrz powiadają, że dieselizacja wystarczy, źle obliczają potrzeby tak łatwo obliczalne, tak wymierne, jak szkół czy szpitali, czy uniwersytetów, a nawet elektryczności, nie mówiąc naturalnie o mieszkaniach.

Konserwatyści angielscy prowadzili fatalną politykę imigracyjną. Przez 18 lat najaktywniejsze, najbardziej cenne jednostki angielskie (np. inżynierowie, narybek naukowy) emigrowały do Kanady, Australii, Rodezji i przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych. Miejsce ich zajmowali Murzyni z Antylli, których przybyło w pierwszej połowie 1962 roku aż 90 tysięcy (180 tysięcy w stosunku rocznym). W lipcu 1962 Butler, jedyny poważny i rozumny polityk konserwatywny, przevorsował ustawę o ograniczeniach imigracyjnych, i liczba tych imigrantów z tygodnia na tydzień spadła radykalnie: w drugiej połowie 1962 roku liczba

imigrantów „kolorowych” spadła z 90 tysięcy na 5 tysięcy. Niestety od kilku miesięcy ta liczba zaczyna znowu gwałtownie wzrastać, ostatnio w stosunku rocznym podniosła się do 120 tysięcy. Zamiast Murzynów z Antylli przybywają obecnie głównie Hindusi z Indyj i Pakistańczycy. Co to za gospodarka ludzka, jeżeli państwo wydaje olbrzymie sumy na kształcenie młodych Anglików a potem ci się zabierają, gdy tylko są w stanie oddać się pracy produkcyjnej, a za to importuje się robotników „kolorowych”, niepiśmiennych, nie znających języka angielskiego, często schorowanych, nieraz uprawiających poligamię, bez cienia jakichkolwiek kwalifikacyj! Anglicy uprawiają rozumny *birth-control*, przyrost naturalny jest niższy niż we Francji, a jeśli uwzględnić emigrację za morza, to ludność Anglii wzrastałaby tylko o maksimum 200 tysięcy ludzi rocznie, co jest cyfrą znośną. Ta równowaga demograficzna jest wielkim bogactwem narodowym. Gdyby ta równowaga miała być zachwiana przez imigrację Europejczyków, Polaków, Niemców, Włochów, Hiszpanów czy Irlandczyków, można by się z tym pogodzić, chociaż w zasadzie Anglia jest przeludniona i ubytek ludności wyszedłby jej na pewno na dobre. Ale zamiast Anglików i Europejczyków mieć hordy Murzynów czy Pakistańczyków — to już doprawdy obłęd, obłęd równie groźny a może i groźniejszy, niż obłęd atomowy! Bo Anglicy są rasistami, byli rasistami i pozostaną rasistami i ksenofobami jeszcze przez długie lata. Po dziś dzień nie znoszą Irlandczyków, choć chwala Bogu mieli czas żyć się z nimi przez tyle stuleci. Już teraz klimat socjalny w Anglii się bardzo pogarsza na skutek istnienia pół miliona „kolorowych”, a jeżeli ta liczba będzie nadal wzrastać, będzie dużo gorzej. Wszak w Ameryce rasizm uprawiają niemal wyłącznie Amerykanie z Południa, a więc pochodzenia czysto angielskiego; kosmopolityczna Północ, gdzie jest olbrzymia ilość Niemców, Włochów, Irlandczyków, katolików, rasizmu nie uprawia. *Labour* swą doktrynerską polityką migracyjną może rasizm w Anglii bardzo zaostriżyć. Ale tutaj jestem po cichu optymistą. W systemie angielskim programy znaczą bardzo mało, a wybory uzupełniające bardzo dużo: to one są prawdziwym wentylem bezpieczeństwa, a nie Izba Lordów. Skoro rząd *Labour* skonstatuje, że na popieraniu imigracji kolorowej traci głosy w wielkich miastach, zaraz zarygluje granicę, dla emigracji z Indyj, Pakistanu, Afryki i Antylli a także Hong Kongu i Malajów, i to dużo skuteczniej, niż to uczynił Butler.

Wtrączę tutaj, że tak samo jak uważam, że marksieści nie zdają sobie sprawy z realnego i głębokiego konfliktu między robotnikiem a chłopem o cenę żywności, między robotnikiem a państwem o wysokość zbrojeń, tak samo nasi „lewicowcy” zamykają oczy na głęboki konflikt między pracownikiem białym a

kolorowym. Ten konflikt jest konfliktem ekonomicznym, socjalnym i rasowym. Jest bardzo niebezpieczny, bardzo szkodliwy, moralnie ujemny. Ale to nie przeszkadza, że istnieje. I rozumne rządy muszą zrobić wszystko, by tych konfliktów nie doprowadzać do punktu wrzenia. W tym celu państwa eks-kolonialne muszą popierać imigrację narodów białych, europejskich, a nie kolorowych. Szwajcaria ma dzisiaj 30% pracowników obcego pochodzenia, w dwóch trzecich Włochów, potem Austriaków, Południowych Niemców, Hiszpanów, ostatnio także Greków. Ale już Turków Szwajcarzy, demokratyczni Szwajcarzy, nie wpuszczają zupełnie, a już Arabom czy Murzynom nie dają nigdy wizy pobytowej. Ta polityka zapewnia spokój socjalny, a więc jest lepsza od polityki wpuszczania Algierczyków do Francji, kolorowych do Anglii.

Pisanie o sprawach gospodarczych przedstawia tę trudność, że za dużo jest problemów, nie można nigdy skończyć. Skoro piszę o błędach polityki konserwatywnej, to jak nie wspomnieć o rolnictwie? Coraz bardziej przechodzę na stanowisko anty-agrarne, uważam, że ochrona rolników i rolnictwa jest jednym z głównych obciążeń gospodarki światowej, a europejskiej w szczególności. Interwencjonizm agrarny nigdzie się nie udał i się nie uda. Ale o ile można zrozumieć trudności ekonomiczne, a przede wszystkim socjalne i polityczne w redukcji chłopstwa niemieckiego czy francuskiego do właściwych rozmiarów, to znaczy likwidacji ferm poniżej 20 ha, o tyle uważam forsowanie rolnictwa w samej Anglii za aberrację. Rozumiem od biedy, że Anglicy chcą ratować dochody swych kuzynów na roli w Australii czy w Nowej Zelandii, choć oczywiście każdemu Europejczykowi los chłopca w Kalabrii czy Owernii czy Bawarii musi być dużo bliższy, niż dobrobyt kolonistów angielskich na antypodach. Ale jaki argument przemawia za sadzeniem buraków cukrowych w Norfolk, za sianiem pszenicy w okolicach Oxfordu, za hodowaniem pomidorów i kalafiorów nawet w Szkocji? Mówi się o „obronie”. Rzeczywiście w epoce bomb wodorowych własny cukier i własne pomidory dużo pomogą obronności Anglii! Rozumiem, że we Francji, we Włoszech i w Niemczech rządy chcą ratować pewną tradycyjną wiejską *way of life*, która ma realne walory psychologiczne i kulturalne. Ale w Anglii to życie chłopskie, ta chłopska kultura już dawno zamarły, więc po co te oranżerie? A subsydia dla rolnictwa angielskiego wynoszą bodajże tyleż co subsydia francuskie czy niemieckie. To już jest czysta strata narodowa, i tłumaczy się tylko demagogią wyborczą. Czy *Labour* będzie miał odwagę z tym skończyć? Jakże wątpię! Przecie Attlee okazał się tak konserwatywny w praktyce, tak potulny, tak posłuszny wobec *Establishment*, to znaczy wobec klas rządzących. Nie czuję by ten

głęboki respekt przed „zasiedzeniem”, przed „prawami nabytymi” miał się w Anglii ku końcowi. Robotnik jest dalej pasywny, nacjonalistyczny, rasistowski, podejrzliwy, głęboko niechętny najmniejszym zmianom, najmniejszym innowacjom. Inteligencja jest bardziej niezadowolona, ale brak jej odwagi, żyje pod presją rozmaitych tabu i snobizmów, instynktownie podporządkowuje się „gentlemanom”, arystokracji, bogaczom, sędziom i adwokatom, wysokim urzędnikom, zawodowym politykom: „oni wiedzą lepiej”. Technokrata w Anglii zajmuje dużo niższe stanowisko społeczne, niż na kontynencie. Dziennikarze, publicyści mają niski statut polityczny i socjalny. Niepisana umowa zabrania dyskusyj, polemiki, gloryfikuje plectenie banałów. W Anglii jedyną drogą do tego, by być poważanym, uznawanym, lubianym i zrobić karierę, jest być nudnym. Każdy Anglik instynktownie pragnie uchodzić za głupszego niż jest: jakże często się przekonałem, że moi znajomi Anglicy nie są idiotami, ale tylko z uporem udają idiotów. Ale liczyć, że w tych warunkach Anglicy mogą wejść na drogę śmiałych, a koniecznych reform? Że mogą stanąć na czele Europy, której wszystkie problemy trzeba na nowo prze-myśleć, *il faut repenser les problèmes*. Nawet Kościół katolicki wszedł na drogę intelektualnego przewartościowania całej swej struktury i działalności. Czy Anglicy są dzisiaj do tego zdolni? Wątpię. A bez przemyślenia problemów — roli na świecie, możliwości obronnych, walorów kulturalnych, systemu sojuszów, struktury socjalnej — bez uszeregowania walorów, nie można sformułować trafnej polityki gospodarczej. Gospodarka jest narzędziem — dobrobytu, potęgi, zbrojeń, przywilejów kastowych, dziedziczności, własności, reform socjalnych, wartości duchowych, kultury, nacjonalizmu — ale *per se* nie istnieje. *Homo oeconomicus* jest fikcją. Nigdy nie istniał. Nikt nie gospodaruje, by gospodarować. Działalność gospodarcza musi mieć zawsze pewne finalne cele na oku. Uważam, że Amerykanie, Francuzi, Niemcy są znacznie bliżsi zrozumienia tej *finalité des choses*, stąd mają dużo jaśniejsze i słuszniejsze przekonania, co się opłaca, a co się nie opłaca, intelektualnie górują nad Anglikami, którzy nadal rządzą się tradycją i instynktem: wiedzą czego nie chcą, a nie czego chcą, nie widzą sprzeczności, nie są w stanie przemyśleć doktryn do końca. Bez pragmatyzmu teorie prowadzą do utopii, ale bez doktryny, politycznej i socjalnej, sam pragmatyzm prowadzi do zagubienia się we mgle.

Powstaje pytanie, czy Anglicy zdobędą się na większy wysiłek myślowy, intelektualny, bo, jeżeli mózg działa sprawnie i ściśle, wszystko inne za tym pójdzie: człowiek jest istotą myślącą i w końcu inteligencja zawsze zwycięża, klęski są rezultatem

błędnych rozumowań a nie tylko stosunku sił. Otóż nie uważam karty angielskiej za przegraną, tak jak swoją kartę przegrali Hiszpanie: dzisiaj ogromne połacie świata i przeszło sto milionów ludzi mówi po hiszpańsku, a rola Hiszpanii spadła do minimum, kraj sam jest ubogi, w życiu umysłowym odgrywa małą rolę, w życiu kulturalnym mikroskopijną, na (tak przecenionej) szachownicy dyplomatycznej prawie że nie istnieje. Ba, pomimo pobożności, Hiszpania i kraje kultury hiszpańskiej odgrywają bardzo niewielką rolę w życiu Kościoła, dużo mniejszą niż nie tylko Francja, ale nawet Irlandia czy wyznaniowo rozdarte Niemcy lub Holandia. Myślę, że Anglicy nie mają z różnych powodów żadnych szans do utrzymania wyjątkowej roli politycznej i gospodarczej, która była ich udziałem w 19-ym wieku. Dominacja finansowa była w ogóle zjawiskiem przejaskrawionym, a iść może w parze tylko z rolą przodowniczą w przemyśle i handlu: dzisiaj jedyną walutą światową jest dolar, i im prędzej Anglicy dadzą spokój ambicjom związanym z City i z funtem, tym będzie lepiej, tym łatwiej uporają się z problemem zapewnienia wysokiej stopy życiowej 50 milionom ludzi, stłoczonym na niewdzięcznej wyspie, daleko na północ, o złym klimacie, o słabej bardzo urodzajności, o strasznych garbach w postaci przemysłu węglowego i slumsów.

Anglia musi też pogodzić się z myślą, że nie ona będzie warsztatem przemysłowym Europy, ale że ta rola przypadnie na najbliższe lat czterdzieści Niemcom, nawet samym Niemcom Zachodnim, bez *Wiedervereinigung*. I oczywiście kraj, który nie przoduje ani finansowo, ani przemysłowo, którego kapitalizacja jest słaba, który nie składa dowodów inwencji, geniuszu naukowego, geniuszu technicznego, ani też geniuszu politycznego, nie może pretendować do zachowania roli kierowniczej w Europie. Same zbrojenia, nawet gdyby jakimś cudem można było zmusić Anglika — jak Chruszczow nadal zmusza mieszkańców Rosji i jej satelitów — do poświęcenia stopy życiowej na rzecz zbrojeń, nie zrównoważą słabości ekonomicznej i marazmu intelektualnego. Na najbliższych czterdzieści lat Anglia nie może w Europie odgrywać takiej roli jaką odgrywają i odgrywać będą Niemcy i Francja. Poprawa sytuacji angielskiej zacznie się dopiero, gdy Anglicy to zrozumieją. Na razie jest do tego daleko. I to jest może punkt najniebezpieczniejszy. Nawet ekonomiści i publicyści najbardziej światli, najbardziej odważni, jak Rhees-Mogg, jak Graham Hutton, po wyliczeniu wszystkich szaleństw i zaniedbań ostatnich lat, wpadają w ton liryczny, tak typowy dla narodów słabych i słabnących. I tak Hutton pisze: „...*Overcoming our long-piled-up jam of problems is by no means a hopeless task. It can be quite easily accomplished, given British common-sense,*

the famous British pulling-together...". I dalej autor, na ogół tak krytyczny, wpada w samo-uwielbienie. Píše: *The quality of our goods is generally admired abroad* (nieprawda). *British work-people have fingertip skills, brain-and eye coordination, and attention to quality...* (przesada). *British men and women, young and old, learn more quickly than others* (całkowita iluzja, jest akurat odwrotnie).

Otóż gdy tak piszą reformatorzy, cóż dziwnego, że ludzie u władzy oddają się słodkiej drzemce, że businessmeni nie okazują inicjatywy, że wysiłek jest mały, że inwestycje — zadatki dla przyszłości — są za małe, i że są one w tak wysokim stopniu niefortunne i nieprzemyślane. W szczególności jestem najgłębiej przekonany, że cały system edukacyjny angielski jest fatalny, a już szczególnie tak zwane *public schools*, które uczą tylko snobizmu, pederastii i głupich sportów, a nie dają żadnych poważnych kwalifikacyj intelektualnych: wystarczy porozmawiać pięć minut z byle jakim liceistą francuskim i Etończykiem, by się przekonać o przepaści, która obu dzieli. To samo, gdy chodzi o uczennice. A już największa różnica między Wyspą a Kontynentem zaznacza się nie między Anglikami a Francuzami, Niemcami, Szwajcarami etc., ale porównując Angielki z kobietami z Kontynentu. Anglik wydaje mi się powolniejszy, mniej lotny, mniej wykształcony, mniej pomysłowy, dużo nudniejszy od swych rówieśników na Kontynencie. Ale na ogół swój *job*, swój zawód zna, w jakiejś wąskiej dziedzinie ma pewną wiedzę, pewne doświadczenie. Przepaść dzieli natomiast Angielkę od Francuzki i każdej innej kobiety na Kontynencie. Jest leniwsza, dużo bardziej zamknięta dla każdej nowej myśli, dla każdego porównania, bardziej zarozumiała, znacznie bardziej nacjonalistyczna. Angielki nie potrafią sprawować funkcji, które, pomimo wszystkich przewrotów technicznych, pozostały nadal podstawowymi czynnościami w każdym społeczeństwie: nie mają pojęcia o gotowaniu, o prowadzeniu domu, o wychowywaniu dzieci, są z reguły kwaśne, zgorzkniałe, a ich gospodarstwo domowe wygląda opłakanie. W Anglii trzeba zmienić Angielki dużo bardziej niż Anglików.

Mimo wszystko nie uważam za wykluczone, że Anglicy mogą poprawić swą sytuację gospodarczą, wydostać się z marazmu i podnieść wydatnie swą stopę życiową plus minus do poziomu reszty Zachodniej Europy. Mają wciąż dwa kolosalne atuty: język i położenie geograficzne. Mają blisko siebie trzy wielkie dynamo gospodarcze: Amerykę, Francję i Niemcy. Mają rozsądną ilość dzieci. Nie są chimerykami, jak my, mają zrozumienie zjawisk gospodarczych, którego nam totalnie brakuje. Nie są kłótniwi, nie są namiętni, nie dają się omamiać teoriom. Mogą spaść do roli

Wielkiej Holandii, ale nigdy krajów środkowo-europejskich, które wszystkie, bez wyjątku, nie zdały egzaminu ani z polityki, ani z ekonomii, ani w 19-ym, ani w 20-ym wieku.

Piszę te słowa krytyki pod adresem Anglii, bo wierzę w konieczność absolutnej wolności prasy, i uważam, że krytyka obcych jest naszym dobrym prawem, i stanowi zachętę do krytykowania Sowietów i polityki sowieckiej w Polsce przez Polaków, bez czego może się w Polsce rozlegać tylko „drętwa mowa”. Ale zdaję sobie sprawę, że krytyka Anglii może się wydawać komiczna w ustach Polaka. Albowiem jakżeż Anglicy górują nad nami pod każdym względem, z wyjątkiem naszej narodowej specjalności — bezskutecznej martyrologii!

Gdy krytykuję Anglików, zawsze przypomina mi się rozmowa z Ignacym Matuszewskim w Londynie w czerwcu 1939 roku. Spacerowaliśmy po Hyde Parku i starałem się korygować ultra-anglofilskie poglądy mego wysoce inteligentnego rozmówcy. Krytykowałem, już wówczas, różne aspekty polityki i gospodarki angielskiej. Matuszewski przerwał. „Wszystko to prawda, powiedział, ale gdyby Polaków przenieść do Anglii na miejsce Anglików, co by się stało? W ciągu dwóch lat umarliby z głodu!”.

W.A. ZBYSZEWSKI

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”

I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYŚYLAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo :
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Ile, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Autochtoni

Górny Śląsk, jak każda prowincja pograniczna, był przed drugą wojną światową dwujęzyczny. Obok języka urzędowego niemieckiego, mówiono, szczególnie na wsi, po śląsku, czyli gwarą polską o bardzo silnych wpływach niemieckich i czeskich. Element ludnościowy można było podzielić na trzy kategorie, mianowicie na Niemców, Polaków i ludzi o niewyrobionym poczuciu narodowym. Ludność czująca się Polakami mieszkała przeważnie na wsi, tak samo element o niewyrobionym poczuciu narodowym. W miastach przeważali Niemcy. Często bywało tak, iż jednostki o wybitnie niemieckich nazwiskach były zagorzałymi Polakami i na odwrót. Ludzie mówiący źle po polsku czuli się Polakami, a osoby kaleczące język niemiecki słynęły ze swojej proniemieckości. Pomimo to ludność Górnego Śląska tworzyła jedną całość, gdyż była związana więzami rodzinnymi. Granica narodowościowa przebiegała nierzadko przez rodzinę.

Polska mniejszość narodowa na Górnym Śląsku należała do jednej z najbardziej aktywnych grup mniejszościowych w Europie. Posiadała własne organizacje, szkoły i zespoły artystyczne. W czasie drugiej wojny światowej cała masa Polaków ze Śląska przebywała w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, a dużo z nich oddało tam życie za Polskę. Trzeba dodać, że analogicznie wyglądała sytuacja na Warmii i Mazurach.

Po roku 1945 Górny Śląsk, tak samo jak część Prus Wschodnich, został objęty tak zwanym programem repolonizacyjnym rządu PRL. Na tych terenach prawie że nie przeprowadzono wysiedleń miejscowej ludności, wychodząc z założenia, iż ludzie urodzeni na tych ziemiach są pochodzenia polskiego. Jednak od swego zarania polityka repolonizacyjna była realizowana przez ludzi, bez żadnego doświadczenia, którzy popełniali coraz to nowe błędy. Wypaczenia i błędy popełnione w okresie od 1945-1955 skończyły się wreszcie zupełnym fiaskiem polityki repolonizacyjnej.

Zaraz po zakończeniu działań wojennych osiedliła się na Górnym Śląsku masa Polaków. Przeważał element wysiedlony przez Sowietów z Polski wschodniej, ale nie mało było różnych spekulantów, złodziejasków i innych osobników z Polski centralnej, którzy rabowali, plądrowali i szykanowali ludność rodzimą ile się dało. Nie obchodziło ich to, czy dany autochton czuł się Polakiem lub Niemcem. Oni byli panami sytuacji, a nierzadko stała za nimi władza i policja. Wielu tak zwanych autochtonów, którzy jeszcze przed wojną opuścili swoje ojczyste strony, wróciło teraz z Polski na Śląsk. Przeważnie stawali oni w obrobie swoich znajomych i krewnych i starali się przeciwstawiać różnym wykroczeniom ze strony napływowej ludności i władz. W związku z tym znaleźli się nagle w fatalnej sytuacji, gdyż podejrzewano ich, że są Niemcami. Nierzadko spotykali się z szykanami władz i prześladowaniami. Przeciętny poziom cywilizacyjny chłopą „zza Buga” był o wiele niższy niż ich poziom. Zdarzało się, że rolników umieszczano w wytwornych willach, a ponieważ nie posiadały one odpowiednich pomieszczeń dla bydła, chłop „zza Buga” trzymał je w pokoju lub w najlepszym wypadku w łazience. Oczywiście, że taki stan rzeczy wywoływał oburzenie i zarazem lekceważenie u tak zwanych autochtonów.

Władze kompetentne w ogóle nie brały pod uwagę osobliwej mentalności ludności miejscowej. Nie liczyły się zupełnie z tym, że nawet Polacy urodzeni tutaj byli wychowywani w kulturze niemieckiej i w związku z tym przesiąkli naleciałościami niemieckimi. Można było nawet wnioskować, że raziło to administrację i ludność napływową. Nie zważając na gorące przestrogi ze strony urodzonych na tych ziemiach Polaków, władze przystąpiły do radykalnej akcji mającej na celu likwidację wszelkich śladów niemieckości. Oficjalnie zabroniono używania języka niemieckiego. Kto nie przestrzegał tego zarządzenia był karany grzywną, karą cielesną i więzieniem. Zakazano nabożeństw w języku niemieckim i usunięto nawet napisy nagrobkowe poniemieckie. Zburzono pomniki wielkich romantyków niemieckich jak Beethovena i Eichendorffa. W domach przeprowadzano rewizje w poszukiwaniu niemieckich książek, nie oszczędzając Heinego, Marksa i Sienkiewicza po niemiecku. Konfiskowano przy tej okazji nierzadko naczynia kuchenne i makatki z napisami niemieckimi, a przed kościołami — tak jak to praktykowało swego czasu w Łodzi Gestapo — czyhali Ubecy zabierając ludziom modlitewniki. Zmieniano, lub zmuszano do zmiany nazwisk i imion niemieckich. Urzędy stanu cywilnego, na wzór hitlerowski, nie wydawały autochtonom metryk urodzenia i ślubu, o ile nie zgodzili się na zmianę nazwiska lub nadanie nowonarodzonemu dzieciom polskich imion. Nawet imiona łacińskie były przez pewien czas niedopuszczane. W roku 1946-47 organy bezpieczeństwa, wspólnie z MO i ORMO przeprowadziły masowe aresztowania wśród młodzieży autochtonicznej, podejrzewając ją o hitlerowskość. Nie brano pod uwagę, czy aresztowany pochodził z rodziny przychyl-

nie ustosunkowanej do Polski. Znęcano się nad tą młodzieżą w okrutny sposób. Jako osobisty świadek tych zająć oraz świadek metod gestapowskich, mogę tylko potwierdzić, że prawie w niczym nie różniły się od siebie. Część młodzieży wróciła z więzień jako kaleki, innym udało się zbiec do Niemiec. Pamiętam jeszcze żywo obraz powstańca śląskiego, który widząc swego maltretowanego syna, powiedział: „Wstydzę się, że walczyłem dla Polski”. Było po prostu ironią, że przy tego rodzaju „przesłuchaniach” wmawiano młodemu, że są Polakami. Efekt tej akcji był taki, że coraz więcej autochtonów zaczęło mówić po niemiecku, a ludzie którzy przed wojną mówili tylko po polsku i byli za to karani przez policję, obecnie byli karani przez MO za demonstracyjne używanie języka niemieckiego.

Jednym z dalszych powodów niechęci tzw. autochtonów do Polski Ludowej, było obniżenie się stopy życiowej, i dojście do zupełnego chaosu gospodarczego. Nie trzeba być historykiem, aby stwierdzić, że takiej nędzy jak w pierwszych latach Polski Ludowej, i zwłaszcza w okresie tzw. „błędów i wypaczeń”, nigdy na Śląsku nie było. Coraz bardziej ludność śląska, a z nią ludność mazurska, przypominała sobie dobrobyt gospodarczy czasów niemieckich. Paczki z NRF, a nawet z Strefy Okupacyjnej Niemiec, świadczyły prawie codziennie o dobrobycie w centralnych Niemczech, które przecież przegrały wojnę. Uciekanie się władz do apelów patriotycznych, było tutaj naiwnym błędem, tym bardziej, że rdzenni Polacy kpili sobie z takich nic nie dających obietnic. Wreszcie władze zdecydowały się na jak najbardziej absurdalny krok: nałożono na paczki z NRF wysokie cło i określano odbiorców jako „Adenauerowców”, pomimo iż ludzie ci często nawet nie wiedzieli kim jest Adenauer. W niektórych szkołach gorliwi ZMP-owcy nawoływali swoich kolegów autochtonów, by wyrzekli się krewnych niemieckich.

Władza ludowa wcale nie liczyła z tym, że zwłaszcza autochtoniczna ludność Śląska była silnie związana z wiarą katolicką. Nierzadko wiara i polskie poczucie narodowe tworzyły jakby jedną całość. Idea marksistowska była zupełnie obca tej ludności o cechach konserwatywnych. Nagonka na kościół katolicki i kler, musiała doprowadzić do konfliktu. Tym bardziej, że w niektórych wypadkach wysiedlano proboszcza, lub przenoszono go przymocą do innej miejscowości, gdzie mieszkała absolutna większość Polaków z centralnej Polski.

Jednym z najgłówniejszych błędów, to walka z chłopem śląskim. Trzeba przypomnieć, że zwłaszcza wśród chłopów element polski był najsilniejszy. Już z początku wywłaszczono niektórych chłopów oddając ich gospodarstwa napływowym rolnikom. Często umieszczano napływowych rolników w gospodarstwach autochtonów, przy czym niejednokrotnie nie było wiadomo, kto jest właściwym panem, bo chłop śląski pracował jak pachołek na własnym gospodarstwie. Później naprawiano te błędy oddając gospodarstwa w posiadanie prawowitych właścicieli. Ponieważ

chłop śląski posiadał na ogół wzorowe gospodarstwo i był stosunkowo dobrze usytuowany, zaliczano chłopów śląskich w okresie stalinizmu do kategorii „wyzyskiwaczy wiejskich i kułaków”. Nałożono na nich wysokie podatki i szkalowano ich imiennie, w gazetach lub przez radio za rzekome niewywiązywanie się z obowiązkowych dostaw. Z drugiej strony tłumaczono im, że są równouprawnionymi obywatelami Polski Ludowej. Wreszcie uciekano się do drastycznych represji: zorganizowano „ochotnicze” brygady z fabryk i organizacji młodzieżowych, które przeprowadzały pod pilnym okiem funkcjonariuszy przymusowe wymłócenie, nie zostawiając danemu rolnikowi nawet ziarna na zasiew. Taki wypadek miał miejsce ze znanym chłopem-powstańcem, który z rozpacz — widząc wymłócone i skonfiskowane zboże — usiłował powiesić się. Nienawiść jego była tym większa, że chłop ten za swoją polskość przesiedział całą wojnę w obozie koncentracyjnym. Śmierć Bieruta przerwała akcję, zmierzającą w kierunku uspołecznienia gospodarstw rolnych, przed którym jak najbardziej bronili się nie tylko chłopci śląscy.

W roku 1955 nastąpił koniec tej polityki repolonizacyjnej. Miała ona fatalne skutki moralne i prestiżowe dla Polski. Tylko mała garstka Ślązaków czuła się jeszcze Polakami. Rozmawiałem z powstańcami, którzy teraz jakby wstydząc się swego udziału w powstaniach śląskich, określali ten czyn jako „delikt kawalerski”. Jeden z młodych autochtonów, podsumowując całą politykę repolonizacyjną, napisał słusznie do prasy: „Czego Niemcy nie zdążyli zgermanizować w okresie 700-set lat, Polska Ludowa regerminizowała w ciągu czterech lat”. Gdy tylko ogłoszono, że wydziały polityczno-społeczne rad narodowych przyjmować będą podania o wyjazd do Niemiec, do poszczególnych rad narodowych wpłynęła niekończąca się fala podań. Przed biurami paszportowymi komend wojewódzkich ciągnęły się kolejki chętnych do wyjazdu. Wszelkie apele patriotyczne były daremne, a wśród wyjeżdżających znajdowali się i ci, którzy w powstaniach śląskich walczyli o Polskę, albo spędzili wojnę w różnych obozach koncentracyjnych.

Trzeba podkreślić, że wielkie zasługi przy ujawnieniu i piętnowaniu tzw. polityki repolonizacyjnej ma prasa stołeczna. Ona właśnie domagała się w okresie przedpaździernikowym szybkiego rozwiązania tej drażliwej sprawy. Żądała rodzaju plebiscytu wśród ludności autochtonicznej. Ludność miała mieć możliwość wolnego wyboru, czy czuje się Polakami czy Niemcami. Niemcy mieli wyjechać do Niemiec, a o ile chcieli pozostać w Polsce, mieli otrzymać statut grupy mniejszościowej. Gomułka w pełni zaakceptował te postulaty. Aczkolwiek nie zrealizował zupełnie swych postanowień — z powodu stałych interwencji ze strony kół nacjonalistycznych — to jednak wbrew wszelkim namowom i z małymi ograniczeniami pozwolił — i pozwala nadal — osobom czującym się Niemcami opuścić Polskę. Przy czym Niemcy mogą ze sobą zabrać całe swoje mienie ruchome. (Ostatnio chłop

mazurski przywiózł sobie nawet domek prefabrykowany). Choć — jak już zaznaczyłem — Gomułka nie zrealizował z tych czy innych powodów swoich obietnic wobec grup etnicznych w Polsce, to jednak kurs wobec autochtonów uległ poprawie.

Pisałem na początku o konflikcie i nieporozumieniach między ludnością rodzimą a Polakami z centralnej lub wschodniej Polski. Trzeba jednak zaznaczyć, że ta sytuacja szybko uległa zmianie i to w kierunku pozytywnym. Pamiętam wzorową postawę niektórych przybyłych Polaków, którzy — narażając się na przykrości ze strony władz — jak najostrzej przeciwstawiali się różnym wypaczeniom. Były wypadki, gdzie Polacy nie pozwolili na wysiedlenie swoich niemieckich lub „autochtonicznych” znajomych. Ludność rodzima szybko zorientowała się, że między Polakami i władzą polską istniała głęboka przepaść. Ucisk polityczny, religijny i nienawiść do Związku Sowieckiego — oto dwa faktory, które szybko przyczyniły się do zbliżenia ludności rodzimej i napływowej. Duchowni śląscy przeniesieni przymusowo do parafii czysto polskich, szybko zyskali sobie zaufanie swoich plebanów i na odwrót. Znam wypadki, gdzie chłopci zza Buga przeciwstawiali się skutecznie wywiezieniu ich proboszcza śląskiego do łagru. Doszło nawet do bójek z milicją. W innych miejscowościach ludność autochtoniczna zbierała podpisy na zwolnienie ich księdza polskiego z więzienia.

Polacy szybko pojęli, że nie wszyscy Niemcy, to SS-mani, coraz rzadziej reagowali negatywnie na dźwięk niemieckiej mowy.

Młodzież przyczyniła się do stworzenia pierwszych pomostów porozumienia. Na ławie szkolnej powstawały pierwsze znajomości, które doprowadzały do przyjaźni a często do ołtarza. Niejedna patriotyczna rodzina polska musiała się po długim oporze pogodzić z faktem, iż córka poślubiła Niemca lub na odwrót. Nierzadko właśnie małżeństwa mieszane przyczyniały się do likwidacji uprzedzeń rasowych i narodowych. Miały one funkcję nieoficjalnego pośrednika między ludnością napływową i autochtoniczną. Małżeństwa takie, które przeważnie były szczęśliwe, były najlepszą szkołą tolerancji w stosunku do innych zwyczajów, tradycji i obrzędów.

Nieco bardziej skomplikowanie przedstawiała się sytuacja na Mazurach, gdyż tam dzielącym faktorem była przynależność ludności rodzimej do kościoła protestanckiego, co znacznie zmniejszało możliwości wzajemnego porozumienia. Podczas wypadków poznańskich zginęło kilka młodych rekrutów śląskich — odmówili oni wykonania rozkazu strzelania do ludności. Było także wielu Niemców, którzy brali udział w Polskim Październiku, gdyż i oni pragnęli lepszej Polski.

Nieraz wyjeżdżającym ciężko było żegnać swych przyjaciół Polaków. Pociągi ruszały na Zachód. Na dworcach pozostawali znajomi i krewni, a wśród nich teraz także i Polacy. W NRF przybysze szybko spostrzegali, że nawiązanie kontaktu z tamtej-

szą ludnością było o wiele trudniejsze, aniżeli w Polsce. Zwłaszcza młoda generacja miała pod tym względem poważne trudności. Część z nich w ogóle nie chciała wyjechać z Polski, gdyż czuła się Polakami, a nawet marksistami. Niektórzy młodzi ludzie niechętnie spełniali to życzenie rodziców. Wielu z nich mówiło po niemiecku słabo albo wcale. W NRF wysyłano ich do specjalnych szkół, tzw. „Förderschulen”, aby nauczyli się niemieckiego. Poza tym młodym trudno było dogadać się z wysiedleńcami z roku 1945, gdyż mieli zupełnie inne poglądy na temat Polski i jej ludności. Trudne było im także dogadać się z emigrantami polskimi. Można śmiało stwierdzić, że wysiedleńcom z okresu popaździernikowego łatwiej jest znaleźć wspólny język z Polakami krajowymi, aniżeli z polskimi emigrantami.

Między obywatelami NRF, którzy po roku 1956 opuścili Polskę a Polakami i ich rodzinami, którzy tam pozostali, istnieje silna więź przyjaźni, zwłaszcza przez wymianę żywej korespondencji. Poza tym razem z mężami i żonami niemieckimi, przyjechało do NRF wielu Polaków. Jest rzeczą zrozumiałą, że sympatia do Polski, do jej kultury, narodu i zwyczajów jest wśród tych kół bardzo silna. Przecież pokaźna liczba tych „emigrantów” uczęszczała do polskich gimnazjów, na wyższe uczelnie, zdobywając tam stopnie naukowe. Dla nich Mickiewicz, Słowacki, Moniuszko i Chopin są bliżsi, niż Beethoven, Wagner, Goethe i Schiller. Moim zdaniem zarówno strona polska, jak i niemiecka za mało doceniają rolę tego elementu społecznego w NRF, który w przyszłości może się bardzo przyczynić do zacieśnienia więzów porozumienia między Polską i NRF. Cóż bowiem oznacza najlepszy dyplomata niemiecki, jeżeli nie zna języka polskiego, a co gorzej nie zna mentalności ludności polskiej i nie potrafi znaleźć z Polakami wspólnego języka?

Joachim Georg GÖRLICH

Obywatele Bremy o Polsce

Powzięto różne próby w celu porozumienia się z naszym wschodnim sąsiadem. Niemcy osiedli w Europie Środkowej uświadamiając sobie, że nie powinni patrzeć tylko w jedną stronę, stopniowo zdają sobie sprawę z dziedzictwa, które pozostawiła po sobie ostatnia próba ich czynnej polityki wschodniej.

Dojść do normalnych stosunków z Polską jest niepomrotnie trudniej aniżeli nawiązać porozumienie z Francją. O ile nad Renem wiekowa i dziedziczna wrogość mogła pójść w niepamięć w

ciągu jednej nocy, o tyle pomiędzy narodem niemieckim a polskim piętrzą się jeszcze, 18 lat po zakończeniu wojny, gruzy i zgłiszczą szaleńczej polityki hitlerowskiej. Ale to co u nas coraz bardziej idzie w zapomnienie, albo przechodzi do historii, pozostaje w Polsce palącą aktualnością. Za przykład może służyć tytuł zbioru dokumentów, dotyczących niemieckiej polityki okupacyjnej z lat 1939-1945, który brzmi: „My tego nie zapomnieliśmy”.

Trudności zdają się nie do przewyciężenia

Nawiązanie tych normalnych sąsiedzkich stosunków pomiędzy Polską a Republiką Związkową jest trudne. Istnienie zony sowieckiej, przynależność Republiki Związkowej i Polski Ludowej do dwóch różnych bloków, zakusy polskie na ziemi położone za Odrą i Nysą prawie uniemożliwiają porozumienie.

Pamiętajmy jednak, że francusko-niemiecką zgodę poprzedziło przemyślenie tego zagadnienia, tak w Niemczech jak i we Francji. Wielka polityka przyjmuje bez wątpienia impulsy wynikające z poglądów szarego człowieka. Prawdziwe porozumienie może nastąpić pomiędzy wrogimi niegdyś narodami dopiero wtedy, kiedy ten tak często wymieniany człowiek ulicy gotów jest porzucić uprzedzenia i zdobyć się na myśl bezstronną. Z tego względu powinniśmy przyjrzeć się opiniom naszych współobywateli o Polsce i Polakach.

Co myślą Niemcy o Polakach?

Jeżeli mamy wierzyć temu co różne związki i stowarzyszenia podają jako poglądy Niemców, albo wnioskować z orzeczeń niedzielnich mówców i polityków radykałów — orzeczeń wygłaszanych przed pełnymi lub pustymi salami, w takim razie jesteśmy jeszcze bardzo daleko od zbliżenia niemiecko-polskiego, nawet na jego najniższym szczeblu.

Nasze partie polityczne, wypowiadając się na temat sprawy polskiej z wielką wstrzeмиęźliwością, sądzą widocznie że wyborcy są zgodni z opinią owych mówców wiecowych. Gdyby tę sprawę chcieli rozważyć bezstronnie i na trzeźwo, stwierdziliby, że większość Niemców wydaje się już dojrzała do niemiecko-polskiego porozumienia. Tak można by sobie w każdym razie tłumaczyć wyniki ankiety, podjętej ostatnio w Bremie, zaraz po „Polskim Tygodniu” zorganizowanym przez małą rozgłośnię najmniejszego Landu Niemieckiej Republiki Związkowej.

Wyniki ankiety

Pobudką do przeprowadzenia tej ankiety była jedynie ciekawość dwóch Bremeńczyków, którzy chcieli wiedzieć, co myślą ich

współobywatele o Polakach i co w ogóle wiedzą o tym, tak dla nich odległym, sąsiedzie. Poczynając od dzieci szkolnych i przyjaciół rozesłano dwa tysiące kwestionariuszy, z których każdy zawierał ponad 30 pytań. Czwarta część zapytywanych zadała sobie trud odpowiedzenia na cztery strony pytań. Te 16 tysięcy odpowiedzi nie są oczywiście miarodajne dla poglądów wszystkich Republik Związkowych, nawet nie wszyscy Bremeńczycy muszą podzielać zdanie tych 520, którzy się odezwali. Z odpowiedzi na tę ankietę możemy jedynie zapoznać się z poglądami pięciuset mieszkańców Bremy. Ale ich wypowiedzi nie są bez znaczenia, zważywszy że pytania nie były skierowane do jakiejś określonej warstwy lub grupy, ale do ludzi rozmaitych zawodów i różnego wieku, którzy w swoim składzie niezbyt odbiegali od składu stosowanego w naukowej statystyce. Przyjawszy te zastrzeżenia, korzystamy z okazji aby sprawdzić nasz własny stosunek do Polski.

„Mówmy lepiej o innych narodach. Polska mnie brzydzi”.

„Cieszę się ze starań podjętych dla polepszenia stosunków pomiędzy obu narodami i usunięcia uprzedzeń”.

Oto dwa skrajne poglądy, pomiędzy którymi stopniują się inne. Stwierdzamy na wstępie, że w ankiecie przeważają zdania Polsce życzliwe.

Osobiste doświadczenia z Polakami

Mniej więcej połowa tych Bremeńczyków, którzy odpowiedzieli na ankietę, spotkała się gdzieś czy kiedyś z Polakami, najczęściej w czasie wojny, rzadziej w jakimś miejscu swego osiedlenia przed wojną, jeszcze rzadziej w podróży. Robotnik sezonowy albo wróg — to były jedyne ich zetknięcia z sąsiadem. Doświadczenia dotyczące Polaków były przeważnie gromadzone w okresie najgorszego chaosu. Z obywateli Republiki Związkowej, których ogarnął pęd powojennego podróżowania, nieliczne tylko jednostki zabłądziły nad Wisłę. Tym więc dziwniejsze, że prawie połowa tych co poznali Polaków wyniosła z tej znajomości dobre wrażenie. Tylko 5% wyznaje, że ich zetknięcia z Polakami były niedobre. Niekiedy podawane są dodatkowe wyjaśnienia: „W okresie hitlerowskim doznali Polacy tylu okrucieństw, że zdają się dziś pozbawieni współczucia” — albo „to czego doznali od Niemców sprawiło, że skamienieli w nienawiści”. Niewątpliwą życzliwość w stosunku do Polaków wykazuje fakt, że 52% nie ma zasadniczo żadnych obiekcji przeciwko spędzeniu urlopu w Polsce, 39% odrzuca ten projekt, podając jako przyczynę osobistą niechęć do Polaków. Większość tych ostatnich rozumuje chyba podobnie, jak ta 24-letnia Bremianka, która żadnego Polaka nigdy nie spotkała, ale lęka się obcego, komunistycznego kraju. Miejmy nadzieję, że w przyszłości więcej Niemców pojedzie do Polski i że ten lęk przed nieznanym będzie mógł się rozwiązać. Do tego winny dążyć jednak rządy obu państw.

Czy istnieje wrogość dziedziczna?

Dziedziczna wrogość w stosunku do sąsiedzkich narodów zdaje się być obciążeniem narzuconym nam przez historię. Czy ta wrogość istnieje pomiędzy Niemcami a Polską? Tylko 19% odpowiedzi stwierdza, że w ciągu wspólnej tysiącletniej historii oba narody były złymi sąsiadami. Z górą połowa zapytywanych sądzi, że żyło się ze sobą i źle i dobrze — jak zwykle pomiędzy sąsiadami. Nie możemy w tym miejscu wdawać się w dochodzenia historyczne jak ta sprawa wygląda w rzeczywistości. Sądy Polaków, pozostających pod silnym urazem wypadków zaszłych w ciągu ostatnich dwustu lat, byłyby zapewne odmienne. Dla nas ważne jest nasze ustosunkowanie się do Polski. Wrogości dziedzicznej chyba w nas nie ma.

Niewykorzenione uprzedzenia

Nieomylną wskazówką dla wartościowania jednego narodu przez drugi są jego poglądy-szablony. Wszyscy mamy swoją opinię, wyznawaną otwarcie lub potajemnie, o Włochach, Francuzach lub Rosjanach. Oczywiście też o Polakach. „Polnische Wirtschaft” (polskie gospodarstwo) od czasów Bismarcka było na wielu ustach. Czy jednak wyobrażenie Niemców, że Polak jest brudny i leniwy jest powszechne?

Przy bliższej obserwacji ten pogląd na uprzedzenia naszych współobywateli okazuje się również uprzedzeniem. Zapytywani Bremeńczycy byli wystawieni na pokusę wygłaszania tych szablonowych sądów o Polakach. Rezultat ankiety jest więc zastanawiający: 12% uważa, że Polacy są brudni, 9% że fałszywi, a tylko 4% uważa lenistwo za narodową wadę polską. Czy więc można mówić o uprzedzeniach na szeroką skalę, uprzedzeniach dotyczących cech narodowych? Czy ci sami Bremeńczycy osądziliby łągodniej, któryś z zaprzyjaźnionych i dodatnio przez Niemców ocenianych narodów? Niedorzeczność podobnych opinii wykazuje przede wszystkim to, że ci co uważają Polaków za brudnych, fałszywych i leniwych nigdy z żadnym Polakiem się nie zetknęli. Nie należy bagatelizować tego rodzaju fenomenów, ale nie powinniśmy też wobec Polaków ulegać poczuciu winy; większość naszych współobywateli myśli rozsądnie o czym świadczą komentarze w tej części kwestionariusza. „Szablonowe sądy są zawsze fałszywe, nie wolno sądzić w ten sposób żadnego narodu”.

Innych szablonowych, a na ogół przyjętych opinii, dotyczących Polaków, nie należy tłumaczyć negatywnie. 55% zapytywanych Bremeńczyków uważa Polaków za nacjonalistów, 45% podkreśla ich słowiańską gościnność, a urok Polki jest tak silny że 25% naszych współobywateli marzy o jej elegancji. Niesposób zataić, że pozytywne uprzedzenia są równie nieumotywowane jak negatywne. Niektórzy Bremeńczycy sądzą, że istnieje jeszcze ów

operetkowy Polak à la *Bettelstudent* (student-głodomór). Możemy jednak sobie powinszować, że ujemne opinie o naszym sąsiedzie wygłaszane są z rezerwą.

Kultura polska — wielkość nieznana

Zastanawiające jest również to, że nasi obywatele stosują tę samą rezerwę kiedy chodzi o znajomość polskiej kultury. Większość Bremeńczyków jest podświadomie przekonana o wszechmocnych wpływach kultury Zachodu na Wschód. Mniejszość jedynie zdaje sobie sprawę z tego, że na naszej wschodniej granicy istnieje naród z którego indywidualną kulturą warto się zapoznać. Wina w tym wypadku obciąża nie poszczególne jednostki, ale tych którzy powinni byli udzielić społeczeństwu odpowiednich wiadomości, mimo tego, że Niemcy są mało ciekawi kultury słowiańskiej. 66% respondentów wypowiedziało się przeciwko wprowadzeniu do szkół jednego z języków słowiańskich jako przedmiotu obowiązującego. Zgodę na tak zuchwałe zamierzenie dało 28%. Oto jak, idąc śladami Humboldta i Rankego, nasze szkoły kształcą młodzież zachodnio-europejską. To, że w Polsce istnieją wartości duchowe, które nieraz były bodźcem dla Europy jest wciąż jeszcze osobistą wiedzą kilku wtajemniczonych.

Kto z Niemców wie o Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie — drugim po Pradze na wschód od Renu i Alp, uniwersytecie, w którym kształcił się Kopernik? Co wiemy o roli Polaków w europejskim ruchu rewolucyjnym XIX wieku? „Ptaki burzy i rewolucji” (*Die Sturmvögel der Revolution*) ukazywały się na barykadach Paryża, podobnie jak Berlina i Drezna. Czy wiemy o tym, że nagroda Nobla była dwukrotnie przyznana pisarzom polskim? Jakie polskie nazwiska, jakie dzieła literackie są nam znane? Sienkiewicz, który w 1905 r. uzyskał nagrodę Nobla za „*Quo Vadis*” jest najpopularniejszym z polskich pisarzy. Wymienia go 6% zapytywanych, przeważnie ludzie starsi. Drugą nagrodę Nobla, Władysława Reymonta, którego powieść „*Chłopi*” nagrodzona w 1924 r. była kilkakrotnie tłumaczona na niemiecki, wymienia jedynie 2%. O Mickiewiczu — zdaniem Polaków największym ich poecie, słyszało tylko 4%, i to też przeważnie ludzie starsi. Z polskich autorów współczesnych najbardziej znany jest Marek Hłasko — 5%; podejrzewamy jednak, że do jego skromnej w Niemczech sławy przyczynił się jego związek z Sonią Ziemann. Zastanawiające jest, że Sławomira Mrożka zna tylko 1%, mimo że ukazanie się tomu jego satyr pt. „*Słoń*”, wzbudziło wśród krytyków duże zainteresowanie. Widocznie droga, wiodąca od krytyki literackiej do półek z książkami, jest bardzo długa. Na samotnej wyżynie przebywa przedstawiciel kultury polskiej Fryderyk Chopin, zna go 30% zapytywanych. Rozgłos polskiego imienia zdaje się w ogóle rosnąć w miarę jak dany osobnik oddala się od swego kraju rodzinnego. 8% uważa Marię Curie-Skłodowską za sław-

ną Polkę, ale pani Curie otrzymała nagrodę Nobla, wtedy, kiedy już osiadła w Paryżu. Dział ankiety dotyczący polskiej kultury wykazał ile jeszcze pozostaje do zrobienia w tej dziedzinie. Znajomość bowiem osiągnięć kulturalnych jest wstępnym krokiem do uznania w sąsiedzie jego wartości indywidualnej. Nie powinniśmy czekać nim Polska po złączeniu Niemiec będzie znów państwem o najdłuższej z nami wspólnej granicy. Mieszkańcy Niemieckiej Republiki Federalnej powinni już dziś zapoznać się z Polską, jako z narodem o własnej kulturze. Powinni to zrobić po dwustu latach, w ciągu których Niemcy nie chcieli uznać odrębności narodu polskiego, albo w których traktowali Polskę jako państwo sezonowe. To zagadnienie powinno być przez Niemców przemyślane od nowa.

Powinniśmy odpoznać się wzajemnie

Wstępne sondaże nie są na tyle niekorzystne, abyśmy mieli przekazać to zadanie następnemu pokoleniu. Czyż tych, których ta sprawa obchodzi, nie zastanowi fakt że 50,8% zapytywanych jest zdania, że Niemiecka Republika Federalna powinna podjąć inicjatywę wyrównania stosunków z Polską? Tylko 14,4% twierdzi, że ta inicjatywa powinna wyjść od Polaków, a 24,2%, że starania te podjąć powinny jednocześnie oba narody.

Na zakończenie sprawozdania z tej skromnej inicjatywy ankietowej musimy wyznać raz jeszcze, że podjęli się jej amatorzy. Wielcy specjaliści od sondowania opinii publicznej mogą wykazać procentowo obliczenia nieco różne od wyżej przytoczonych. Ośmielamy się jednak twierdzić na podstawie naszych badań, że Niemcy nie myślą źle o Polakach i że reakcja większości społeczeństwa niemieckiego odniosłaby się pozytywnie do wszelkich prób zbliżenia obu narodów. Ten stan rzeczy należy wziąć pod uwagę. Również nad Wisłą społeczeństwo powinno być świadome zmian, które zaszły w nastrojach Niemieckiej Republiki Federalnej. Klisza o narodzie dążącym do rewanzu nie jest zgodna z prawdą — ponad 90% zapytywanych Bremeńczyków wypowiedziało się przeciwko wysiedleniu Polaków z ziem położonych za Odrą i Nysą.

*Horst Werner FRANKE
i Otto GRIESE*

(Przełożyła M. Cz.)

Najnowsza historia Polski

Urywki z diariusza 1936-1939

Nowy Rok 1936

Wyjechałem rano wczes do Pragi. Sikorskiego spotkałem w hotelu „Sokolsky Dum. Opowiadał o przygotowaniach, jakie poczynił szczególnie w kołach wojskowych. Uzgodnił się zupełnie z Hallerem, podporządkował Januszajtisa. Tego ostatniego uważa za niepoprawnego optymistę. Spodziewa się, że przewrotu będzie można dokonać na wiosnę. Może się to stać drogą masowego nacisku albo gwałtu. Trzeba być gotowym na jedno i drugie. Kościółkowski i Kwiatkowski spełniają rolę Bartla. Twierdzi, że ten rząd wywróci się za dwa lub trzy miesiące. Roja był u niego. Sosnkowski zbakierował się zupełnie. Opowiada różne nieznane rzeczy i kompromitujące Piłsudskiego. Biskupi są gotowi poprzeć jego usiłowania. Twierdzi, że rozruchy antysem[ickie] prowokuje Kawecki.

Dnia 2.1.1936

Mówiliśmy do południa. O godzinie 2-giej miał jechać do Prezydenta dr. Benesza, na jego zaproszenie. Potem odjedzie do Szwajcarii, skąd ma dać znać, czy mam tam jechać. O wyniku rozmowy z dr. Beneszem obiecał telefonować na drugi dzień. Nie mogąc się spotkać z Korfantym, odjechałem po południu. Zostałem list od Korf[antego] i Ołpińskiego.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Dnia 3.1.1936

List ekspres do Adamusa (1) w sprawie Juli (2). Mimo zapewnienia, telefonu od Sikorskiego nie było.

Dnia 4.1.[1936]

List od Sikorskiego z Pragi. Rozmawiał wczoraj dn. 2 stycznia z Prez. Beneszem. Ten się nie zaangażował zbyt w sprawie paktu wschodniego. Gotów jest do wyrównania spraw pomiędzy Polską i Czechosłowacją. Wczoraj po południu miał Sikorski wyjechać do Paderewskiego. Kiernik uprzedził, że ja mam tam przyjechać. Widać wie od Rataja. Napisałem do Korfanteo. Córka pisała z Zebrzydowic do Vienarżówny (3).

Dnia 10.1. list z 9.1.

List od Bobka. Donosi o nagonce przeciw mnie ze strony sanacji, przygotowanej prowokacji z zamachem i próby zwalenia na mnie winy. Ustęp brzmi: „Z najpew[niejszego] źródła z Ministerstwa Spraw Zagranicznych dowiedzieliśmy się, iż doniesiono Min[isterstwu] temu, że z końcem miesiąca stycznia z pań[skiej] inicjatywy ma być podjęty szereg zamachów. Zapewne chodzi tu o świadomą prowokację, prowadzoną przez Kaweckiego a umyślnie zainscenizowaną za granicą. W sprawie tej zrobiliśmy, co potrzeba, niemniej widzi Pan z tego, jak bardzo się zajmują Pańską osobą i jak bardzo pchają do pewnych rzeczy, by tych paru ludzi, kierujących polityką unieszkodliwić. Wiadomość jest absolutnie pewna, osoba która doniosła wiarygodna i osobiście o tym mogła się przekonać”.

Napisałem do Bobka i Kasper[likowi] odpowiedziałem na list. Z. Bob[kiem] spotkanie dn. 13 we Fryd[ku], z Kasper[likiem] dn. 19 w Hranicach. Kaleta przysłał leki i wskazówki.

Dnia 13.1.[1936].

We Frydku spotkałem Bobka. Twierdzi, że automatycznie władza wypada z rąk rządzącym. Anarchia się wzmaga. Komu-

(1) Nauczyciel Adamus, szwagier pośła P. Bobka.

(2) Julia Masiowa, córka W. Witosy.

(3) Córka czechosłowackiego działacza agrarnego, przyjaciela W. Witosy.

nizm rośnie. Z ONR jest w ścisłym kontakcie. Thugutt rozmawiał z Rydzem Śmigłym. Pyta się, czy my możemy z nim współdziałać. Deszcz ulotek przeciw rządowi. Zniżki cen towarów nic nie dały. Poleciłem zaangażować ludzi na wadowickie. Oddałem listy z życzeniami, książki: Fel. Młynarskiego, Srokowskiego N.K.N. Bez testamentu Piłsudczyka. Listy do ludzi i córki. [Do] Kalety.

Dnia 23.12.[1936]

Nadeszły listy od Bobka, Żebrowskich z Pyr., Kristofów, Mermela Stanisława. Bobek donosi, że walka pomiędzy Mościckim a pułk[ownikami] zaogniła się bardzo. Są zabiegi, by doprowadzić do zgody. Głosujących za amnest[ią] było więcej niż gazety podawały. Byłoby znacznie lepiej, gdyby nie choroba Stpi-czyńskiego. Bujak był u min. Świętosławskiego. Bobek nie wie, o czym mówił. Minister rzekomo pozbywa się kreatur puł[kowni-kowskich] z ministerstwa. Wobec ataków Mościcki szuka sprzymierzeńców, choćby odległych. Sikorski ma przybyć do Hranic w dniu 1 stycznia 1937 r. Twierdzi, że on (Sik.) (nawias autora) zakreślił akcję na wielką skalę. Przestrzega ponownie przed braniem zobowiązań, gdyż Sikorski więcej patrzy na wywindowanie swojej osoby, niż [na] załatwienie wielkich spraw. Ma swoją konspirację, która działa. Rydz-Śmigły go nie cierpi. O.N.R. mu nie wierzy.

Dnia 26.12.[1936]

Wieczorem przyjechał Gruszka. Uważa położenie za zupełnie dobre. Spodziewa się upadku reżymu w ciągu kilku miesięcy. Ułożyliśmy sposób roboty na terenie Mał[opolski] i Królestwa. Pawlikiewicz pisze, że w Warszawie jest oburzenie na rząd i że ogromna większość spodziewa się jego upadku. Sikorski jedzie do Pragi na dzień 2-go stycznia i prosi, bym tam przybył. Jeśli będzie zmiana terminu, przyjdzie telegram. Na radzie min[istrów] powiedział Kościółkowski, że po amnestii mógłby Witos za miesiąc wziąć rządy. Prystor mówił, że na jego powitanie wyszłoby 3/4 województwa krakow[skiego]. Wróblewski odpowiedział, że to nie byłoby nic złego.

Bujak czynił zabiegi w Warszawie i przekonał się, że Mościcki jest przeciwnikiem amnestii. Adwokat Ujazdowski przysłał entuzjastyczny list, zaznaczając, że jestem jedynym człowiekiem

w Narodzie, cieszącym się ogólnym zaufaniem. Chwaliński pisze, że chłopci czekają na moje rozkazy.

Dnia 27.12. [1936]

Przybył Rataj i Bobek. Opowiada Rataj, że w chwili objęcia rządów przez Kwiat[kowskiego] było w Kasie (Skarbie) 3 miliony. Dzięki obcięciu pensji znacznie się poprawiło. Stosunki pomiędzy Mościckim i pułkownikami są jak najgorsze. Zapowiadają jego usunięcie, dla skompromitowania zbierają materiały. Mość [icki] niezdecydowany. Rydza-Śm[igłego] uważa się za głupiego i niezdecydowanego. Kościalkowski coraz więcej robi politykę pułkowników. On ma wiadomości od ludzi wtajemniczonych. Radziwiłł prosił o widzenie się, ale Rataj odmówił. Socjaliści kupa gnoju.

Dnia 12.3.[1938]

List Lieber[mana]. Donosi o rozmowach z ludźmi z Polski. Mościcki mnie nienawidzi. Obawiają się, że go Rydz wyrzuci, ma jakoby spróbować układów za pośrednictwem senat. Michałowicza. Rydz przygotowuje przewrót. Pomagają mu Miedziński, Rajchman, Matuszewski. Intrygi celem rozluźnienia stosunku Stron[nictwa] Lud[owego] z P.P.S. Bagiński pisze o tarciach w stronnictwie. Dżula stęka. Ungar się usprawiedliwia. Szczotka zawiadamia o przyjeździe w niedzielę 13 do Frydka. Bagiński o przyjeździe na ten dzień Gralińskiego do Cieszyna. Kristof o czasie, pogodzie i jego zapatrywaniach. Retinger z Londynu o stosunkach polskich na tamtym gruncie. Dla prof. Kota memoriał po angielsku. Hr. Drohojowski. Przyjazd mój lub kogoś odpowiedniego.

Wieczór przyjechał Bagiński. Ma obawę, że za kilka miesięcy będzie to samo z Czechosłowacją, co i z Austrią. Konsternacja w Pradze i wszędzie.

Dnia 17.3.[1938]

Wyjechałem do Pragi o 10.18. Na dworcu Cihlarz, Korff[anty], Kristof. Czuć zdenerwowanie z powodu noty polskiej do Litwy. Czesi na pozór dość spokojni, mimo że Hlinka odmówił współpracy w rządzie, a Niemcy aktywiści wycofują się z rządu

i większości parlamentarnej. Nie mówiłem z nikim miarodajnym. W rządzie determinacja.

W hotelu spotkałem inżyniera Polaka z Nowego Targu. Przy wydaniu paszportu starosta Głód się zastrzegął, by się nie widział ze mną. Gdy powiedział, że się chce widzieć, odrzekł, że musi mieć pozwolenie wojewody. Paszport mu dano i dano do zrozumienia, by ze mną na temat porozumienia się pomówił. Mam wrażenie, że kręcił. Powiedziałem mu, że do tego są władze stronnictwa. Kiernik się tym przejął i sądzi, że to może być coś poważniejszego. Marcinkowski z żalami od Lasockiego. Przybyłem z powrotem w sobotę po południu, dnia 19.3.

Od p. Retingera otrzymałem list z Londynu z daty 17.3. w którym pisze, że wystąpienie Polski przeciw Litwie jest uważane za szantażowanie Europy, a on się spodziewa, że wojny nie będzie jeszcze przez dwa lata, bo się Anglia o to stara, nawet ze szkodą dla siebie. Sprawę Austrii uważa za zakończoną. Nikt się o nią już nie upomni. Kaleta donosi, że Julia przeszła. Listy przeniósł i rozesłał.

Dnia 21.3.[1938]

Posłałem listy: Lieberman, Cihlarz, Kaleta. Termin Niemcowi na sobotę. List Stivina, red. „Prava Lidu”. Był w Paryżu Lieb[erman] mu polecił powiedzieć telefon[icznie] mnie, abym do dwóch tygodni z nim się zobaczył. Prezydent zaproponował P.P.S. wstąpienie do rządu, ale oni nie chcą bez chłopów. Witos ma dalej prowadzić bezpiecznie swoją akcję w przeświadczeniu, że P.P.S. nie pójdzie z rządem. Rozmowa mogłaby się odbyć w Rotterdamie, lub w Zurychu. Stivin nadmienia, że uważa to za fantazję, a w Paryżu mówią o Lieb[ermanie], że nie ma wszystkiego w głowie w porządku. List do Rataja przez Kaletę i do Kolbuszowej Górnej.

Dnia 22.3.[1938]

List od dr. Lieb[ermana] z Paryża. Dowiaduje się czy Stivin wywiązał się z poruczonego mu zadania. Potwierdza swoje tezy, doradza robotę dotąd prowadzoną. Pisze o konieczności osobistej rozmowy. Doradza jazdę aeroplanem do Rotterdamu, Zurych, lub Paryż. Jeśli nie, to droga morską na Rumunię-Jugosławię, Marsylię. On nie może samolotem, lekarz zabronił. Sądzi, że uspokojenie nastąpi wnet. Był u niego wybitny czł[onek] C.K.W. Pużak go poinstruował. Sprawę zaciemnił. Ten sądzi, że gdy chłopci

zaczną, robotników się nie utrzyma. Socjaliści agituja twierdząc, że ja niby idę z robotnikami, ale połączę się z Hallerem.

Spotkał się z b. min. Szydłowskim w Paryżu. Jechał z Hiszpanii rewolucyjnej. Pracuje ekonomicznie. Pozycja rządu nie do utrzymania. Wszystko prze do połączenia się z chłopami. Porozumieniu ze mną są przeciwni pułkownicy. Wciąż mówią, że Witos będzie żądał za wiele i umowy nie dotrzyma. On sądzi, że porozumienie musi nastąpić. Zakończył zwrotem, że wnet powrócimy. L[ieberman]: Francja i Anglia wywarły nacisk na Litwę, by przyjęła pol[skie] warunki. Rząd francuski i opinia są za daniem wszelkiej pomocy Czechosłowacji. Doradza w końcu utrzymanie częstszego kontaktu z Bagińskim.

Dnia 23.3. [1938]

Pojechałem do Cieszyna. Julia nie przybyła. Kaleta dał znać, że jej nie przepuścili. Czynią to od dwóch dni. Napisała kartkę: „Tatusiu, jadę do Zakopanego. Co jest, to proszę napisać”. Odpowiedziałem. List od Retingera. Radzi wydanie manifestu do chłopów litewskich z moim podpisem i do demokracji polskiej, ażeby zebrała fundusz na utworzenie stypendiów dla młodzieży litewskiej, kształcącej się na uniwersytetach polskich. Dobrze byłoby, gdyby się na odezwie znalazły podpisy Rataja, Kota, Niedziałkowskiego, Żuławskiego, Barlickiego, Gruszki, Sikorskiego, Hallera, Popiela i jego.

Korfanty pisze, że mowa Mościckiego, ustawa o odebraniu prawa przynależności są przeciw emigracji wymierzone.

Dnia 10.4.[1938]

Lieberman prosi, by zawiadomić Kota i Rataja, że Retinger jest człowiek niepewny, prawie łobuz. Lord Addison, którego chce do Polski sprowadzić, zetknąć z przedstawicielami stron [nictw] i ze mną, jest starcem, bez politycznych wpływów. Sprawę uważa jako nędzny humbug. Niemiec ma dalej rozmawiać z ludźmi.

Dnia 11.4.[1938]

List od Retingera. Spotkałem się w Prznie z dr. Szczotką. Właścicielka domu Adamcowa, korpulentna Czeszka, wyrażała żal, że kraj po Ostrawę nie przypadł Polsce, gdyż byłoby lepiej na granicy mieszkać i zarabiać. Jej ojciec jest działaczem stron[nictwa]

rep[ublikańskiego]. Tani patriotyzm. Szczotce dało woj. Śląskie subwencję 1500 zł. i możliwość przechodzenia granicy. Zawsze się znajdzie sposób.

Dnia 12.4.[1938]

Listy napisałem Lasocki, Hodża, Beran, Volny, Gruszka, Schram, Tabisz, Kot, Mikoł[ajczyk], Meciż, Lieberman, Kolcova. Tel[efon] z Pragi odwołany. Olchowicz. List od Drohojowskiego. Odpow[iedz] załączyłem na Krońcach. Do Paderewskiego i Strakacza.

Dnia 13-14. [1938]

Kaleta telefon. Z Julą się nie spotkał. We Frydlancie spotkałem Retingera. Jedzie z Londynu. Ostudziłem zapaly co do sprowadzania Anglików. Lieb[ermana] posadza o bliskie kontakty z komunistami. Rząd Daladiera nazywa złodziejami. Mandel i inni. Wygląda na szajgeca. Listy Julia, Gójski, Przybycień, Viniarzowa.

Dnia 27.4.[1938]

Lieberman w liście pisze: Zetknąłem się w całym szeregiem osobistości z Warszawy, odwiedził mnie wysłannik grupki otaczającej Prezydenta, która znów oświadczyła chęć zbliżenia się do Pana. Z wiadomości przez nich zakomunikowanych wynika, że Prez[ydent] chce niedługo sformować rząd pod kierow[nictwem] Poniatowskiego, lecz chciałby wiedzieć, czy on będzie przez Stron. Ludowe dobrze przyjęty. Zapytuje, co trzeba uczynić, aby uzyskać choćby odrobinę poparcia Str. Lud[owego] dla tego rządu. W Prezydenta klika Rydza i pułkow[ników] potrafiła wmówić, że P[an] przede wszystkim chce jego usunąć i zasiąść na jego fotelu. Tego się panicznie boi i zapytuje, czy Str. Lud[owe], względnie Pan zgodzi się na zapewnienie mu spokojnego urzędowania aż do roku 1940. Grupka w najbliższej przyszłości ma przysłać do P[ana] pełnomocnika znacznie wyższego w hierarchii, który chciałby się rozmówić z Panem, o ile się Pan na to zgodzi.

Była tu ważniejsza osoba z obozu wojskowego, która zajmuje dużą pozycję po stronie obozu Rydza. Za pośrednictwem trzeciej osoby dał on mi taki obraz sytuacji: nastrój rewolucyjny wśród mas chłopskich jest nadzw[yczaj] silny, niepokój z tego powodu w obozie rządowym bardzo wielki, zwłaszcza, że nie są

pewni armii na wypadek konfliktu z chłopami. Z tego powodu ograniczają represje tylko do akcji policyjnej. Czują, że klucz sytuacji leży w ręku pana. Chcieliby się zbliżyć do p[ana], lecz tego nie uczynią, gdyż wierzą, że p[an] będzie żądał za dużo. Przede wszystkim głównym przeciwnikiem zbliżenia do Str. Lud. jest Rydz, który całą swoją mądrość pol[ityczną] czerpie z rozmów z Grab[owskim] i Sułowskim. Rozkład w obozie rządowym zupełny... Dąb-Biernacki po demonstracjach antyhitlerowskich oddał się pod rozkazy Rydza, ale zaznaczył, że stanowczo przestrzega przed wciąganiem armii do polityki.

Doły P.P.S. prą do strajku szczególnie w Warszawie. Gdy się chłopci ruszą, one pójdą z nami, zmiotą CKW przez rząd przeкупione. Tę pewność uzyskałem po rozmowie z moimi infor[ma-torami], których tu kilku było w Paryżu.

Dnia 1-2-3 maj [1938]

W południe pojechałem do Pragi. Rozmowa z inżynierem Szeliskim. Dowodził uparcie, że pomoc włoska jest nam bardzo potrzebna. Widzi wielką potęgę faszyzmu włoskiego. Korfanty nic nie wie. Twardowski przedkłada fantastyczne plany. Dżula narzeka na Ungara. Beran mówi: Hitler, nie anektować ani pię-dzi naszej ziemi. Chce, abyśmy byli przyjaciółmi Niemiec. Aby według klucza Niemcy zajęli stanowiska we wszystkich władzach i instytucjach. Nie chce, byśmy zrywali układy z Francją i Rosją, ale abyśmy ich nie wykonywali. Anglia chce w naszych sprawach interweniować. Może to być bardzo niebezpieczne. Retinger wrócił z Budapesztu. Rozmawiał z min[istrami] węgierskimi. Twierdzi, że się jak dzieci zachowują, spodziewając się, że im Polacy oddadzą Słowację i Ruś Podkarpacką.

Dnia 11-12-13.5. [1938]

Retinger telegram, czeka w Ostrawie. Kaleta telefon. Ba-gińskiego nie było w Cieszynie. Retinger przybył w tow[arzystwie] niejakiego p. Żuławskiego, podobno bratanka b. posła socjal[istycznego]. Cieszy się, że Barlickiego uruchomił, znalazł potrzebne mu pieniądze. Uważa Dubois za wielkiego działacza, jedzie do Anglii na wielką politykę. Socjalistów potępia w czambuł, twierdzi, że Rataj mówił, że z nimi nawet niebezpiecznie rozmawiać, bo mogą zdradzić. 12.5. Reting[er], artykuł, Książek list. Bielenin, chce roboty i przyjazdu. Pawlikiewicz widzi wszystko w czarnych barwach. Szwedzi mówili, że beze mnie nie da się nic zrobić. Piskor to powtórzył. Odpow[iedziałem] Pawlik

[iewiczowi], adw. Ujazdowski, Książek, art[ykuł] wojna hiszp[añska]. Święta i świętowanie. Bagiński list, Lieberman list. Pogoda po mrozach.

Dnia 15.6.[1938]

Byłem w Hranicach. Bagiński wieczór. Powtórzył rozmowę z p. Grzędzińskim. Obwinia rządy, że tylko myślą o sobie. Opozycja ma siłę, której nie może użyć. Może się skończyć jak najgorzej. W wojsku jest dwóch ludzi mądrych Sosnkowski i Sikorski. Obaj czekają, by im kto zrobił miejsce. Sami nic. Korfanty z synem. Nic nowego. Czuć pesymizm. Troska o straty.

Dnia 15.6.[1938]

Z Mor[awskiej] Ostrawy dzwonek. Osobnik powołuje się na adw. Ujazdowskiego. Obawia się śledzenia. Ma mimo to przyjechać. Przybył Retinger. Sikorski silnie zdecydowany. Rataj idzie na urlop. Mikoł[ajczyk] zastępuje. Gruszka ma przyjechać, jest tajemniczy. Mikołajczyk mówi o wielkim postępie roboty organizacyjnej. Strajk planują na wrzesień. Jego zdaniem teraz jest najlepsza pora. Prof. Kot załącza list od Łosia do Mościckiego. Z tego widać, że koło amn[estii] się krzątają. Twierdzi, że jest duża pewność, o ile Rydz w czasie wyjazdu Mośc[ickiego] jej nie zepsuje. Zajmuje się szczegółowo Lasocki, Rataj odnosi się przychylnie. Rataj dał Osieckiemu list do Kiernika, który ja mam przeczytać przed doręczeniem.

Po południu przybył polecony przez Ujazdowskiego niejaki Ciemiszyński, przedstawiciel org[anizacji] „Falanga” z Warszawy. Opowiada, że na szczytach w Polsce jest gnój, który należy usunąć. Z Rat[ajem] byli w kontakcie, zajmowali się Wiciami. Uważa, że stosunki można zmienić tylko przez rewolucję. Do niej są przygotowani. Chcieliby ją robić z ludowcami. Odpowiedziałem, że mogą rozmawiać z R[atajem] i Mikołajczykiem, jeśli zechcą. Rydz ich zawiódł. Miał dobrą wolę, ale nie miał siły. Jedzie do Pragi zobaczyć się z Niemcem Tlickim, a potem do Wiednia.

Dnia 21.6.[1938]

W tenże dzień przyjechał Graliński. Mówił szeroko o układach, jakie prowadził ze Skwarczyńskim, Miedzińskim i Kwiatkowskim. Podnosił kilkakrotnie, że największą przeszkodę stanowi moja sprawa. On jej jednak pilnuje i stawia bardzo twardo.

Ostatnio powiedział mu jednak Miedziński, że najbardziej nieustępliwy Rydz zgodził się na dyskusję o niej. O Kier[niku] i Ba-giń[skim] się nie mówi. Oświadczył, że wszystkie intymne i ważniejsze sprawy Stron[nictwa] załatwiają on, Rataj, Thugutt, czasem dopuszczają Mikołajczyka. Rokowania dalsze zostały odroczone do ukończenia urlopów. On też jedzie do Paryża, ażeby wrócić jeśli będzie wezwany.

W dniu 8 lipca przybył Wójcik. Z audiencji u Mościckiego jest zadowolony. Woził ich, karmił wprost. Sam mówił więcej aniżeli oni. Potem wyszedł, narzekając na brzuch. Kiedy mu powiedzieli, że bez Witosa nie będzie konsolidacji w Polsce, nic się nie odezwał. Zaznaczył jednak, że jeżeli się nie da chłopów wyprowadzić z biedy, to z Polską będzie źle. Chwalił politykę Becka i Poniatowskiego. Oświadczył, że nic nie ma przeciw mnie, ale nie powinienem być opuszczać Polski.

Dnia 30-31.7.[1938]

Cały dzień w domu. 31 w Mor[awskiej] Ostr[awie]. Świętochowski oskarża Rataja o małostkowość, kręactwo, dwulicowość. Opiera się na ludziach niewłaściwych, wyraźnie wrogich sprawie ludowej. Nie szanuje nie tylko siebie, ale urzędu, który sprawuje, naraża się na śmieszność i kpiny ze strony Miedzińskich i jemu podobnych. Obawia się, że przy takiej metodzie politycznej musi się doprowadzić do Hiszpanizacji i zaniku Stron. Ludowego. Sikorski w armii zyskuje w miarę tego jak Rydz traci.

Warszawa jest miastem w Polsce najgłupszym. Goni za sensacjami, nimi żyje i to jej wystarczy. Wybory dadzą dużo Endekom, ale nie dadzą zwycięstwa. Socjaliści to zgnilizna i gruzy. Stronnictwo Pracy to żadna siła. Modelski gada po kawiarniach, ale nic nie zrobił i nie robi, Popiel także ładnie mówi, ale nic poza tym. Ludzi nie ma, wiary nie ma, anarchia rośnie. Sam się podjął czynności wyraźniejszych.

Dnia 5.8.[1938]

Pruszyński niespodziewanie przybył. W rozmowie zaznaczył, że rząd żyje z dnia na dzień, prowadząc politykę przynoszącą prawdziwe spustoszenia w każdej dziedzinie. Jego zdaniem Polskę czeka katastrofa. Stron[nictwo] nar[orodowe] to gromada zgranych oportunistów, niezdolnych do niczego. Socjaliści skorupa z jaja, z której wszystko wyciekło, a przytem łajdacy. Rząd wie, że jedynym przeciwnikiem są ludowcy, wszystko więc robi, aby ich rozbić i zdemoralizować. Poniatowski wydaje miliony na kupo-

wanie ludzi i rozbijanie stron[nictwa]. Nienawiść szczególna do mnie. Sosnkowski człowiek słaby i wygodny oportunistą. Mościcki starzec durny i złośliwy. Rydz się skończył w polityce i w wojsku. Z Kresami jak najgorzej. To co się robi to parodia. Gdyby przyszła większa rozgrywka, to może być katastrofa. Składkowski ślepy żołdak. Widzi, że ludowcy to ostatnia stawka w rachunku państwowym, jeśli się to zmarnuje, nic nie zostanie. Wrócił z Grecji, zabiera się do napisania książki z 20-lecia dziejów.

Dnia 19.8.[1938]

Byłem w Żylinie dla widzenia się z gen. Kukielem. Naiwnie mówi o porozumieniu się z częścią sanacji. Uważa jej górę za tak skłóconą, że o porozumieniu nie ma mowy. Do mojego powrotu przywiązują za wielką wagę. Opowiada, że min[ister) włoski Volpi imieniem Mussoliniego ofiarował 33 stopień masoński gen. Sikorskiemu i kierownictwo ogromną częścią Europy. Sikorski zapytał, kto nad nim, dostał odpowiedź, że jeszcze 5-ciu. Ponieważ mu nazwisk nie podano, odmówił,

Wojewoda krakowski Tymiński był 2 razy u Sapiehy z prośbą, by duchowieństwo w kazaniach występowało przeciw Ludowcom. Sapieha powiedział, że zamiast tego lepiej spełnić ich żądania. Opinia p. Składkowskiego uważa za anormalnego. Jego zmarły syn był epileptykiem, a jego brat chodzi po ulicy nago.

Dnia 20.8.[1938]

Bagiński zapytuje, czy się zgodzę na rozmowę z p. Grzędzińskim, który oczekuje w Pradze. Dodaje, że się szeroko mówi, że bierze pieniądze od Czechów. Dotyczy to jego nowej na rzecz Czechosł[owacji] propagandy.

Retinger pisze, że wielkie dzien[niki] angielskie do rządu zbliżone zajmują się stosunkami polskimi, dowodzą, że chłopci są upośledzeni, a ponieważ stanowią większość w kraju i armii, stan ten nie da się utrzymać. Sokalski pisze, że przyjedzie nieco później. Prof. Kot, że paszport zostanie na skutek inter[wencji] Kolanowskiego. Poleca napisać do Aubaca, Retingera, o terminie jego przyjazdu.

Dnia 24.8.[1938]

Pułkownik Grzędziński twierdzi, że w roku zeszłym Noc Św. Bartłomieja naprawdę przygotowano. Rydz Śmigły wracał

z Rumunii, na dworcu w Śniatynie wsiadł do niego Piasecki. Wydano rozkaz, by na każdej stacji były delegacje witające go i żądające od niego przejęcia władzy dyktatorskiej. W drogę wszedł im przypadek. Falanga umieściła artykuł obelżywy dla Mościckiego. Cenzura go puściła. Zgorszony tym przyszedł do Składkowskiego Główny Komendant Policji, żądając pozwolenia na aresztowanie całej redakcji. To się stało, a akuratnie aresztowano tych, co mieli zamachem kierować i noc św. Bartłomieja w Warszawie urządzić. Delegacje wszystkie zostały odwołane. Generał Tokarzewski został odwołany ze Lwowa głównie z tego powodu, że posłał do Brzeżan zaufanych oficerów, którzy mieli wydostać metryki wojewody Biłyka i Rydza. On twierdzi, że obaj są Ukraińcami. Za dostarczenie metryki urodzenia p. Grubera, Prezesa P.K.O. został wyrzucony urzędnik tejże instytucji bez żadnej odprawy. W sądzie przegrał. Okazało się, że Gruber jest Żydem, w Brodach urodzonym. P. Grzędziński zaznaczył, że nosi się z myślą utworzenia legionu polskiego dla obrony Czechosłowacji przed Niemcami. W tym celu ma jechać do Pragi i Paryża. Robi wrażenie człowieka zdecydowanego. Mówi, żeby się nie łudzić, ci co są dziś przy rządach, nie opuszczą ich za żadną cenę, jeśli nie zostaną usunięci.

Dnia 19-20.9.[1938]

Rano telefonował z Morawskiej Ostrawy p. Retinger, czekałem długo na rozmowę. Zapowiada jakieś ważne informacje. Kurierek umieszcza kilka bardzo dla Czechosłowacji nieprzychylnych notatek, dotyczących wojska i społeczeństwa. Z Retingerem spotkałem się we Fransztacie. Przychodzi z planem Sikorskiego. Mam przyjechać do Polski jak najprędzej, po uprzednim wydaniu manifestu do Narodu. Sikorski stworzy Komitet, który się zajmie przygotowaniem. W skład weszliby: ks. Kaczyński, Popiel, Modelski, Gruszka, Mikołajczyk, Kot, ks. Panaś.

Dnia 2 listopada [1938]

W kawiarni zwrócili się do mnie delegaci Przibora, Koprzywnicy i jak twierdzili 30 wsi czeskich proszą o rozmowę. Chodzą od władzy do władzy już drugi tydzień, aby uzyskać zmianę granicy. Jedni im robią nadzieję, inni mówią, że wiele się nie mogą spodziewać. Pojadą jeszcze do Berlina. Jeden z młodszych powtórzył z pewną satysfakcją rozmowę z oficerem niemieckim, który go pocieszał, że to wszystko jest chwilowe. Oni Niemcy razem z Cze-

chami powetują sobie wszystko na Polsce, a jak z nią zrobią porządek, pójdą przeciw Francji. Starsi go mitygowali. Starąłem się im wytłumaczyć, że winę największą ponosi ich polityka. Kiwali głowami. Zachowali się uprzejmie.

Dnia 3 listopada [1938]

Fidler opowiadał, że Benesz przed opuszczeniem urzędu chciał Czechos[łowację] ogłosić sowiecką republiką i dobijał się o rozmowę ze Stalinem, by żądać pomocy. Na wiadomości o tym oficerowie z gen. Krzejcim na czele poszli do niego i wymusili na nim ustąpienie. Wie z kół politycznych, że Niemcy do Rosji przygotowują notę, radzącą zmianę systemu. Gdy się to stanie, nastąpią przyjacielskie układy.

Dnia 4 listopada [1938]

Rozmawiałem z p. B[eraniem]. Oświadczył, że teraz będą tylko myśleć o sobie. Wszyscy ich zawiedli i zdradzili. Wie, że Fr[ancja] przeleje więcej krwi, może bezskutecznie. Na Rosję oni nie liczyli nigdy. Stosunki u nich dobre, wszystko idzie normalnie. Prezydentem zostanie człowiek nie polityczny. Niemcy na nich nie wywierają nacisku, zastrzegł się tylko co do intrygowania. Beck chce nawiązać stosunki, ale oni tego obecnie nie potrzebują. Węgiel kupują od Niemców, bo im to taniej wypada. Trudności gospodarcze niewielkie. Wie, że Niemcy prowadzą wielką agitację ukraińską, wyszkolili agitatorów, dają pieniądze. Spodziewają się, że to Polska wnet mocno odczuje. Słowakom powiedzieli, że mogą odejść, jeśli zechcą, ani im bronić nie będą. Tiso i Sidor powiedzieli, że za żadną cenę. Posłałem artykuł do „Piasta” — „Na święto wolności”.

Dnia 6-7.1.[1939]

W Pradze spotkałem Kor[fantego] i Rogowicza. Jest on kier[ownikiem] działu politycznego w Kur[ierze] Warszawskim. Położenie w Polsce przedstawia jako bardzo ciężkie. Opinia nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Państwo zaczyna ludzi nie obchodzić. Rząd się czuje pewny siebie. Do niedawna obawiał się ludowców. Teraz nie. Wszystko się niemal ogranicza do spraw osobistych. Rydz chce wysadzić Mościckiego. Na to założył Ozon. Od posłów wzięto pisemne zobowiązanie, że na niego

będą głosować. Do mnie R[ydz] wre nienawiścią. Nowosielce i inne. Kwiatkowski się usunął. Dymisji nie przyjął Mościcki. Stanowisko słabsze. Socjaliści bez znaczenia. Endecja się kłóci. Str[onnictwo] Pracy siły nie ma. Uważa, że Mościcki się dobrze orientuje. Grabowski mnie nienawidzi. Chce mnie wpłatać w zamach na Koca. Sądzi, że Str[onnictwo] Lud[owe] przedstawia wielką, nienaruszoną siłę, mimo pozorów.

Wincenty WITOS

Powyższe urywki „Diariusza” wzięte są z trzeciego tomu „Pamiętników” W. Witosa. Przypominamy, że Instytut Literacki ogłosił subskrypcję na całość „Pamiętników”. Pierwszy Tom otrzymają subskrybenci w końcu marca bież. roku.

Oświadczenie

JAXA & PARTNERS
SOLICITORS
International Law Agents

3, New Square,
Lincoln's Inn,
London, W.C. 2.

Londyn, dn. 21 listopada 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Osoby, których działalność poruszona była w artykule płk. W. Michniewicza pt. „Śmierć płk. Hańczy”, zamieszczonym w numerze 10 „Kultury”, upoważniły mnie do zwrócenia się do Pana z prośbą o zamieszczenie następujących uwag.

Artykuł płk. Michniewicza, zastępcy polskiego komendanta m. Rzymu w 1945 roku, roi się od błędów co do stanu faktycznego, poza tym zawiera szereg insynuacji. Chcę ograniczyć się tylko do samego stanu faktycznego śmierci ppłk. Hańczy tak jak wskazuje to tytuł artykułu.

Po zbadaniu udostępnionych mi źródeł fakty są jak następuje:

1. W dniu 9.10.45 (a nie 10.10.45) do prywatnego mieszkania płk. Hańczy udał się ppor. Aksan (a nie podchorąży) w towarzystwie ppor. Lipowicza oraz jednego podchorążego z rozkazem aresztowania płk. Hańczy, wydanym przez kpt. Tajchmana.

2. Oficerowie ci zostali wpuszczeni do prywatnego mieszkania przez gospodynię Włoszkę, która im wskazała pokój zajmowany przez ppłk. Hańczy.

3. Obaj oficerowie podeszli pod drzwi pokoju ppłk. Hańczy, ppor. Aksan zapukał i nie otrzymawszy odpowiedzi otworzył drzwi. W tym momencie rozległ się strzał. Ppłk. Hańcza postrzelił się w głowę, miał ranę wlotową i wylotową od jednej kuli.

Ppor. Aksan natychmiast zawiadomił telefonicznie kpt. Tajchmana o tym wypadku, który polecił ppor. Aksanowi zajęcie się tą sprawą.

4. Zaalarmowane przez ppor. Aksana władze sanitarne brytyjskie (Polacy nie mieli na terenie Rzymu szpitala) przewiozły ppłk. Hańczę do 104 Brytyjskiego Szpitala Wojskowego.

5. O faktach powyższych zameldował kierownik Placówki O.II. w Rzymie, kpt. Tajchman, depeszą datowaną 9.10.45., godz. 14-ta do Dowództwa 2. Korpusu w Porto San Georgio:

„Dnia 9 bm. o godz. 9.30 rano ppłk. Hańcza usiłował popełnić samobójstwo w chwili gdy moi oficerowie wchodzili do jego pokoju w mieszkaniu prywatnym”.

6. Ppłk. Hańcza zmarł w 104 Brytyjskim Szpitalu Wojskowym w Rzymie w nocy z 10 na 11 października 1945 w około 36 godzin po strzale skierowanym do siebie. Pochowany został 12 października o godz. 11-ej na wojskowym cmentarzu w Rzymie.

7. Władze sądowe 2. Korpusu po dochodzeniach stwierdziły samobójstwo jako przyczynę śmierci.

Ówczesny Naczelný Wódz, Generał Bór-Komorowski, wysłał do Włoch komisję pod przewodnictwem Zastępcy Szefa Sztabu Głównego dla zbadania okoliczności śmierci ppłk. Hańczy. Komisja ta orzekła że przyczyną śmierci było samobójstwo.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Jan A. JAXA

Konkurs na esej o Powstaniu Warszawskim

W związku z przypadającą w bieżącym roku 20-tą rocznicą Powstania Warszawskiego i celem pogłębienia ciągle niedostatecznej znajomości historii A.K. i samego Powstania redakcja „Kultury” rozpisuje konkurs na esej krytyczny o książce H.v. Krannhals’a pt.: Der Warschauer Aufstand 1944, wydanej w r. 1962 przez Bernard & Graefe Verlag für Wehrwesen (Frankfurt/Main).

Termin nadsyłania prac upływa 30 kwietnia 1964.

Objętość eseju nie powinna przekraczać 25 stron maszynopisu znormalizowanego formatu.

Autor wyróżnionej pracy otrzyma jako nagrodę „Correspondance de Napoléon” 1-sze wydanie z lat 1858-1870 w 32 tomach oprawnych w półskórek. Nagroda ta została ufundowana przez płk. Wł. Michniewicza z Buenos Aires, inicjatora tego konkursu.

Praca nagrodzona będzie ogłoszona w „Kulturze” lub w „Zeszytach Historycznych”. Redakcja zastrzega sobie prawo opublikowania także i szkiców nienagrodzonych za normalnym honorarium autorskim.

Straty kultury polskiej

O Stanisławie Ossowskim

Odszedł od nas przedwcześnie Stanisław Ossowski, powalony okrutną i beznadziejną chorobą. Zgon jego jest bolesnym doświadczeniem dla liczного grona uczniów w kraju i przyjaciół rozsianych po całym świecie, a dla nauki polskiej stratą niepowetowaną.

Stanisław Ossowski zajmował w życiu intelektualnym naszego kraju wyjątkową pozycję. Osiągnął ją dzięki połączeniu w swej działalności akademickiej i pisarskiej trzech doniosłych funkcji. Był więc Ossowski wybitnym uczonym-socjologiem, kontynuatorem tradycji zapoczątkowanej przez Ludwika Krzywickiego i Kazimierza Kelles-Krauza, przez Floriana Znanieckiego i Stefana Czarnowskiego. Po wtóre, Ossowski był nieustrudzonym nauczycielem i wpływowym wychowawcą. Tę drugą rolę spełniał nie tyle na skutek wrodzonych dydaktycznych uzdolnień, ale dzięki wzorom swego życia i osobowości, to znaczy przez przykład własny. W potocznych okolicznościach i w chwilach konfliktowych, w codziennej rutynie i w sytuacjach granicznych, konsekwentnie kierował się tymi wartościami, jakie głosił w słowie pisanym i z katedry uniwersyteckiej. Niezlomna zgodność przekonań z praktyką życia, wysokie wyobrażenie o społecznej funkcji uczonego, siła własnych przekonań wraz z tolerancją dla odmiennych poglądów, bezkompromisowa walka z przesadami, niezależnie od ich pochodzenia, oraz z krzywdą i niesprawiedliwością społeczną, gdziekolwiek się one pojawiają, wreszcie zrozumienie dla ludzkich i społecznych problemów przyciągały do niego młode umysły i kształtowały ich sposób myślenia. Te same walory osobiste sprawiły, iż Ossowski stał się autorytetem moralnym i intelektualnym w szerokich kręgach polskiego społeczeństwa. Jego głos miał ciężar na skali opinii publicznej, krystalizował jej reakcje i formował jej postawy społeczne.

Stanisław Ossowski był wychowankiem Uniwersytetu War-

szawskiego i należał do pokolenia, które wielce przyczyniło się do tego, iż w okresie międzywojennym warszawska uczelnia zyskała w kraju i w świecie reputację twórczego, powszechnie znanego i otoczonego szacunkiem ośrodka nauki. Ossowski był jednym z najstarszych uczniów Tadeusza Kotarbińskiego i wpływ tego wybitnego myśliciela głęboko zaważył na jego własnym rozwoju naukowym. Od Kotarbińskiego nauczył się Ossowski tego, co nazywał odpowiedzialnością za słowo, obowiązku jasnego myślenia i wypowiadania tych myśli, gotowości do pełnego uzasadniania wypowiedzianego zdania i rzetelnego ujawnienia wszelkich wątpliwości. Kotarbiński wpajał w swych uczniów przekonanie, iż wierność prawdzie jest najwyższą wartością uczonego i że nie wolno jej poświęcać na rzecz innych względów. Uczony, który przyjmuje, głosi i innym zaleca opinie niezgodne ze znaną mu prawdą lub jego własnym przekonaniem łamie podstawową normę i niszczy zasadniczą funkcję społeczną uczonego.

Podczas gdy wpływ Kotarbińskiego zaważył na ogólnej orientacji i metodologicznych poglądach Ossowskiego, człowiekiem który skierował jego zainteresowania na drogę socjologiczną był Stefan Czarnowski, badacz socjologii religii, socjologii i historii kultury, a także uczony głęboko zaangażowany w walce o sprawiedliwość i postęp społeczny. Ekwipunek metodologiczny zdobyty przez Ossowskiego w filozoficznej szkole warszawskiej, szeroka skala zainteresowań i olbrzymia erudycja okazały się wielką pomocą w jego późniejszej działalności socjologicznej. Odznaczał się Ossowski wśród współczesnych socjologów rozległą i dokładną wiedzą historyczną, głęboką znajomością literatury pięknej, malarstwa i muzyki. Świadczy o tym, między innymi, jego pierwsza książka *U podstaw estetyki*, której dwa nowe wydania ukazały się w okresie powojennym. Jego rozległa wiedza historyczna przemawia wymownie z kart jego najbardziej znanej książki *Struktura klasowa w społecznej świadomości*.

Ossowski wniósł do socjologii zespół cech intelektu, jakie spotykamy rzadko wśród uczonych tej specjalności — wykształcenie logiczne i metodologiczne, kontrolę nad olbrzymią liczbą faktów, wyczucie historii, tzn. myślenie w kategoriach procesu, zmiany i rozwoju, wreszcie subtelność wyobraźnię ukształtowaną przez stałe obcowanie z największymi osiągnięciami ludzkimi w dziedzinie nauki, literatury i sztuki. Jan Łukasiewicz, który łączył w niezwykłym stopniu logikę i wyobraźnię, powiedział kiedyś, iż „twórczość poetycka nie różni się od naukowej większym połotem fantazji”. Kto jak Kopernik pchnął ziemię na tor wokół słońca, pisał Łukasiewicz, lub jak Darwin ujrzał w mgłę dziejów genezyjskie przemiany gatunków, godzien jest stanąć w sąsiedztwie największych poetów. Ossowski był bardzo wrażliwy na cechy dzieł naukowych upodabniające je do dzieł sztuki, w których do głosu dochodzi indywiduálny stosunek twórcy do rzeczywistości, jego szczególnie sposób patrzenia na świat lub stawiania zagadnień. Sądził on, iż wybitne dzieła w zakresie nauk społecznych uzyskują

częściej trwałość zbliżoną do trwałości wybitnych dzieł literackich aniżeli doniosłe publikacje z innych dziedzin wiedzy.

Twórczość naukowa Ossowskiego nosi w wysokim stopniu piętno osobiste, o którym była mowa, chociaż nie jest rzeczą łatwą uchwycić na czym swoistość tego osobistego wkładu polega. Dla jednych jest to jego intelektualna odwaga, dla innych ciepło i wnikliwość spojrzenia na los ludzki. Może najlepiej sformułował to recenzent angielskiego tłumaczenia *Struktury klasowej w społecznej świadomości* pisząc w *Times Literary Supplement*, iż świeżość i rozmach podejścia Ossowskiego do zagadnień socjologicznych jest częściowo funkcją jego szerokich umysłowych horyzontów, częściowo jest wynikiem specyficznych cech polskiej sytuacji, wreszcie także wywodzi się z perspektywy rewolucyjnego humanizmu, który przenika tę książkę a którego brak jest literaturze zachodniej.

Socjologiczne zainteresowania Ossowskiego we wczesnym okresie jego działalności znalazły wyraz nie tylko w książce *U podstaw estetyki*, ale również w innych publikacjach o charakterze metodologicznym, wśród których rozprawa „Prawa 'historyczne' w socjologii” (*Przegląd Filozoficzny* 1935) zachowała nie przemijającą wartość. Pierwszą w pełni socjologiczną publikacją Ossowskiego była książka *Więź społeczna i dziedzictwo krwi*, która ukazała się w przede dniu wybuchu wojny. Ossowski uzasadniał w niej pogląd, iż tak zwane różnice rasowe są w rzeczywistości wytworem społecznym i kulturalnym, a nie dziedzictwem rasy i krwi. Książka ta, wymierzona przeciw teoriom rasistowskim, szerzącym się wówczas także w Polsce w ekstremistycznych kołach prawicowych ugrupowań politycznych, została zniszczona w czasie hitlerowskiej okupacji. Wydana ponownie w przede dniu stalinowskiego okresu, *Więź społeczna i dziedzictwo krwi* przeszło znowu niespostrzeżone, gdyż autor znalazł się z kolei na komunistycznym indeksie.

W okresie wojennym Ossowski ogłosił esej *Ku nowym formom życia społecznego*, wydany najpierw jako wydawnictwo Polski Podziemnej oraz ponownie w 1947 i w 1956 roku w biblioteczkę „Po Prostu”. Autor dowodził w niej, iż demokratyczne formy życia wymagają realizacji zarówno wolności politycznych jak i równości ekonomicznych, gdyż wspierają się one wzajemnie i uzupełniają. Los tej książeczki charakteryzuje dobitnie jeden z aspektów dziejów naszego kraju. Albowiem była ona pisana z myślą o stosunkach społecznych okresu międzywojennego, w którym niski poziom życia, przywileje klasowe i nierówności ekonomiczne były głównym zagrożeniem demokratycznych form życia. W 1956 roku sytuacja była odmienna. Niski poziom życia pozostał, ale przywileje klasowe i nierówności ekonomiczne zostały w znacznym stopniu zniesione. Natomiast wolności polityczne uległy doszczętnemu zniszczeniu i od ich odbudowy zależało w znacznej mierze przywrócenie demokracji. W różnych okresach czasu książeczka ta była odmiennie odczytana a jej nieprzemijająca

aktualność budzi przynębiającą refleksję, iż w naszym kraju postęp i regresja dokładnie się równoważą. Chociaż wiele się w kraju dzieje, nic się gruntownie nie zmienia. Pomimo podnieconej aktywności trwamy cywilizacyjnie w stanie bezruchu w świecie idącym coraz szybciej naprzód.

W pierwszych latach powojennych Ossowski ogłosił serię artykułów poświęconych analizie marksistowskich teorii socjologicznych oraz socjologicznych założeń marksistowskiej filozofii. Autor postawił w nich sobie ambitne zadanie odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób dojść mogło do tego, iż ruch społeczny chlubiący się postępowym i oświeconym programem gospodarczym i społecznym wyznaje teorie bądź banalne bądź przestarzałe, budzące jedynie historyczne zainteresowanie, lub wręcz niezgodne ze współczesnym stanem wiedzy. W wyniku szczegółowej analizy Ossowski postawił diagnozę, iż jako ruch społeczny komunizm okresu stalinowskiego stał się religią w sensie durkheimowskim, a w następstwie tego stanu rzeczy marksizm z teorii otwartej zamienił się w marksizm instytucjonalny. Ossowski sformułował jednocześnie szereg zaradczych sugestii, które oczywiście nie były przychylnie przyjęte w okresie „błędów i wypaczeń” i miały dla autora fatalne praktyczne następstwa. Te artykuły były bowiem bezpośrednią przyczyną, iż w okresie stalinowskim Ossowski został usunięty z katedry socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Był on również odcięty zarządzeniami władz komunistycznych od wszelkich kontaktów z młodzieżą oraz pozbawiony możliwości publikacji. Dopiero wydarzenia Października unieważniły wyrok śmierci cywilnej wydany na Ossowskiego.

W latach stałego osobistego zagrożenia pisze Ossowski książkę, która jest jego najcenniejszym wkładem do socjologii, uprzednio wspomnianą *Strukturę klasową w społecznej świadomości*, przetłumaczoną na język niemiecki i angielski i wydaną jednocześnie w Niemczech Zachodnich, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Wreszcie przed rokiem ukazał się zbiór jego artykułów pod tytułem *O osobliwościach nauk społecznych*, próba charakteryzacji dwóch różnych kierunków we współczesnej socjologii, a jednocześnie próba określenia jego własnego socjologicznego stanowiska.

Struktura klasowa w społecznej świadomości jest we współczesnej światowej literaturze socjologicznej jedną z czołowych publikacji z tego zakresu. Można nawet zaryzykować twierdzenie, iż w literaturze światowej nie ma dzieła poświęconego tym zagadnieniom, które może się z nią równać co do rozległości i różnorodności materiału porównawczego, precyzji aparatu pojęciowego, wnikliwości spojrzenia i uniwersalności konkluzji. *Struktura klasowa w społecznej świadomości* jest jednocześnie historią porównawczą sposobów widzenia struktury klasowej przez różne społeczeństwa od czasów najdawniejszych do chwili współczesnej; analizą pojęcia klasy społecznej, łącznie z marksowskim pojęciem klasy, oraz struktury klasowej w różnych ustrojach

politycznych i ekonomicznych; przyczynkiem do socjologii nauki, a w szczególności do badań nad związkami między kontekstem społecznym badacza lub działacza a ich językiem socjologicznym i socjologiczną aparaturą teoretyczną; wreszcie filozoficzną interpretacją trwałości pewnych podstawowych cech w sposobie widzenia społecznej rzeczywistości jakie można odnaleźć w społeczeństwach odległych od siebie w czasie, przestrzeni i cywilizacyjnym rozwoju. Oglądane w filozoficznej perspektywie, sprzeczne interpretacje klasowej stratyfikacji, jakim hołdują różne środowiska tego samego społeczeństwa, są szczególnymi przypadkami konfliktu między uniwersalnym dążeniem do równości szerokich mas a interesem panującej elity, która dąży do zachowania istniejącego stanu rzeczy. Wszystko na to wskazuje, iż *Struktura klasowa w społecznej świadomości* jest jednym z tych dzieł z zakresu nauk społecznych, które na skutek swej trwałej humanistycznej wartości wychodzą obronną ręką z niwelującego działania postępu nauki.

Cel, któremu *Struktura klasowa w społecznej świadomości* miała służyć, był czysto poznawczy. Chodziło o analizę struktury klasowej i sposobów jej widzenia we współczesnej świadomości społecznej, analizę wspomaganą środkami udostępnionymi przez logikę i semantykę oraz pogłębianą przez zastosowanie historycznej metody porównawczej. Trudno jednak zaprzeczyć, iż dzieło to wywarło lub wyrzuciło może wpływ na postawy społeczne, mianowicie może przeciwdziałać temu, co Ossowski nazywa *kompleksem Liliputa*. Kompleks Liliputa jest jednym z następstw rozwoju nowoczesnej techniki, która sprzyja koncentracji władzy, kosztem ludzi i ich specyficznie ludzkich wartości, przejmowaniu przez człowieka atrybutów w przeszłości przypisywanych bogom lub innym kosmicznym potentatom. „Idzie tu o poczucie bezsilności poza kręgiem spraw osobistych”, pisał Ossowski w jednym ze swych ostatnich esejów, „o przekonanie, że nad naszymi głowami Liliputów ścierają się Guliwery tak potężne, że my nie możemy mieć wpływu na bieg wydarzeń szerszej skali. Jest pod tym względem nawet obojętne, czy owe Guliwery są złe, czy dobrotliwe”. W swym życiu publicznym Ossowski walczył nieustannie z kompleksem Liliputa, a wyżej wspomniana próba określenia własnego stanowiska w socjologii, jaką Ossowski podjął w zbiorze artykułów *O osobliwościach nauk społecznych*, jest rozprawą z kompleksem Liliputa na płaszczyźnie teoretycznej. Kompleks ten sprzyja bowiem wąsko pojętemu, neutralnemu socjologicznemu profesjonalizmowi, nie daje się natomiast pogodzić z niekonformistyczną postawą właściwą dla socjologa humanisty.

Zdaniem Ossowskiego we współczesnej socjologii istnieje dwie różne orientacje, socjologia empiryczna i socjologia humanistyczna. Biorą one początek z rozróżnienia dwóch zadań jakie nauka może spełniać i wiążą się z pojęciem użyteczności i z pojęciem mądrości. Odrębność celów utylitarnych i poznawczych istnieje w obrębie każdej nauki, a Arystoteles ilustrował ją na-

wet na przykładzie astronomii, która z jednej strony wprowadza człowieka w rzeczy wieczne, z drugiej spełnia zadania praktyczne, mianowicie jest pomocna żeglarzom w morskiej nawigacji. W przekonaniu Ossowskiego wśród przedstawicieli współczesnej socjologii empirycznej istnieje tendencja do ograniczania się do roli zawodowego eksperta, do oceniania osiągnięć nauk społecznych wyłącznie z punktu widzenia ich przydatności do inżynierii społecznej lub do manipulowania ludzkim zachowaniem w kierunku uznanym z góry za pożądany. Socjolog, którego badania mają wpływać na postawy społeczne, nie musi jednak ograniczać się do roli wykonawcy zamówień na narzędzia socjotechniczne na użytek osób, które posiadają władzę lub dysponują odpowiednimi środkami materialnymi. Nie jest on również skazany na poszukiwanie zależności dla celów moralnie neutralnej inżynierii społecznej. Istnieją nadto poważne wątpliwości, pisał Ossowski, czy metody współczesnej socjologii są dostatecznie sprawne i udoskonalone, by mogły ten cel faktycznie urzeczywistnić. Można także mieć wątpliwości co do celów, jakim inżynieria społeczna ma służyć, gdyż jak każda technika inżynieria społeczna służyć może zarówno celom ocenianym jako dobre, jak i kwalifikowanym jako złe. Wreszcie pod adresem socjologii empirycznej wysunąć można zarzut, iż sprowadza różnorodne zadania nauki do jednego, mianowicie do jej użyteczności. Nie kwestionując niezbędnosci, pożytku i niewątpliwych wartości empirycznej socjologii, Ossowski wytykał szkodliwość tendencji wyposażania jej w przywilej wyłączności (1).

Wiedza jest cenna nie tylko dlatego, iż otwiera drogę do technicznych zastosowań i udoskonaień. Wiedza jest cenna, ponieważ pobudza myśl i wyobraźnię, pozwala ujmować głębiej rzeczywistość, czyni człowieka mądrzejszym i odkrywa wartości moralne i umysłowe cenne same przez się. Wiedza tego rodzaju jest również użyteczna, chociaż w innym sensie niż socjotechnicznym. Wiedza czysta wywiera doniosły wpływ na ludzkie postawy i międzyludzkie stosunki, może kształtować dobór celów

(1) Ponieważ socjologia empiryczna w swej współczesnej postaci jest dziełem nauki amerykańskiej i socjologowie amerykańscy są jej nie kwestionowanymi pionierami i przywódcami, w kraju twierdzi się czasem, iż Ossowski zamierzał nie tylko przeciwstawić się tendencjom monopolistycznym socjologii empirycznej, ale po prostu zwalczać modę amerykanizmu w imię nadrzędnych humanistycznych wartości. Ta ocena ma nie wiele wspólnego z rzeczywistym stanowiskiem Ossowskiego i jest podyktowana zamiarem politycznej eksploatacji autorytetu Ossowskiego na rzecz sprawy całkowicie mu obcej. Należy przypomnieć, iż Ossowski nie był odosobniony w swych poglądach w kraju i zagranicą, a zwolenników tego punktu widzenia znaleźć można również w Stanach Zjednoczonych. Ossowski kontynuował kierunek myśli społecznej zapoczątkowany przez Roberta Lynda, autora książki *Knowledge for What?*, której Ossowski był wielkim wielbicielem. Nawiązywał również do poglądów Lewisa Cosera i C. Wright Millsa, a także P.F. Lazarsfelda, który może w większym stopniu niż inni łączy cechy socjologa empirysty i socjologa humanisty.

działania, przyjmowanych przez socjotechników bezkrytycznie, oraz sugerować nowe rozwiązania zagadnień społecznych.

Socjologia humanistyczna, za którą Ossowski się opowiadał i której uprawnień bronił, jest więc niezbędnym uzupełnieniem socjologii empirycznej. Jej zadaniem jest zapobiegać temu, by dobra i sprawna robota nie służyła złym celom. Albowiem socjolog empirysta obiera istniejący stan rzeczy za punkt wyjścia i doradza jakie środki są najwłaściwsze do osiągnięcia z góry założonych celów. Socjolog humanista sięga natomiast poza istniejący stan rzeczy. Spogląda on na własne środowisko z zewnętrznej perspektywy i dzięki temu może pobudzać do rewizji z góry danych celów, przyjętej skali wartości i nawyków myślenia. Idzie tu, pisał Ossowski, o taką rolę socjologa, która nie zakłada respektowania *status quo ante* i które upatruje elementarną kwalifikację socjologa w szukaniu rozwiązań nowymi metodami. Tak na przykład socjolog humanista nie ogranicza się do formułowania socjotechnicznych zaleceń, które prowadzą do sprawnego wykonania celów założonych w społecznym i ekonomicznym planie, ale analizuje społeczne skutki planu i zmiany jakie on wprowadza w stosunki międzyludzkie. Jest on wówczas w stanie sugerować nowe formy działania, które pozwalają połączyć skuteczność i racjonalność planowania z wysokim stopniem poczucia swobody i udziałem szerokich kręgów ludności w procesie rządzenia. Przykład ten może wyjaśnić, dlaczego Ossowski, łagodny, skromny, tolerancyjny uczony, pozbawiony wszelkich ambicji politycznych, był przedmiotem prześladowań w okresie stalinowskim i ataków ze strony kół zachowawczych Partii w czasach ostatnich.

Odejście Ossowskiego wywołuje bolesne poczucie żalu i niezastąpionej straty. Wkładu Ossowskiego do nauki i intelektualnej tradycji naszego kraju nie można wymierzyć obiektywną miarą czysto poznawczych wartości. Odszedł bowiem uczony, dla którego to miano przysługuje temu tylko, kto jawnie i publicznie głosi prawdy jakie wyznaje; kto sprzeciwia się przesądom, niezależnie od tego kto im hołduje; kto walczy o wolność myśli, prawo szukania prawdy i ogłaszania wyników badań. Wdzięczna pamięć nas wszystkich należał się człowiekowi, który w najcięższych okolicznościach wypełniał te wskazania, służył odważnie sprawie nauki i dobru publicznemu przez swą wiedzę, mądrość i prawość.

Zbigniew A. JORDAN

Marian Zdziechowski

W październiku r. 1938 zmarł w Wilnie prof. Marian Zdziechowski, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli naszej nauki, naszej kultury, naszego narodu.

I oto pierwsza — rocznicowa — przyczyna, dla której imieniem Instytutu pozwoliłem sobie Szanownych Państwa zaprosić na odczyt, jego pamięci poświęcony. Po wtóre: pomimo iż Zdziechowski, jako uczony, jako myśliciel i jako człowiek, odegrał wielką i zasłużoną rolę — i to w skali europejskiej — jakże mało jest znany i ceniony, czy może — umyślnie przemilczany!

Oto charakterystyczny dowód tego lekceważenia czy też zapomnienia Zdziechowskiego. W znanej, w niektórych partiach wprost znakomitej książce prof. Manfreda Kridla, kolegi Zdziechowskiego z wydziału humanistycznego U.S.B. w Wilnie, wydanej w r. 1945 w Nowym Yorku — na 600 przeszło stronach rozważań nad literaturą polską (na tle rozwoju kultury), ani razu nie zostało wymienione nazwisko Zdziechowskiego, aczkolwiek znalazło się tu miejsce na wiele innych nazwisk ludzi, nierównanie mniej zasłużonych dla kultury polskiej i luźniej z literaturą związanych. To niedocenienie, to zapomnienie Zdziechowskiego rodzi chęć przypomnienia jego zasług — i jest drugą przyczyną dzisiejszego zebrania.

Trzecia zaś — to specyficzny charakter działalności Zdziechowskiego — działalności w pewnej mierze wizjonera i proroka, zwłaszcza w ostatnich latach dwudziestu jego życia.

Zdziechowski dociekaniemiami swoimi ogarniał nie tylko przeszłość kultury ludzkiej, nie tylko prądy umysłowe teraźniejszości sobie współczesnej, ale sięgał w przyszłość, m.in. w czasy obecne, teraźniejszość nam współczesną (która dla niego była przyszłością), i trzeba to powiedzieć — dokładnie przewidział, wiele przeczuł z tego, co przeżywamy obecnie... i co zapewne będziemy jeszcze przeżywali.

Stąd: zdumiewająca współczesność Zdziechowskiego, jako pisarza i myśliciela — i oto też przyczyna, że warto się z nim bliżej zapoznać właśnie w dobie dzisiejszej...

I wreszcie rzecz czwarta i ostatnia: miałem ten szczęśliwy

25-lecie śmierci prof. M. Zdziechowskiego zostało całkowicie przemilczane zarówno w kraju jak i na emigracji. Korzystając z pozwolenia p. E. Kościałkowskiej zamieszczamy tekst przemówienia śp. prof. St. Kościałkowskiego, wygłoszonego w 1948 r. w Instytucie Polskim w Beyrucie w 10-letnią rocznicę śmierci.

zaszczyt, że znałem śp. prof. Zdziechowskiego przez lat niemal 40 ostatnich jego życia — zrazu, jako student i oddany mu uczeń na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, później jako członek i współkolega jego w Radzie wydziału humanistycznego U.S.B. w Wilnie i Zarządzie Wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Tak się też złożyło, że miałem sposobność z prof. Zdziechowskim przestawać i rozmawiać wyjątkowo często, że przechowałem w pamięci różne szczegóły tych rozmów, poglądów, zdań i uczuć — i chciałbym się, niektórymi przynajmniej z nich tutaj, w dziesiątą rocznicę jego zgonu, podzielić, chociaż bowiem nie zawsze się z nimi i nie we wszystkim godziłem — uderzały one nieraz swoją niezwykłą świeżością, swoją głębią i oryginalnością swoją niezapomnianą.



Przed wszystkim kilka danych *życiorysowych*.

Urodził się Marian Zdziechowski w Rakowie pod Mińskiem Litewskim w r. 1861, nauki szkolne odbył w gimnazjum mińskim, kolegując tu wśród innych z późniejszym profesorem U.S.B. Marianem Massoniuszem, rówieśnikiem swoim, zmarłym w Wilnie podczas ostatniej wojny. Studia uniwersyteckie odbywał w Petersburgu i w Dorpacie, przede wszystkim w Dorpacie — wreszcie w Krakowie.

W Krakowie doktoryzował się i habilitował, i w r. 1899 jako wybitny znawca literatur słowiańskich objął katedrę filologii słowiańskiej (właściwie katedrę literatur słowiańskich), jako profesor tytularny tego przedmiotu. Było to mniej lukratywne pod względem finansowym, lecz pozwalało zatrzymać poddaństwo (obywatelstwo) rosyjskie, niezbędne do posiadania ziemi rodzinnej w Mińszczyźnie.

W r. 1901 był założycielem „Klubu słowiańskiego” i jego organu „Świat słowiański”. W r. 1902 został członkiem Akademii Umiejętności prowadząc jednocześnie rozległą działalność naukową i publicystyczną oraz profesorską.

Stał wówczas u szczytu wziętości i uznania, aczkolwiek — z drugiej strony — zainteresowanie jego dla literatury rosyjskiej i uznanie, którym darzył jej największych i najszlachetniejszych przedstawicieli, w pewnych kołach młodzieży uniwersyteckiej, szczególnie pochodzącej z zaboru rosyjskiego i mającej jakby pewien uraz na temat wszystkiego co rosyjskie — budziło z jej strony sprzeciwy i zastrzeżenia. Pomimo to jednak autorytet i popularność Zdziechowskiego były wówczas (lata 1902-1905) ogromne.

Przypominam sobie, że wykłady Zdziechowskiego były dla

nas, słuchaczy, swego rodzaju przeżyciem i niezmiernie pobudzały do myślenia. Sala Kopernika, największa sala uniwersyteckiego Collegium Novum, na wykładach jego była przepełniona po brzegi, a treść wykładów wygłaszanych zazwyczaj z notat, ale zawsze z zapałem i szczerym przejęciem, wywoływała nadzwyczajne zajęcia i gorące dyskusje, które po mieszkaniach studenckich przeciągały się nieraz do późnej godziny w nocy.

Miał prof. Zdziechowski dziwny dar aktualizowania poruszanych przez siebie zagadnień. Żywo stoi mi w pamięci wykład jego na temat „egocentryzmu” i „nadczołowieczeństwa” w literaturze, który prelegent omawiał jak zawsze z wielkim przejęciem i w zestawieniu z poruszającym opinię ówczesną młodzieży zabójstwem, dokonany właśnie wówczas w Wilnie za pomocą zastrzyku kurary, szpryką Pravaza na osobie zamożnego ziemianina Tomaszewskiego przez grono wybitnych studentów polskich z Petersburga, dla uzyskania funduszków na rzekomo „wyższe” społeczno-kulturalne i polityczno-partyjne cele. Sprawa ta i wynikiły z niej proces, znane w prasie ówczesnej p.n. „trup w koszu”, gdyż zwłoki zamordowanego wykryte zostały w parę miesięcy później na dworcu w Moskwie, dokąd wyekspediowane były jako bagaż w koszu przez zabójców, miały w swoim czasie rozgłos niezwykły. Wypadek ten poruszony został przez prelegenta, jako straszliwy przykład do czego może dojść, na jakie dno zbrodni i „podczołowieczeństwa” upaść może pozbawiony hamulców moralnych nietzscheański „nadczołowiek”, nie tylko w literaturze ale i w życiu. Zaktualizował, skonkretyzował on i unaoczniał w sposób przejrzysty wywody prelegenta, a miał nieco później (w r. 1906) znaleźć echo u Żeromskiego w jednym z ustępów „Dziejów grzechu”.

I tak było zawsze. Zjawiska literackie tak jak i fakty życia oceniał nie tylko z punktu widzenia estetyki, ale zawsze — i to przede wszystkim, z punktu widzenia etyki, wiązał je z zagadnieniami społecznymi i współczesnymi i z prądami podstawowymi myśli filozoficznej pracującej poprzez wieki...

Wybuch wielkiej wojny zastał go w Mińszczyźnie. Niebawem znalazł się po tamtej stronie frontu — w Rosji, w Petersburgu, przemianowanym na Piotrogród czy też Petrograd, i w Moskwie. Tam i stamtąd prowadził rozległą akcję na rzecz sprawy polskiej, wyzyskując swoje stosunki zarówno w Rosji, jak w Europie zachodniej.

Po wojnie, po wskrzeszeniu Polski, nie miał już wrócić na stałe do Krakowa. Uważał, że miejsce jego jest w Wilnie na wskrzeszonym w błysku szabli żołnierza polskiego Uniwersytecie Stefana Batorego... Objął tu katedrę porównawczą literatur europejskich, którą zajmował aż do zgonu, zrazu jako profesor zwy-

czajny, później — jako profesor honorowy. Był też wybierany dziekanem wydziału humanistycznego i przez rok piastował godność rektora U.S.B.

W ostatnich latach życia był oprócz tego — po śmierci profesora Alfonsa Parczewskiego — prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.

Zmarł w pierwszych dniach października (5.X.) r. 1938. Spoczął na Antokolskim cmentarzu wojskowym, najbliższym domostwa, w którym przez szereg lat przemieszczał.



Śp. Zdziechowski posiadał umysł wybitnie metafizyczny o głębokim podkładzie religijnym i filozoficznym, oceniającym sprawy nie według zewnętrznej łuski, nie według pozoru zewnętrznego, według tego co się widzi, co się wydaje — nie według fenomenu słowem, lecz według noumenu, według tego co stanowi istotę rzeczy, według tego co jest i co być powinno. Stąd etyczne przede wszystkim podchodzenie do zjawisk życia.

Uderza nas u Zdziechowskiego stałe traktowanie wszelkiej materii badanej nawet zdawałoby się — najbardziej oderwanej, abstrakcyjnej — nie w oderwaniu od życia, nie jako abstrakcji — ale w związku z życiem i sprawami nas otaczającymi, konkretnie, jako realność.

Stąd ów przedziwny dar aktualizowania, o którym już mówiliśmy przed chwilą, dar porównywania, zestawiania ze sobą różnych spraw i objawów życia według ich treści wewnętrznej i wartości moralnej, dar widzenia dnia dzisiejszego w przeszłości, a w dniu dzisiejszym — wizja przyszłości.

Miał Zdziechowski w sobie coś z wizjonera — powiedziałbym więcej: coś z proroka, miał jasnowidzenie, przeczuwanie i zdolność wieszczzenia rzeczy przyszłych, tego, czego jeszcze nie ma, ale co przyjść musi, co przyjdzie nieuchronnie, jako nieodbita konieczność, jako konsekwentny, jutrzejszy wynik dnia wczorajszego i dzisiejszego...

I to go nie tylko zajmuje, interesuje, ale i pasjonuje, napawa dręczącym niepokojem, prawdziwie bolesną egzaltacją. Nie może mówić o tych rzeczach związanych z przyszłością spokojnie, mówi o tym namiętnie, nieraz gwałtownie, z żarem, z uniesieniem i pesymizmem, którego tym jest więcej, im bardziej posuwa się on w lata, im bliższy jest dnia dzisiejszego.

To go pcha jednocześnie — któż by myślał? — do polityki; nie do działania politycznego, ale do obserwowania działań politycznych, stosunków politycznych, do oceny zjawisk politycznych

z punktu widzenia etycznego, a jednocześnie z punktu widzenia katolickiego i polskiego, które to punkty Zdziechowski zawsze rozumie niezmiernie podniosłe, i chciałby w nich widzieć jedynie nieomyłne, jedynie pewne, z punktu widzenia ideowo-moralnego, kryteria wartościowania.

◆

Przy niezmiernie rozległym i głębokim oraz wnikliwym odczytaniu w zakresie literatury europejskiej i pozaeuropejskiej, a zwłaszcza przy fachowej i jedynej w swoim rodzaju znajomości literatur słowiańskich i związanych z nimi problemów, wymienione wyżej predyspozycje i właściwości duchowe: *metafizyczność umysłu o podkładzie religijnym*, zdolność porównywania i *aktualizowania* różnych obiektów, *jasnowidzenia* dnia jutrzejszego i *głęboko-etyczna* ocena zjawisk badanych, przy nurtującym duszę *pesymizmie* — to są cechy charakterystyczne stałe i, niby nie czerwona, przewijające się poprzez całe dzieło życia Zdziechowskiego — jako *uczonego*, jako *myśliciela*, jako *człowieka*.

◆

Jako *uczony* badacz, rozpoczął Zdziechowski swą działalność młodo, drukując pierwsze swoje studia i szkice w r. 1882, po czym dalsze swoje prace przez pół wieku z górami ogłaszał stale w wydawnictwach osobnych, w czasopismach krajowych i zagranicznych, w różnych językach, pod imieniem własnym oraz (ze względów cenzuralnych) pod pseudonimami: M. Ursyna i Karowskiego z dziedziny literatur słowiańskich, zwłaszcza polskiej i rosyjskiej — z dziedziny literatury powszechnej, z dziedziny rozważań zagadnień filozoficznych, religijnych i społecznych, zajmując się wielkimi prądami myśli europejskiej, wreszcie, zwłaszcza w ostatnich latach — poświęcając się z upodobaniem rozważaniom nad historią i polityką.

Pierwsze wielkie dzieło Zdziechowskiego to „Mesjaniści i Słowianofile” (1888), po rosyjsku: „Oczerki iz psichologii Sławianskawo plemieni”. Są to — jak zaznacza podtytuł wydania polskiego i tytuł rosyjski — „Szkice z psychologii narodów słowiańskich”.

W tzw. „słowianofilstwie” różnych narodów widzi Zdziechowski daleko idące różnice, większą albo mniejszą bezinteresowność polityczną. Jeżeli chodzi o „słowianofilstwo” rosyjskie, przeciwstawiające się w w. XIX tzw. „zapadnicestwu” i tzw. „zapadnikom” (zachodowcom) rosyjskim — to dostrzega w nim trafnie z jednej strony pewne cechy swoistego „mesjanizmu” — wiarę

w wybraństwo narodu rosyjskiego, w wielkie posłannictwo, w wielkie dzieło, którego Słowiańszczyzna pod przewodnictwem Rosji ma dokonać — z drugiej strony dostrzega w tym słowianofilstwie rosyjskim pewne rysy najbardziej poziomego i egoistycznego imperializmu tatarsko-mongolskiego, ekskluzywnego, w najwyższym stopniu nietolerancyjnego, niewolniczego, podlegającego temu czy innemu rodzajowi despotyzmu politycznego, ideowego i społecznego, który usiłuje władzę swoją narzucić zarówno narodowi rosyjskiemu, jak i innym ludom słowiańskim — a przez to przygotować się do panowania nad światem...

Wraca Zdziechowski do tego tematu wielokrotnie, w wielu szkicach i studiach, szczególnie zaś wyczerpująco potraktował zagadnienie duchowości słowiańskiej w 25 lat później, pisząc świetne „Nowe szkice z psychologii narodów słowiańskich pt. „Upoki mesjanizmu” (Lwów, 1912).

Największe dzieła Zdziechowskiego, które zapewniły mu stanowisko bardzo poczesne w nauce polskiej i europejskiej są to:

a) „Byron i jego wiek” 2 tomy (Kraków 1897-99). Dzieło to dało mu katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, i:

b) „Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa”, (Kraków, 1914), dzieło jak i poprzednie również dwutomowe, wydane w roku wybuchu poprzedniej wojny.

Obydwa dzieła zajmują się zobrazowaniem wielkich prądów duchowych Europy: pierwsze — w początkach w. XIX, drugie — na obszarze czasowym o wiele szerszym — całego w. XIX, który autor potraktował w związku z całokształtem rozwoju kultury nowożytnej.

W dziele „Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa” — najdobitniej zarysowują się właściwości Zdziechowskiego jako badacza.

Przeciwstawia tu on romantyzmowi, jako kierunkowi wysublimowanego optymizmu, pesymizm, który zresztą — jego zdaniem — może i powinien być i często jest istotnie siłą twórczą. Może zresztą — zdaniem autora — pesymizm być taką siłą twórczą jedynie w chrześcijaństwie, które głosząc marność i nicość życia doczesnego, świata i wszystkiego, co ze świata jest — przeciwstawia się jednak życiu nie jako jego zagłada i śmierć, lecz jako moc przeobrażająca życie, doskonaląca i podnosząca życie na wyższy szczebel.

Nie brakło studiów innych, poruszających najrozmaitsze zagadnienia kulturalne i obyczajowe, literackie i religijne, polityczne i społeczne.

A więc: „Odrodzenie Chorwacji w w. XIX” (Kraków, 1902), praca gruntowna i rozległa, z wielką sympatią i znajomo-

ścią rzeczy przedstawiająca rozwój kultury, literatury i świadomości narodowej Chorwatów.

Albo: „Pestis perniciosissima”. Nigdy nie zapomnę tego wrażenia, które wywarła na mnie ta niewielka rozmiarami praca, opublikowana pod tym tytułem w Warszawie w r. 1903, jako „Rzecz o współczesnych kierunkach myśli katolickiej”, a wiążąca się z treścią ówczesnych wykładów uniwersyteckich krakowskich.

Jak wiadomo, „pestis perniciosissima” — tym mianem ochrzcił papież Pius X, tzw. modernizm, prąd modernistyczny w kościele katolickim, który rozwinął się na rubieży w. XIX i XX, a którego przedstawicielem w hierarchii zrazu i przez czas pewien był arcybiskup Bonomelli, a w literaturze (włoskiej) Fogazzaro (jego „Il Santo”). Katolicki sam w sobie prąd ten oparty na racjonalizmie i przesłankach społecznych, w dalszych konsekwencjach swoich groził podważeniem mistycznych podstaw religii, a przez to niejako przemieszczeniem, „zdeplasowaniem” Boga i umieszczeniem na jego miejscu człowieka — jego dążeń, jego woli, jego potrzeb, jego jaźni — słowem, groził przemianą teocentryzmu na antropocentryzm. Potępiony też został encykliką „Pascendi Dominici gregis” w r. 1907. O kilka lat wcześniej, w sposób bardzo obiektywny, bardzo wnikliwy, ale jednocześnie z pasją, z żarem i przejęciem Zdziechowski zajmuje się sprawą owego prądu modernistycznego, usiłując stać na stanowisku całkowicie katolickim.

Dalej: „Wizja Krasińskiego” (Kraków, 1912). Po okresie uwielbienia dla „poety bezimiennego”, nastąpił jakby odwrót uczuć w społeczeństwie dla niego i zmierzch jego sławy. I rzecz charakterystyczna! Stało się to nie w pełni rozwoju epoki pozytywizmu u nas, lecz nieco później, w okresie jego przekwitania już w początkach wieku XX. Wilhelm Feldman a także Stanisław Brzozowski bodaj najwięcej przyczynili się sądami swoimi o literaturze naszej do pomniejszenia stanowiska Krasińskiego w poezji, do jego „depiedestalizacji” (że tak powiem), nawet do wykluczenia z wielkiej romantycznej trójcy, z sakramentalnej liczby trzech wieszczów. Nie cieszył się Krasiński względami urzędowymi w epoce przedwojennego dwudziestolecia niepodległości, ani oczywiście nie może się cieszyć teraz w ciężkiej powojennej dobie...

A czym był Krasiński dla ogółu w okresie młodości pokolenia Zdziechowskiego (w dziesięcioleciach najbliższych po r. 63), nawet jeszcze dla młodzieży mego pokolenia (koniec w. XIX i początki wieku XX), naprawdę wyrazić jest trudno.

Zdziechowski usiłuje dać temu wyraz obiektywny w pracy swojej „Wizja Krasińskiego” (opublikowanej w r. 1912, w setną

rocznicę zgonu poety) z natury rzeczy kładąc szczególny nacisk na proroczą stronę jego poetyckiej filozofii — może dlatego, że w tym zakresie czuł się niejako „kongenialnym”, najbardziej duchowo spokrewnionym z Krasińskim. Praca ta nosi podtytuł, stwierdzający, że stanowi ona w pewnej mierze fragment większej rozleglejszej całości: „Ze studiów nad literaturą i filozofią polską”.

A oto znowu: „Gloryfikacja pracy” — szereg myśli z pism i o pismach Stanisława Brzozowskiego (Petersburg, 1916), rzecz wydana podczas toczącej się wojny, na obczyźnie, powtórzona w nowym wydaniu w kraju bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych (Kraków, 1921), albo praca pt. „Wpływy rosyjskie na duszę polską”. Zdziechowski dochodzi tu do wniosku, że te wpływy były i są bardzo znaczne, o wiele znaczniejsze niż się często przypuszcza — wpływy w języku, w literaturze, w sposobie myślenia. Co więcej, z bystrością wielką podkreśla, że są one, że dają się zauważyć nieraz nawet tam, gdzie by trudno domyślać się ich istnienia, gdzie by nie podobna spodziewać się ich nawet, i łączą się, kojarzą się te wpływy kulturalne rosyjskie z jaskrawym antyrosyjskim nastawieniem politycznym. Wiele rysów tego zjawiska dostrzeżemy u Stanisława Brzozowskiego, u Żeromskiego (nie mówiąc już o Daniłowskim, o Sieroszewskim i innych). Pełno tych wpływów było w kołach radykalno-niepodległościowych polskich... a to wyjaśnia nam wiele zjawisk późniejszej, a nawet i dzisiejszej, rzeczywistości polskiej.

Nie podobna szerzej omawiać tu innych studiów, prac, rozpraw, szkiców prof. Zdziechowskiego, rozrzuconych po czasopismach i wydanych w tomach osobnych, jak „Szkice literackie”, (Warszawa, 1900), „Walka o duszę młodości” (Wilno, 1927), „Od Petersburga do Leningradu” (Wilno, 1934) i inne.

Do tych ostatnich — osobno wydanych — należą takie wydawnictwa, jak: „Europa, Rosja, Azja” (Wilno, 1923), szereg szkiców filozoficzno-politycznych i psychologiczno-społecznych; studium o „Napoleonie III” — szkice z dziejów jego życia i prac (Kraków, 1931), skreślone na tle dążeń, oczekiwań, nadziei i spodziewań się — rozczarowań i zawodów ówczesnych, w których kręgu upłynęło dzieciństwo autora... Należą również tutaj dwa piękne studia o Chateaubriand'zie: „Chateaubriand i Napoleon” (Wilno, 1932) oraz „Chateaubriand i Burbonowie” (Wilno, 1934), wreszcie studium o „Węgrach i dokoła Węgier” (Wilno, 1933), który był szczerym przyjacielem nie mogąc nigdy zapomnieć o zaofiarowanej przez nie w chwili niebezpieczeństwa Polsce pomocy.

Niektóre z pism Zdziechowskiego tłumaczone były na języki obce: francuski, niemiecki, rosyjski. Inne (nieliczne) ukazywały

się wprost w językach obcych (np. w języku rosyjskim ukazała się rzecz pt. „O polskom religioznom soznanii” (Moskwa, 1915), a po francusku „Le dualisme dans la pensée religieuse russe” (Paryż, 1927).

Zbiór szkiców i studiów pt. „W obliczu końca”, wydany w Wilnie w r. 1937 stanowi ostatni tom, opublikowany za życia autora w całości.

Nie było to jednak ostatnie dzieło prof. Zdziechowskiego. Przed samą chorobą, a nawet już podczas choroby, tuż przed śmiercią, rozpoczął się w Wilnie druk ostatniego zbioru szkiców i studiów, przeważnie rozrzuconych po mniej dostępnych czasopiśmie i zebranych przez autora. Wydawnictwo miało dojść obecnie do skutku dzięki zasiłkowi udzielonemu na cel ten przez Fundusz Kultury Narodowej — Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Wilnie, którego Zdziechowski był wówczas prezesem. Nie zostało jednak przez autora doprowadzone do końca. Dopiero później, w kilka miesięcy po jego zgonie, już w r. 1939 przyjaciele i uczniowie zmarłego podjęli na nowo ciąg dalszy druku, który ukończony został w tragicznym wrześniu r. 1939. Wydawnictwo z powodu wypadków wojennych nie mogło ulec rozpowszechnieniu. Jak brzmiał jego tytuł, nadany ex post już po śmierci autora, nie mogę sobie sobie przypomnieć obecnie. Co się stało z nakładem, przewiezionym do gmachu Twa Przyjaciół Nauk, czy ocalało z niego cokolwiek, nie jest mi wiadome.



Tak się przedstawia dorobek naukowy i, powiedzmy, zarazem dorobek filozoficzno-publicystyczny prof. Zdziechowskiego. A ponieważ słusznie się mówi, że „bibliografia prac uczonego czy pisarza jest najlepszą jego biografią”, a jednocześnie wyrazem jego myśli, tedy prowadzi to nas do sprecyzowania stanowisko śp. Zdziechowskiego, jako *myśliciela*.

Czy Zdziechowski jest myślicielem oryginalnym? Tak, oczywiście, o ile może być oryginalnym myśliciel katolicki. Bo nie ulega wątpliwości, że myśliciele katoliccy mają wspólny, ten sam, nawet ten sam punkt wyjścia swoich rozważań i takież, ten sam wspólny punkt docelowy, taki sam, podobny wniosek „eschatologiczny”, do którego dochodzą.

Tak było zawsze — od św. Augustyna począwszy, poprzez św. Tomasza z Akwinu, poprzez Skargę czy Bossueta, Montalemberta, Merciera, Newmana lub Zdziechowskiego.

Oczywiście nie znaczy to, żeby wszyscy oni myśleli, mówili i pisali to samo: bo między owym założeniem wyjściowym a wnio-

skiem ostatecznym rozciąga się przestrzeń olbrzymia, nie ogarniona okiem, przestrzeń bytu i życia z przeogromną różnorodnością zjawisk życia i nieprzeliczonymi możliwościami różnego do nich stosunku. „Unitas in varietate, varietas in unitate” — to jest cecha myślenia katolickiego.

Kościół katolicki porównywano do wielkiego tumu, który pod jednym wspólnym sklepieniem kryje wielość najrozmaitszych kaplic i kapliczek... Znaleźć w nim mogą łatwo miejsce i samotnik i społecznik, uczony i artysta, mędrzec i prostaczek, olśniewający rycerz świetnej sprawy i skromni pracownicy szarej powszedniości.

Sp. Zdziechowski, myśliciel i pisarz katolicki, z bardzo swoistego stanowiska oceniał fakty życia, sięgając zawsze w głąb zagadnień, ku ich treści noumenalnej, wewnętrznej — nie poprzestając na stronie zewnętrznej — fenomenalnej, i umiał dostrzegać, że tak powiem „piękno kwiatu róży bez względu na to w jakim zakwitał on ogrodzie”. Wierząc niezłomnie, iż zbawienie świata i uzdrowienie stosunków między ludźmi i narodami przyjsć może jedynie z uznania ideału chrześcijaństwa, dostrzegał piękno i odbłask wzniosłości nie tylko we franciszkańskich wzlotach „biedaczyny z Asyżu”, ale i w pogańskiej „virtus romana” i w greckiej „kalokagatii” i w chińskim kulcie przodków oraz w brahmńskiej nauce o „tat twam asi” („to ty jesteś”) zespalałcej wszystko co istnieje węzłem substancjonalnej jedności i miłowania.



Wierząc w Boga, jako źródło dobra, wierzył również w realizm zła jako czynny, stale obecny i mieszący sprawy Boże — element życia.

Przypominam sobie, że rozważając te sprawy w rozmowach, w wykładach swoich, za najczystszy, za najdobitniejszy wyraz tego zła, tej zatrutej myśli, widział — jeżeli o czasy nowożytne chodzi — w pismach trzech myślicieli, trzech pisarzy, rozgłośnych, sławnych, twórców genialnych, ale jakże rozkładowy wpływ wywierających na dusze ludzkie.

Pierwszy — to Macchiavelli. Jak wiadomo, on był pierwszym, który zażądał stanowczo emancypacji polityki od moralności. On pierwszy jasno postawił jakże przewrotną zasadę, wyrażoną w rozprawie „Il principe”; „Cel uświęca środki”. Jest to zasada pogańska, która, jak wiadomo, powstała i powstać mogła w blasku odrodzenia myśli świeckiej, ale zarazem w zmierzchu etyki w XVI w. Nie lekceważmy środków, o nie... „Nie wolno robić rzeczy złych dla osiągnięcia celów dobrych” — pisał już w w. XV nasz Paweł Włodkowic. I podobnie Zdziechowski uważał, że środki zmierzające do urzeczywistnienia jakiegoś

przedsięwzięcia tkwić powinny niejako immanentnie w celu, do którego zmierzamy, tak jak cel — zawarty powinien być w środkach. Nie mogą one być zaprzeczeniem miłości Boga, nie mogą się kłócić z rozkazaniem Bożym.

Wybór dróg prowadzących do celu — dróg, idących w kierunku przewycięzenia największego chociażby oporu, ale zgodnych zawsze i niezłomnie z zasadami etyki: oto zagadnienie, które staje wciąż przed nami, a od którego bardzo wiele, niemal wszystko w uzdrowieniu życia zależy.

Macchiavelli przez sformułowanie swojej tezy: „cel uświęca środki” stawał się wyrazicielem i jakby prarodzącym — zdaniem Zdziechowskiego — najzgodniejszego antyhumanistycznego prądu, wprost satanizmu, który sam jeden w konsekwencji doprowadzić by musiał do ruiny cywilizacji.

A drugim twórcą-deprawatorem w czasach nowożytnych był — Nietzsche, ze swoim kultem nadczłowieka.

Według Zdziechowskiego, teoria głosząca, że człowiek stoi ponad obowiązkiem i że nie jest związany żadną powinnością, żadnym „ich soll — powinienem”, że ma się kierować w życiu tylko własną chęcią, własnym osobistym chceniem — „ich will”, nosi w sobie śmiertelny zaród niezwykle niebezpiecznego, całkowicie odśrodkowego egotyzmu i egoizmu, gdyż umieszcza człowieka w środku i u szczytu wszechrzeczy — zamiast Boga, jest krańcowym antropocentryzmem, w wiekuistej i zasadniczej będącym rozterce z teocentrycznym na świat poglądem — co prowadzi od rzekomego nadczłowieczeństwa, nie znającego hamulców moralnych nad sobą, do podczłowieczeństwa, do barbaryzacji, do dehumanizacji, bestializacji i terrestryzacji życia.

Wreszcie — trzecim myślicielem i pisarzem nowożytnym, obok naturalnie wielu innych, mniej głośnych, pomniejszych czy mniej niebezpiecznych, niezmiernie groźnym dla moralności publicznej jest — według opinii Zdziechowskiego — któż by myślał? — Lew Tołstoj, ze względu na swoją naukę o nie sprzeciwianiu się złemu.

Zdziechowski jest z wielkim uznaniem dla Tołstoja, jako dla patrioty i społecznika, jako dla artysty i pisarza, widzi w nim nie tylko talent, ale wprost geniusz twórczy, lecz jest bardzo niskiego mniemania jako o myślicielu. Sądzi, że jest on stanowczo niesłusznie rozreklamowany i przereklamowany pod tym względem i uważa jego „filozofię” w istocie za płytką, a nawet (ze względu na sugestywny artyzm jego słowa) za wręcz w tym zakresie zgubną. O wiele więcej szczeroci widzi w Dostojewskim, a już niezmiernie wysoko spośród myślicieli rosyjskich stawia Eugeniusza Trubeckoję (zmarł 1920) i zwłaszcza filozofa chrześcijań-

skiego i pisarza mistyka rosyjskiego w. XIX, myśliciela-proroka Włodzimierza Sołowiewa (zmarł 1900).

Ludzie i świat jednak nie chcą słuchać swych dobrych duchów i nauczycieli, woleli i wolą słuchać Macchiavellego czy Nietzschego, wyciągając z nich ostateczne konsekwencje.

I to utorowało drogę do katastrofy, wobec której świat stanął, to ułatwiło przyście najstraszliwшему — zdaniem Zdziechowskiego — zjawisku dni naszych — bolszewizmowi, czyli komunizmowi rosyjskiemu, takiemu, jak się on przedstawiał jego oku za życia.

Widzi on w nim nie tylko i nie tyle konsekwencję nauki Marksa, ile skutki podważenia samych podstaw cywilizacji i moralności chrześcijańskiej.

Niemoc Zachodu wydaje się autorowi być rzeczą oczywistą. Europa nie posiada nic czym by mogła swoją wyższość wykazać, przestała bowiem czerpać soki żywotne z chrześcijaństwa... Stała się — według znanego określenia — po prostu gromadą paralityków, biernie i bezmyślnie przyglądających się opętaniu epileptyków, szalejących w Rosji.

A oto kilka zdań na temat bolszewizmu, które autor stara się oprzeć na znajomości Rosji, na znajomości psychologii rosyjskiej, a które na chybił trafił wyjmujemy:

a) *Bolszewizm wiąże się ściśle z przeszłością Rosji:*

Bolszewizm jest logicznym zakończeniem stuletniej walki z caratem, realizacją hasła, pod którym walczone i które sformułował Hercen: „niech żyją chaos i zniszczenie!”, a hasło to wyszło z samego dna duszy rosyjskiej, było tym nowym słowem, które Rosja, w mniemaniu jej poetów i myślicieli, miała przynieść światu. I nie wątpimy, że przyszli historycy przedstawiać będą bolszewizm, jako najcharakterystyczniejszą manifestację Rosji na widowni dziejowej...

Ku bolszewizmowi zmierzał bieg dziejów rosyjskich od Piotra Wielkiego, tj. od chwili bliższego zetknięcia się z kulturą Zachodu. Rosja bowiem stała w stosunku do Europy, jak wyrażał się Hercen, na tamtym brzegu. W jej życiu historycznym nie brała udziału, nie wiązała jej z tym życiem nic tradycji, patrzyła więc na nią z tamtego brzegu, łatwiej dostrzegała ujemne jej strony, goręcej rwała się do ich burzenia, podzielała z Europą wszystkie

jej wątplenia, a nie rozgrzewała siebie jej wiarą. I na tamtym brzegu stała również wobec własnej przeszłości, w której nie było nic, czym by pociągnąć i przywiązać do siebie mogła. I dzięki temu wykształcony Rosjanin jest, według Hercena, najniezawisłszym człowiekiem na świecie. W tym jego wyższość. Rewolucjonista bowiem, Europejczyk, dążąc do przewrotu, nie jest w stanie zamiaru swego doprowadzić do końca, potępił teoretycznie przeszłość i przez nią przekazane formy polityczne, a nie ma serca z nimi zerwać, zanadto z tym się zżył i w końcu szuka kompromisu. Tylko Rosjanin umie iść prosto do celu i tylko on jeden powołany jest do stworzenia nowego porządku...”

b) *ma doskonałą strategię:*

„Grozę huraganu pędzącego od Wschodu czułem od początku bardzo wyraźnie i tak samo czuję to dziś... Wprawdzie dziś pocieszą nas tym — pisał Zdziechowski w r. 1937 — że bezpośredniego niebezpieczeństwa od strony Sowietów teraz nie ma, nie grozi nam najazd, zanadto bolszewicy zajęci są swymi wewnętrznymi kłopotami i jeszcze więcej kłótniami. Słaba to pociecha, planu bowiem wielkiej ofensywy nie zarzucając, umiejętnie wprowadzają w czyn to, co wojskowi strategią Dżyngishana nazywają. Polegała ona na tym, że bazę operacyjną mieli Tatarzy nie za sobą, lecz przed sobą; brzmi to paradoksalnie, ale rozumieć to trzeba tak, że zanim nastąpić miał najazd, umiejętna propaganda musiała przygotować w upatrzonym na zdobycie kraju wszystkie drogi i ścieżki, korzystając ze wszystkich w nim niedomagań politycznych i społecznych, wszystkich wewnętrznych niesnasek, podjudzając jednych przeciw drugim, przekupując tych, obiecując tamtym i w ten sposób osłabiając, niszcząc odporność moralną ludności; gdy oznaki rozkładu były już widoczne, następował najazd, a podbite i zajęte obszary stawały się źródłem nie utrudnień, lecz przyływu nowych zasobów, nowych środków do powiększenia armii” (1).

c) *Bolszewizm ma swoje uroki — jest ideą, jest wiarą.* Oto co mówi o tym w jednym z odczytów swoich Zdziechowski:

„Ludzie głębsi, myślący, oczywiście frazesem gardzą, ale zetknąwszy się z prądami wywrotowymi, filozofują. Stawiają pyta-

(1) „Zwiastuny satanizmu w Polsce” — „W obliczu końca” (Wilno, 1937), str. 142.

nia, czy burza pędząca z Rosji nie jest potrzebna, czy nie przeczyści powietrza: wszak tyle złego jest u nas; więc, choć tak straszny, bolszewizm, gdy minie, pozostawi po sobie dobroczynne następstwa, przyspieszy wykonanie rozmaitych pożytecznych reform, słowem, spełni to posłannictwo, które w swoim czasie spełniła rewolucja francuska. Ale kto tak rozumuje, ten już się stał nieświadomym heroldem bolszewizmu, ten już mu otworzył wejście do swej duszy. Społeczeństwo w którym jest wielu w taki sposób rozumujących, jest z góry przeznaczone na łup bolszewizmu" (2).

„Bolszewizm jest ideą; jej treścią — realizacja w całej pełni kolektywistycznego ustroju; drogą do tego — zburzenie przeszłości tak doszczętne, aby w żadnym, choćby wyjątkowym wypadku, żadna z jej form, jak nauczał Bakunin, zachowaną nie została. Potężny fanatyczną wiarą wyznawców bolszewizm, nie da się pobić jakimś pół czy ćwierć bolszewizmem... Bolszewizm dałby się pobić tylko odważną negacją tej negacji, jaką on jest, innymi słowy, mocnym oparciem się na tych pierwiastkach przeszłości, których wartość istotna jest i trwała”.

I na tym — według Zdziechowskiego — polega niebezpieczeństwo bolszewizmu — że jest on *nową wiarą*, że ma w ręku oręż groźny, którego żadna moc materialna nie skruszy: że ma ideę.

Nie wojownicy, zdaniem Zdziechowskiego, nie dyplomaci, nie bankierzy — nawet nie interesy rządzą światem, lecz rządzą światem idee. A bolszewizm jest ideą, wypisał na swoim sztandarze IDEĘ. Wprawdzie ostatnie słowo w rozwoju idei często oznacza doprowadzenie jej do absurdu, ale absurd ma wzięcie, siłę zaraźliwą, zwłaszcza w stosunku do masy, do tłumu, impulsywnego, czującego ukrzywdzenie własne, nie rozumującego — i trwać, i panować może bardzo długo. Prawo logicznej konsekwencji jest nieubłagane; *żadna idea nie zejdzie z widowni świata, dopóki nie wyczerpie całej zawartości swojej*, ze wszystkimi jej skutkami.

Ideę zwalczyć można tylko i wyłącznie ideą; idei należy przeciwstawić ideę... Jaką? I tu dochodzimy do sedna rzeczy. Bolszewickiemu integralnemu komunizmowi możemy przeciwstawić integralne heroiczne chrześcijaństwo. I dopiero „hic incipit tragoedia”... tu się zaczyna tragedia... Bo czyż świat Europy, pragnący walczyć z Antyeuropą, zdolny jest do czynów heroicznego chrześcijaństwa, czy zdolna jest do tego chrześcijańska w imienia, antychrześcijańska w duchu swoim cywilizacja nasza? Pograżona

w snobizmie, w wygodach życia, rozdarta relatywizmem pojęć... Czy zdobędzie się na święty ogień zapału, który popchnie ją do wielkiej krucjaty w obronę cywilizacji i jej chrześcijańskich podstaw? Czy rozumieją to narody zagrożone, zwłaszcza na wysuniętych ku Wschodowi posterunkach cywilizacyjnych? Wobec celu tego — woła Zdziechowski — wobec tej idei, niech się usuną na daleki plan dzielące je różnice!

Czy nie jest to wszakże mrzonką?! Czy zechcą ludzie i narody być „adjutores Domini contra satanam”? Czy rozumieją, że Chrystus to nie frazes, nie filozofia, nie teoria nawet, ale życie samo tylko przez życie samo tylko przez życie pojętym być może i zasymilowanym, zrealizowanym... w całej rozciągłości nauki o ośmiu błogosławieństwach... I smutną bezbrzeżnie staje się dusza Zdziechowskiego, jako myśliciela i człowieka, i przepojona beznadziejnym, zda się, pesymizmem... Na dynamizm bolszewizmu, którego przeciwstawność chrześcijaństwu i zgubność uważa za dowiedzione, nie potrafi odpowiedzieć równą dynamiką, raczej statyczne zazwyczaj w swym charakterze, raczej nie skłonne do gwałtownych wybuchów czy przewrotów chrześcijaństwo.

Co charakteryzuje cywilizację naszą, obecną — zapytuje Zdziechowski, i daje na to taką odpowiedź, idąc w tym za zdaniem Wilhelma Ferrera:

„Cechą znamionną cywilizacji naszej, tak w jej ideologii jak i w praktyce, stanowi doprowadzone do absurdu zwyczajstwo pierwiastka ilościowego nad jakościowym: jakość ustępuje miejsca ilości, ilość zaś bezskutecznie usiłuje przeistoczyć się w jakość, co znaczy, że świat cały, Europa i Ameryka, poprzestawszy, zgodnie z prawem mniejszego oporu, na najprostszym, najłatwiejszym i najgrubszym, tj. na wyłącznie *ilościowym* określeniu postępu, utożsały go ze wzrostem bogactwa i udoskonaleniem maszyn, które je produkują. Bogactwo zaś, czyli potęgę materialną czyniąc miarą postępu, tracimy wrażliwość na *jakościowe* przymioty rzeczy: na różnicę między dobrem a złem, między pięknem a brzydotą, stajemy się obojętni względem ideałów doskonałości artystycznej, moralnej i religijnej, którą czcili przodkowie nasi; sztukę i moralność, religię nawet podporządkowujemy wówczas z konieczności fabrykowaniu coraz nowych maszyn, odkrywaniu coraz nowych kopalni i rozszerzaniu powierzchni obszarów uprawnych...”

Cechą charakterystyczną cywilizacji epoki naszej — według Zdziechowskiego — stanowił i stanowi rosnący kontrast między zewnętrznym uspołecznieniem a wewnętrzną dzikością, która w zdobyczach techniki zyskiwała straszny oręż i środek działania...

Czy taka cywilizacja może oprzeć się zwycięsko przeciwko

zakusom siły ilościowej, siły materialnej, przeciwko barbarzyństwu?!...

Oczywiście — nie.

I oto źródło pesymizmu Zdziechowskiego. To, co przeżywamy, wygląda mu na „agonię cywilizacji”. Stoimy wobec kataklizmu i katastrofy. Stoimy, mówi Zdziechowski, „w obliczu końca historii. Dzień każdy świadczy o zastraszających postępach dżumy moralnej, która zagarnia wszystkie kraje, wżera się w organizmy wszystkich narodów, wszędzie procesy rozkładowe wszczyna, w odmętach zgnilizny i zdziczenia pogrąża.

Patrząc na to, myśl nastroja się eschatologicznie. Należę do tych, zdaje się nielicznych, którzy bardzo wyraźnie słyszą huk nadchodzącej nawałnicy, o której powiedziano, że przyjdą dnie ucisku, jakie nie były od początku stworzenia, powstanie naród przeciw narodowi, królestwo przeciw królestwu, nastąpi brzydkość spustoszenia i ludzie schnąć będą ze strachu”, a „gdy ujrzycie to wszystko, wiedźcie, iż Pan blisko jest, we drzwiach” (Mat. XXIV, 33)”.

„Ale uczucie eschatologiczne, które nawiedza nas w epokach wstrząśnień, przygniatających ogromem nieszczęścia, nie uprawnia do fatalistycznego opuszczenia rąk, jest uczuciem krzepiącym. Zbawiciel, wzywając do królestwa nie z tego świata, tym samym wzywał do walki z tym światem, ze złem, w którym „świat leży”, ze złymi mocami, które nim rządzą, walcząc zaś wiemy, bez względu na wynik walki w dniu dzisiejszym, że współpracujemy z Bogiem w budowaniu Domu Bożego”.

W miarę możliwości usiłował Zdziechowski ten „Dom Boży” budować, uważając zresztą pesymizm nie za ucieczkę od życia czynnego, lecz przeciwnie, za zachętę do walki ze złem życia... Nie boi się on być rycerzem przegranej sprawy, o ile sprawa ta będzie w zgodzie z jego sumieniem.

Uznaje on pesymizm za siłę twórczą, za realność życia, które, widząc chorobę, odczuwając ból, znajduje w tym pobudkę do szukania lekarstwa.



Taki był Zdziechowski, jako *myśliciel* — a to wyciskało piętno na nim, jako na *człowieku*.

Śp. Zdziechowski odznaczał się wprost „gołębiczą prostotą” (że użyjemy tu określenia stosowanego do O. Ryłły, początkodawcy Uniwersytetu św. Józefa w Bejrucie, tradycją tak bliskiego Polakom w Libanie).

Do ludzi ustosunkowywał się z wyrozumieniem i nawet naiwnością człowieka bezwzględnie i gruntownie prawego.

Jakże często, jakże przeraźliwie często zaufanie jego do ludzi wystawiane było na ciężkie próby, a on sam jakże często był wyzyskiwany przez małość ludzką. Wyzyskiwali go, doprowadzając niekiedy aż do rozpacz, wszelkiego rodzaju biedacy, prawdziwi i udani, którym nie umiał odmówić, dając wiarę nawet notorycznym szalbierzom. Wyzyskiwali go studenci, prosząc o interwencje, wstawiennictwa w niepowodzeniach egzaminowych, zwracając się do niego o orędnictwo w sprawach często całkowicie przegranych. Powagą i autorytetem moralnym jego imienia najrozmaitsi gracze polityczni usiłowali zasłonić niekiedy swoje dwuznacznej natury praktyki i gierki.

Cechowała go odwaga cywilna mówienia ludziom prawdy i tego, co za prawdę uważał, w oczy, i poruszanie rzeczy niepopularnych, ale jednocześnie niezwykła łagodność, niechęć do zrobienia komukolwiek osobistej przykrości, już nie mówię — krzywdy.

Popełniał błędy, ale zawsze był gotów przyznać się do pomyłki, do popełnionego błędu.

Prof. Zdziechowski odznaczał się nadzwyczajną prostolinijnością, która nie znosiła odchylenia nawet w sprawach i formach czysto konwencjonalnych i błahych.

Przytoczyć tu mogę jeden z przykładów tej aż zdawałoby się dziecinnej prostolinijności, która atoli miała swe głębsze uzasadnienie w całym moralnym nastawieniu Zdziechowskiego. Oto jako prezes Zarządu Twa Przyjaciół Nauk w Wilnie np. wzdrygał się podpisywać „z szacunkiem i wdzięcznością”, czy też „z prawdziwym szacunkiem” — listów urzędowych, kierowanych przez Towarzystwo z podziękowaniem za nadesłane wydawnictwa, do tych autorów, redakcji czy instytucji, krajowych lub cudzoziemskich, do których, jak mówił, ani prawdziwego ani żadnego szacunku ani wdzięczności czuć nie może. Konwencjonalne te pisma do adresatów, z którymi Towarzystwo pozostawało w stosunkach kurtuazyjnej wzajemnej wymiany wydawnictw, z reguły na prośbę usilną prezesa podpisywane bywały przez innych członków Zarządu, którym nie sprawiało to większej moralnej trudności.

Owa prostolinijność i bezkompromisowość moralna Zdziechowskiego kazała mu nazywać traktat ryski „zbrodnią ryską”, która — jak mówił — najstraszniejszą noc niewoli rozciągnęła nad przynajmniej milionem Polaków, którzy ufali Zachodowi, chrześcijaństwu, Polsce, a tak okropnie zostali zdradzeni...

„Obawiam się — mówił proroczo — że na podstawie tej samej dobrej racji (to znaczy bez racji), na jakiej obecnie odda-

liśmy Mińsk (jego prawie rodzinny Mińsk!), za lat dwadzieścia zmuszeni będziemy oddać i Wilno i Grodno i całą połąć naszych Ziemi Wschodnich, a kto wie — dodawał w rozżaleniu — czy i nie całą Polskę..”.

Był Zdziechowski jednym z nielicznych współczesnych Polaków, który miał wielu przyjaciół i stosunki na gruncie międzynarodowym: w krajach słowiańskich przede wszystkim, w dawnej Rosji, w Czechach, w Jugosławii, na Węgrzech, w Niemczech, we Włoszech, we Francji... Toteż dom jego, niegdyś w Krakowie, w ostatnich zaś latach kilkunastu życia — w Wilnie, na Antokolu, często był odwiedzany i mile wspominany przez cudzoziemców — przedstawicieli sztuki, literatury, myśli filozoficznej i politycznej.



Jeszcze jeden, nie wszystkim może znany szczegół, pragnęlbym zanotować.

Po wypadkach roku 1926 przez najwyższe sfery warszawskie prof. Zdziechowski był wysuwany na kandydata do godności Prezydenta Rzeczypospolitej. Zdziechowski jednak kategorycznie odmówił. Dopiero wówczas ustalona została kandydatura prof. Ignacego Mościckiego.

Dobrze się stało, że Zdziechowski odmówił i proponowanej kandydatury nie przyjął. Nie wyobrażam go sobie w roli tak odpowiedzialnej. I przy całym głębokim szacunku, który dla osoby i pamięci jego żywię, przy całym uznaniu dla jego autorytetu moralnego, wydaje mi się, że może mało było ludzi, którzy by mniej od niego do tej godności i roli z nią związanej, się nadawali. Nie przyjęcie przez Zdziechowskiego uczynionej mu propozycji i nawet odrzucenie jej a limine, stanowi dodatni dowód jego samokrytycyzmu wewnętrznego.



W 77-ym roku życia zamknęła się księga jego pięknego, wzniosłego żywota. Pękła struna, z której wydobywał się zawsze ton czysty. Zubożało życie polskie o jedną, bogato w wartości duchowe wyposażoną duszę...

Zmarł prof. Zdziechowski na jesieni roku 1938. Na trzy lata przed nim zesłała do grobu żona jego, Maria z Kotwiczów. Syn starszy zakończył tragicznie życie podczas pierwszej wielkiej wojny. Jedyne, który pozostał mu syn — Ksawery (trochę poeta), wywieziony na Wschód daleki, życia dokonał w grudniu r. 1941 w jednym z tzw. „łagrów północno-uralskich” na Syberii.



Dzisiaj, gdy przytłoczeni troskami naszego bytowania, tak łatwo zapominamy o zasługach ludzi, którzy od nas odeszli w zaświaty — dzisiaj, gdy nie ma chyba komu odwiedzać grobu prof. Zdziechowskiego na przepięknym cmentarzu Antokolskim, dzisiaj, gdy o jakimkolwiek uczczeniu pamięci jego nie może być mowy, ani w Wilnie, ani w Krakowie czy Warszawie, ani gdziekolwiek indziej na ziemiach polskich — a gdy bodaj nie myśli się o tym gdzie indziej na naszych drogach tułacznych — dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, mając niegdyś możność poznać bliżej śp. Zdziechowskiego i żywiąc cześć dla jego zasług — pozwoliłem sobie przypomnieć działalność i dzieło tego — nie waham się powiedzieć — wielkiego i zasłużonego uczonego-myśliciela-człowieka, w dziesiątą jego zgonu rocznicę.

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Rzymska przyjaźń Kraszewskiego

Od pierwszej swojej podróży do Włoch i Rzymu, tj. od 1858 r. Kraszewski znacznie często odwiedzać Włochy, specjalnie zaś po opuszczeniu Warszawy i stałym osiedleniu się w Dreźnie. Te podróże wiązały go na trwałe z tym krajem i znalazły odbicie w jego twórczości literackiej czego świadectwo dają choćby: *Kartki z podróży*, *Caprea i Roma*, *Rzym za Nerona*, by wymienić tylko niektóre. Krąg zainteresowań pisarza Włochami stale się zwiększał, a jak dalece przywiązał się do tego kraju świadczy fakt, że ostatnie lata swojego życia, po wyjściu z twierdzy magdeburskiej, spędził właśnie we Włoszech i tu oraz w sąsiedniej Szwajcarii tworzył oraz snuł ostatnie swoje projekty twórcze.

Wśród jego przyjaciół i znajomych we Włoszech znaleźli się Polacy jak i Włosi, których poznał w czasie swoich podróży, przeważnie ludzi pióra; powiększyli więc oni i tak już obszerny krąg przyjaciół pisarza. Do nich należeli również O.O. Zmartwychstańcy.

Wiele mówiło się, i dotąd się mówi, o jego zgrzytach w stosunkach ze Zmartwychwstańcami, w związku z tym i jego postawie względem Stolicy Apostolskiej. Toteż trzeba tu przypomnieć, że jego polemika z niektórymi przedstawicielami polskiego kleru odnośnie ustosunkowania się do władz zaborczych w okresie popowstaniowym, jego negatywny stosunek do ultramontanizmu w czasie I soboru watykańskiego, niczym nie zachwiały jego wiary religijnej, wiary raczej tradycyjnej, a nie opartej na przemyśleniu osobistym.

Abymy ktokolwiek nie miał jakiegóż wątpliwości, sam Kraszewski wypowiedział się publicznie w czasie uroczystości, w pięć-

dziesiątą rocznicę swojej działalności literackiej: „Niech mi wolno będzie — mówił jubilat — w kilku słowach oznaczyć jasno, fałszywie może tłumaczone położenie moje względem Kościoła naszego, którego dzieckiem nigdy być nie przestałem i w wierze ojców moich, w której się urodziłem, dotrzymam do końca. Być może iż z pism moich, pod rozmaitymi wpływy, w różnych czasach wydanych, znajdzie się niejedno co mogło usprawiedliwiać posądzenie mnie o odstępstwo i odszczepieństwo. Pragnę więc w tym dniu uroczystym znieść wszelką wątpliwość i stwierdzić moją wierność kościołowi katolickiemu i głowie jego Ojcu św. Leonowi XIII”.

Ale wróćmy do znajomych i przyjaciół Kraszewskiego. W Rzymie powstało, jak wiadomo, około połowy XIX wieku (1842) Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, którego założycielami byli: B. Jański, H. Kajsiewicz i P. Semenenko. Zgromadzenie rozrosło się w stosunkowo szybkim czasie zakładając swoje domy w krajach Europy oraz Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. W samym Rzymie Zgromadzenie stało się na długie lata, bo aż do Odrodzenia państwa polskiego, nieoficjalną ambasadą Polski przy Stolicy Apostolskiej, oraz źródłem informacji o życiu narodu polskiego pod wszystkimi zaborami. Dla Polaków zaś Zgromadzenie stało się punktem oparcia i przystanią w wiecznym mieście.

Kraszewski poznał się ze zmartwychwstańcami w czasie swojego pierwszego pobytu w Rzymie, oni również ułatwili mu audiencję u papieża, audiencję, z której, jak wiadomo, wyszedł Kraszewski z uczuciem żalu do swych protektorów. Łączność, raz nawiązana, utrzymała się na długie lata ze Zgromadzeniem, a ściślej z O. Julianem¹. Świadczą o tym listy Kraszewskiego do O. Juliana, przechowane w domu generalnym w Rzymie, z których pierwszy nosi datę 12.VII 1858 r. a ostatni 24.III. 1877 roku. Zatem korespondencja obejmuje okres niemal 20 lat, długą przestrzeń czasu w życiu pisarza.

Treść listów obraca się wokół wspólnych znajomych, spraw rodzinnych, a przede wszystkim wokół spraw krajowych. Widać,

1. Ojciec Julian Feliński, brat arcbpa warszawskiego, Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, przybył do Rzymu w 1856 r., odbył studia w Collegium Romanum i wkrótce stał się w Zgromadzeniu jednym z członków najbardziej czynnych. Powierzano mu odpowiedzialne stanowiska, był więc wicerektorem, później rektorem Kolegium Polskiego, przeorem domu rzymskiego, potem przełożonym alumnatu i nowicjatu. W wiele lat później, na skutek nie dostosowania się do obowiązującej Reguły Zgromadzenia, popadł w spór z O. Semenenką, rozstrzygnięty przez kardynała Giuseppe Pecci negatywnie dla O. Felińskiego. Wysłany następnie do Adrianopola, wystąpił ze Zgromadzenia.

że te ostatnie były mu zawsze i wszędzie bardzo bliskie sercu. Zżymał się na wiele osób w kraju, nie godził się z ich postępowaniem, „nad wszystko i nad wszystkim-wywnętrzał się — stoi mi przykład Świętego Mistrza, który miłość zalecał. Tej u nas nie było widać, a gdyby jeno ona była, naprawiłoby się wiele zła”.

W listach występował również w charakterze informatora spraw krajowych, sądząc, że ojcowie Zgromadzenia zamknięci, jak powiada, „w szczęśliwym kole pracy i spokoju” nie dostrzegają wielu spraw dziejących się poza murami klasztoru. Przed kilku laty wydany *Dziennik Piotra Semeneńki*² wykazuje, że tak nie było. Przez dom rzymski przewijało się rok rocznie dziesiątki i setki Polaków tak z kraju, pod zaborami, jak i z emigracji. Z przywożonych zewsząd informacji można było, po przesianiu, przedstawić sobie prawdziwy obraz rzeczywistości polskiej.

Listy w początkach brzmiące nieco tonem urzędowym stają się, z latami, bardziej szczere i poufne, widać, że chwilowa znajomość przeradzała się z upływem czasu w przyjaźń. Szkoda tylko, że nie zachowało się ich więcej, ale i te, które publikujemy, rzucają promień światła na jego rzymskie znajomości dając świadectwo, że i tu zostawił część swojej duszy.

Korespondencję podajemy w obowiązującej dzisiaj pisowni i interpunkcji, z zachowaniem pauz, charakterystycznych w listach Kraszewskiego, na co zwrócił już uwagę jeden z młodych badaczy³ jego twórczości.

Stanisław PIEKUT

I

12.7.1958.

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Wiem, że ze współczuciem byliście łaskawi przyjąć wiadomość o mojej bytności u Ojca Świętego, który mnie, może skutkiem wypadku czy raczej zrzędzenia Bożego, nie tak przyjął dobrotliwie, jakem ja biedny pielgrzym mógł pragnąć. Widzę w tym tylko opatrzną rękę Boską, która dla mojego dobra i pożytku dusznego, tym strapieniem wypróbować chciała; — nikomu tego nie przypisuję co w moim przekonaniu jeden Bóg mógł uczynić. Raczcie więc uwierzyć, że do nikogo o to żalu ani najmniejszej nie mam urazy i owszem z pokorą przyjmuję i rad jestem krzyżowi, który mnie tu spotkał. Wszelka o tym rozmowa byłaby dla mnie bolesną, bo drażniłaby cierpienie o którym rad bym zapomnieć. Z wdzięcznością przymuję łaskawe zainteresowanie się wasze i serdeczne współczucie nad położeniem moim ale niech to tak zostanie jak się Bogu zrządzić podobało. W duszy mojej czuję, żem mógł na wymówki Ojca Świętego zasłużyć, mogłem zbłądzić

2. Ks. Piotr Semeneńko, *Dziennik-Rzeczy polskie i słowiańskie, Sacrum Poloniae Millenium*, II, Rzym 1955. Wybrał ks. E. Elter.

3. W. Danek, *Muza Starej baśni, Pamiętnik Literacki, Rocznik XLIX, Zeszyt 3 i 4, Wrocław 1958, s. 245.*

jako człowiek, tego tylko nie mam sobie do wyrzucenia, abym z dobrej woli i rozmyślnie przeciw powadze Kościoła przewinił. Serdeczne składając dzięki proszę jeszcze raz, abyście, mając wzgląd na położenie moje, chcieli je zostawić jakim jest, gdyż nic tego odmienić co się stało nie potrafi, a jam to złożył na ofiarę Bogu z innymi cierpieniami życia. Racz przyjąć wyraz głębokiego szacunku, z którym zawsze zostaje
Wielmożnego Pana Dobrodzieja uniżony sługa

J. I. KRASZEWSKI

II

Drezno, Dippoldiswaldergasse 8
6 sierpień 1868.

Powróciwszy w tej chwili z wód do Drezna, zastałem tu dwie wiadomości, które mi polecono usilnie przesłać do Rzymu, a że nie wiem komu bym je mógł zlecić, zdało mi się, iż mogę przypomnieć się W. Szanownemu Dobrodziejowi i złożyć je w Jego ręce, abyś z nich taki, jaki uznasz słusznym, uczynił użytek.

Pierwszą z tych wiadomości jest, aby przestrzec w Rzymie, iż osoba nazywająca się panią Kreutz (z Kościelca) nie jest pewną i że ma jakoby polecone sobie od rządu rosyjskiego jakieś śledzenie czy zawiązanie stosunków w Rzymie.

Dwa tygodnie temu przejeżdżał przez Drezno z Petesburga Rosjanin, nazywający się Iwanowem, lat trzydzieści kilka, blondyn, słusznego wzrostu. Opowiadał tu, w sekrecie przed Moskalami (wszyscy to powtórzyli), że wysłany jest do Rzymu z pieniędzmi dla kardynałów, dając do zrozumienia, iż ma drogi i stosunki pewne zawiązane.

Wszystko to mogą być balamuctwa, wszakże istota katolicyzmu w Polsce tak każdego z nas obchodzi, iż się czuję w obowiązku nawet plotki zastraszające donieść, gdzie należy. Przebaczenie mi, że to piszę, uczynicie co uznacie stosownem. Spełnia się powinność.

Miło mi zostawać z głębokim szacunkiem

Wielmożnego W. Pana Dobrodzieja

Uniżonym sługą

J. I. Kraszewski

III

D. 21. 1871.

Drezno, Pillnitzerstrasse 33.

Czcigodny i Łaskawy Panie. Byłbym już na pierwszy list Wasz dawno odpisał, gdyby nie kilkotygodniowa niemoc, a raczej choroba, która, przy obowiązkowej pracy, nużyła mnie tak, iż od dnia do dnia list odkładając zostałem wam podwójnie dłużnym. Oba te listy z żywym uczuciem czytałem i odczytywałem i widziałem w nich piękną duszę waszą, która pragnie wszystko dobrze widzieć szczególnie w tym stanie, który, jak słusznie mówicie, jest ci solą ziemi. Żyjecie też, Ojczy Kochany, w tym szczęśliwym kole pracy i spokoju, poza którym świat ze wszystkimi przypadłościami tego ciężkiego życia próby — ginie dla Was. My, wśród tego wrzasku i zamętu, darujcież nam, iż czasem wśród matni namiętność się rozbudzi a może i oczy zapłoną. Szczególniej też ból nad położeniem kraju wiele się do tego przyczynia, a co tego położenia zdaje się być przyczyną — chwilowo roznamiętnia. Dotyka się często kwestii już religii dotyczących dla ich stosunków z chwilą obecną. Wielokroć też omylić się

mogłem. Nie będę wiele polemizował z Wami ani się uniewinniał. Chciejcie mi tylko uwierzyć, iż mimo wszelkich pozorów przeciwnych, nikt może lepiej nie czuje jak przemożną rolę w życiu naszym i w polskim gra wiara i jak społeczeństwo jej pozbawione okropnie szwankować musi. Często, co się rzekło pozornie ostro, wyszło z bólu nad tym, co szkodziło u nas religii, prawdy jej są nieśmiertelne, lecz widzimy, że i sam Kościół w zastosowaniu ich do życia praktycznego, do wieków, ludzi a usposobień się stosował nie nadwyrażając treści.

Z narodem tak rozboleiałym i na tyle prób i wpływów wystawionym jak nasz należałoby też z łagodnością, jaka się chorym i cierpiącym należy, postępować. Nie zawsze się to działo. Cele nigdy złe ani krzywe być nie mogły, środki były często niewłaściwe, stąd żale i nieporozumienia. Wierzę, iż Kościół często wielkiej energii i stanowczości potrzebuje, ale nad wszystko i nad wszystkim stoi mi przykład świętego Mistrza, który miłość zalecał. Tej u nas widać nie było, a gdyby jeno ona była, naprawiłoby się wiele zła. Karność nawet, tak potrzebna w Kościele, rychlej by z jej pomocą osiągnięta została...

Lecz przebaczenie, czytam listy Wasze i uczę się, a polemizować nie chcę. Pozwólcie tylko, bym zabołał na przykład nad fałszywym krokiem arcybiskupa⁴, podającym adres do króla pruskiego, w chwili, gdy się morduje naród katolicki z bezprzykładną nielitościwością. Możnaż Ojca Św. chcieć ratować z pomocą ludzi, którzy nie są jego dziećmi, a dzieciom Jego jawnie wypowiadają zagładę dla interesów czysto ludzkich i egoistycznych.

W adresie tym król pruski występuje jako reprezentant idei prawa. Nie uwierzycie jak to oburzyło znowu i poruszyło...

W roku przeszłym *Tydzień*⁵ często był — z powodu swych współpracowników — na niepotrzebnej drodze polemiki i drażliwych kwestii. W tym roku chce ich zupełnie, o ile się tylko da, uniknąć... Poślę go Wam acz z obawą, aby mimo to nie zrobił Wam czasem przykrego wrażenia.

W kwestii klasztorów i życia ascetycznego macie słuszość, zupełnie ją przyznaje. Lecz stan to dusz wyjątkowych — a do niego sam Bóg powołać może. Zdaje mi się, że ciągnąć i zachęcać się nie godzi i zostawić swobodę w wyborze, boć nie wszyscy do tego życia zaparcia się i ofiary są zdolni, ma większe zgorzienie z pozwania się tych — co wydołać nie potrafią, niż z braku powołanych.

Darujcież mi herezje moje, często mimowolne, a chciejcie wierzyć, że dla czystej duszy Waszej i charakteru mam najwyższy szacunek i poważanie... a z nim dla Was jestem i będę wiernym sługą.

J. I. KRASZEWSKI

IV

10 lutego 1871.

Odpisuję Wam podziękowaniem serdecznym, Ojczy Kochany, chociaż w tej chwili oto znowu boleśnie dotknięty, jak najbardziej osobiście przez tych, których bronicie. Co znaczy moje słowo o ks. Golianie (6) przy tym

4. Mowa tu o ks. Mieczysławie Ledóchowskim wówczas arcybiskupie gnieźnieńsko-poznańskim, mediatorze między rządem pruskim a Stolicą Apostolską.

5. *Tydzień* wydawany przez Kraszewskiego w latach 1869-1871.

6. Ks. Zygmunt Golian (1824-1885) krakowianin, kaznodzieja, gorliwy obrońca ultramontanizmu, pisywał do *Czasu*, był współredaktorem *Przeglądu Lwowskiego* i redaktorem *Tygodnika Soborowego* oraz *Warowni Krzyża* (pisma i stowarzyszenia).

wszystkim co oni o mnie piszą w korespondencji do *Czasu* i *Tygodniku Katolickim*. Otwarcie odsądzili mnie od czci i wiary i trzeba by nadludzkiej cierpliwości, ażeby się słowo bolesne z ust nie wyrwało. Wszystko co piszecie Wy, w którego szczerość i zacność wierzę głęboko, trafia mi do serca — radbym raz ująć z pola tej nieszczęśliwej walki, do której mi sił braknie, a gdzie mimo woli mej wystawiony jestem na cel wszystkich pocisków. Mam już 59 lat, znękanym jestem, polemika mi dokucza a wyrwać się nie mogę, wciągany w nią przez tych, którzy zdają się mieć na celu, aby mi zakłócili spokój i nie dali wytchnienia. Nowe mam tego dowody.

Właściwe pole mojej pracy to w jakim bym pozostać pragnął, nie sięga wcale tych szranków, w których się rozbijają owe kwestie sporne. Polityka jest mi obrzydła. Mam na pewno tyle strapiień i smutków, tyle do cierpienia jako wygnaniec bez domu i chleba. Dzieci rozprószone, (następują trzy wyrazy nieczytelne)..., żebym tylko spokoju pragnął. Unikam wszelkiej okazji do polemizowania, co mimo to (dwa wyrazy nieczytelne) co czynią, żeby mnie rozjątrzyć i ścigać. Ludzką też rzeczą, że się niecierpliwość obudzi. Nie uniewinniam się.

Nieszczęście chciało, by Wam, bez mej wiedzy i woli, ktoś wniósł, ażeby mnie wybrać posłem z Poznańskiego do parlamentu, przeczytajcie co z tego wynikło i co Morawski⁷, korespondent *Czasu* napisał z tego powodu, że woleliby Niemca widzieć wybranym niż mnie itp. Ci zrobią mi największą łaskę, jeśli wyborowi przeszkodzą i pierwszy im będę wdzięczny.

Mogę Wam jeszcze raz zaręczyć, że skutki tej gwałtowności obozu tak zwanego ultramontańskiego na kraj są najzgubniejsze, wydzielili się, wyosobnili, poodpychali ludzi dobrej woli i powrót im nawet uczynili niepodobnym. Moim całym staraniem wyniść już z tych zapasów, które mi ani pracować, ani odetchnąć nie dają, chcę poprzestać wydawać dziennik i usunąć się od wszelkiego udziału w bieżących kwestiach. — O ile wiem Juliusz Moczulski⁸ siedzi w domu i pilnie gospodaruje, raz w tydzień przyjeżdża do Żytomierza na pogawędkę do hotelu, zasiada w sali i, wygadawszy się do woli, powraca do domu. Mówią, że trochę zarzewiał, ale zawsze zacna i pocziwa dusza. — Moja córka wraca z Syberii wdową z trojgiem małych dzieci na Wołyni. Franio, młodszy, nieszczęśliwie się ożenił, nazywam to nieszczęśliwym, bo choć żona katoliczka wedle serca i wychowania, prawnie jest szyzmatyczką i córką Nartowa. Nie chciałem dać pozwolenia inaczej, ażeby się za granicę wynieśli, przyrzekli mi to, ale nic nie wiem już co uczynią. To dla mnie goręczy niewypowiedziana. Jaś, starszy, jest w tej chwili konstruktorem drogi żelaznej, z Kiszyniowa do Jass. — Wielka ruina uciska i prawie niedostatek także, że trudno mi pracą moją i córce i żonie i sobie i na wiele innych potrzeb wydołać... — Pracuję, jak mogę, ale zdaje mi się, iż niedługo też będę mógł.

Pozdrowcie ode mnie czcigodnego Bogdana, a gdyby on miał jaką wiadomość o Bronisławie Zaleskim⁹, o którego jestem bardzo niespokojny.

7. Prawdopodobnie mowa tu o Kazimierzu Marianie Morawskim, współpracowniku pism galicyjskich, a nie o księdzu Marianie Morawskim jezuitcie.

8. Juliusz Moczulski, towarzysz Kraszewskiego w czasie jego pierwszej podróży do Neapolu, cf. P. Semenińko, *Dziennik, Sacrum Poloniae Millennium* (t. II, Rzym 1955, s. 286).

9. Bronisław Zaleski (1820-1880) po studiach w Dorparcie i Charkowie odbył służbę wojskową w Chiwie, w Uzbekistanie, później osiadł w Paryżu i był sekretarzem Towarzystwa Literacko-Naukowego. Z Kraszewskim pozostawał w bliskich stosunkach.

bardzo bym był wdzięczen. Bądźcie mi, Ojczy Kochany, pobłażającym i wyrozumiałym a chciejcie wierzyć, że jestem i będę dla Was z najgłębszym szacunkiem i czcią serdeczną sługa powolny.

J. I. KRASZEWSKI

10 lutego 1871. Drezno
Talara odebrałem, dziękuję —

V

D. 13 marca 1877.

Drezno, 27 Nordstrasse.

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Korespondencję, o której wspomniał Bronisław Zaleski, spieszę wysłać mu, z duszy pragnąc, aby się okazała zajmująca i posłużyła a nie zawiodła. Bardzo bym był tym szczęśliwy. Być jednak może, iż się ona w części okaże znaną, bo podobno (nie wiem z pewnością), coś z tego w Rosji publikowano.

Szan. Dobrodzieja
Sługą obowiązany

J. I. KRASZEWSKI

VI

D. 24 marca 1877.

27 Nordstrasse.

Bardzo mi przykro, że w takim stanie te listy musiałem przesłać — ale mi je tak dano — nie pozostało u mnie z nich nic. Widziałem, że nr 1 jest dalszym ciągiem. Daj Boże, aby to, co jest, przydać się na coś mogło. Ja z tej epoki już zapewne nic dotykać nie będę oprócz studium o biskupie Krasickim (na podstawie jego korespondencji nieznanej). Więcej mnie zajmują studia do powieści historycznych z dawnych czasów, — zadanie nadzwyczaj trudne, bo w książce dla wielu baczny być potrzeba, aby nie zgrzeszyć mimo woli, a z drugiej strony cenzura stoi — między nią a sumieniem często droga ciasna bardzo.

Przepraszam za tych kilka słów, chciałem tylko zapewnić, że rękopis cały posłałem jak mi go dał ze Lwowa Kantecki¹⁰.

Z najgłębszym szacunkiem i poważaniem sługa najniższy.

J. I. KRASZEWSKI

10. Klemens Kantecki, Wielkopolanin, historyk, krytyk literacki, zatrudniony w Ossolineum we Lwowie, później konserwator Poznańskiego Towarzystwa Naukowego.

Polonica kolumbijskie

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam w numerze październikowym „Kultury” artykuł p. Eweliny Żółtowskiej, pt. „Polonica w Ameryce Południowej” specjalnie zaś część poświęconą Kolumbii, gdzie zamieszkuję — z przerwami — od r. 1941. Rozdział ten pozwalał sobie skompletować szeregiem danych które mogą zainteresować czytelników polskich.

Nie boska

Pisze p. Żółtowska że, o ile jej wiadomo, jedyną książką polską przetłumaczoną na hiszpański która się ukazała w Bogocie jest „Nie boska Komedia” i zapytuje czy tłumaczka, Ines de Zulueta, tłumaczyła bezpośrednio z polskiego. P. Żółtowska uważa tłumaczenie za bardzo udane toteż, z mojej strony, oddając zasłużony hołd pannie de Zulueta, która zmarła nagle w r. 1950 i której wersja „Nie boskiej” jest jednym z najlepszych tłumaczeń literatury polskiej na świecie, chciałabym opisać w jakich warunkach odbyło się tłumaczenie i jego publikacja w Bogocie.

Pomysł dania do przetłumaczenia „Nie boskiej” i jego ogłoszenie po hiszpańsku jest wielką zasługą śp. Mieczysława Chałupczyńskiego, ostatniego posła R.P. w Kolumbii, czyli ostatniego przedstawiciela na tutejszym terenie rządu polskiego na wygnaniu. W r. 1943, kiedy rozpoczęła się praca nad tłumaczeniem, chwila była specjalnie odpowiednia i międzynarodowa sytuacja polityczna raz jeszcze miała podnieść do stopnia symbolu dramat Krasińskiego.

Panna de Zulueta, córka sędziwego dziś profesora i dziennikarza hiszpańskiego, ex-ministra Spraw Zagranicznych (1932), Don Luis de Zulueta (który dotychczas, pomimo zaawansowanej siedemdziesiątki, regularnie pisze artykuły z Nowego Jorku do kolumbijskiej gazety „El Tiempo” i który zawsze był wypróbowanym przyjacielem Polski i Polaków), zainteresowała się możliwością oddania sprawie polskiej tej usługi. Ale panna de Zulueta nie знаła języka polskiego. Toteż praca odbyła się *en équipe* w sposób następujący: ja, jako referentka prasowa przy Poselstwie R.P., dostałam za zadanie przetłumaczenie *mot à mot* na język francuski. Po przetłumaczeniu każdej części, siadałyśmy z Ines de Zulueta w moim wówczas emigranckim pokoju; najpierw, czytałam jej całość, potem jedno zdanie za drugim, które ona natychmiast przelewała na hiszpański, najpierw ustnie

a potem na piśmie i czytała je na głos. Każde zdanie było dyskutowane. Trudności prawie nie było bo, jak się okazało, język hiszpański stuprocentowo nadaje się do oddania zdań pisanych po polsku! Ostatnią instancją kontroli był minister Chałupczyński.

Była to impreza niezwykle ryzykowna i może nigdy nikt w ten sposób nie tłumaczył żadnego arcydzieła literatury ale, dzięki wielkiemu talentowi Ines de Zulueta, jej inteligencji, zrozumieniu tematu i znawstwu najwytrawniejszej hiszpańszczyzny, dała wyniki wspaniałe.

Urzeczywistnienie materialne publikacji zostało umożliwione tylko dzięki śp. ministrowi Chałupczyńskiemu który osobiście wyszukał odpowiednią drukarnię — co nie było rzeczą łatwą, w Kolumbii 20 lat temu — wybrał czcionki, format, papier i sam, codziennie, doglądał korekty a potem szycia, klejenia, cięcia, oprawy itd. On też zdobył świetną przedmowę pióra profesora Wacława Lednickiego, specjalnie z tej okazji napisaną.

„La No Divina Comedia” ukazała się w pierwszych dniach stycznia 1944 r. w formacie 6 cali na 7 1/2, pod okładką w stylu francuskim (szary karton, nazwisko autora na czarno a tytuł na czerwono, tak samo jak i na stronie tytułowej). Książka jest składana czcionkami Chetelham nr 12, pięknie i szeroko rozstawionymi z szerokimi marginesami i liczy 125 stron druku.

Na wystawie książki kolumbijskiej która niebawem odbyła się w tutejszym Parlamencie, dzieło Krasińskiego było wystawione w oddzielnym pawilonie a nad rządami estetycznie wykonanych tomów widniał portret poety, dzieło p. Krystyny Chałupczyńskiej. Wojna zbliżała się ku rozwiązaniu i niezadługo miały paść ostatnie „Okopy Świętej Trójcy”: powstańcze miasto Warszawa.

W kilka lat później, już po śmierci ministra Chałupczyńskiego i po przedwczesnym zgonie tłumaczki Ines de Zulueta, „Nie boska” była prezentowana przed mikrofonami „Radiodifusora Nacional de Colombia”, w wykonaniu tutejszych i hiszpańskich aktorów. W międzyczasie nakład się wyczerpał: zaraz po ukazaniu się, został rozesłany po całej Ameryce Łacińskiej, ale wydanie było zbyt małe, żeby zadowolnić istniejący popyt.

Toteż wydaje mi się że idea p. Żółtowskiej na temat ewentualnego drugiego wydania jest doskonała.

Inne Polonica Kolumbijskie

Chciałabym również podać do wiadomości „Kultury” inne informacje związane z życiem kulturalnym polskim w Kolumbii.

Poza emigracją czysto handlową, pochodzącą z Polski, która się w tym kraju osiedliła jeszcze przed wojną i prawie bez reszty się skolumbianizowała i poza kilkoma eks-funkcjonariuszami którzy tutaj potem zostali, bardzo mało Polaków zawitało

w te strony na skutek zmian wojennych. Powodem ku temu jest ograniczenie imigracji spowodowane tutejszymi prawami i fakt że Kolumbia, choć jeden z najbogatszych i najpiękniejszych krajów tego kontynentu, prawie nie była znana wśród Polaków.

Na terenie wydawnictw, ukazała się tutaj jedna książka, wydana w r. 1943, której autorką jest niżej podpisana i której tytuł brzmi: „Pausa exotica: impresiones de viaje y de destierro”. Jest to opis pierwszego okresu wojny i podróży odbytej przez Afrykę, Czarną i Białą na dwu statkach-widmach: „Alsina” i „Cabo de Hornos”, na których, przez prawie cały rok, wędowało się po świecie sporo Polaków, m.in. aktorzy Ziemiński, Irena Eichlerówna i wielu innych. (Jeżeli pozwalam sobie zacytować na samym początku tę książkę, która jest raczej reportażem niż literaturą, to tylko dlatego, że była, chronologicznie, pierwszą pracą polską która się w Kolumbii ukazała). Była pisana bezpośrednio po hiszpańsku, zresztą hiszpańszczyzną dość „fantastyczną” bo wówczas stawiałam pierwsze kroki w tym języku.

W końcu 1943 r. przyjechał do Bogoty Kazimierz Eiger, sprowadzony przez Ministra Chałupczyńskiego z Curaçao, gdzie mieszkał jako jeden z ostatnich „rozbitków” okrętów „Alsina” i „Cabo de Hornos”. Eiger został zaangażowany do *Centro polones de Informacion* gdzie wydawaliśmy regularnie pismo „Por nuestra libertad y por la vuestra” i w sierpniu 1944 r., kiedy mnie, jako weterankę Havas’a, przywołano do Algieru, do rodzącej się Agence France Presse, objął po mnie dyрекcję Centro.

Po śmierci Ministra Chałupczyńskiego i po rozwiązaniu Poselstwa R.P. na skutek uznania przez Kolumbię władz warszawskich, Eiger wziął na siebie nieoficjalne przedstawicielstwo rządu londyńskiego. Zresztą, poza rodziną p. Jerzego Robertsona, przemysłowca, Eiger jest bodajże jedynym Polakiem w Kolumbii, który nigdy nie starał się o żadne inne obywatelstwo i pozostał w Bogocie jako apatryda.

Eiger, który jest bratem poety Stefana Napierskiego, skoncentrował dookoła siebie młodych poetów i pisarzy kolumbijskich, którym zawsze służył radą, stając się ich mentorem. Następnie przeszedł do krytyki artystycznej i jego programy w Radiodifusora Nacional i artykuły przez niego ogłaszane w pismach tutejszych były głosem nieomal decydującym. Eiger zaniechał do pewnego stopnia tej działalności kiedy stał się dyrektorem Galerii „El Callejon”. Następnie, dwa lata temu, założył własny lokal wystawowy, „Galeria de Arte Moderno”.

Na terenie sztuki odznaczyła się w Kolumbii wdowa po Ministrze Chałupczyńskim, dziś pani Krystyna Wiedemannowa, malarka i portrecistka, bardzo ceniona w tutejszych kołach i która brała udział w różnych wystawach. Pani Krystyna należy dzisiaj do kolumbijskiego Ministerstwa Oświaty jako restauratorka starych obrazów z Epoki Kolonii.

W nauce i w rewirze oświatowym Kolumbii znane są dwa

nazwiska polskie: profesora Broniewskiego, który wykłada chemię na Uniwersytecie w Bogocie i profesora Woyno, w mieście Barranquilla.

O ile chodzi o dział skromniejszy („Wyrobnictwo intelektualne”) czyli o dziennikarstwo, to niżej podpisana jest od siedemnastu lat przedstawicielką Agence France Presse na Kolumbię i Ekwador. Podczas wojny, poza pracą w referacie prasowym Poselstwa R.P., była komentatorką spraw międzynarodowych w tutejszym piśmie codziennym „El Tiempo” i innych gazet i redaktorką tygodniowych audycji radiowych poświęconych Polsce tudzież programów alianckich transmitowanych przez „Hora de la Victoria”. Poświęca również wolne chwile studiom archeologicznym, etnograficznym i lingwistycznym tutejszych szczytów.

Wreszcie, tutejszy miesięcznik „Testimonio” drukował w ciągu ostatnich lat kilka tłumaczeń z polskiego, m.in. kilka artykułów A. Hertza, z „Kultury”, pani Emilii Lisockiej.

Od zeszłego roku mieszka w Bogocie, jako przedstawiciel Organizacji Narodów Zjednoczonych p. Antoni Baliński, brat Stanisława Balińskiego. Jest też na tutejszym terenie były dziennikarz polski, p. Gustaw Kotkowski, przedstawiciel różnych firm zagranicznych.

Przy Ambasadzie Stanów Zjednoczonych jest kilku Amerykanów pochodzenia polskiego, między nimi p. Franciszek Opęchowski, urodzony w Polsce, a którego ojciec był współredaktorem jednego z większych pism przedwojennej emigracji polskiej w Stanach.

Na tym kończy się — przynajmniej dotychczas — bilans przyczynku Polaków do życia kulturalnego Kolumbii. Nie jest to bardzo wiele, ale myślę że warto było te fakty „Kulturze” zasygnalizować.

Bogota (Kolumbia), grudzień 1963.

Anna KIPPER

Komunikaty

PIERWSZE DOTACJE POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ IM. DR. SYLWESTRA GRUSZKI

Dnia 26 listopada rb. w siódmą rocznicę śmierci min. dr. S. Gruszki odbyło się w Sydney zebranie powierników Polskiej Fundacji Kulturalnej

imienia zmarłego, celem przyznania pierwszych dotacji od chwili powstania Fundacji przed sześciu laty.

Na zebraniu uchwalono, iż wysokość dotacji na rok 1963 wynosić będzie £ 105. Postanowiono przyznać:

P. Lechowi Paszkowskiemu w Melbourne £ 50 na ukończenie angielskiej książki „Poles in Australia and Oceania”, jako pomoc prowadzenia dalszych badań dziejów emigracji polskiej w Australii.

Pani Lidii Chramcowej w Melbourne £ 30 za działalność na polu naukowym, kulturalnym i teatralnym, a zwłaszcza za utworzenie i prowadzenie Polskiego Zespołu Ludowego, za założenie Towarzystwa Wiedzy o Polsce i za Polskie programy w International Evenings na Uniwersytecie w Melbourne.

P. Andrzejowi Chciukowi w Melbourne £ 25 na pomoc w ukończeniu dwóch książek: „O Polakach w Australii” i „O U.B. w okresie stalinowskim”.

Dotacje Fundacji udzielane są na pomoc w pracach kulturalnych, artystycznych i naukowych osobom polskiego pochodzenia, zamieszkającym w Australii. Osoby, które otrzymały dotacje w roku bieżącym, mogą się ubiegać o dotacje i w latach następnych.

NAGRODA POETYCKA IM. TADEUSZA SUŁKOWSKIEGO

Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie ufundowała drugą Nagrodę Poetycką im. Tadeusza Sułkowskiego. Do jury nagrody wchodziło trzech pisarzy z kontynentu: Jan Brzękowski (Francja), Marian Pankowski (Belgia), Kazimierz Sowiński (Niemcy) oraz dwaj z Anglii: Adam Czerniawski i Tymon Terlecki. Zebranie jury odbyło się w Londynie 9 listopada br. pod przewodnictwem Terleckiego i jednogłośnie postanowiło przyznać nagrodę *Wacławowi Iwaniukowi* mieszkającemu w Toronto. Uroczyste ogłoszenie nazwiska laureata nastąpiło na wieczorze autorskim Brzękowskiego, Pankowskiego i Sowińskiego, który odbył się pod egidą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie 12 listopada w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego. Uczestników wieczoru wprowadzał Czerniawski, przewodniczył Terlecki.

NOWY ZARZĄD ZW. DZIENNIKARZY R.P. NA ROK 1963-4

Dnia 8.11. 1963, ukonstytuował się nowy zarząd Zw. Dziennikarzy R.P., w nast. składzie: prezes A. Bregman, wiceprezisi: A. Dargas, B. Jeżewski i J. Radomyski, sekretarz gen. S. Legeżyński, skarbnik, R. Zakrzewski. Czł. zarządu: M. Cybulski, K. Cywińska, S. Grocholski, E. Hinterhof, M. Obarski, Z. Racięski, Z. Stermiński, W. Wohnout, P. Zaremba.

KONKURS LITERACKI

W związku z przypadającą na początku 1965 roku 125 rocznicą dotarcia Pawła Edmunda Strzeleckiego do najwyższej góry w Australii i nazwania jej Górą Kościuszki, „Tygodnik Katolicki” ogłasza Konkurs na obrazek sceniczny osnuty na tle pobytu i działalności Pawła Strzeleckiego w Australii.

WARUNKI KONKURSU

1. Treść obrazka scenicznego

a) nie może stać w sprzeczności z ustalonymi faktami z życia wielkiego Polaka;

b) powinna być przystosowana do poziomu emigracyjnych teatrów amatorskich.

2. Czas trwania wystawienia obrazka na scenie: 30 do 60 minut.

3. Konkurs otwarty jest dla wszystkich piszących po polsku, niezależnie od kraju, w którym przebywają.

4. Prace konkursowe muszą być napisane na maszynie i przesłane w TRZECH egzemplarzach (członkowie jury konkursowego przebywają w różnych częściach Australii).

5. Każda praca konkursowa musi być podpisana godłem, zastępującym nazwisko jej autora. Na osobnej kartce, w zalepionej kopercie, należy napisać godło, imię, nazwisko i adres autora.

6. Za najlepsze prace jury Konkursu przyzna trzy nagrody:

I — £ 30 (ufundowana przez Koło SPK Nr 3 Melburn);

II. — £ 20 (ufundowana przez Polskie Organizacje Kombatanckie w Sydney);

III — £ 10 (ufundowana przez „Tygodnik Katolicki”).

Prace nagrodzone ogłoszone zostaną w „Tygodniku Katolickim”. Redakcja „Tygodnika Katolickiego” zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do publikacji prac nie nagrodzonych, stosując normalne stawki honorariów.

7. Termin nadsyłania prac konkursowych: 31 STYCZNIA 1964. Obowiązuje data stempla pocztowego. Prace spoza Australii muszą być wysłane z takim wyliczeniem, aby dotarły do nas nie później niż w dniu 28 lutego 1964 r.

8. Skład jury konkursowego ogłoszony zostanie później.

Adres „Tygodnika Katolickiego”: 23, Clifton St. Richmond, E.I. Melbourne, Vic. Australia.

CRACOVIA BOOK Co.

58, Pembroke Rd., London, W. 8

poleca trzy dzieła o wyjątkowej wartości:

1. **WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA.** — Ponad tysiąc czołowych polskich specjalistów bierze udział w opracowywaniu Encyklopedii. W skład Rady Naukowej wchodzi 70 polskich autorytetów naukowych z prezesem Polskiej Akademii Nauk, prof. dr. T. Kotarbińskim na czele. Szczególny nacisk został w Encyklopedii położony na nauki ścisłe i techniczne. Również wiele uwagi poświęcono naukom społecznym i humanistycznym. Wielka Encyklopedia wydana będzie w 12 tomach plus indeks. Zawierać będzie 12.000 stron, 82.000 haseł, 8.000 ilustracji, rysunków i fotografii, 2.000 portretów, 720 całostronicowych reprodukcji, w tym 160 wielobarwnych, a nadto 145 map.

Tom I, zawierający hasła od A do BLŁ wyszedł kilka miesięcy temu. Obecnie nadszedł Tom II (hasła od BLI do DEO, 888 stron, 6.900 haseł, 16 tablic wielobarwnych, 8 map wielobarwnych, 40 tablic jednobarwnych, 67 map i 935 ilustracji w tekście). ENCYKLOPEDIA jest tak poszukiwana w kraju i już tam nie do zdobycia, że otrzymujemy zamówienia z kraju. Cena każdego tomu wraz z przesyłką 54/- albo \$ 8.00 albo F 38.00. Mamy już bardzo niewielką ilość egzemplarzy Tomu I-go.

2. **ATLAS ŚWIATA** — wspaniałe osiągnięcie kartografii polskiej. Składać się będzie z czterech części, które ukazać się w 8 zeszytach i będą zawierać 500 nowoczesnych map, z czego 300 klimatycznych, demograficznych i ekonomicznych. Indeks obejmie przeszło 150.000 nazw geograficznych. Zeszyt pierwszy ukazał się przed kilku miesiącami wraz z tłoczoną reksynową okładką na całość ATLASU. Cena 41/- albo \$ 6.00 albo F 28.50 wraz z przesyłką. Zeszyt drugi nadszedł ostatnio. Cena 24/-, albo \$ 4.00, albo F 17.50 wraz z przesyłką.

3. **GEOGRAFIA POWSZECHNA** (Państwowe Wydawnictwo Naukowe) składać się będzie z 4-5 tomów dużego formatu, 2.500 stron, 200 map i przeszło 2.000 ilustracji w tekście.

Tom I, który już mamy w sprzedaży, nosi Tytuł: **ZIEMIA** — Środowisko człowieka. Cena 33/- albo \$ 5.00 albo F 23,10 wraz z przesyłką. Wydawnictwo to przeznaczone jest dla najszerszego kręgu czytelników i ma za zadanie przedstawić obecny stan wiedzy geograficznej w świecie, w którym dokonują się nieustanne przemiany w wielu dziedzinach życia poszczególnych krajów i narodów.

CRACOVIA BOOK COMPANY

O polskiej polityce zagranicznej Dwudziestolecia

Na przestrzeni roku 1962 i 1963 ukazał się cały szereg prac dotyczących bezpośrednio lub pośrednio zagadnień polskiej polityki zagranicznej w okresie międzywojennym. Są wśród nich opracowania różnego typu: monografie (1), książki o charakterze podręcznikowym (2), oraz zbiory dokumentów (3). Część z nich ukazała się w Polsce, część za granicami kraju. Autorami są zarówno naukowcy polscy jak i obcy. Większość z tych dzieł zasługuje na szczegółowe omówienie, które z natury rzeczy musiałyby być raczej specjalistyczne i interesujące głównie zawodowych historyków. W ramach niniejszego artykułu ograniczę się więc do przeglądu pięciu pozycji i to nie w formie recenzji poszczególnych książek, ale przedstawiając pewne istotne zagadnienia historii dyplomatycznej okresu dwudziestolecia w świetle tych prac.

Są to książki następujące: *Stosunki polsko-niemieckie* J. Krasuskiego, *Pakt wschodni* J. Jurkiewicza, *Polityka zagraniczna Polski* R. Dębickiego, *Stosunki polsko-sowieckie* B. Badurowycza, oraz *Polska między wschodem a zachodem* J. Korbela. Trzy ostatnie ukazały się w języku angielskim.

Tematowo prace Badurowycza i Jurkiewicza zajął się o tyle, że Badurowycz, traktując całokształt stosunków polsko-sowieckich w latach 1932-39, porusza siłą rzeczy zagadnienie Paktu

(1) B.B. Badurowycz, *Polish-Soviet Relations 1932-1939*. New York, 1963; H. Batowski, *Kryzys dyplomatyczny w Europie — jesień 1938 — wiosna 1939*. Warszawa, 1962; J. Jurkiewicz, *Pakt wschodni*. Warszawa 1963; K. Lapter, *Pakt Piłsudski-Hitler*. Warszawa, 1962; J. Korbel, *Poland between East and West 1919-1933*. Princeton, 1963; J. Lewandowski, *Federalizm — Litwa i Białoruś w polityce obozu belwederskiego*. Warszawa, 1962; P.S. Wandycz, *France and her Eastern Allies 1919-1925*, Minneapolis, 1962.

(2) Dębicki, *Foreign Policy of Poland 1919-1939*. New York, 1962; J. Krasuski, *Stosunki polsko-niemieckie 1919-1925*, Poznań, 1962.

(3) Polska Akademia Nauk ZSRR, *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, tom II. Warszawa, 1962.

Wschodniego, któremu Jurkiewicz poświęca całą swą rozprawę. Podobnie rzecz ma się w wypadku książek Korbela i Krasuskiego. Sprawa stosunków polsko-niemieckich w okresie od Wersalu do Locarno, stanowiąca przedmiot badań Krasuskiego, jest również objęta monografią Korbela, z tym że ten ostatni doprowadził swe studium do roku 1933 i traktuje zagadnienie rosyjskie na równi z zagadnieniem niemieckim. U Korbela zresztą, polska polityka zagraniczna stanowi jedynie przedmiot — podmiotem jest akcja dyplomatyczna Niemiec i Związku Sowieckiego. Podtytuł książki (*Soviet and German Diplomacy toward Poland*) podkreśla to wyraźnie. Praca Dębickiego obejmująca całość polskiej polityki zagranicznej między wojnami porusza wszystkie problemy opracowane szerzej w pozostałych książkach, ale ponieważ trzy spośród nich ukazały się o rok później a czwarta w tym samym czasie, Dębicki nie mógł korzystać z nich w swojej syntezie.

Mówiąc o książce Dębickiego użyłem słowa synteza. Jest to określenie raczej nieściśle, gdyż Roman Dębicki napisał — co było jego zamiarem — podstawowy podręcznik, obliczony głównie na studentów amerykańskich, a nie syntezę dziejów polskiej dyplomacji w okresie dwudziestolecia. Pod tym też kątem należy głównie oceniać wartość i przydatność tej niedużej książki, liczącej ogółem sto kilkadziesiąt stron. Tytuły sześciu rozdziałów, z których się ona składa, a które warto zacytować tutaj gdyż dają one pojęcie o podejściu autora i przyjętej przez niego periodyzacji brzmią następująco: I. Odrodzenie Państwa; II. Kształtowanie się polityki zagranicznej 1921-26; III. W Poszukiwaniu Stabilizacji 1926-32, IV. Wysiłki celem zwiększenia Bezpieczeństwa 1932-35; V. Polityka Równowagi 1935-39 i wreszcie VI. Konflikt Światowy 1939. Jak z tego widać, autor wybrał raczej neutralne brzmiące tytuły a przyjęte przez niego punkty zwrotne dla poszczególnych okresów nie nasuwają zasadniczych wątpliwości. Podręcznik Dębickiego daje ogólny pogląd, przedstawia bieg wydarzeń w sposób spokojny i umiarkowany, ale polski czytelnik na próżno szukałby w nim nowych naświetleń czy interpretacji. Nie znajdzie w nim też odpowiedzi na szereg dręczących pytań dotyczących istoty zagadnień polskiej polityki zagranicznej. Trudno winić o to autora, który pisząc swą pracę miał inne cele na uwadze, ale warto zastanowić się nad kilkoma wybranymi zagadnieniami, które Dębicki porusza nie odkrywając jednak całej ich głębi i tragizmu. Analizując je będę starał się nawiązywać do prac pozostałych badaczy.

Traktat Ryski — *a reasonable compromise* jak mówi autor — to przecież, gdy patrzymy z perspektywy roku 1963, przełom który zaważyć musiał na losach całej polskiej polityki zagranicznej w okresie dwudziestolecia. Z chwilą załamania się planu Piłsudskiego oderwania Ukrainy i Białorusi od Rosji i stworzenia z nich państw buforowych ściśle powiązanych z Polską, rola Polski jako potencjalnego wielkiego mocarstwa kończy się nieuchronnie. Zostaje słabe państwo pomiędzy dwoma kolosami, z których je-

den — prawda — jest rozbrojony a drugi militarnie pokonany, ale z którymi Polska nie jest w stanie ułożyć trwałego *modus vivendi*. Związek Sowiecki nie osiągnął swych celów, utworzenia komunistycznej Polski, która stałaby się pomostem do Niemiec i rewolucji światowej. Wrogie Niemcy to oczywiście element stały. Polska jest słaba, ale w istniejącej koniunkturze nie docenia tego w pełni. Wszak wojna została wygrana i kompromisowy pokój zawarty w Rydze. Wszak istnieje sojusz z Francją, którego celem jest przeszkodzić Niemcom w ich dążeniach odwetowych. Cały tragizm tej sytuacji widzimy dziś jasno i podkreślają go wyraźnie opracowania Krasuskiego i Korbela.

Studium polityki sowieckiej i niemieckiej wobec Polski w latach 1919-1933 ukazuje w całej pełni ogrom nienawiści Niemiec i stały niemal wrogi stosunek ZSSR. Tytuły głównych trzech części opracowania Korbela świadczą o tym dobitnie. Lata 1919-1920 to lata „Kampanii militarnej”; okres 1921-1925, to lata „Kampanii dyplomatycznej”; a okres polokarneński to lata „chwicznej równowagi”.

W analizie pierwszego okresu Korbel przedstawia ekspansję bolszewicką w stosunku do Polski i odew który budzi ona w najbardziej reakcyjnych kołach niemieckich. Autor cytuje słowa generała Seeckta wypowiedziane 20 lutego 1920 w Hamburgu: „Ratować Polskę od bolszewizmu? Polskę, tego śmiertelnego wroga Niemiec, tę kreaturę i sojusznika Francji, tego złodzieja ziemi niemieckiej, tego niszczyciela niemieckiej kultury? W tym celu ani jedna dłoń niemiecka nie powinna się wyciągnąć. A jeżeli Polskę diabli wezmą, to powinniśmy temu dopomóc. Nasza przyszłość leży w związku z Rosją, niezależnie od tego czy obecna sytuacja nam się podoba czy nie. Nie ma innej drogi dla nas”. Wiele niemieckich polityków myślało podobnie, choć nie wyrażało swych dążeń w takiej formie. Konflikt polsko-sowiecki stwarzał nadzieje na załamanie się państwa polskiego i odebranie terytoriów straconych w Wersalu. Nic więc dziwnego, że oczy Berlina zwrócone były na Moskwę.

A jakie było stanowisko Rosji, która słowami obecnej propagandy sowieckiej niosła wyzwolenie ludowe Polsce?

Korbel cytuje za sowieckimi historykami z lat dwudziestych, Kakurinem i Melikowem rozkaz dzienny naczelnego wodza Armii Czerwonej z dnia 23 lipca: „Kiedy skrzydło północne osiągnie byłą granicę rosyjsko-niemiecką, nie przekroczy ono tej granicy, ograniczając się w tym rejonie do zadań obserwacyjnych”. Sowiecki dyplomata w Berlinie Wiktor Kopp dawał podobne zapewnienia Niemcom, co nie przeszkadzało Trockiemu instruować Koppa, aby dążył do wzmocnienia akcji komunistów niemieckich w razie wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium Rzeszy. Niemiecki minister spraw zagranicznych Walter Simons w piśmie do komisarza Cziczerina z 22 lipca, stwierdzając, że poinformowano go o tym, że wojska sowieckie będą respektowały dawną granicę Rzeszy, proponował wysłanie specjalnych przedstawicieli

wojskowych, którzy współpracowaliby z prawym skrzydłem sowieckim w sprawach granicy na Pomorzu.

Zwycięstwo Polski pod Warszawą położyło kres możliwościom wspólnej akcji niemiecko-sowieckiej, ale ani zwycięstwo to ani traktat ryski nie zmieniło w istocie stosunku Niemiec i Związku Sowieckiego do Polski. W latach dwudziestych aż do traktatów lokarneńskich, które stanowią bardzo poważną przeszkodę w ich dalszej współpracy, trwa wspólny front antypolski obu sąsiadów. Korbel pisze, iż „stary wzór, stary wspólny plan założenia stryczka na polską szyję stał się już wtedy widoczny. Wydaje się, że Brytyjczycy i Francuzi nie zrozumieli tej lekcji historii i uczynili niewiele, aby przeszkodzić ponowieniu tych prób. W rzeczy samej ich polityka była pośrednią zachętą dla tej tendencji”.

Jakkolwiek współpraca sowiecko-niemiecka była pełna niedomówień, wzajemnych podejrzeń i niechęci, jakkolwiek dualizm polityki Narkomindiełu i Kominternu powodował trudności, to jednak antypolska działalność łączyła blisko oba rządy. Konkretne plany w 1924 roku zepchnięcia Polski do jej „etnograficznych granic” zajmowały dyplomatów rosyjskich i niemieckich. Czy dyplomacja polska nie mogła rozerwać tego pierścienia, który ją otaczał? Oto jedno z wielkich zagadnień historii naszej dyplomacji pierwszego okresu i ocena Traktatu Ryskiego miała niewątpliwie wpływ na politykę Warszawy. Jeżeli polskie koła kierownicze zdawały sobie sprawę, z tego, że pozycja Polski jest niezmiernie słaba po nieudanej próbie zmontowania wielkiego bloku w Europie środkowo-wschodniej czy nie próbowała ona wygrać jednego sąsiada przeciw drugiemu aby poprawić swoją pozycję? Zbliżenie do Niemiec było właściwie wykluczone i poważną winę za to ponosiły mocarstwa zachodnie. Sposób w jaki załatwiona została sprawa granicy polsko-niemieckiej w Wersalu i nieukrywana niechęć Wielkiej Brytanii do postulatów Polski pozwala Niemcom mieć stałe nadzieje rewanżu przy pomocy angielskiej. Nadzieje te podtrzymywane w Londynie zawiodły wreszcie Niemcy do Locarna. Z drugiej strony Francja nie pozwalając w początkowym stadium na żadne próby bezpośrednich rokowań polsko-niemieckich — Krasuski przedstawia ciekawie w swej książce storpedowanie przez Paryż takich prób w roku 1919 — przyczyniała się też znacznie do pogłębiania antagonizmu polsko-niemieckiego.

Czy istniały realne szanse poprawy stosunków w latach dwudziestych z Rosją? Krasuski w konkluzji do swej książki pisze, że „Struktura klasowa i narodowościowa ówczesnej Polski stała na przeszkodzie ewentualnej polityce zmierzającej do pogłębienia rozłamu między Związkiem Radzieckim a Niemcami”. Zapewne tak było, choć polityka sowiecka była dość elastyczna aby godzić się na związki czy to z Weimarską Rzeszą czy nawet z Hitlerem. Zasadniczą rolę odgrywała tu słabość Polski, która nie mogła, wbrew poglądom o mocarstwowość, które tylko zaciemniały obraz, układać się z ZSSR jak równy z równym a ponadto

obawiała się sprzeciwów Zachodu, wtedy wciąż jeszcze dość wrogo nastawionego do Rosji.

Weźmy na przykład sprawę wizyty Cziczera w Warszawie w 1925 roku. Sowiecki komisarz zatrzymał się w stolicy w drodze do Niemiec, a celem jego podróży była próba przeszkodzenia przygotowującym się planom Locarna. W Warszawie Cziczera, grając kartę polską, głównie jako straszak przeciw Niemcom, proponował podpisanie polsko-sowieckiego traktatu o nieagresji. Skrzyński propozycję tę odrzucił.

Dębicki w swej książce mógł jedynie wzmiankować o tej wizycie, ale nie wydaje się słuszne stwierdzenie, że: „Stosunki ze Związkiem Sowieckim także się poprawiły. Cziczera spotkał się z przyjaznym przyjęciem w Warszawie, gdzie spędził kilka dni podczas swej podróży na zachód”. Takie przedstawienie sprawy nie tylko, że pomija dość kontrowersyjną sprawę, ale nawet może być błędnie rozumiane przez czytelnika. Korbel ze swej strony, określając stanowisko rządu polskiego jako „zawsze odważne, lecz czasem krótkowzroczne” zastanawia się co by było gdyby Skrzyński przyjął był propozycję sowiecką. W związku z tym pisze on, że chociaż pakt podpisany w tym momencie prawdopodobnie nie przeszkodziłby Rosji w napaści na Polskę przy nadarzającej się okazji, to jednak mógł on wzmocnić pozycję Polski wobec Niemiec i zaszkodzić stosunkom między Berlinem i Moskwą. Korbel pomija jednak przyczyny dla których trudno było Skrzyńskiemu przyjąć ofertę rosyjską. Zasadniczą rolę odgrywała tu obawa przed izolacją Polski w istniejącym układzie międzynarodowym. Wszystkie dotychczasowe wysiłki dyplomacji polskiej szły po linii sojuszu z Francją a Skrzyński szukał także oparcia w Anglii. Polska orientacja była więc na wskroś zachodnia. Z chwilą, gdy Warszawa dokładała wszelkich starań, aby skłonić Francję i Anglię do obrony jej interesów przed Niemcami, zagranie karty sowieckiej mogło zniweczyć wszelkie szanse powodzenia tej akcji. Dla Anglii Locarno oznaczało przede wszystkim rozbicie frontu niemiecko-rosyjskiego i izolację Związku Sowieckiego. Słusznie więc pisze Krasuski że „istnieją podstawy do przypuszczenia, że samemu Skrzyńskiemu wizyta komisarza Cziczera nie była na rękę. Delegaci niemieccy w Locarno nie omieszkali wyzyskać obaw brytyjskich, jakoby doszło do zbliżenia polsko-radzieckiego”. Skrzyński musiał zapewniać Paryż, że Warszawa nie ulegnie żadnym namowom sowieckim.

Tak więc istniały bardzo poważne przyczyny dla uniemożliwienia współpracy polsko-sowieckiej w momencie, kiedy wydawała się ona realna. Warszawa nie chciała płacić za pakt o nieagresji z Rosją odsunięciem się od państw zachodnich. Tym bardziej, że nie było pewności, że izolacja Polski nie będzie z kolei wykorzystana przez Niemcy i Rosję. Współpraca bowiem sowiecko-niemiecka po podpisaniu układów lokarnieńskich nie przestała istnieć. Widać to było wyraźnie na odcinku litewskim w latach 1926-1927. Korbel cytuje w swej książce wypowiedź Cziczera w

Berlinie w grudniu 1926: „Trzeba to mieć na uwadze” mówił komisarz sowiecki Stresemannowi” że gdy raz Polska połączy Litwę to stanie się ona wielkim mocarstwem, a temu oczywiście należy przeszkodzić w każdym wypadku”.

W istniejącym układzie sił możliwości manewru dyplomacji polskiej były nader ograniczone. Podkreśla to Krasuski pisząc, że: „naiwnością byłby pogląd, jakoby polityka polska była w stanie w jakiś sposób godny wzmianki wpływać na zmianę podstawowych warunków kształtujących stosunek Niemiec do Polski, tzn. spowodować inne kształtowanie się stosunków między Niemcami a mocarstwami zachodnimi z jednej oraz między Niemcami a Związkiem Radzieckim z drugiej strony”. Korbel i Krasuski zgodni są zasadniczo co do tego, że — słowami Krasuskiego — „Dopóki Polska posiadała granice kwestionowane przez wszystkich swych sąsiadów... i przeciwstawiała się dwom największym mocarstwom europejskim: Niemcom i Związkowi Radzieckiemu, dopóty przyszłość jej musiała pozostawać pod znakiem zapytania”.

A jednak w latach 1932-1934 Polsce udało się rozerwać kleszcze niemiecko-rosyjskiego okrążenia i zawrzeć paktów o nieagresję z obu sąsiadami. Czyż nie oznaczało to uzyskania swobody manewru dyplomatycznego i wyraźnego poprawienia sytuacji międzynarodowej Polski? Wydaje się dzisiaj, że zarówno pakt o nieagresji z ZSSR w 1932 roku jak i deklaracja o nieagresji z Niemcami z 1934 roku, jak wreszcie próba uspokojenia Rosji przez wizytę Becka w Moskwie były jedynie serią posunięć taktycznych, które nie powinny były oznaczać „nowego kursu” w polityce Warszawy. W latach tych zmieniała się bowiem tylko koniunktura międzynarodowa — nie zmienił się zasadniczy układ sił na korzyść Polski. Wprost przeciwnie, w obliczu zbrojeń niemieckich sytuacja Polski uległa pogorszeniu. Polityka „Trzeciej Europy” lawirującej między Niemcami a Rosją pod przewodnictwem Polski nie mogła przynieść konkretnych korzyści, gdyż brakowało rzeczywistych partnerów, którzy byli gotowi współpracować z Warszawą. „Polityka Równowagi” jak brzmi tytuł rozdziału Dębickiego obejmującego te lata to w istocie „polityka mniejszego zła”, polityka wypływająca z załamania się nowego „planu” Piłsudskiego — idei wojny prewencyjnej.

Sprawa wojny prewencyjnej jest wciąż jeszcze zagadką, której rozwiązanie przyniosłoby wyjaśnienie istotnej polityki Piłsudskiego w tym okresie. Piszę się wciąż o tym wiele, ostatnio Miedziński w lipcowym/sierpniowym numerze *Kultury*, dla którego sprawa ta nie ulega żadnej wątpliwości. W trzecim numerze *Zeszytów Historycznych* wzmiankowałem o tych planach, relacjonując na podstawie aktów M.S.Z. o misji Jerzego Potockiego do Paryża. W związku z tym, chciałbym przytoczyć obecnie opinię wyrażoną przez osobę bliską Jerzego Potockiego na ten sam temat: „Jerzy w rzeczywistości wyjeżdżał do Paryża na wiosnę 1933 r. Był bardzo dyskretny i nie mówił nam w jakim celu wyjeżdża. Ale po powrocie powiedział tylko tyle, że był u naszego

krewnego p. Jean de Castellana, ówczesnego mera m. Paryża (żyje do dziś dnia i ma 90 lat) który go dobrze poinformował o nastrojach politycznych w stosunku do Niemiec w ówczesnych sferach rządowych. Jerzy nie wspominał nigdy, jakoby się widział z Paul-Boncour'em. Odniosłem wrażenie że jego wyjazd do Paryża był raczej nieudany, a obecnie przypuszczam, że sytuacja wyglądała następująco: Castellana uprzedził Jerzego, że szkoda jego zachodu i lepiej będzie nie poruszać sprawy ewent. wojny przewencyjnej, bo na nią Francja nie pójdzie absolutnie, a wysunięcie jakichkolwiek propozycji może tylko przynieść szkodę Polsce. Jerzy usłuchał rady Castellana i wrócił z niczym. Paul-Boncour twierdząc, że nie rozmawiał z Jerzym — ma rację i nie miją się z prawdą".

Korbel nie porusza prawie zupełnie zagadnienia planów wojny przewencyjnej i dzięki temu tło negocjacji polsko-niemieckich w Berlinie wypada trochę blade i niekompletnie. Piszę o tym Jurkiewicz wyrażając przy tym opinię, że zapewne chodziło tu jedynie o „manewr taktyczny” i że z początkiem roku 1933 Piłsudski wysłał do Paryża Wieniawę-Długoszewskiego, który prowadząc rozmowy „z przedstawicielami wywiadu francuskiego” nie dotarł „do czynników miarodajnych”. Jeżeli przyjmiemy tezę, że plan wojny przewencyjnej istniał w umyśle Piłsudskiego i że przeprowadzono ostrożne sondáže — Potocki u mera Paryża, Wieniawa w *Deuxième bureau* — przy akompaniamencie posunięć na Westerplatte i w zatoce gdańskiej, to pakt z roku 1932 i 1934 były jak gdyby namiastką zmiany kursu. W tym świetle też spojrzeć wypada na najbardziej może kontrowersyjną sprawę tego okresu a mianowicie próby Paktu Wschodniego, podjęte przez Barthou i podtrzymywane przez Moskwę.

Projekt Paktu Wschodniego czy Wschodniego Locarno nosił w swej pierwotnej formie charakter zasłony dymnej, za którą kryła się koncepcja wzmocnienia francuskiego systemu sojuszków przez włączenie do niego Związku Sowieckiego. Oryginalna wersja paktu wysunięta przez Barthou, a mająca objąć Niemcy, Polskę, Rosję, Czechosłowację, Francję i kraje bałtyckie wydaje się zbyt nierealna, by Paryż mógł ją traktować na serio. Mogło tu chodzić jedynie o przekonanie Anglii, Włoch, krajów neutralnych i międzynarodowej opinii publicznej o gotowości Francji stworzenia nowego systemu bezpieczeństwa, który nie byłby zwrócony przeciw żadnemu mocarstwu. Ponieważ szanse na udział w Pakcie Wschodnim Niemiec właściwie nie istniały, Quai d'Orsay sądziło zapewne, że po odmowie ze strony Berlina, dyplomacja francuska będzie mogła przejść z kolei do realizowania węższego i realniejszego systemu obrony skierowanego przeciw Niemcom. Jak wiadomo koncepcja ta załamała się w dużej mierze wobec niechęci Polski uczestniczenia w pakcie, w którym ZSSR spełniałoby rolę głównego filara w Europie wschodniej.

Jurkiewicz w swej pracy, która na ogół jest utrzymana w naukowym i spokojnym tonie — jakkolwiek pewne istotne ele-

menty polityki rosyjskiej są w niej pominięte — stwierdza, że negatywny stosunek Polski do Paktu Wschodniego wpływał „z podstawowych założeń ówczesnej polskiej polityki zagranicznej”. Następnie pisze on co następuje: „Tragiczne było to, że założenia te opierały się na fałszywych, nierealnych przesłankach. Bez względu na negację możliwości trwałej i rzetelnej współpracy ze Związkiem Radzieckim była pierwszym błędem, zaś naiwna wiara, że uda się go na stałe izolować od spraw europejskich, pierwszą fikcją. Wiara w stałość, a przynajmniej długotrwałość, odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich, oparta na zupełnie fałszywej ocenie Trzeciej Rzeszy i jej tendencji — to była druga fikcja. Wreszcie wiara w możliwość odegrania przez Polskę roli jakiegoś decydującego czynnika równowagi europejskiej, jakiejś trzeciej siły, oparta znowu na fałszywej ocenie sytuacji międzynarodowej i własnych możliwościach to była trzecia fikcja. Kierując się tymi przesłankami, Piłsudski i Beck nie chcieli poświęcić układu z Rzeszą nawet za cenę o wiele bardziej istotnych gwarancji bezpieczeństwa, takich, których odmówiono Polsce w Locarno, a które dawał jej Pakt Wschodni”.

Jakkolwiek opinia Jurkiewicza ma w sobie elementy prawdy, pełna ocena ówczesnego stanowiska polskiego jest jedynie możliwa jeżeli postawimy kropki nad i, doprowadzając do logicznego końca analizę alternatyw, które stały przed polską polityką zagraniczną. W wielkim skrócie były to alternatywy: albo kontynuacja polityki niezależności wobec obu wielkich sąsiadów z asekuracją w postaci sojuszu francuskiego, albo oparcie się o Rosję przeciw Niemcom. Do tego bowiem sprowadzało się całe zagadnienie. „Istotne gwarancje bezpieczeństwa”, o których pisze Jurkiewicz, uzyskać miała Polska w pierwszym rządzie od Francji (niewątpliwie poprawiając nieco istniejący układ sojuszniczy, nad którym zawisły wątpliwości natury polityczno-prawnej), od Czechosłowacji, oraz od Związku Sowieckiego. Wiemy jednakowoż, że polityka prorosyjska Francji była nader chwiejna. Po śmierci Barthou, Laval doprowadził wprawdzie do podpisania sojuszu z Moskwą, ale traktował ten sojusz raczej jako atut w grze z Niemcami niż jako prawdziwe zbliżenie z Rosją. Co więcej — i to stanowiło jedną z głównych obaw Polski — Francja, chwiejna i rozdarta wewnętrznymi konfliktami, pragnęła osłabić a nie wzmocnić swoje zobowiązania wobec Polski i „rozwodnić” je poprzez Pakt Wschodni. Czechosłowacja nie mogła tu być czynnikiem decydującym, a więc w praktyce Pakt Wschodni oznaczał oparcie się Polski o Związek Sowiecki.

Czy współpraca polsko-sowiecka w latach 1930-ych mogła być współpracą dwóch równorzędnych partnerów? Wydaje się, że nie. Co więc oznaczałyby w praktyce polityka współpracy polsko-rosyjskiej? W pierwszym rządzie Polska musiałaby zapomnieć o wszelkich próbach organizowania tzw. trzeciej Europy i bliskiej współpracy z krajami bałtyckimi. Jak wynika z poprzednich wypowiedzi Ciczierina ZSSR sprzeciwiał się polskim aspiracjom wobec

Litwy, głównie dlatego, aby nie dopuścić do wzmocnienia się Polski jako mocarstwa. Być może — jak już zresztą zaznaczyłem powyżej — że koncepcje „trzeciej Europy” były nierealne, ale zupełna rezygnacja z nich zmniejszałaby wyraźnie polską swobodę działania. Polska musiałaby również być przygotowana na podwójną politykę Rosji, a mianowicie politykę współpracy na szczeblu rządowym i politykę podminowywania państwa „burżuazyjnego” przez działalność partyjną. Wprawdzie w tym czasie Moskwa zaczęła przechodzić od dawnej polityki kominternowskiej do polityki frontów ludowych, ale ideologiczna presja na Polskę pozostawałaby faktem, z którym trzeba by się liczyć. W końcu, wreszcie nad Polską wisiałaby stała groźba możliwości porozumienia sowiecko-niemieckiego jeśli Warszawa wykazywałaby zbyt daleko idącą niezależność. W praktyce więc Pakt Wschodni izolowałby Polskę od Anglii, na którą w takiej czy innej formie liczyły prawie wszystkie rządy polskie; zmniejszałby zobowiązania francuskie wobec Warszawy, ułatwiając ewentualne porozumienie Paryż-Berlin, na którym zależało Lavalowi; niweczyłby pakt z Niemcami (nie zapominajmy, że Hitler potraktował sojusz francusko-rosyjski jako pretekst do wypowiedzenia układów lokarneńskich) i pozostawiał Polsce jako jedyną politykę oparcie się o ZSSR i podporządkowanie swej linii ogólnemu kierunkowi polityki Kremła. W praktyce oznaczałoby to wytworzenie się zależności, prawie że satelickiej, Polski od Związku Sowieckiego.

Z perspektywy roku 1963 może się wydawać, że wobec tego co się stało po roku 1939, dobrowolne uzależnienie się od ZSSR było mniejszym złem niż okupacja niemiecka, zniszczenie kraju, a wreszcie narzucenie Polsce nowego ustroju przemocą. Rozumując w ten sposób, nie należy zapominać o dwóch kwestiach. Primo, czy niezależny rząd sporego bądź co bądź państwa ma prawo inaugurować politykę prowadzącą prawie że nieuchronnie, do zupełnej zależności wobec wielkiego sąsiada i czy rząd taki w Polsce, która nie była państwem totalnym, zdołałby się utrzymać pod naporem wzburzonej opinii publicznej? Secundo, czy polityka prorosyjska zabezpieczałaby Polskę przed wojną, zniszczeniami i okupacją? Nie zapominajmy bowiem, że na zachodzie istniały wówczas poważne czynniki, którym zależało na tym aby skierować ekspansję niemiecką na wschód. W Anglii kierunek taki był widoczny, a miał on też zwolenników we Francji. Czy Polska związana z Rosją stałaby się więc przedpołem agresji niemieckiej na wschód przy biernej postawie zachodu i czy ZSSR i Polska, nawet wzmocniona przez Czechosłowację i państwa bałtyckie mogłaby się skutecznie oprzeć takiej inwazji?

Wszystkie te rozważania mogą się wydawać czysto abstrakcyjnymi rozmyślaniami na temat „co by było gdyby”, ale trudno jest historykowi który chce wysnuć wnioski z przebiegu akcji związanej z Paktem Wschodnim odrzucić je całkowicie. Dębicki pisze w swej książce, że polityka Becka w okresie negocjacji o Pakt Wschodni była nieuzasadnienie niejasna. „Byłoby lepiej dla

Polski" mówi on „gdyby wyjaśniła swój punkt widzenia i wytłumaczyła swój dylemat opinii światowej”. Zapewne, Beck popełniał wtedy, jak i wiele razy później, błąd, otaczając polską politykę zagraniczną zasłoną niejasności i niedomówień. Ale istota rzeczy w tym nie leżała.

A jak ocenia tę politykę Badurowycz? Analizując w swej książce przebieg rokowań związanych z Paktem Wschodnim, podkreśla, że stanowiły one dla dyplomacji polskiej niezwykle zawiąły problem, ale także nie stawia kropki nad i. Książka Badurowicza, który doprowadza historię stosunków polsko-sowieckich do roku 1939 zawiera jednak końcowe konkluzje, które należałoby tutaj zacytować. „Polska odmowa na propozycję zrezygnowania ze swej niepodległości za cenę iluzorycznych korzyści ofiarowywanych w różnych momentach przez Berlin i Moskwę doprowadziła do katastrofy, w obliczu której maleją wszystkie nieszczęścia i niepowodzenia zapisane w rejestrze dziejów Rzeczypospolitej”. I dalej: „Widziana z perspektywy historycznej wczesnych lat 1960 smutna historia stosunków polsko-sowieckich w okresie międzywojennym wydaje się tylko epizodem w rozpoczynającej się walce pomiędzy Wschodem i Zachodem, walce o oblicze przyszłego świata”.

Garść uwag i obserwacji zawarta w tym artykule, pisany na marginesie pięciu ciekawych i wartościowych książek z dziedziny polskiej polityki zagranicznej, ma na celu poruszenie raz jeszcze szeregu istotnych i kontrowersyjnych zagadnień dwudziestolecia. Wniosek końcowy, który nasuwa się sam przez się — to konieczność dalszych badań, studiów i przemyśleń nad sprawą polityki zagranicznej Polski. Chociaż tzw. Druga Rzeczpospolita była tylko jednym z etapów w historii narodu polskiego to jednak przyczyny katastrofy wrześniowej są dla obecnej generacji tak ważne i istotne jak ważne były dla poprzedniego pokolenia przyczyny rozbiorów Rzeczypospolitej obojga Narodów. Nowe spojrzenie, nowa interpretacja i uczciwa dyskusja mogą jedynie pomóc nam zrozumieć lepiej splot wypadków a także i nasze własne błędy. O tych ostatnich nie wolno nam zapominać tłumacząc przyczyny wszystkich naszych klęsk obojętnością, niechęcią czy wrogością naszych sąsiadów, nieprzyjaciół i sojuszników.

Piotr WANDYCZ

“ Szkice Mickiewiczowskie ”

Dziesięć studiów biograficznych złożyło się na *Szkice Mickiewiczowskie* p. Czapskiej (1). Ujęte w ramy ewokacji dzieciństwa

(1) Maria Czapska. *Szkice Mickiewiczowskie*. Londyńska Biblioteka Literacka t. XVII. Londyn, B. Świderski, 1963. Str. 312 i 12 il.

i śmierci Mickiewicza, poświęcone są one takim sprawom jak charakterystyka ojca poety, takiego jaki rysuje się nam poprzez dokumenty sądowe, romanse z doktorową Kowalską i Karoliną Sobańską, Mickiewicz w Paryżu i „przyjaciele Francuzi”, Mickiewicz-towiańczyk i wreszcie — najobszerniejsze to studium tomu — pytaniu „czy Mickiewicz był katolikiem”. Jak widzimy, studia te wielokrotnie dotyczą spraw drażliwych, takich których — nie tak to dawne jeszcze czasy — tradycyjne ujęcia biografii Mickiewicza bądź nie dostrzegały, bądź też na które przymykały oczy. Kilkakrotnie przeciwstawiają się one ujęciom, które były obiegowe w momencie, kiedy zostały ogłoszone. Ale też nic w nich gonienia za sensacją. Rzetelne w swej dążności dotarcia do prawdy, drażliwe czy kłopotliwe sprawy biografii poety traktują z wielkim psychologicznym taktem. Kult poety, właśnie dlatego, że nie ma w nim przemilczeń czy niedomówień, dźwięczy w nich przekonująco.

Studia te powstawały na przestrzeni bez mała trzydziestu lat. Wcześniejsze z nich, o Mikołaju Mickiewiczu, o romansach kowieńskim i odeskim, robią wrażenie fragmentów ambitnej, pisanej w oparciu o nowe źródła i nowe odczytanie źródeł, biografii Mickiewicza. I każą żałować, że praca taka nie została doprowadzona do końca. Krótki szkic, „Rozbójstwa Imć Pana Mikołaja”, był swego rodzaju wydarzeniem w świecie polonistycznym, kiedy pojawił się w *Ruchu Literackim* w 1934 r. Fantazje pamiętnika brata poety, Franciszka, ubrały naiwnie jego dom rodzicielski w pańskie splendory i kazały w nim widzieć przystań cnót staropolskich. W rzeczywistości — jak to wydobyte na jaw przez p. Czapską dokumenty wyraziście unaoczniają — Mikołaj Mickiewicz był małym prowincjonalnym adwokacina, brutalem, skorym do gwałtu i nie przebierającym w środkach, jeśli idzie o zdobywanie pieniędzy. Szkic ten po raz pierwszy osadził dzieciństwo Mickiewicza w konkretnym środowisku, unaoczniał z jakiego to rodzaju dołów szlacheckich poeta się wywodził.

Dodajmy jeszcze, że autorka jest doskonale zżyta z epoką, ma talent ewokowania ludzi i wydarzeń, świetnie operuje cytatem, nigdy nie opuszcza jej też wycucie proporcji zjawisk.

Indywidualnie naświetlając sporne i trudne sprawy biografii Mickiewicza, szkice te czasem prowokują też i do sprzeciwów. Kilka takich spornych spraw chciałbym tu przedyskutować.

Studium o „kowieńskiej Wenerze” jest próbą rewindykacji bohaterki pierwszego fortunnego romansu Mickiewicza. Ponieważ romans ten przebiegał równolegle z ową inną uwiecznioną w poezji i nieszczęśliwą miłością, wprowadzał on w zakłopotanie biografów poety. Zakłopotanie to skrupiało się na p. Kowalskiej. Autorka stara się odwojować ją naszej sympatii. Robi to zrećnię i wymownie. Ale w zapale obrony kowieńskiej doktorowej jest mniej niż sprawiedliwa dla dziedziczki z Bolcienik. Całe studium zbudowane jest na przeciwstawieniu dwóch kobiet i dwóch miłości: „Stosunek poety do 'kowieńskiej Wenery' miał cechy pięk-

na: był żywiołowy i szczery". A Maryla? Najpierw, przed jej ślubem z Puttkamerem, „flirt literacki” zamożnej panny, który „nie sięgał poza symboliczne gesty”, potem, już po ślubie, krótki okres namiętnych wyznań, rozpacz. Po czym przychodzi ochłodzenie stosunku. Wzajemne. W katastrofie 1823 r. doktorowa Kowalska stara się na wszelkie sposoby skomunikować z uwięzionym poetą. A Maryla? „Co do Maryli, zdaje się, że nie próbowała nawet komunikować się z więźniami”.

Otóż trzeba powiedzieć, że takie przedstawienie sprawy nie ze wszystkim odpowiada temu, co możemy wyczytać z dostępnych dzisiaj źródeł. Prawda, jak się zdaje p. Puttkamerowa nie starała się osobiście skontaktować z uwięzionym Mickiewiczem. Ale, jak to stwierdził Mościcki w swej książce *Wilno i Warszawa w „Dziadach” Mickiewicza*, należała do tych pań z Wileńszczyzny, które zajęły się pomocą dla więźniów. Koresponduje z uwięzionym Zanem.

Jak wiadomo, przed uwięzieniem Zan był jej powiernikiem w sprawach sercowych: „Złorzeczyłam sobie i wszystkim tym — pisała do Zana 1/13 maja 1823 r. — którzy prowadząc mnie do cnoty (jak mówili), kazali się wyrzec boskiego szczęścia, którego mogłabym doznawać tu na ziemi (...) Czyliż to można nazwać cnotą, poświęcić swą osobę temu, dla którego nic czuć więcej nie mogę prócz szacunku i przyjaźni, wejść z nim w niejakieś stosunki wtenczas, gdy z innym dusza moja jest połączoną?”. W październiku 1822 r. Maryla Puttkamerowa zapadła w jakieś „stany letargiczne”. Chorą odwiedził Zan. W liście do Mickiewicza z 22 października /3 listopada, stara się on odtworzyć nieskładny urywany, przeskakujący z tematu na temat monolog chorej: „Zaraz pojechał? Dobrze; *cette dame* go interesuje, nieprawdaż? — on szczęśliwy! *Imaginez*, laudanum sto pięćdziesiąt gran”.

Laudanum to preparat opiumowy; gran to aptekarska jednostka wagi, 0.0648 grama. 150 granów zatem to bez mała 11 gramów. Zażyć 11 gramów środka nasennego można było tylko w jednym celu: samobójczym. Tego rodzaju nieudany zamach samobójczy z natury rzeczy musiał być pokryty konspiracją milczenia i trudno oprzeć się podejrzeniu, iż Zan, referując w ten sposób — autetyczny czy sfingowany ad hoc przez siebie — monolog chorej, chciał za pomocą takiego szyfru zakomunikować Mickiewiczowi, iż Maryla próbowała popełnić samobójstwo. W przekonaniu, że szło tu o zamach samobójczy, utwierdza nas list Maryli do Zana z tych czasów, dokładniej mówiąc, z 29 września/11 października:

„Już dusza przestała była ożywiać moje jestestwo, chcąc spróbować życia wiecznego; zrobiła wielki wójaz, wiele widziała świetności, lecz nie znalazłszy wniścia wolnego do przybytku chwały, powróciła znowu gościć na tym świecie i starać [się] zasłużyć nowym życiem na łaskę Tego, który jest wiecznym, który wiecznie wynagradza, albo wiecznie karze”.

Egzaltowane to, bardzo romantyczne w stylu uczuć i ich wyrazie, ale chyba również na swój sposób i szczerze, i wymowne.

Mickiewicz był poetą i stać go było na to, aby samobójstwo z nieszczęśliwej miłości przeżyć w fikcji poetyckiej. Nieszczęsna Maryla musiała się tu uciec do pomocy laudanum. Cena zostania Muzą Mickiewicza nie była w tym wypadku tania.

Drugim studium, które prosi się o pewne uwagi krytyczne, są „Przyjaciele Francuzi”. Jest ono poświęcone stosunkom Mickiewicza z Montalembert'em i Lamennais'm. Cenne to studium pisane z świetnym wyczuciem ludzi i atmosfery, tym cenniejsze, że autorka dotarła do niedrukowanego dziennika Montalembert'a i wydobyła stamtąd trochę nowych danych do jego stosunków z Mickiewiczem i innymi Polakami. Nie tyle, ile by się można było spodziewać, ale to już nie jej wina: córka pisarza francuskiego, zakonnica, ocenzurowała skrupulatnie jego dziennik, zwłaszcza jeśli szło o stosunki z Mickiewiczem i Lamennais'm. Zniszczyła też listy Mickiewicza. Szkoda tylko, że p. Czapska przeoczyła starą biografię Montalembert'a pióra księdza Lecanuet. Znalazłaby tam ciekawą relację o tym, jak Mickiewicz za radą Montalembert'a zrezygnował z druku swej francuskiej *Historii przyszłości*, a rękopis jej zniszczył.

Otóż przedstawienie w tym studium stosunków Mickiewicza z Lamennais'm domaga się korektury w jednym istotnym punkcie. „Po wydaniu *Paroles d'un Croyant* — pisze autorka o Mickiewiczu — poeta doznał być może przykrego wrażenia”. „Być może”? — Mamy przecież szereg świadectw, dowodzących niezbie, że Mickiewicz zareagował na pojawienie się *Paroles d'un Croyant* wrogo, i to namiętnie wrogo: „Adam powiada, że bije w niej pokłon Molochowi częściej od niego choć ksiądz i w sutannie, bardziej by mu się to nie godziło”. To Zaleski. Jeszcze ostrzejszą opinię Mickiewicza zanotował Witwicki: „Jest to wprawdzie ten sam co dawniej niepospolicie malarz, tylko że odrywając pędzel od rzeczy poważnych i szanownych puścił się na malowanie... szyldów karczemnych”. I jeszcze w wiele lat później, bo w r. 1854, na wiadomość o śmierci Lamennais'go Mickiewicz powiedział Armandowi Lévy: „Uczucia czysto religijne, widzenia prorocze, nie istniały dla niego. Słowa wierzącego miały jednak duże powodzenie, choć była to tylko retoryka”.

Przykłady takich wrogich wypowiedzi można by mnożyć. Ale i te, które przytoczono tutaj, wystarczą aby stwierdzić, że ogłoszenie *Paroles d'un Croyant* znaczyło dramatyczny przełom w stosunku Mickiewicza do Lamennais'ego. Pełen czci przedtem, zamienił się na bardzo krytyczny, i takim już pozostał do końca.

Przeoczyła też autorka jeden znamieny epizod tych późniejszych stosunków Mickiewicza z Lamennais'm. Wydawszy w r. 1845 tom prelekcji *L'Eglise et le Messie*, kazał Mickiewicz Januszkiewiczowi posłać egzemplarz książki Lamennais'mu z krótką, chłodną dydakcją: „*A Meur de Lamennais de la part de l'auteur*”. Znamy z relacji Alfreda Dumesnil, zanotowanej przez Władysława Mickiewicza w jego *Żywocie*, reakcję Lamennais'go na tę książkę: „Sąd jego był ostry, ale jak dobrze rozumie ten wielki umysł,

tę bohaterską duszę. Znajduje, że Mesjanizm jest jedno z dzieł najoryginalniejszych tego czasu, rozpowszechnia je jak najwięcej”.

Jedynym szkicem książki, który wywołuje zasadnicze sprzeciwy, są „Świadkowie 'Sprawy Bożej'”. Koronnym świadkiem jest tu Zofia Komierowska. Świadek to nie zasługujący na zaufanie. Wiarygodność faktów jej pamiętnika poddał nie dawno drugoczącej krytyce Pigoń w artykule drukowanym na dwa zawody, bo w Londynie w *Wiadomościach* i w Krakowie w *Ruchu Literackim*. Jego zwartych w argumentacji i solidnie podbudowanych dowodami wywodów nie ma potrzeby więc powtarzać. Są one łatwo dostępne. Wystarczy przypomnieć jego wnioski: „Nie mamy do czynienia z autentyką. Ten rzekomy dokument grubo jest podszyty mistyfikacją i zmyśleniem. Co gorsza, gęsto mija się z prawdą”.

Wątpliwości nasuwają się też przy niektórych wywodach najobszerniejszego studium książki „Czy Mickiewicz był katolikiem”. Sprawy w nim poruszone należą do szczególnie drażliwych i delikatnych. Autorka kazała tu przede wszystkim przemawiać samemu Mickiewiczowi. Studium jej jest w znacznej mierze antologią cytatów, głównie z listów poety, a po trosze i z przemówień w Kole, powiązanych oszczędnym komentarzem. Umiejętność autorki dobierania wymownych cytatów sprawia, że antologia ta jest ciekawa i dobrze zrobiona, ale komentarz odautorski, oparty o tak wąską podstawę, nie uwzględniający ani dzieł literackich, które nam przecież niejedno o typie religijności Mickiewicza mogą powiedzieć, ani świadectw postronnych, nie mówiąc już o opracowaniach, dałby się w niejednym zahaczyć. Chciałbym ograniczyć się tu do dwu kluczowych momentów.

Przełom religijny Mickiewicza datuje autorka na jego pobyt rzymski. Przekonanie to szeroko rozpowszechnione, inna rzecz czy trafne. Przecież to już w Rosji dostał się Mickiewicz pod wpływ Oleszkiewicza, który tak potężnie zaważył na jego życiu duchowym (a który w studium tym w ogóle nie jest wspomniany). Ma też swoją wymowę świadectwo Pogodina o religijności Mickiewicza w Rosji. Raczej należałoby mówić, iż przełom religijny, który wyraźnie zaznaczył się już w latach rosyjskiego pobytu poety, ostatecznie ugruntował się w Rzymie.

Inne wątpliwości nasuwają się w związku z przedstawieniem przez autorkę innego kryzysu religijnego Mickiewicza, przełomu z dnia 30 lipca 1841 r., kiedy to nagle uwierzył on w opatrność i misję Towiańskiego. Przełom ten przedstawiony jest w studium jako gwałtowny i zagadkowy przewrót: prawowierny katolik nagle, nieoczekiwanie dostaje się pod wpływy hereziarchy i zaczyna głosić mocno nieprawowiernie poglądy. Nie ma wątpliwości, że elementy zagadki tkwią w nawróceniu z 30 lipca, tak jak i we wszystkich takich nawróceniach. Ale przecież poglądy religijne i Mickiewicza, i Towiańskiego ukształtowały się w dużej mierze w podobnych sferach wpływów, pod wpływem analogicz-

nych podniet, których zbieżności coś niecoś z tego nagłego nawrócenia tłumaczą. Mocno podkreślał to ks. Desmettre w swej francuskiej książce o Towiańskim. Kajsiewicz znów uważał, że do uwierzenia w misję Towiańskiego przygotowało Mickiewicza przejęcie się ideami jego ulubionego pisarza religijnego, „luźnego”, jak pisał, tj. nieprawowiernego (i walczącego z Kościołem) mistyka, Saint-Martina. I niewątpliwie miał tu rację. Przełom nie był tu tak gwałtowny i nieoczekiwany, jakby to ze studium wynikało.

Warto wreszcie na zakończenie poruszyć jedną sprawę, która choć w *Szkicach Mickiewiczowskich* dotknięta jest tylko przelotnie, w przypisku, sama w sobie jest na tyle ważna, aby jej poświęcić trochę uwagi. Oto zacytował w szkicu o dzieciństwie Mickiewicza cztery linijki z „Epilogu” do *Pana Tadeusza*:

*A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,
Że był w błyszczącym i pięknym mundurze:
Bo węża tylko znaliśmy po skórze —*

autorka zaopatrzyła ten cytat w następującą notkę:

„Epilog *Pana Tadeusza*, jak wiadomo, został wydany z pośmiertnych papierów poety i z brulionu. W rękopisie czterowiersz powyższy jest podkreślony ręką Mickiewicza, dlatego bywał już to włączany do tekstu, już to umieszczany w przypisach lub wariantach. W wydaniach krajowych ostatnich lat, włącznie z wydaniem Narodowym i wydaniem w Setną Rocnicę Śmierci Poety („Czytelnik”, W-wa, 1949 i 1955), jest całkowicie pominięty”.

Słowa te sugerują, że cytowane tu wiersze są dziś w kraju ze względów politycznych systematycznie przemilczane. Otóż o sugestii tej trzeba powiedzieć, że jest ona nietrafna i niesprawiedliwa. Oba wspomniane przez p. Czapską pełne, szesnastotomowe wydania Mickiewicza z reguły nie drukują zarzuconych wersji jego poezji. Można uważać za skandal, że dla wielu wariantów i brulionów poezji Mickiewicza, tak ważnych dla studium jego warsztatu poetyckiego, trzeba się ciągle jeszcze uciekać do pomocy ogłoszonego na przełomie wieku lwowskiego wydania Tow. Literackiego im. Adama Mickiewicza, trudno dziś dostępnego, nie doprowadzonego do końca i mocno już przestarzałego. Ale jest to skandal natury kulturalnej, a nie politycznej. Zresztą cytowane przez p. Czapską wiersze znaleźć można w obu powojennych, z 1958 i 1962 r., wydaniach *Pana Tadeusza* w „Bibliotece Narodowej”, opracowanych przez Pignonia i przynoszących w przypiskach ważniejsze warianty tekstu.

Wiktor WEINTRAUB

Polska monografia Thomasa Manna

Książka Aleksandra Rogalskiego poświęcona Mannowi nosi metaforyczny tytuł „Most nad przepaścią” (1) i takim tytułem jakby odzęguje się od gabinetowej, solennej uczoności. Ale w istocie ta duża, przeszło 400-stronicowa, praca łączy w jedno wszystkie uroki eseju literackiego i całą solidność monografii naukowej.

Jest to owoc długiego współżycia z wybranym pisarzem. Świadczą o nim poprzednie książki Rogalskiego. W zbiorze szkiców „Literatura i cywilizacja” (1956) znajdują się aż cztery studia o Mannie. Później wydany tom „Profile i preteksty” (1958) uzupełnia je jeszcze jednym. Bibliografia, znajdująca się na końcu teraz ogłoszonej książki, licząca bez mała 70 pozycji dowodzi, że polski mannolog zna wszystko lub niemal wszystko istotne i ważne, co o autorze „Buddenbrooków” napisano nie tylko po polsku, lecz i po niemiecku, angielsku, francusku. Cała bogata, różnorodna twórczość Manna, zebrana w kilkunastotomowym wydaniu zbiorowym, nie przedstawia dla Rogalskiego żadnych tajemnic. Porusza się w niej, jak we własnym gospodarstwie duchowym.

Z tego budulca wiedzy Rogalski nie zbudował konwencjonalnej monografii, w której zwykle powtarza się formuła: „XY — życie i twórczość”. Jego dzieło ma bardzo oryginalną konstrukcję. Dadzą się w niej wyróżnić trzy człony: biograficzny, analityczny i ostatni, stanowiący próbę syntezy zjawiska.

Sprawę biografii załatwia „małe calendarium mannowskie”, zwięzłe, rzeczowe, prawie oschłe, i ogólne rozważania o życiu Manna, o życiu ukazany „jako problem”, nie jako anegdota, nie jako historia. Jest to partia książki stosunkowo mała, jedna dziesiąta jej zawartości. Widać z niej wyraźnie, że zainteresowania monografisty są zwrócone w inną stronę.

Trzy czwarte książki wypełniają „studia nad wybranymi utworami” Manna. Zbliżają one „Most nad przepaścią” do zbioru esejów, skupionych wokół jednego tematu, bo Rogalski nie zajmuje się na równi wszystkimi utworami, nie wiąże ich w ciąg rozwoju. Ale zanurzenie się w tej części, rozpatrzenie się we wnioskach, w krzyżowych oświeceniach składających się na końcową, syntetyczną część książki wskazuje, że mamy tu do czynienia ze swoiście pomyślaną monografią.

(1) Aleksander Rogalski: *Most nad przepaścią. O Tomaszu Mannie*. Warszawa 1963. Str. 420.

Wprawdzie formalnie rzecz biorąc, poza jej obrębem pozostają „Buddenbrookowie”, młodzieńcze dzieło, które osiągnęło niebywały nakład miliona egzemplarzy i zdobyło nagrodę Nobla. Nie wchodzi do niej również „Czarodziejska góra” i utwory pomniejsze powstałe między tymi dwoma szczytami. Jest to jednak nieobecność pozorna. Typ analizy stosowany przez Rogalskiego można by określić jako analizę perspektywiczną. Rozbiór pojedynczego dzieła rzuca tu światło na całą twórczość. Każde dzieło ukazuje się w powiązaniach łączących je ze wszystkimi innymi. W praktyce żaden ważniejszy utwór Manna nie jest pominięty w tej książce. Nie tylko on sam ukazuje się w niej jako „organiczna, masywna pełnia”. Również jego dokonanie pisarskie tworzy tutaj taką pełnię. Te cechy podnoszą pracę Rogalskiego na poziom monografii, która zachowała wszystkie walory książki do czytania, książki żywej i dostępnej.

Autor „Mostu nad przepaścią” jest mistrzem analizy, znajduje się chyba w szczytowym punkcie swoich możliwości pisarskich. Dowodzą tego choćby rozdziały o tetralogii biblijnej „Józef i jego bracia” czy o „Doktorze Faustusie”. Dzieła bardzo obszerne, wielopłaszczyznowe, dzieła o skomplikowanej strukturze i złożonej zawartości otwierają się na oścież pod skalpelem krytyka, rozświetlają od jego rozeznania.

Jak w poprzednich licznych studiach, obejmujących rozległy zakres od Goethego do Maeterlincka i Hamsuna, od Flauberta i Tołstoja do Steinbecka, w monografii Manna zdradza Rogalski przede wszystkim zainteresowanie dla „intelektualnej warstwy” dzieł, dla „zawartego w nich ładunku refleksyjnego”. Jest w tym względzie chyba kongenialnym krytykiem pisarza, który był intelektualistą, umiał fantazję twórczą żywić sokami wiedzy ścisłej, świetnie rozumiał się z uczonymi, budował swoje dzieła, zwłaszcza „Józefa” i „Faustusa”, we współpracy z nimi. Te związki Rogalski śledzi z dużą pewnością oka. Wykazuje dobre obycie w zakresie psychologii, filozofii, antropologii, religiologii, lecz używa swojej erudycji z budującą powściągliwością, nie przeciąża nią przewodu krytycznego. Wtręt w rodzaju streszczenia pracy Selmy Fraiberg o psychoanalizie w literaturze należy do rzadkości.

Przy tym zasadniczym nastawieniu książka o Mannie odświeża nową świadomość u monografisty: świadomość estetyczną. Cytuje on gdzieś zdanie Hoffmannsthala mówiące, że „o wartości poezji rozstrzyga nie tylko sens (inaczej byłaby ona mądrością lub uczonością), lecz forma”. I właściwie po raz pierwszy w swoim pisarstwie poświęca tyle uwagi sprawom czysto artystycznym: zagadnieniom kompozycji i stylu. Analiza szaty językowej „Józefa” nasuwa mu formułę, że „Mann był Słowackim prozy niemieckiej”. Rozpatrywanie się w więźbie konstrukcyjnej „Faustusa” prowadzi go do wniosku, że jest to powieść „zbudowana muzycznie, kontrpunktownie”, że przejawiało się w niej „dążenie do maksymalnego przyswojenia ducha i techniki muzycznej”. W całej książce poza specjalnymi ustępami poświęconymi takim

sprawom wyczuwa się rozbudzoną wrażliwość na sprawy kształtu estetycznego.

W tym rozszerzeniu pola są jeszcze pewnie niekonsekwencje. Pod koniec książki Rogalski stwierdza, że Mann-artysta i Mann-publicysta, a nawet Mann-komentator własnych dzieł (wyjątkowo ochoczy i szczodry) to są dwaj różni ludzie, dwie różne osobowości, że komentarz często nie całkiem przystaje do komentowanego przedmiotu. To krytykowi nie przeszkadza w części analitycznej powoływać się bez zastrzeżeń na informacje Manna, przede wszystkim stawiać na równi twórczość artystyczną i publicystyczną, przymierzać jedną do drugiej, wyjaśniać jedną przez drugą. Również zbyt często i może zbyt pochopnie stawia Rogalski znak równania między twórcą a stworzonymi przez niego postaciami fikcyjnymi np. gdy mówi, że „Józef” to „manifest także własnych, osobistych poglądów Manna” lub dowodzi, że hochsztapler Feliks Krull jest jego autoparodią. Ale są to szczegóły mogące stanowić temat sporu akademickiego.

Jeszcze dwie niesporne zalety uderzają w ujęciu Manna przez Rogalskiego: odwaga i jasność.

Dwukrotnie, w części analitycznej i ogólnej, oświeśla Rogalski problematykę erotyczną wielu utworów, takich jak „Zamienione głowy”, „Wybrany”, „Oszukana”, czy „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla” (z uporem nazywa je „Wspomnieniami”). Robi to odważnie, a dyskretnie, nazywając sprawy po imieniu, a nie grzesząc przeciw rzeczowości i powadze. Te rozbiory są często rewelacyjne, oddają sprawiedliwość dziełom lekceważonym lub niedocenionym.

Rogalski jest znawcą kultury i literatury przede wszystkim niemieckiej, także problematyki psychologicznej i politycznej Niemiec współczesnych („W kręgu Nibelungów” 1958), ale jego umysłowość i zwłaszcza styl pisarski jest wolny od obciążeń tej dziedziny zainteresowań i badań. Autor książki o Mannie reprezentuje raczej typ umysłowości francuskiej, wypowiada się trybem uderzająco klarownym i bezustannie trzymającym w napięciu. Najtrudniejsze sprawy, najbardziej złożone zagadnienia ukazują się na kartach książki w jasnym świetle, są uchwytne, dostępne, zajmujące. Styl Rogalskiego zdradza pewną ociężałość tylko we własnych doraźnych przekładach cytatach z Manna.

Bohater książki wyłania się z jej kart w całym bogactwie życia wewnętrznego i w całym bogactwie twórczości. Rogalskiemu udało się pokazać nawracanie tych samych tematów, tych samych postaw, podejmowanie ich w rozmaitych formach tak biegunowo odległych od siebie, jak tragiczny epos o artyście, narodzie i kulturze „Doktor Faustus” („niepospolite osiągnięcie i wydarzenie, które ma niewiele analogii w literaturze współczesnej”) i olimpijsko pogodny romans szelmowski „Feliks Krull”. Dwie linie krystalizacyjne wybijają się w oświeceniu Rogalskiego: stosunek do sztuki i twórcy, jego zdaniem, nie mający odpowiednika gdzie indziej oraz stosunek do świata przeżyć religijnych.

Mann ukazuje się jako osobistość pełna rozdarć duchowych, a wbrew nim osiągnąca niezwykłą harmonię, „stabilność”, równowagę „między krawędziami dwóch otchłani: otchłani nihilizmu i otchłani życia nadprzyrodzonego”.

W końcowej partii Rogalski stosuje metodę porównawczą. Zestawia Manna z pisarzami, którzy odegrali rozstrzygającą rolę w jego kształtowaniu się, jak Schopenhauer i Freud, którzy byli jego wzorami, jak Goethe, Wagner, Nietzsche. Wpisuje go w prądy, orientacje, predyspozycje współczesnej mu epoki. Ta metoda nie tylko otwiera pole do opisu erudycyjnego, lecz pozwala uchwycić Manna w podobieństwach i przede wszystkim odrębnościach jako zjawisko niepowtarzalne i jedyne.

W tym jego okrażaniu, umiejscowianiu na mapie świata duchowego, jak zresztą w całym przewodzie, ujawnia się współbrzmienie krytyka z obranym twórcą i dystans zapewniający ostrość widzenia, ujawnia się w imponującej równowadze wnikliwość i umiejętność bezstronnej oceny, atmosfera jednocześnie intymnego i trzeźwego obcowania.

Polska monografia Thomasa Manna przynosi zaszczyt jej autorowi i całej naszej kulturze.

Tymon TERLECKI

„Kryminał” w Polsce Ludowej

Datujący się od kilku lat rozwój polskiego reportażu i powieści kryminalnej w Polsce, a także niezwykły popyt na tego rodzaju książki u czytelników krajowych, jest zjawiskiem, któremu warto poświęcić trochę uwagi. Z punktu widzenia socjologicznego, politycznego i literackiego jest to bowiem objaw znamienny i interesujący.

Zjawisko powieści kryminalnej zaistniało na początku tego wieku. Pomimo, że wielu pięknoduchów ciągle krzywi się ironicznie na wspomnienie powieści kryminalnej czy sensacyjnej i niby ją lekceważy (choć nie brak i takich, którzy potępiając ją publicznie, po kryjomu zaczytują się „tym świństwem!”), to duży oddźwięk, jaki znajduje u publiczności, czytającej, awansuje ją do rangi zjawiska godnego uwagi.

Ostatecznie i w „Makbecie” roi się od zbrodni i krwi, więc może nie ma co wydziwiać, że publiczka lubi tego rodzaju książki. A niektóre przecież powieści kryminalne i ich autorzy zostaną na pewno w literaturze światowej dłużej i głębiej niż wiele mętnawych powieści i autorów o ambicjach psychologicznych. Wystar-

czy wspomnieć Simenona, który swoimi na oko bezpretensjonalnymi utworami stworzył coś w rodzaju współczesnej Komedii Ludzkiej, nie mówiąc już o „klasykach” jak Conan Doyle, Maurice Leblanc, Gaston Leroux, Chesterton, Agatha Christie, czy inni. A choćby Raymond Chandler: z lektury jego książek dowiadujemy się więcej o sposobie życia, jedzenia, spania, o zwyczajach współczesnego Amerykanina niż z powieści Hemingwaya i Faulknera. Jest to więc ciekawy przekaz socjologiczno-obyczajowy, czyli to czego oczekujemy od literatury średniego lotu, szczególnie gdy ta „poważniejsza” i „wyższa” zawodzi.

Już sam fakt, że lektura „kryminałów” stwarza możliwość odprężenia dla masy ludzi, skądinąd nieraz wybrednych i inteligentnych, że stanowi rozrywkę i naukę logicznego myślenia na co dzień i że uczy, iż zbrodnia musi być ukarana — kwalifikuje ją do zjawisk, których w dzisiejszych czasach nie należy traktować zbyt lekko. „Kryminałami” zaczytują się dziś profesorowie uniwersytetu, wyżsi urzędnicy, żołnierze, szwaczki i większość ludzi w czasie grypy, podróży, czy do poduszki po wyczerpującym dniu pracy. Jeżeli więc powieść, ogólnie zwana kryminalną, (odcienie i nomenklatura w różnych krajach są znaczne i różne), daje moment odprężenia, jest zjawiskiem cennym z punktu widzenia socjologii i higieny psychicznej. Jeśli ponadto ta powieść związana jest z terenem zagadnień kulturowych, podejźmy do niej pobłażliwie, tym bardziej, że właśnie przez tego rodzaju lekturę nowy czytelnik wchodzi w krąg, w którym może później spotkać wybitniejszych autorów.

Oczywiście jak w każdej dziedzinie piśmiennictwa, tak i tu istnieją autorzy lepsi i gorsi i tacy, co świadomie, dla popularności, oscylują pomiędzy *thrillerem* a pornografią, brutalnością a *sexem*. Należy jednak zaznaczyć, że zainteresowanie powieścią kryminalną w wielu dostatnich krajach zachodnich osłabło na korzyść *paper-back*’ów. Tania edycja arcydzieł i książek naprawdę wartościowych wyrugowała na szczęście wiele śmieci z produkcji „kryminalnej”. Masowy czytelnik staje się z biegiem czasu wybredniejszy.

Powieść kryminalna jako rodzaj literacki, ugruntowała się na początku tego wieku w Anglii. Powstała wcześniej, w okresie rozwoju prasy, a wyrosła z zainteresowania publiczności sprawozdaniami z procesów kryminalnych. Ostatecznie zainteresowanie i fascynacja zbrodnią są stare jak świat i stanowią pożywkę dla wyobraźni ludzkiej od zarania dziejów w formie, na jaką pozwalał w danym okresie rozwój cywilizacyjny (opowiadania podróżnych, zapiski kronikarzy, pieśni ludowe, a w końcu prasa i kino wraz z telewizją).

Skoro zainteresowanie publiczności wielkimi procesami kryminalnymi odbiło się pozytywnie na nakładach pism, nie pozostało nic innego jak stworzyć fikcyjne powieści o podobnym tle. Tak więc powstała powieść kryminalno-sensacyjna. Anglicy dzielą ją na: *detective story*, *spy thriller* i *thriller* zwykły. Ostatnio

doszła *science-fiction*. Francuzi są nieco selektywniejsi: mamy tu *romans policiers*, *romans d'espionnage*, *romans d'enigmes*, *romans noirs* i *romans d'aventures*. Polska nazwa *powieść kryminalna* wywodzi się od niemieckiej *Kriminalroman*, bowiem do nas ten rodzaj literacki przyszedł z Niemiec i wydawnictwa drukujące powieści kryminalne były nierzadko finansowane przez Berlin. Ostatnio wszędzie zarysowuje się podział na powieści kryminalne, powieści szpiegowskie i powieści sensacyjno-przygodowe, przy czym powieść łącząca pseudonaukowość (zdobywanie kosmosu) z głodem sensacji, tzw. *science-fiction* zdobywa coraz więcej zwolenników. Warto tu zwrócić uwagę na S. Lema (1).

Znaczny rozwój i popularność powieści kryminalnej (ze wszystkimi jej odcieniami jak powieść szpiegowska, dreszczowce, sensacyjno-przygodowa i fantastyczna) w Polsce Ludowej ma inne podłoże. Jest wynikiem zjawisk bardziej złożonych.

Główne z nich to: zmęczenie ustawicznymi brakami w życiu codziennym, ucieczka przed nim, znudzenie słabiutką literaturą polityczną, lakiernictwem przedpaździernikowym i całym raz mniej a raz więcej realizmem raz mniej a raz więcej socjalistycznym, a zawsze nieudanym i mdłym. Poza tym w Polsce dokonała się znaczna zmiana przekroju społecznego, zwiększyła się ilość mieszkańców miast, zaś poczytność w ogóle, a szczególnie powieści kryminalnej, tym jest większa, im większy jest w danym kraju procent ludności miejskiej, nie bez przyczyny ten rodzaj powieści powstał w Anglii w państwie o największym procencie ludności miejskiej. Najmniejszą poczytnością cieszyła się powieść kryminalna w krajach rolniczych jak np. na Litwie. Zasięg odbiorców lektury (gazet i książek) powiększył się więc znacznie w Polsce Ludowej na skutek uprzemysłowienia i zmniejszenia ilości ludności wiejskiej. A jasne jest, że nowo wchodzący w sferę magii czytelnictwa zaczynają nie od Camusa, Kafki, czy Schulza. Kolejność będzie raczej taka: kryminał, reportaż, Kraszewski, Sienkiewicz i dalej.

Jeszcze inną przyczyną rozwoju powieści kryminalnych w Polsce Ludowej jest fakt, że pisanie ich było dla autorów bezpieczniejsze, wtedy, gdy wymagania i dyrektywy dla innych rodzajów literackich stawały się coraz sztywniejsze. Najbezpieczniej było wówczas tłumaczyć, lub *lewą nogą* pisać poczytne bzdury. Dlatego wielu pisarzy uciekało do tej twórczości, oczywiście pod pseudonimami.

Nienajmniejszym także powodem rozwoju tego rodzaju twórczości był fakt, że Państwo po Październiku zrozumiało, iż taka literatura stwarza wspaniałe możliwości indoktrynacji czytelników; stąd oficjalne poparcie dla „kryminałów”.

Jeszcze innym powodem wzrostu zainteresowania powieścią

(1) Były lwowianin, którego kilka książek typu *science fiction* wydanych w Polsce przetłumaczono na wiele języków. Są one pisane naprawdę dobrze i interesująco, co nie często zdarza się w tego rodzaju twórczości.

kryminalną jest indolencja krytyki krajowej. Zamiast zachęcać czytelnika do kupienia omawianej książki — najczęściej krytyk odstrasza go. Nagminne stało się rozwlekłe wymądrzanie się krytyków, naszpikowane mądrymi terminami. (Fakt, że pewne terminy i słowa robią zawrotną karierę i szybko wychodzą z obiegu, najłatwiej zaobserwować właśnie w silących się na głębie recenzjach!). Jeśli ktoś nie rozumie tych uwag, niech przeczyta uroczą i oryginalną „Obcoplemienną balladę” młodego Tadeusza Nowaka i to co o tej książce napisał w „Twórczości” nienajgłupszy przecież krytyk, Henryk Bereza. Co dało Berezie asumpt do wydziwiał i pouczają — napisanych językiem zupełnie niezrozumiałym? Naprawdę nic z tego nie można zrozumieć.

Krytyka krajowa pomija milczeniem nie tylko „kryminały” polskie (z czym można by się zgodzić, choć nie pomija tłumaczeń kryminałów z obcych języków), ale pomija również powieści zwykłe, popularne, bez wygórowanych ambicji. Jest to tym dziwniejsze, że w Polsce Ludowej trzeba nie niezrozumiałych i zarozumiałych krytyków typu Berezy, Maciąga, Lichańskiego czy Macużanki, albo zupełnie nieprzytomnego Słojewskiego (2), lecz raczej recenzentów trochę mądrzejszych niż ongiś ks. Pirożyński, bowiem tylko tego typu zachęta do czytania znajduje oddźwięk w sferach *nowych* czytelników. Czyli krótko: pomijanie w ogóle przez krytykę powieści kryminalnej, czy sensacyjno-przygodowej, zachęciło właśnie czytelnika masowego do czytania tej powieści, skoro zawiódł się on nieraz na krytyce kilku czołowych pism literackich, w odniesieniu do pozycji lansowanych. Psychologicznie ta przekora jest jasna.

II

Przed wojną było w Polsce trzech autorów powieści kryminalnych, którzy zaznali pewnego rozgłosu: Antoni Marczyński, Adam Nasielski i Marek Romański, (wszyscy zresztą prawnicy z wykształcenia i dziennikarze z zawodu). Niektóre ich powieści były tłumaczone na obce języki. Np. Nasielskiemu, jeńcowi niemieckiemu, Abwehra zakomunikowała, że jego książki są w czasie wojny dalej tłumaczone na angielski. Przygody detektywów typu Rafała Królika mogą dziś budzić u nas uśmiech pobłażania, jednak jest prawdą, że kiedyś były czytane przez młodzież na równi z Karolem Mayem i z Baxterem (*westerny* — a George Owen Baxter to jeden z 9 pseudonimów autora George’a Fausta). Nauczyły one tę młodzież czytać.

Oprócz tej *wielkiej trójcy* „kryminału” istniał jeszcze Błaże-

(2) „Robił on na szaro” w niesmaczny sposób Sienkiewicza, pouczał o katolicyzmie Parnickiego, nie rozumiejąc ani katolicyzmu, ani Parnickiego, a ostatnio na nowo „ustawił” Kadena-Bandrowskiego prawie że w humorystyczny sposób.

jewski (powieść szpiegowska) czy Gostecki (Krystyn Wand — kowbojska) i kilku innych nie wartych nawet wzmianki.

W pierwszym okresie po wojnie w Polsce „kryminałów” oczywiście nie wznawiano: podchodzono do nich z pogardą jak do senników, czy do Mniszkówny, skasowano je jako obce „socjalizmowi”. Na rynku natomiast pojawiały się czasem tłumaczenia z rosyjskiego (jak np. niektóre utwory Aleksego Tołstoja), gdzie w konwencji powieści sensacyjno-szpiegowskiej nieraz spotykało się czarnego typu — szpiega, którym prawie zawsze był Polak. Wkrótce jednak zorientowano się, że w wypożyczalniach coraz większym powodzeniem cieszą się przedwojenne powieści kryminalne, różne Edgary Wallace i Oppenheimy. Wypada stwierdzić, że dobrze redagowany „Przekrój” swe powodzenie zawdzięczał również faktowi zamieszczania tłumaczeń krótkich nowelek detektywistycznych, lub sprawozdań z procesów (Wandy Falkowskiej) i innych (Mazurkiewicz i Łojas nota bene pobili przedwojenną Gorgonową!). Znaczny oddźwięk wywoływały krótko opracowane i zazwyczaj dość tendencyjne rewelacje szpiegowskie z ostatniej wojny. Dopiero jednak po Październiku pojawiły się i powstały nowe polskie powieści sensacyjno-kryminalne.

Dziś „Iskry”, „Czytelnik” (Seria z jamnikiem) „Tygrys” (3) MON’u kilka serii Wydawnictwa Morskiego, wydawnictwo Śląskie, a szczególnie wydawnictwo MON (Ministerstwo Obrony Narodowej) wypuszczają co roku kilkadziesiąt lub więcej tytułów z tej dziedziny. „Iskry” i „Czytelnik” produkują raczej klasyczny typ powieści kryminalnej tzn. *anglosaski* — (nie tylko że akcja toczy się zwykle w krajach anglosaskich, imiona i nazwiska bohaterów są angielskie, ale nawet pseudonimy autorów brzmią z angielska lub francuska), na ogół bez akcentów politycznych, toteż cieszą się popularnością i zostały ostatnio zaatakowane (4). „Tygrysy” i Wydawnictwo Morskie drukują ciągle poza tym jakieś znane lub nieznane sensacje szpiegowskie, bowiem fascynacja Polaków wojną nigdy nie ustaje, a im więcej mówi się o obronie pokoju, tym więcej drukuje się tam książek o wojnie. Nie trzeba dodawać, iż wszystkie te sensacje są tendencyjnie przedstawiane i że cel ich jest jasny: wykorzystując zainteresowanie rodzajem i tematem podać czytelnikowi jak najwięcej elementów propagandy politycznej. Oto wachlarz tematów: Militarizm niemiecki ale tylko zachodnoniemiecki. Gloryfikacja Gwardii Ludowej i AL kosztem AK i prawdy. Wykazywanie zgnilizny Zachodu oraz krzepy i przyjaźni Rosji. „Wykrywanie” powiązania faszyzmów niemieckiego i włoskiego a także japońskiego z pewnymi kołami na Zachodzie. Cała wojna na Zachodzie była „lipna” — „prawdziwa” wojna była tylko na Wschodzie itp. Wysiłek Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie natomiast jest uporczywie pomijany.

(3) Setny numer właśnie ukazuje się.

(4) Vide dyskusja w warszawskiej „Kulturze” p. n. „Kryminał” — forpoczta kultury masowej.

Młodzież zaczytuje się dziś „Tygrysami”, na co nawet żalą się wychowawcy, bo odbywa się to kosztem nauki. Najtańsze i najbardziej charakterystyczne, są wydawnictwa MON’u. Autorami są tu drugorzędni pisarze, za to bohaterami oficerowie i żołnierze WOP’u, Milicji, organy Bezpieczeństwa, zawsze szlachetne, cwane, przebiegłe i zawsze wygrywające z przestępcami nie tylko politycznymi, ale i gospodarczymi (co za znak czasu, te przestępstwa gospodarcze!). Tendencja tych książek jest jasna: podając rozrywkę, o jaką czytelnikowi chodzi, dać mu również mocny zastrzyk podziwu i szacunku dla WOP’u, Milicji, Władzy Ludowej i w ogóle ustroju. Oczywiście jest, że poprzez „kryminał” wejście do czytelnictwa masowy odbiorca, a tylko przez masowego odbiorcę może się dokonać osławione „przebudowanie świadomości na socjalistyczną”, na czym komunistom tak bardzo zależy, a z czym ciągle nie umieją sobie dać rady.

Najbardziej znanymi dziś w Polsce autorami „kryminałów” są: Joe Alex (5) (oczywiście pseudonim, podobno chodzi o Andrzeja Łapickiego, aktora). Noel Randon (czyli Wigiliusz Randoński, jeszcze jeden podwójny pseudonim) i Maurice S. Andrews (czyli Andrzej Szczypiorski, delegat Związku Literatów na niedawny zjazd w Danii). Oprócz nich istnieje przedwojenny Kostecki (przygody kowbojskie), T. Kwiatkowski, Barbara Gordon, Jerzy Edigey (dziennikarz i prawnik z zawodu), E. Niziurski (też bardzo popularny), Przemysław Bystrzycki (były spadochroniarz z Anglii, potem instruktor A.K.), Z. Mitzner (czego już nie próbował ów Szeląg? I ciągle słabizna!), Tadeusz Błahij, Cassa-Kasicka, Z. Nienacki, Damian, Jacek Wołowski i inni. Najlepszym autorem z tej dziedziny jest niewątpliwie Leopold Tyrmand, którego „Zły” ciągle jest nie do pobicia pod żadnym względem (poczytność, oryginalność, konstrukcja i podnotowanie realiów Polski Ludowej!). Ale o Tyrmandzie najmniej się słyszy. Dopiero z ostatniej dyskusji w warszawskiej „Kulturze” na temat czy „kryminał” to forpoczta literatury masowej? — przypomniano jego nazwisko. Wziął on udział w tej dyskusji, zainicjuowanej przez K.T. Toeplitza, tłumacząc bonzom, że nie można wymagać „typowości” od literatury sensacyjnej, gdyż sensacja jest czymś wyjątkowym i nie może być typowej wyjątkowości.

W porównaniu z polską powieścią kryminalną przed wojną obecna produkcja jest — ogólnie biorąc — lepsza i ciekawsza. Odnosi się to szczególnie do pozycji imitujących klasyczny „kryminał” anglosaski, choć u wielu autorów pisujących pod zagranicznymi pseudonimami widać, że nie przyswoili sobie realiów życia krajów anglosaskich. Oto np. facet leci z Kapsztadtu do Londynu i prosi o bilet *aller et retour* (skąd tam francuszczyzna?), oto policjant, angielski Bobby, biegnie z rewolwerem, choć policja jest tam nieuzbrojona. Oto na drzwiach jakiegoś potentata wywiadu w angielskim bądź co bądź Hong Kongu wisi napis:

(5) Joe Alex ma również w telewizji swój program kryminalny w „Kobra” — podobny do anglosaskich „Consider your verdict”.

privé, choć *private* byłyby bardziej na miejscu. Można by takich pośliznąć cytować wiele.

III

Wprowadzenie polityki (w sensie ideologii) do powieści szpiegowsko-kryminalnej jest oczywiście wynalazkiem sowieckim; mając przed oczyma jako wzór ten genialny wynalazek a w pamięci lekturę Grahama Greene, Putrament pierwszy w Polsce wprowadził na rynek w swej „Arce Noego” romans szpiegowsko-kryminalno-polityczny. Nie ważna jest tu nieoryginalna akcja i ograny schemat (samolot a w nim przypadkowo zebrani ludzie, bomba na pokładzie, czarny typ-sługus obcych wywiadów, oczywiście emigrant polski, wszystko mknące ku nieuchronnej katastrofie, łącznie z dwoma ludźmi — Amerykaninem i Rosjaninem, co za symbolika koegzystencjalistyczna! — którzy pomagając sobie jakoś obaj uratują się od katastrofy!). Nieważny jest tu język, choć Putrament, zapewne nieświadomie, notuje różne dziwolągi i modne w danym okresie wyrażenia, nieważne są dywagacje natury polityczno-moralnej (słabiuchne, bez finezji), ważne natomiast są pewne realia z życia Polski Ludowej, których nie odnotowano gdzie indziej. Np. to jak imponuje Polakom zagranica, jak wpadają w kompleks niższości wobec lepszych wyrobów zagranicznych; handel ciuchami, paczki z zagranicy, staranie się o wyjazdy zagranicę na urlop i — jakże charakterystyczne wyznanie — traktacik moralny o zdradach małżeńskich tak popularnych w sferach kawiarnianych intelektualistów żyjących z ustroju. Po prostu należy tam do dobrego tonu mieć awanturkę, kochanka czy kochankę, nie być wiernym mężowi, czy żonie, co jest uważane za staroświeckość i drobnomieszczaństwo. Świetnie pokazał Putrament nacisk nastroju takiego właśnie środowiska. Oczywiście nie te momenty, lecz linia polityczna, sprawiły, że „Arka Noego” została nagrodzona i uzyskała kilka wydań.

Typowym przykładem czym „może” być „polski kryminał” jest „Wyspa Mauritius” P. Bystrzyckiego. Przypomina to jeden z pierwszych powojennych filmów polskich „Jasne Łany”, gdzie od razu poruszono wszystkie problemy Polski Ludowej: walkę z podziemiem, elektryfikację wsi, szerzenie oświaty, problem kułaków, ideę kołchozów, wyłapywanie szpiegów z Zachodu, odbudowę, młodzież postępową, zacofany kler itp. Podobnie jest i w tej powieści: filatelistyka i sprawy szpiegowskie, naga zakonница w klasztorze nad Odrą i bohaterskie WOP, podziemie gospodarcze i bohater-detektyw o dźwięcznym nazwisku Piziura a ponadto niebezpieczeństwo niemieckie itp. Język miejscami dobry, ale obok bzdury na wióry: „sadownik” (zamiast: ogrodnik), „kwietny porannik” (to niby wzorzysty szlafrok), „kontusznik” (szlachcic-antenat na portrecie, ubrany w kontusz; na tej samej zasadzie co kamasznik, a więc facet chodzący w kamaszach).

IV

Literatura kryminalna w Polsce, pomimo otwierających się przed nią perspektyw, nie może wyjść z kręgu fałszywych realiów i dlatego jest słaba. O znajomości warunków i życia w krajach zachodnich już mówiłem. Ale jeśli chodzi o realia życia polskiego, także kwadratura zaczarowanego koła! Jakie są tradycje kryminalne i jaka praworządność w kraju, gdzie ciągle króluje U.B. i może łamać wszystkie prawa? Gdzie władza jest przeważnie nadużyciem władzy? Gdzie adwokaci do niedawna z reguły sypali klientów? Gdzie nie jest możliwa instytucja prywatnego detektywa tak „nieodzownego” dla konstruowania akcji „kryminału”? Gdzie nie ma nawet „kultury zbrodni”, jak to ujął Alex: tylko walka o ziemię; mord, czy podpalenie, aby ukryć manko w spółdzielni, albo w upaństwowionym sklepie. Gdzie o najbardziej kryminalnym okresie, stalinowskim, nie napisano nic albo mało i wstydliwie, choć ten obrachunek z przeszłością pasjonuje wszystkich i ciągle nie jest dokonany?

Reasumując, literatura osiemnastolecia Polski Ludowej pomimo technicznego i materialnego poparcia władz, pomimo rozwoju bazy czytelniczej, pomimo wielu świetnych nazwisk starych i kilku nowych — nie stworzyła dzieła wybitnego a popularnego.

Cały więc problem oraz dyskusja wokół powieści kryminalnej są dowodem bezprzykładnej plajty literatury zaangażowanej, z bliska czy „zdaleń” kierowanej celem wytworzenia własnej kultury „proletariackiej”, „socjalistycznej”, „masowej” czy „postępowej” (różna nomenklatura dotyka kluczowego procesu dla komunistów: *przebudowania świadomości*). Z chwilą gdy zawiodła literatura większego kalibru — wzięto się do „kryminału”, licząc, że bodaj w ten sposób przebuduje się tę osławioną *świadomość*. Jeśli i to zawiedzie — na co się zanosz — jakiego królika wyciągną z cylindra Galiński et consortes? Chyba w tym odwrocie na coraz niższe pozycje zaczniesz się wtedy *era komiksów komunistycznych*. I zainicjuje ją nie kto inny, ale zapowiadacz wszystkich nowych kursów, czyli Putrament, Rafał Królik ustroju.

Pomimo 18 lat istnienia Polski Ludowej, opieki nad pisarzem, dużych nakładów i pomimo różnych nacisków i zachęt, nie stworzyła literatura krajowa ani jednego bohatera typu bodaj starego kozaka z „Cichego Donu” Szołochowa, czy postaci z opowiadań Babla, nie mówiąc już o bohaterze pozytywnym, który ciągle tylko istnieje w receptach. Maciek Chełmicki z „Popiołu i diamentu” (analogie z Szołochowem, bo to też bohater tej drugiej strony!) miał pewne szanse na to, ale nawet ortodoksyjny Grzegorz Łasota musiał przyznać, że choć Chełmicki jest słaby, to peperowiec Szczuka i inni komuniści wypadli przy nim jeszcze bardziej papierowo i sztucznie.

Jednego ciągle nie rozumie się nad Wisłą: Ażeby uchwycić masy, trzeba im odkłamać życie i niedawną przeszłość, trzeba

by ci, co pracują nad stworzeniem kultury proletariackiej sami nie byli *tak mieszczańscy i zakłamanymi*.

Polska powieść dająca świadectwo i skrót naszych czasów ciągle czeka na napisanie. Słusznie zauważa Adolf Rudnicki, że napisze ją chyba nie ktoś z *dworu* warszawskiej ferajny, ale raczej ktoś z emigracji. Tylko nie wiadomo czy taka powieść podobałaby się czynnikom oficjalnym w Warszawie. Natomiast można sądzić że podobałaby się masom.

Biedny ten polski „kryminał”! Gdy nadęci i nieszczerzy generałowie nawalili, zawołano zwykłego kaprała i napompowawszy mu głowinę wzniosłymi hasłami, kazano prowadzić do boju i tak skazanego na niepowodzenie.

Andrzej CHCIUK

Nadeślane nowości wydawnicze

THERMERSON (Stefan). *Cardinal Pölätiö*. Str. 184. (Wyd. Gaberbocchus, London, cena 15 sh., 1961).

STEING (S.M.Serafina, O.P.). *Jedna ofiara z Jezusem*. Matka Maria Kolumba Białecka czciicielka eucharystii. Str. 130 i 4 nlb. (Wyd. „Veritas”, Londyn 1963).

BADENI (Stefan). *Wczoraj i przedwczoraj*. Wspomnienia i szkice. Str. 209 i 5 nlb. Obwoluta J. Chrzanowskiej (Wyd. „Veritas”, T.LX Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, 1963, cena 20 sh.).

Współcześni historycy brytyjcy. Wybór z pism. Słowo wstępne G. P. Grooch. Opracował i przedmową zaopatrzył J.Z. Kędzierski. Str. 598. (Wyd. dla Polskiego Twa Historycznego na Obczyźnie, B. Świderski, Londyn, 1963).

KORBOŃSKI (Stefan). *W imieniu Polski Walczącej*. Str. 756. (Wyd. B. Świderski, Londyn 1963, cena 84/-).

POBOG-MALINOWSKI (Władysław). *Historia polityczna Polski*. Drugie wydanie przejrane, popra-

wione i uzupełnione oraz ilustrowane. Tom I-szy 1864-1914. Str. 671, w tym Indeks nazwisk i miejscowości. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1963).

CZEREŚNIEWSKI (Wawrzyniec). *Podróż na Rodos*. „Motywów greckich” zeszyt drugi. Poezje. Str. 26 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1963).

Polska YMCA 40 lat. 1923-1943. Str. 28. (Wyd. Londyn, grudzień, 1963).

Reading in Slavic Literature. University of Manitoba, Dept. of Slavic Studies, Winnipeg, Canada: N° 3: *Texts in Ukrainian compiled by J.B. Rudnyćkyj*. Str. 64, (1963); N° 4: *Monk Chrabr on Slavic Writings. The Oldest Cyrillic Version of 1348 by Metropolitan Ilarion (Dr Ohienko)*. Str. 28 (1964); N° 5: *A 13-th Century Cyrillic Gospel Fragment*, ed. by J.B. Rudnyćkyj. Str. 14 i 14 nlb.

PAPIEŻ JAN XXIII. *Encyklika o pokoju między wszystkimi narodami, opartym na prawdzie, sprawiedliwości, miłości i wolności* (Pa-

- cem in terris). Str. 186 i 4 nlb. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paris, 1963).
- PAPIEŻ JAN XXIII. *Encyklika O współczesnych przemianach społecznych w świetle nauki chrześcijańskiej* (Mater et Magistra). Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paris 1963).
- Polemiki. Zeszyt I, Rok I, Jesień 1963. Poświęcone artykułom i recenzjom dotyczącym najnowszej historii Polski. Str. 180. Redaguje zespół: A. Bregman, A. Ciołkosz, A. Stypułkowski i P. Zaramba. Cena egz. sh. 8/6, Londyn.
- LERSKI (George J.). *Geopolitics Triumphant: The case of East-Central Europe*. Str. 123-132, („Pakistan Horizon” Col. XVI, N° 2, Second Quarter 1963, Pakistan Institute of International Affairs, Karachi).
- JORDAN (Z.A. prof.). *Philosophy in Post-War Poland*. Seminar Notes May 3, 1963. Kart 20 i 2 nlb. (Powielacz. Russian Research Center, Harvard University, Cambridge, Mass.).
- KORTH (Rudolf). *Die preussische Schulpolitik und die polnische Schulstreiks*. Ein Beitrag zur preussischen Polenpolitik der Aera Bülow. Str. 183. (Holzner-Verlag, Würzburg, 1963).
- DZIEWANOWSKI (M.K.). *Dualism or Trialism? Polish Federal Tradition*. Str. 442-466. Odbitka z „The Slavonic & East European Review, Vol. XLI, N° 97, June 1963.
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Are we Bringing Up the Man of Tomorrow?* Str. 408-416. (Odbitka z „Revue de l'Université d'Ottawa”, Vol. 33, N° 4 Octobre, 1963).

KSIĄŻKI UKRAIŃSKIE

- DIMA. *Myt'.* Tretia zbirka poezij. Str. 30, Paryż. Wyd. Perszoji Ukr. Drukarni u Franciji. 1955.
- WOŁYČKYJ (Wasył). *Na Lwii i Kyjiw. Wojenni spohady 1918-1920*. Nakł. Wyd. „Homin Ukrainy”. Toronto, 1963. Str. 238.
- KOSARENKO-KOSAREWYCZ (Wasył). *Moskalstwo, Ukrajinstwo reszta Nemoskalstwa*. Str. 23, New York-München, 1962.
- Nowi poeziji*. 1963. Cz. 5. Wyd. Niujorskoji Hrupy. New York, 1963. Str. 64.
- Ukrainškyj Wilnyj Uniwersytet*. Naukowi Zapysky, 1963. Cz. 6. München.
- STRUTYŃSKA (Maria), [W. Marśka]. *Pomyłka doktora Warečko-ho*. Opowiadania. Wyd. Juliana Serediaka. Buenos Aires, 1963. Str. 144.
- CZUB (Dmytro). *Żywyj Szewczenko* (Szewczenko w żytti). Wyd. druhe, pereroblone i dopownene. Str. 114. Wyd. „Dniprowa Chwyla”, München-Melburn, 1963.
- HRYSZKO (Wasył). *Moskwa slozam ne wiryt'.* Tragedija Ukrajiny 1933 roku. Str. 67. Wyd. DOBRUS., New York, 1963.

WYKAZ WYDAWNICTW " BIBLIOTEKI KULTURY "

1. Witold GOMBROWICZ .. *Trans-atlantyk i Ślub*
2. George ORWELL 1984
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł*
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne (Poezje)*
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd*
7. Stefan KORBOŃSKI *W imieniu Rzeczypospolitej...*
8. Józef ŁOBODOWSKI *Złota hramota (Poezje)*
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy*
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy*
11. Marian PANKOWSKI *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
13. Stefan KORBOŃSKI *W imieniu Kremla...*
14. Raymond ARON: *Koniec wieku ideologii*
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc (Opowiadania)*
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki*
20. Józef MACKIEWICZ *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ .. *Dziennik (1953-1956)*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych*
24. Aleksander HERTZ *Aмерыkańskie stronnictwa polityczne (Mechanizm demokracji)*
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ .. *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
27. Milovan ĐŽILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy*
28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raj*
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty*

30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM *Rewolucja manadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodżennja (Antologia)*
38. Józef ŁOBODOWSKI *Pieśń o Ukrainie*
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadżumionych*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”. Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria Dokumenty”. Zesz. 6)*
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
44. Borys PASTERNAK *Doktor Żiwago*
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Kraszińskiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC *Sąd idzie*
- ANONIM *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI .. *Kolumbowy błęd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959 (Poezje)*
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa*
51. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ .. *Pornografia*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithon — Stary ocean*

62. Adam CIOLKOSZ *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
 Róża LUKSEMBURG *Rewolucja rosyjska (Seria Dokumenty". Zesz. 9)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
 Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie (Seria „Dokumenty". Zesz. 10)*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczесkie powieści*
71. I. IWANOW *Jest' li żiźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
74. Adam CZERNIAWSKI .. *Topografia wnętrza*
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze*
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ .. *Dziennik Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) *6 lat temu... (Kulisy polskiego Października (Seria „Dokumenty". Zesz. 11)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *„Orfeusz w piekle XX wieku”*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)*
 Antologia
89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty". Zesz. 12)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
91. Abram TERC *Lubimow*
92. — *We własnych Oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*

Humor krajowy

NOWY PLAN RAPACKIEGO

Podobno na najbliższej sesji ONZ Polska ma zaproponować utworzenie w Europie Środkowej Strefy... Bezmięsnej.

◆

Mówią, że nowe budownictwo w Warszawie jest tak kiepskie, że przez ścianę słysząc jak sąsiedzi klepią biedę.

◆

Prokursorsorzy komunizmu:

- 1) Adam i Ewa — gdyż byli nady i bos i
 - 2) Trzej królowie — bo prowadziła ich gwiazda
 - 3) Dwunastu Apostołów — bo nie umieli czytać ani pisać, ale zajmowali się nauczaniem.
- ◆

Po wizycie Ulbrichta opowiadano, że Niemcy po raz pierwszy opuścili Warszawę nie wysadzając mostów.

◆

Milczące od wielu miesięcy Radio Erywań odezwało się na nowo na falach eteru. Niestety odbiór był tak zły, że słuchacze w Polsce wysyłali masowe zapytania dlaczego tak się dzieje. Odpowiedź Radia Erywań brzmiała: „My gawarim iz Sibiri...”.

◆

PYTANIA I ODPOWIEDZI:

Pytanie: Jak długo będzie jeszcze trwał w Polsce bałagan i kryzys?
Odpowiedź: Jeszcze 93 lata, gdyż 7 lat temu śpiewaliśmy „Sto lat...”.

Pytanie: Kto jest kandydatem na pierwszego polskiego kosmonautę?
Odpowiedź: Cyrankiewicz, bo: jest przyzwyczajony do zmian atmosfery, przebywa wśród gwiazd (Andryczówna i in.) i włos mu z głowy nie spadnie.

Pytanie: Co to jest jaszczurka.
Odpowiedź: — Krokodyl socjalizmu.

Pytanie: — Jaka jest najnowsza zdobycz agronomii sowieckiej.
Odpowiedź: Zasiać pszenicę w ZSRR, a zebrać w Kanadzie.

◆

Do sklepu wchodzi facet i mówi do sprzedawczyni:

- Proszę o te niezapominajki.
- Nie mogę panu sprzedać odpowiada sprzedawczyni — to dekoracja.
- To proszę o te goździki.
- To także dekoracja.
- Co do cholery — mówi facet — wszystko dekoracja! Czy to w końcu kwaciarnia czy wędliniarnia?

O POWSTANIACH

Zawsze po powstaniach w Polsce były duże fale emigracji, ale największa po powstaniu Orbisu.

Pytanie: Jakie było najmniej udane polskie powstanie?

Odpowiedź: Powstanie Polski Ludowej.



Po Kopenhadze chodzi krasnoludek z latarenką i świeci.

— Czego szukasz krasnoludku? — pytają.

— Złodziei.

— Złodziei? W Kopenhadze?

Po Sztokholmie chodzi krasnoludek z latarenką.

— Czego szukasz krasnoludku?

— Złodziei.

— Złodziei? W Sztokholmie?

Po Helsinkach chodzi krasnoludek z latarenką.

— Czego szukasz krasnoludku?

— Złodziei.

— Złodziei? W Helsinkach?

Chodzi sobie krasnoludek po Moskwie.

— Czego szukasz krasnoludku?

— Latarenki...



Podobno Święto Państwowe w Polsce Ludowej ma być przeniesione w przyszłym roku z 21 lipca na 26 lipca — na świętej Ani — bo ani mięsa, ani masła.



Popularna nazwa warszawskiej „Kultury” — *Soldatenzeitung*.



NAGRODZONY DOWCIP O WARSZAWSKIEJ „KULTURZE”

— To „Kultura”?

— Bzdura! To cenzura! A już Syrokomla uczył, że kradzione nie tuczy.



Z OSTATNIEJ CHWILI

Do kawiarni w Warszawie wpada zdyszany facet, podbiega do znajomych siedzących przy stoliku i woła:

— Wiecie, w kraju zabrakło octu!

— Co się stało? — pytają znajomi.

— Chińczycy wykupili!

— Chińczycy? ale dlaczego?

— Marynują moskaliki! — pada odpowiedź.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Houston, 30 listopada 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Niestety p. Mieroszewski ma słuszość: istotnie powinno być „trooping the colour” (liczba pojedyncza), nie „colours”. Omyłkę tę zauważyłem i poprawiłem w ostatniej chwili, ale niestety druk przyśpieszono i już było za późno. Sprostowanie jednak umieściłem w drugim tomie na s. 770 pod słowem „troop”. Równocześnie podpisuję obiema rękami uwagi Londyńczyka na temat języka angielskiego w tymże numerze „Kultury” 11/193 z listopada 1963 r. Dlatego pracuję nad rozszerzeniem i ulepszeniem słownika i mam nadzieję, że o ile dożyję, a świat będzie jeszcze istniał, nowe wydanie ukaże się około r. 1970.

Łączę wyrazy poważania.

Kazimierz BULAS



Monachium, 14 grudnia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie treści listu który wysłałam do redakcji tygodnika „Kultura” w Warszawie.

„Szanowny Panie, w 26 numerze „Kultury” (z 8 grudnia br.) Pan Janusz Kolczyński mianuje mnie „czołowym komentatorem” radia Wolna Europa i twierdzi, że jestem „znana ze swych proniemieckich sympatii, ze współpracy z rewizjonistycznymi pismami zachodnio-niemieckimi” oraz „z kontaktów, które utrzymuję z ośrodkami rewizjonistycznymi NRF”.

W związku z tym proszę o umieszczenie w „Kulturze” następującego sprostowania:

1. Nie jest prawdą, że jestem lub byłam kiedykolwiek czołowym komentatorem Wolnej Europy.

Prawdą natomiast jest, że przed ośmiu laty (między 1953 i 1956 rokiem) napisałam i wygłosiłam przez polską sekcję tej rozgłośni szereg

audycji, głównie o tragicznych losach polskich komunistów w Rosji (za Stalina), ale też o ówczesnych aresztach w Polsce, m.in. Gomułki. Od Października — co zresztą łatwo sprawdzić — nie miałam audycji w RWE.

2. Nie jest prawdą, że współpracuję lub współpracowałam kiedykolwiek z jakimś rewizjonistycznym pismem niemieckim i że utrzymuję lub utrzymywałam kiedykolwiek kontakty z ośrodkami rewizjonistycznymi w NRF.

Prawdą natomiast jest, że od lat jestem współpracowniczką „Süddeutsche Zeitung”, „Stuttgarter Zeitung” i „Kölner Stadtanzeiger” — pism, które zwalczają rewizjonizm i rewansyzm niemiecki przy każdej okazji. To samo można powiedzieć o czasopiśmie w których niekiedy pisuję. Prawdą jest, że napisałam książkę o Polsce i wygłaszam odczyty, gdzie uzasadniam prawa polskie do Ziemi Zachodnich. W tym samym duchu występuję zresztą przed niemiecką telewizją i radiem (jestem współpracowniczką rozgłośni w Kolonii „Westdeutscher Rundfunk” i w Monachium „Bayerischer Rundfunk”).

Nie wiem skąd czerpał swoje informacje Pan Janusz Koleczyński, czytając go odnosi się wrażenie, że miał zamiar dowieść komuś w dobitny sposób, że nigdy nie słucha Wolnej Europy i nigdy nie czyta zachodnio-niemieckich gazet.

Mógł go naturalnie ktoś na umyślnie wprowadzić w błąd. Zupełnie nie rozumiam dla mnie jest jednak fakt, że przepuścił jego wzmiankę zastępcą Pana, Pan Roman Bratny, który zna mnie osobiście — chociażby dlatego, że dzięki moim staraniom wydał w Niemczech Zachodnich swoją powieść (— nie tylko o wydanie Bratnego zresztą starałam się w NRF, a o cały szereg innych autorów). Czyżby Pan Bratny, lub ktoś inny w redakcji, uważał, że wydanie „Kolumbów” w Monachium to wyraz „niemieckiego rewizjonizmu”?! Chyba nie.

Łączę wyrazy szacunku.

Wanda BROŃSKA-PAMPUCH



Londyn, 14.12.1963 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Ponieważ powody, dla których podpisywałem przez szereg lat swe artykuły, szkice i książki („Łabędź Sabaudii”, Veritas, Londyn 1958; „Chwile”, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1963) pseudonimem MICHAŁ SAMBOR, straciły ostatnio ważność, postanowiłem występować znów w pracy literackiej pod swym chrzestnym imieniem i rodzowym nazwiskiem

Michał CHMIELOWIEC



Chicago, 3 grudnia 1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jako prenumeratorem i czytelnikiem „Kultury” zwracam się do Pana Redaktora a uprzejmą prośbą o łaskawe zamieszczenie na łamach Swego poczytnego pisma w rubryce „Listy do Redakcji”, niżej podanego listu.

W „Zeszytach Historycznym” nr 2-gi, wydanym przez Redakcję „Kultury”, p. Bazyli Rogowski opisuje na stronie 118 swój powrót do Budapesztu, (po przeprowadzeniu Marszałka Smigłego z Węgier do Krakowa) w towarzystwie dwóch górali, Karola z Chocholowa i Ludwika z Kuźnic. Jeżeli chodzi o osobę tego ostatniego to pozwolę sobie sprostować pewną nieścisłość. Wspomnianym bowiem „Ludwikiem” byłem istotnie ja, nie góral, a tak zwany „ceper”.

P. Rogowskiego poznałem w melinie w Cichym, jako „Bazika”, natomiast ja przedstawiłem się jako Bolesław Wojnar z Kościelisk. Pod tym też nazwiskiem zostałem po przejściu na Węgry, zarejestrowany w Budapeszcie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Przypuszczam więc, że p. Rogowski jedynie przez przeoczenie podał mylnie moje imię, które znał dokładnie, gdyż spotykaliśmy się później często w Budapeszcie, a nawet byliśmy wspólnie u p. Sławy Wendowej, o której wspomina w swoich pamiętnikach.

Wyjście moje i Karola na Węgry, spowodowane było jedynie poszukiwaniem nas przez Gestapo. W owym czasie, tak w Zakopanem, jak i okolicy z pomocą Ukraińców, był duży nawał aresztowań. Funkcję Karola, objął jego kuzyn, wyznaczony przez Organizację. Do Z.W.Z. wstąpiłem 17 lutego 1940 r., na terenie Krosna. W kwietniu 1941 r. zostałem niespodziewanie aresztowany we własnym domu w Kościeliskach i osadzony w siedzibie Gestapo w „Palace” w Zakopanem. Po 3-dniowym śledztwie, które przetrzymałem ostatkami sił, przetransportowano mnie do ogólnego więzienia przy ul. Nowotarskiej i zamknięto w celi nr 5. Cella wypełniona była więźniami, ciemna bez wentylacji, cztery kubły ustawione w rogach, dla potrzeb fizjologicznych więźniów, oczyszczane raz w tygodniu. Pożywienie dla więźniów, dostarczał jedynie miejscowy Komitet Pań, który za pośrednictwem niemieckiego Czerwonego Krzyża, uzyskał zezwolenie w Gestapo, na dostarczanie jednego kubka zupy na więźnia, raz dziennie. Śledztwo odbywało się dalej, przeważnie w godzinach nocnych.

Wiadome było, że więźniowie, którzy po badaniach nie wracali już do celi, zostali rozstrzelani. Zaś tych, których nazwiska zostały wywołane o godz. 5-6 rano, wywożono do obozów koncentracyjnych. Któregoś dnia w czerwcu, rano wywołano moje nazwisko i skutego przewieziono z powrotem do „Palace”. Wprowadzono mnie do kancelarii i pozostawiono przez dłuższy czas samego. Byłem bardzo zdenerwowany, gdyż obawiałem się śledztwa i tortur, tym więcej, że rany były niezagojone z poprzedniego przesłuchania. Po godzinie, weszło dwóch gestapowców z pistoletami w rękach, wyprowadzili mnie z kancelarii, zdjęli z rąk kajdanki i wyrzucili za bramę na ulicę. Wyczerpany i odurzony powietrzem, nie mogłem się podnieść. Dopiero przejeżdżający, znajomy góral, dorożkarz, przyszedł mi z pomocą. Zdawałem sobie sprawę, że Gestapo wypuściło mnie jedynie dlatego, ażeby sprawdzić z kim utrzymuje kontakty. Przypuszczenia moje okazały się słuszne, gdyż niespełna w dwa tygodnie później, Gestapo mając moje zdjęcie, poczęło poszukiwać mnie energicznie. Wobec tego, postanowiłem ostatecznie w grudniu 1941 r. przejść na jakiś czas z Karolem na Węgry. Ażeby uchronić rodzinę przed prześladowaniem, wysłałem z Budapesztu pocztówkę zawiadamiającą Gestapo, że uszedłem za granicę. W związku z tym, parę miesięcy później, Gestapo z Zakopanego, przysłało do żandarmerii węgierskiej w Budapeszcie, list gończy z moją fotografią, żądając wydania mnie, jako współwinnego likwidacji żołnierzy niemieckich na pograniczu słowacko-polskim. O fakcie tym, zawiadomiła mnie Organizacja A.K., która mieściła się na Fe utca 11. Dla ostrożności, zostałem odpowiednio zamelinowany, a później przeniesiony z Budapesztu w okolice Kaloczy. W miejscowości Dusznok, gdzie był polski obóz, postanowiłem zgłosić się do miejscowej żandarmerii węgierskiej, „koguty”, celem wyjaśnienia całej sprawy. Tłumaczem moim, był dr Zderkie-

wicz, Polek, lekarz obozowy. Komisarz żandarmerii oświadczył nam, że jest istotnie taki list gończy i że jestem poszukiwany przez władze niemieckie. W odpowiedzi, oświadczyłem, że Polska i Niemcy są w stanie wojny i o ile nawet taki fakt zaistniał, to było to jedynie samoobroną. Obecnie jestem na Węgrzech, mam prawo azylu i jestem pod opieką Regenta Węgier. Komisarz telefonował do Budapesztu i wreszcie po kilku godzinach zostałem puszczony wolno. Na skutek tego, mój pobyt na Węgrzech przedłużył się, a ja wszedłem do pracy konspiracyjnej A.K. Nagrodą, jaka mnie spotkała, za wszystkie trudy, była moja obecna Żona, Wanda Zbierzowska, którą w owym czasie poznałem na Węgrzech. Tam też doszła nas wiadomość, że kuzyn Karola, który przejął jego funkcję, jak również kurierzy: Staszek i Franek, zostali na Podhalu schwytani przez Gestapo i w okrutny sposób zamordowani.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

Bolesław FRYDRYCH

Neapol, 16 grudnia 1963 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Złośliwość diablaka drukarskiego jest niespożyta. Mimo naszych wysiłków — kilkakrotnych korekt i rewizji — do mojej książki *Drugie Przyjście* wkradło się trochę błędów. Najważniejsze z nich, grożące przeinaczeniem lub zniekształceniem sensu, chciałbym tu sprostować, prosząc czytelników by zrobili to samo w swoich egzemplarzach.

Na stronie 155, wiersz przedostatni: zamiast „do wyboru swej drogi”, powinno być „do wylotu swej drogi”.

Na stronie 157, wiersz 19 od góry: zamiast „wydawało mu się”, powinno być „wydawało mi się”.

Na stronie 211, wiersz 23 od góry: zamiast „autoiluzjonizmem”, powinno być „autolezjonizmem”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Paryż, dnia 17 listopada 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jeżeli odpowiadam na list p. Andrzeja Korbońskiego z listopadowej „Kultury”, to nie dla tego, żeby ostatnim zejść z areny, lecz dlatego, że temat naszej polemiki dotyczy sprawy, interesującej każdego, kto z troską patrzy na rozwój stosunku Stanów Zjednoczonych do Francji i Europy z jednej strony, a do Związku Sowieckiego z drugiej strony.

Pana Korbońskiego nie miałem zaszczytu poznać, nie o nim nie wiem, nie mam do niego żadnego stosunku osobistego, a już tym bardziej żadnej wrogości. Jego recenzja o książce Montiasa na temat gospodarki polskiej na bezdrożach planowania, którą przeczytałem z zainteresowaniem we wrześniowym numerze „Kultury”, pozwala przypuszczać, że jest on ekonomistą i że poważna wymiana poglądów między nim i publicystami europejskimi mo-

głaby nie być stratą czasu. Ale to zależy w dużym stopniu od niego samego.

Olbrzymia przewaga p. Korbońskiego nade mną polega na tym, że, prawdopodobnie również nie o mnie nie wiedząc, potraktował mnie w swoim pierwszym liście (z czerwca rb.) po amerykańsku, czyli bardzo z wysoka, imputując mi intencje, do których sformułowania tekst moich artykułów nie daje najmniejszego powodu, a nawet wypowiadając się za mnie o moich przekonaniach. Jak dotychczas, mój korespondent zza oceanu wyrządził mi tylko jedną krzywdę osobistą niezupewnić zgodnie z dobrymi obyczajami, pisząc, że: „p. Kawałkowski odpowiedział, że trudno wymagać od niego, jako polityka, aby znał się na ekonomii”. Proste porównanie tego zdania z moją odpowiedzią na pierwsze wystąpienie p. Korbońskiego („Kultura”, lipiec 1963) pozwoli czytelnikowi stwierdzić, że czegoś podobnego nie napisałem i że nie było w mojej odpowiedzi ani jednego zdania, które by do takiej interpretacji upoważniało.

Trudno mi natomiast zrozumieć, dlaczego p. Korboński upiera się przy zarzuceniu mojej rzekomej antyamerykańskości i to taniego, jakoby, gatunku. Ostatecznie, tylko ja mogę wiedzieć, czy moje poglądy są antyamerykańskie, czy nie. Czytelnicy, których ta polemika zainteresuje, znajdują w mojej pierwszej odpowiedzi kilka słów na temat „anty”, jako elementu myślenia politycznego. P. Korboński przytoczył z moich dwóch artykułów kilka zdań krytycznych pod adresem polityki amerykańskiej. Nie przytoczył ani jednego, spośród tych, a było ich wiele, za pośrednictwem których starałem się przyczynić, w zakresie moich szczupłych możliwości perswazyjnych, do otwarcia opinii amerykańskiej oczu na istotę nieporozumień francusko-amerykańskich i na istniejące ciągle możliwości współdziałania. Mój oponent żąda ode mnie udowodnienia przykładami mego zdania z artykułu pt. „Bitwa o Europę” („Kultura”, wrzesień 1963), w którym napisałem, że „Gdy się czyta prasę amerykańską, odnosi się wrażenie, że Stany Zjedn. znalazły wreszcie prawdziwego wroga”. Owszem, można by taką antologię opracować, gdyby Jerzy Giedroyc uznał jej celowość i przeznaczył na to odpowiednią ilość miejsca. Nie wierzę, aby p. Korboński nie zauważył ostrych krytyk, ataków, wymysłów nawet pod adresem gen. Gaulle’a w okresie pomiędzy konferencją prasową z 14 stycznia tego roku i podróżą min. spraw. zagr., p. Couve de Murville do Waszyngtonu w październiku tego roku (pisałem wspomniany artykuł w początkach sierpnia).

Dla zakończenia przewodu dowodowego, niech mi wolno będzie przytoczyć opinię syntetyczną, wyrażoną przez waszyngtońskiego korespondenta „Le Figaro”, p. Nicolas Chatelain (2.9.1963):

„Tyle razy zdarzało nam się mówić o osiągnięciu przez de Gaulle’a, przy innych okazjach, rekordów niepopularności wobec opinii amerykańskiej, że sprawia nam kłopot konieczność powtarzania się. A przecież komentarze tutejszych dzienników, speaker’ów telewizyjnych, specjalistów „Cartoun”, karykatury politycznej, to nie jest tylko krytyka. Tym razem są oni złośliwi w stosunku do generała”. Autor opatrzył swoją korespondencję tytułem: „Une presse déchainée”. Prasa rozwydrzona.

Lękam się, czy przyczyna nieporozumienia pomiędzy p. Korbońskim i mną nie ma podkładu głębszego, a mianowicie, traktowania przez Amerykanów ich koncepcji politycznych, jako tabu, a wszelkiej krytyki, jako objawów antyamerykańskiego nacjonalizmu.

Wyrazy szacunku i uścisk dłoni przesyłam.

A. KAWAŁKOWSKI

Santa Cruz de Tenerife, dnia 11.11.63 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 9/191 „Kultury” p. Stefan Stok zareagował na mój list z 12 marca 1963, interpretując go na wzór dzisiejszej dialektyki między Moskwą i Pekinem. Proszę przeto o łaskawe umieszczenie w „Kulturze” poniższego uzupełnienia tegoż listu.

Gdyby Amerykanie i Anglicy, podczas drugiej wojny światowej mieli polityków o takiej „chytrości politycznej” jak według p. Stoka miał gen. Franco, to z całą pewnością można twierdzić że:

— Nie byłoby Jałty i oddania krajów Środkowej Europy na pastwę i niewolę komunizmowi.

Nie byłoby milionów uchodźców rozsianych po całym świecie, wysługujących się obcym narodom. Znikoma ilość działaczy komunistycznych w krajach wolnej Europy znalazłaby w Rosji Sowieckiej duże pole do działania by przyspieszyć nadejście zapowiadanej epoki komunizmu, raju dla ludzkości.

Powietrze naszego globu nie byłoby zatrute wybuchami bomb atomowych, grożąc ludzkości zagładą.

Pieniądze wydawane na bomby o 100 megatonach mogłyby być użyte na zapewnienie oświaty i dobrobytu prymitywnym i głodującym zbiorowiskom ludzkim.

Niestety, z powodu braku polityków o „chytrości politycznej” a nadmiaru naiwnych idealistów i ugodowców ułatwiających komunizmowi gangrenowanie nieświadomych mas ludzkich, mamy w wyniku największe zakłamanie w dziejach ludzkości pod nazwą koegzystencji pokojowej, maskującej przygotowanie do trzeciej wojny światowej.

Dziękując za umieszczenie tych kilku zdań, proszę o przyjęcie, Panie Redaktorze, wyrazów prawdziwego szacunku i poważania.

Dr Piotr MOHORTYŃSKI



Paryż, dnia 20 grudnia 1963 r.

Do Redakcji „Kultury”!

W dziale: Sprawy i troski listopadowego numeru M.L.D. skończywszy artykuł „W oczach Londynu” usiadł przy angielskim kominku wdychając do Ojczyzny i swoich, którym nic co nasze nie jest obce. A ja przeczytawszy końcowy ustęp artykułu skurczyłam się z bólu i wstydu.

Mam też swoich w kraju, a w Paryżu stale kogoś z kraju i twierdę, że tak jak w całym świecie i w Polsce są typy rozmaicie ustosunkowane do problemu a) samowystarczalności i b) zasadniczego zadania życia każdego z nas służenia pomocą bliźnim. Nie można uogólniać ani typów ani rytuałów ich zachowania.

1. Bardzo nieliczni z moich „gości” opowiadało kawały z kraju. Po prostu tłumacząc sobie dlatego, że do tego trzeba mieć specjalną „klepkę”: usłyszeć, pośmiać się, zapamiętać, i opowiedzieć tak, by inni się śmiali.

2. Z moich gości nikt nigdy nie twierdził, że „emigracja opływa”, jeżeli nawet tak myślał to sam prostował to wyobrażenie poznawszy nasze tu warunki. Nie słyszałam zdefiniowanych zarzutów przeciw emigracji natomiast

wyczuwałam pragnienie usłyszenia słów uznania dla ludzi z kraju, do czego dochodzą w swych niezaprzeczeniu ciężkich warunkach.

3. Poddawanie w wątpliwość tego, że afiszowanie swych stosunków z leaderami emigracji nie jest wskazane jeżeli się wraca do kraju i chce tam dalej pracować mówi, że piszący nie chce zrozumieć atmosfery w kraju „wolno ale nie wskazane” jutro dla lekceważącego sobie tę zasadę może być tragiczne.

4. Troska ludzi w kraju o wynaradawiające się na emigracji dzieci dla mnie zrozumiała, bo wszak i każdy z nas nad tym boleje. Dzieci nie uczą się języka polskiego „by nie miały kompleksów”.

5. Wyjazd do kraju ma różne za i przeciw. W artykule poruszono jedynie stronę finansową. I tu rozumowanie autora uważam za jednostronne, a dla tych bliskich obraźliwe. Gdziekolwiek jedziemy bierzemy ze sobą pieniądze bo trzeba i można. Jadąc do kraju też trzeba, a nie wolno, więc wysyłanie paczek dla spieniężenia ich wydaje mi się normalną a najkorzystniejszą formą wymiany. Zdajemy sobie chyba sprawę, że z zarobków choćby i największych żyć tam trudno a coś dopiero gości bliskich z zachodu, przyzwyczajonych do bez porównania lepszych warunków życia.

Prezenty na imieniny Ziotka, ślub Ewy — doktorat Wiesia w całym świecie są przyjęte zwyczajem. Po prostu mam za co, to kupuję, nie mam — idę z jednym kwiatkiem, mocno ściskam — gratuluję — o ile mnie ten ktoś uczuciowo obchodzi. O ile — nie — nie idę. Piszę parę słów — albo i nie piszę. Ale „wymawianie” prezentu uważam za upokarzające i bolesne.

Dosyłanie prezentów. Zdaje mi się, że można zamówienie przyjąć lub nie. Rozmaitość marzeń nie powinna dziwić, jeden marzy o ładnych okularach inny o ochraniaczach na kolana, ale znowu nie wolno, jeżeli się wyśle — wymawiać. To boli tych najwartościowszych, którzy z trudem wykrztusili co im potrzeba (osobiście wolę zawsze wiedzieć, co posłać).

A do tego co za cudny temat do notatki np. w „Nowej Kulturze” czy „Życiu Warszawy” pt. Prawdziwe oblicze emigracji, która szczyci się tym, że pomaga paczkami krajowi”.

Łączę wyrazy poważania.

J. NOWAK PRZYGODZKA



Winnipeg, Manitoba, 21.11. 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Obawiam się, że Pan Tadeusz Nowakowski w swoim bardzo ciekawym i z dużą dozą humoru napisanym sprawozdaniu z kongresu w Wiesbaden („Kultura” nr 11/193 z 1963 r.) popełnił jednak pewien nietakt. Chodzi mi tutaj o jego wzmiankę o rękopisie „Kanadyjczyka, profesora uniwersytetu, pod dramatycznym tytułem 'Polska — most nad przepaścią’ ” (str. 100).

Nie wiem dlaczego p. Nowakowski nie raczył nawet wymienić nazwiska autora. Książka w angielskim oryginale, o czym chyba p. Nowakowski był poinformowany, wychodzi w najbliższej przyszłości w wydaniu Oxford University Press, a więc poważnej firmy. Autor jest poważną osobą, specjalistą od zagadnień politycznych i ma poza sobą już kilka ładnych pozycji wydawniczych. Trudno wymagać by ktoś w książce, której celem głównym jest naświetlanie spraw dotyczących wypadków wewnątrz ruchu komunistycznego w Polsce, starał się równocześnie wyczerpująco omówić osiągnięcia

polskiej kultury w jej wszystkich przejawach podczas całego tysiąclecia naszej historii.

Co do „apriorycznie powziętych wniosków”, to pragnąłbym dodać że autor o którym mowa, poświęcił parę ładnych lat nad swą pracą nie tylko na tym kontynencie, ale i w Europie, włącznie z Polską.

Z tymi „zabawkami” to w życiu też jest rozmaicie. Przykładów o tym pełno w artykule p. Nowakowskiego. Poniekąd może być często taką zabawką nawet nasz „rewir myśliwski”. Sam p. Nowakowski spostrzega że nie zawsze chcą nas słuchać gdy mówimy czy piszemy o sobie. Może warto posłuchać co o nas mówią. Temu zresztą „Kultura” poświęca słusznie sporo miejsca.

Jeżeli chodzi o samą książkę, to niewątpliwie nie mogę się zgodzić z niektórymi tezami, równie jak p. Nowakowski. Jednak od p. Nowakowskiego, którego jako pisarza wszyscy bardzo cenimy, oczekiwałbym raczej rzeczowej recenzji czy chociażby skromnej oceny omawianych problemów niż kpin. Tak sobie tylko, w imię sprawiedliwości, poszanowania godności ludzkiej i... wolności słowa.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Zdzisław STRASZYŃSKI

PRZYPOMINAMY O ODNOWIENIU PRENUMERATY i „ZESZYTÓW” NA ROK 1964

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIlswick 1860

Wydawca : INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant : Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} trimestre 1964

TOM XCV

BIBLIOTEKI "KULTURY"

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT PIĄTY

ukaze się w sprzedaży w końcu stycznia rb. i będzie zawierać m.in.:

Druga podróż Mikołajczyka do Moskwy (Stenogram z posiedzenia Rady Narodowej R.P. w Londynie z 27.X.1944).

St. Lubodziecki — *Wypadki listopadowe z 1923 r. w Sądzie Wojskowym.*

Jerzy Mond. — *Z narad Aktywu Centralnego w sprawie sytuacji na froncie kulturalnym w dn. 23.XII.1955.*
Przemówienia: *Jakuba Bermana, Kazimierza Brandysa i Hilarego Minca.*

o r a z d z i a ł y

W OBCYCH OCZACH (teksty L. Bykowskiego i gen. por. Popiela) — SĄSIEDZI i in.



Mimo podwyżki prenumeraty „Kultury” abonament „Zeszytów Historycznych” na rok 1964 wynosi dla prenumeratorów „Kultury” w dalszym ciągu tylko 15 F (22 sh; dol. 3,00) — a więc otrzymują DWA „ZESZYTY” W CENIE JEDNEGO

Str. 240

Cena egz. 15 F. (22/-; dol. 3,00)



Administracja posiada jeszcze na składzie pewną ilość poprzednich numerów ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliothek, godz. 19-21)		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Szweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8º Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpileczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ lizr.	28 £ lizr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1608 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal., Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Measil-le-Roi,
par MAISONS.LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM XCIV

JAN KOWALIK

**MATERIAŁY DO HISTORII
PRASY POLSKIEJ**

NA OBCYZYŃNIE 1939-1962

BIBLIOGRAFIE Tom I

Str. 80

Cena egz. 9 F. (dol. 2,00; 13/6)



TOM XCVI

MAREK HŁASKO

**BRUDNE SPRAWY
I
WSZYSCY BYLI ODWROCENI**

DWIE POWIEŚCI W JEDNYM DUŻYM TOMIE